Związek Nar. Pol. w St. Zjed. Pół. Am.





KALENDARZ
ZWIĄZKOWY

Na Rok
1921.

[Tom II.]





WYDANY NAKŁADEM

DZIENNIKA ZWIĄZKOWEGO

— W —

CHICAGO ILLINOIS.







PODZIAŁ ROKU KOŚCIELNEGO.

I. Adwent zaczyna się w Niedzielę po 26 listopada.
II. Post Wielki zaczyna się w Środę Popielcową.
III. Suche dni przypadają w Środy, Piątki i Soboty:
1. Po pierwszej Niedzieli Wielkiego Postu.
2. Po Zielonych Świątkach.
3. Po Podwyższeniu Św. Krzyża.
4. Po trzeciej Niedzieli Adwentu.

IV. Wesel małżeńskich Kościół zabrania:
1. Od pierwszej Niedzieli Adwentu do Trzech Króli.
2. Od Środy Popiel. do Poniedz. Przewod.

V. Dni Krzyżowe przypadają w Poniedziałek, Wtorek i Środę przed samem Wniebowstąpieniem Pańskiem.

ŚWIĘTA RUCHOME W LATACH 1921—30

(podług kalendarza gregoryańskiego.)

Rok	Popielec	Wielkanoc	Wniebowstąpienie Pańskie	Zesłanie Ducha Św.	Trójcy Św.	Boże Ciało	Niedziela I. Adwentu
19[illegible]	9 Luty	27 Marzec	5 Maj	15 Maj	22 Maj	26 Maj	27 Listopad
1922	1 Marzec	16 Kwiecień	25 Maj	4 Czerwiec	11 Czerwiec	15 Czerwiec	3 Grudzień
1923	14 Luty	1 Kwiecień	10 Maj	20 Maj	27 Maj	31 Czerwiec	2 Grudzień
1924	5 Marzec	20 Kwiecień	29 Maj	8 Czerwiec	15 Czerwiec	19 Czerwiec	30 Listopad
1925	25 Luty	12 Kwiecień	21 Maj	31 Maj	7 Czerwiec	12 Czerwiec	29 Listopad
1926	17 Luty	4 Kwiecień	13 Maj	23 Maj	30 Maj	3 Czerwiec	28 Listopad
1927	2 Marzec	17 Kwiecień	26 Maj	5 Czerwiec	12 Czerwiec	16 Czerwiec	27 Listopad
1928	22 Luty	8 Kwiecień	17 Maj	27 Maj	3 Czerwiec	7 Maj	2 Grudzień
1929	13 Luty	31 Marzec	9 Maj	19 Maj	26 Maj	30 Maj	1 Listopad
1930	5 Marzec	20 Kwiecień	29 Maj	8 Czerwiec	15 Czerwiec	19 Czrewiec	30 Listopad

INNE ŚWIĘTA RUCHOME.

1. Przenajświętsze imię Jezus w II Niedzielę po Trzech Królach.
2. Matka Boska Bolesna w Piątek przed Kwietnią Niedzielą.
3. Grobu Chrystusa Pana w II Niedzielę po Wielkanocy.
4. Opieka Św. Józefa w III Niedzielę po Wielkanocy.
5. M. B. Łaskawa w II Niedzielę Maja.
6. Przenajświęsze Serce Jezusa w Piątek po Oktawie Bożego Ciała.
7. Św. Jana z Dukli w Niedzielę po Oktawie SS. Piotra i Pawła Ap. Ap.
8. Przenajświętszej Krwi Pana Jezusa w I. Niedzielę Lipca.
9. Św. Kinga (Kunegunda) w Niedzielę po 24 Lipca.
10. Św. Jacka (Jacenty) w Niedzielę po Wniebowstąpieniu Najśw. Maryi Panny.
11. Serce Najśw. M. P. w II Niedzielę po Wniebowzięciu Najśw. M. P.
12. Św. Joachim (Ojciec Najśw. Maryi Panny) — również.
13. Matka Boska Częstochowska w I Środę po Św. Bartłomieju.
14. Siedmiu boleści Najświęszej Maryi Panny w III Niedzielę Września.
15. Bł. Ładysław z Gielniowa w Niedzielę po Św. Mateuszu.
16. Najświętsza Marya Panna Różańcowa w I Niedzielę Października.
17. Bł. Wincenty Kadłubek w Niedzielę po 7 Października.
18. Św. Jan Kanty w Niedzielę po 17 Października.
19. Opieka Najśw. Maryi Panny w Niedzielę po 5 Listopada.
20. Św. Stanisław Kostka w Niedzielę po 12 Listopada.
21. Zwiastowanie Najśw. Maryi Panny przenosi się na Poniedziałek po Niedzieli Przewodniej, jeżeli Wielkanoc przypada przed 1 Kwietnia.
22. Św. Wojciecha uroczystość urzenosi się na Poniedziałek po Niedzieli Przewodniej, jeżeli Wielkanoc przypada po 15 Kwietnia.

OKRESY ROCZNE.

Litera niedzielna	B
Epakta	XXI
Liczba złota	III
Okres słońca	XXVI
Poczet rzymski	IV
Period Juliański	6634

ŚWIĘTA NARODOWE.

10 lutego, **Rocznica otwarcia Sejmu** (dekret z d. 9 kwietnia 1919 r.)

3 Maja, (uchwała Sejmu z d. 29 kwietnia 1919 r).

6 sierpnia, **Święto Wojsk Polskich** (uchwała Sejmu z d. 27 lipca 1919 roku).

ZAĆMIENIA.

W roku 1921 będą 2 zaćmienia słońca i 2 zaćmienia księżyca.

1. Częściowe zaćmienie słońca dnia 7-go kwietnia, początek widzialny na oceanie Atlantyckim i zachodnich kawałku Afryki, koniec widzialny w środkowej Syberyi i Chinach.

2. Całkowite zaćmienie księżyca dnia 21 kwietnia. Początek będzie widzialny w Północnej i Południowej Ameryce, na Atlantyckim i Wielkim oceanach, koniec widzialny także w Australii i wschodniej Azyi.

3. Całkowite zaćmienie słońca 30 września i 7 października, widzialne tylko w krańcowej części południowej Ameryki.

4. Częściowe zaćmienie księżyca 16 października. Początek widzialny w Zachodniej Azyi, potem na zachód aż do Oceanu Wielkiego.

EPOKI GŁÓWNE.

Rok 1921 ery chrześcijańskiej odpowiada rokowi 6634 peryodu Juliańskiego.

Nowy Rok 7430 Ery Bizantyńskiej przypada 14 sierpnia, 1921 r.

Nowy Rok 5682 Ery żydowskiej przypada 2 października, 1921 r.

Nowy Rok 2670 Ery Nabonassar przypada 13 maja, 1921 r.

Nowy Rok 2581 Ery Japońskiej, będący 10 rokiem peryodu Taisho, przypada 1 stycznia 1921.

Nowy Rok 2233 Ery Greckiej przypada 14 października, 1921 r.

Nowy Rok Ery Diocletian przypada 29 sierpnia 1921 r.

Nowy Rok Ery Mahometańskiej, albo Ery Hegiry, przypada 3 września, 1921 r.

STYCZEŃ
MA 31 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	S.	**Nowy Rok**
2	N.	**Makarego op.**
3	P.	Genowefy p. ☾
4	W.	Tytusa biskupa
5	Ś.	Telesfora męczennika
6	C.	**Trzech Króli**
7	P.	Walentego b. Luc.
8	S.	Seweryna op.
9	N.	**Marcyanny panny**
10	P.	Pawła pustelnika
11	W.	Higina m. ●
12	Ś.	Honoraty
13	C.	Hilarego bisk.
14	P.	Feliksa z Noli
15	S.	Maura op.
16	N.	**Marcelego I. pap.**
17	P.	Antoniego p.
18	W.	Pryski panny ☽
19	Ś.	Ferdynanda
20	C.	Fabjana i Seb.
21	P.	Agnieszki p. m.
22	S.	Wincentego m.
23	N.	**Zaśl. NMP.** (N.st. zap.)
24	P.	Tymoteusza
25	W.	N. św. Pawła Ap. ○
26	Ś.	Polikarpa
27	C.	Jana Chryzostoma
28	P.	Karola W.
29	S.	Franciszka Salez.
30	N.	**Martyny p.** (N. mięsp.)
31	P.	Piotra Nol.

LUTY
MA 28 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	W.	Ignacego b.
2	S.	**NMP. Gromnicz.** ☾
3	C.	Błażeja
4	P.	Weroniki p.
5	S.	Agaty p.
6	N.	**Doroty p.** (N. zapust.)
7	P.	Romualda op.
8	W.	Jana z Malty
9	Ś.	**Popielec**
10	C.	Scholastyki ●
11	P.	Eufrozymy p.
12	S.	Eulalii p. m.
13	N.	**Katarzyny Rici.**
14	P.	Walentego b.
15	W.	Faustyna m.
16	Ś.	Julianny ☽
17	C.	Konstancyi p.
18	P.	Flawiana
19	S.	Konrada pust.
20	N.	**Nicefora m.**
21	P.	Eleonory kr.
22	W.	Piotra katedry
23	Ś.	Romany w.
24	C.	Macieja ap. ○
25	P.	Anastazyi p.
26	S.	Wiktora z A.
27	N.	**Aleksandra b.**
28	P.	Romana w.

STYCZEŃ

Gdzie twa królewska korona,
Lesie wyniosły i dumny?
Postarzał świat, osiwiał,
Położył się do trumny.

Przyjdą o szarym zmierzchu
Płaczki: wichury — smętnice, —
Wilki posępnie zapalą
Oczu płomienne gromnice.

Na zmarzłym, zczerniałym stawie
Śnieg iskrzy się dyamentem —
Zlitował się śnieg biały
Nad ziemi ciałem świętem.

Zlitował się, otulił
Na długi sen zimowy...
Śpij, ziemio obumarła,
Śpij, ziemio — do wiosny nowej...

LUTY

Śnieżyste, białe zamiecie,
Wichury lute, — słyszycie?
W zastygłem łonie ziemi
Pulsuje nowe życie!

Zasypuj, śnieżyco chyża
Wód pękające lody!
Niechaj się z głębin nie wyrwie
Ożywczy oddech młody...

Lawiny śnieżne, bywajcie!
Pokryjcie krnąbrne pola!
Nie w smak ci chłodne okowy,
Nie w smak ci, ziemio, niewola?

Hej, lesie, wyniosły lesie!
Konary twoje trzeszczą...
...Z ołowianego nieba
Śmieje się kruk złowieszczo...

MARZEC
MA 31 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	W.	Albina bisk.
2	Ś.	Symplicyusza
3	C.	Kunegundy
4	P.	Kazimierza kr.
5	S.	Fryderyka op.
6	**N.**	**Kolety p.**
7	P.	Tomasza z Akw.
8	W.	Jana Bożego
9	Ś.	Franciszki p.
10	C.	40 Męczenników
11	P.	Konstantyna
12	S.	Grzegorza W.
13	**N.**	**Rozyny i Fryd.**
14	P.	Matyldy p.
15	W.	Longina m.
16	Ś.	Lubina m.
17	C.	Gertrudy p.
18	P.	Edwarda II kr.
19	S.	Józefa Obl.
20	**N.**	**Eufemii** N. palmowa
21	P.	Benedykta op.
22	W.	Oktawiana
23	Ś.	Wiktora m.
24	C.	W. Cz. Macieja
25	P.	W. P. Gabryela
26	S.	W. S. Emanuela
27	**N.**	**Wielkanoc,** Ruperta
28	**P.**	**Pon. Wiel.** Syskt.
29	W.	Cyryla dyak.
30	Ś.	Kwiryna
31	C.	Balbiny

KWIECIEŃ
MA 30 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	P.	Hugona bisk.
2	S.	Franciszka z P.
3	**N.**	**Ryszarda**
4	**P.**	**Zwiast. N. M. P.**
5	W.	Wincentego F.
6	Ś.	Celestyna i Wilh.
7	C.	Hermana wyzn.
8	P.	Dyonizego
9	S.	Maryi Egip.
10	**N.**	**Ezechiela pr.**
11	P.	Leona p.
12	W.	Juliusza
13	Ś.	Justyna
14	C.	Waleryana m.
15	P.	Kasyldy i L.
16	S.	Lamberta
17	**N.**	**Rudolfa b.**
18	P.	Apolonniusza
19	W.	Emmy wd.
20	Ś.	Agnieszki
21	C.	Anzelma bisk.
22	P.	Sotera i Kaja
23	S.	Wojciecha b.
24	**N.**	**Jerzego**
25	P.	Marka ewang.
26	W.	Kfeta i Marc.
27	Ś.	Peregryna
28	C.	Witalisa
29	P.	Piotra męcz.
30	S.	Katarzyny S.

MARZEC

Z pod kołderki swej patrzą nieśmiało,
(Łąka cała wnet niemi zakwitnie!)
„Wkoło — szepcą zdumione — tak biało,
A w duszyczkach naszych — tak błękitnie!“

Przyleciały skowronki z za morza —
I strząsnąwszy pył podróżny z piórek
Jęła ćwierkać ta czeladka boża
Swój przeczysty, srebrzysty paciorek...

Idzie wiosna przez pola ugorne,
Jasną główką potrząsa z zachwytu, —
— Takie ciepłe już zorze wieczorne,
— Dnia już tyle do zachodu od świtu!

Mróz z rozpaczy siwą głowę wichrzy,
(Wnet się w lochach głębokich zagrzebie)
A Zefirek — pastuszek najcichszy —
Białe stadko przepędza po niebie...

KWIECIEŃ

O moje drzewa kochane!
O moje brzozy w pąkach!
Stokrotki tysiącolistne
Zakwitły już na łąkach...

Gałęzie wierzby nadwodnej
Od srebrnych kotek się bielą —
Świat cały się wydaje
Słoneczną, jasną Niedzielą...

Kaczeńce zwracają ku niebu
Swe oczka złotopłynne,
A boży dzwonek, konwalia
Wydzwania modły dziękczynne.

O moje łąki rozkwitłe!
Oto jest Wasza Godzina —
W taki dzień Anioł zwiastował
Najświętszej Maryi Syna.

MAJ
MA 31 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	**N.**	**Król. K. P. Fil. i Jak.**
2	P.	Zygmunta kr. ☾
3	W.	Znalez. Krzyża św.
4	Ś.	Floryana m.
5	**C.**	**Wniebowst. Pańskie**
6	P.	Jana w Oleju
7	S.	Domiceli p.
8	**N.**	**Stanisława b.**
9	P.	Grzegorza ☺
10	W.	Izydora Oracza
11	Ś.	Beatryksy p.
12	C.	Pankracego
13	P.	Serwacego
14	S.	Bonifacego
15	**N.**	**Zesł. D. S. Zofii i 3 c.**
16	**P.**	**P. Z. S. Jana N.**
17	W.	Paschalisa W.
18	Ś.	Feliksa spow.
19	C.	Piotra C.
20	P.	Bernardyna
21	S.	Heleny kr.
22	**N.**	**Trójcy Św.**
23	P.	Dezyderego
24	W.	Joanny p.
25	Ś.	Urbana I. p. ●
26	**C.**	**Boże Ciało**
27	P.	Jana pap.
28	S.	Augustyna b. w.
29	**N.**	**Maksyma W.**
30	P.	Feliksa pm.
31	W.	Petroneli p.

CZERWIEC
MA 30 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	Ś.	Nikodema
2	C.	Erazma b.
3	P.	Klotyldy
4	S.	Roberta
5	**N.**	**Trójcy S. Florent.**
6	P.	Norberta
7	W.	Roberta b. m. ●
8	Ś.	Medarda
9	C.	Felicyana pr.
10	P.	Małgorzaty
11	S.	Barnaby
12	**N.**	**Onufrego**
13	P.	Antoniego z Pad.
14	W.	Bazylego ☽
15	Ś.	Wita i Modesta
16	C.	Franciszka reg.
17	P.	Adolfa bisk.
18	S.	Marka
19	**N.**	**Gerwaz. i Prot.**
20	P.	Sylwezyusza
21	W.	Alojzego Gonzagi
22	Ś.	Paulina bisk. ☺
23	C.	Zenona bisk.
24	P.	Jana Chrzciciela
25	S.	Prosperta b.
26	**N.**	**Jana i Pawła**
27	P.	Władysława kr.
28	W.	Leona p.
29	**Ś.**	**Piotra i Pawła**
30	C.	Lucyny i Em. ☾

MAJ

Idą do ślubu czereśnie,
Wszystkie kwitnące, w bieli —
Ziemia im cicho pod stopy
Wzorzysty dywan ścieli...

Stłoczone w świątyni salu
Gawędzą jabłonki — druchny...
Wszystkie w odświętnych sukienkach,
Różowych, jak obłok leciuchny.

Wiatr wpada między gałązki,
Swawoli, ku sobie schyla —
Na kwiatach kładzie całunki
Lekkie, jak skrzydła motyla.

Wracają czereśnie ze ślubu,
Głowy im ciążą od wianka...
...Nocą go wietrzyk rozsypie
Na łono ziemi-kochanka...

CZERWIEC

Sunie po czystem niebie
Wędrowiec nieznajomy:
Pod ciemnym płaszczem chowa
Pioruny, niszczące gromy...

Kłonią się łany zielone,
Zastygły w grozie drzewa:
Korę nam piorun zedrze!
W ziemię nas wbije ulewa...

Minęła sroga burza;
Ptaszęta, jeszcze drżące,
Strząsają zmoczone piórka:
Witaj, o witaj, słońce!

Noc idzie, ciepła i świeża,
Zachód niebiosa złoci, —
...Dziś, o północy, w borze
Zakwitnie kwiat paproci...

LIPIEC
MA 31 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	P.	Teobalda op.
2	S.	Nawiedzenie NMP.
3	N.	**Heliodora**
4	P.	Józefa Kalas.
5	W.	Filomeny
6	Ś.	Izajasza pror.
7	C.	Pulcheryi
8	P.	Elżbiety król.
9	S.	Cyryla b.
10	N.	**Amalii p.**
11	P.	Pelagii p.
12	W.	Henryka Jana Gw.
13	Ś.	Małg. p. J. z D.
14	C.	Bonawentury
15	P.	Rozesł. Apost.
16	S.	N. M. P. Szkapl.
17	N.	**Aleksego**
18	P.	Szymona z L.
19	W.	Wincentego z P.
20	Ś.	Czesława
21	C.	Praksedy
22	P.	Maryi i Mag.
23	S.	Apolinarego b. m.
24	N.	**Krystyny**
25	P.	Jakóba ap.
26	W.	Anny
27	Ś.	Natalii p. Kun. p.
28	C.	Inocentego
29	P.	Marty
30	S.	Abdona i Sen.
31	N.	**Ignacego Loj.**

SIERPIEŃ
MA 31 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	P.	Piotra w Okow.
2	W.	N. M. P. Anielskiej
3	Ś.	Znalez. św. Szczep.
4	C.	Dominika W.
5	P.	N.M.P. Śnież.
6	S.	Przemienienie P.
7	N.	**Kajetana W.**
8	P.	Cyryaka męcz.
9	W.	Romana i Sek.
10	Ś.	Wawrzyńca m.
11	C.	Zuzanny p.
12	P.	Klary p.
13	S.	Hipolita m.
14	N.	**Euzebiusza**
15	P.	**Wniebowzięcie N.M.P.**
16	W.	Rocha wyzn.
17	Ś.	Liberata op. Jacka w.
18	C.	Heleny
19	P.	Benigny
20	S.	Stefana kr.
21	N.	**Joanny Fr.**
22	P.	Hipolita
23	W.	Filipa bisk.
24	Ś.	Bartłomieja
25	C.	Ludwika kr.
26	P.	Zefiryny
27	S.	Przen. św. Kaz.
28	N.	**Augustyna**
29	P.	Ścięcie św. Jana
30	W.	Róży z Limy
31	Ś.	Rajm. w. Joach.

LIPIEC

Konary lipy odwiecznej
Od rana rojne i gwarne —
Hufce się nad nią unoszą,
Hufce złocisto-czarne.

Zdobywczą wszczęli wojnę
Mali, skrzydlaci rycerze —
Każdy z nich w srogą niewolę
Jeden kwiatuszek bierze...

Nie umie — a może i nie chce
Bronić się kwiatek bezbronny?...
Przed swoim najeźdźcą roztacza
Skarb cenny: słodki i wonny...

Powietrze omdlewa od brzęku,
Od słodkich aromatów,
A stara lipa się cieszy
Z miłości pszczół i kwiatów.

SIERPIEŃ

Są w Sierpniu noce przedziwne,
Chłodem umarłych chłodne, —
Gwiazdy migocą na niebie
Iskrzące i pogodne.

Gwiazdy migocą na niebie,
A raz wraz któraś spada...
Świerszcz mały, w trawie ukryty
Nad ich losami biada...

Biadajcie, polne koniki,
Płaczcie żałosną kapelą,
Z gwiazdami spadającemi
Los dusze ludzkie dzielą...

Szept się roznosi po rżysku,
Drży w kroplach rosy nocnej...
A z gwiaździstego nieba
Słucha go Bóg Wszechmocny.

WRZESIEŃ
MA 30 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	C.	Idziego op.
2	P.	Stefana kr.
3	S.	Izabeli i Bron. 🌑
4	**N.**	**Rozalii**
5	P.	Wawrzyńca
6	W.	Zacharyasza
7	Ś.	Reginy
8	**C.**	**Narodz. N. M. P.**
9	P.	Gorgonjusza
10	S.	Mikołaja z Tol.
11	**N.**	**Prota i Jacka** ☽
12	P.	Waleryana i Gwieł.
13	W.	Tobiasza Filipa
14	Ś.	Podw. św. Krz.
15	C.	Nikodema
16	P.	Ludmili p.
17	S.	Lamberta
18	**N.**	**Tomasza z W.**
19	P.	Januarego 🌕
20	W.	Eustachiusza
21	Ś.	Mateusza ew.
22	C.	Maurycego b.
23	P.	Tekli p.
24	S.	Gerarda
25	**N.**	**Kleofasa m.** ☾
26	P.	Cypryana
27	W.	Kosmy i Damiana
28	Ś.	Wacława kr.
29	C.	Michała arch.
30	P.	Hieronima w.

PAŹDZIERNIK
MA 31 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	S.	Remigiusza
2	**N.**	**Leodgara**
3	P.	Kandyda m. 🌑
4	W.	Franciszka Ser.
5	Ś.	Placydy
6	C.	Brunona
7	P.	Justyny p.
8	S.	Brygidy p.
9	**N.**	**Winc. Kadł.**
10	P.	Franciszka B. ☽
11	W.	Placydy męcz.
12	Ś.	Maksymiliana
13	C.	Edwarda
14	P.	Kaliksta pap.
15	S.	Jadwigi i Teres..
16	**N.**	**Saturnina**
17	P.	Wiktora
18	W.	Łukasza ew. 🌕
19	Ś.	Piotra z A. Jana K.
20	C.	Felicyana
21	P.	Urszuli p.
22	S.	Korduli p.
23	**N.**	**Jana K.**
24	P.	Rafała arch.
25	W.	Kryspiny ☾
26	Ś.	Ewarysta
27	C.	Sabiny
28	P.	Szym. i Tad.
29	S.	Narcyza b.
30	**N.**	**Marcelego**
31	P.	Wig. Lucyny

WRZESIEŃ

Poprzez liliowe wrzosowisko,
Wśród gęstej, białej mgły porannej,
Płyną spokojnie, płyną nisko
Nitki z sukienki Maryi Panny.

Wiatr je pozrywał nocą z wrzecion
Wytrwałych, niewidzialnych tkaczy —
I oto płynie w świat, rozmiecion,
Welon zszarpany i tułaczy.

Na zadumanych drzew konary,
Na źdźbła pożółkłe, na badyle,
Spływają pasma przędzy szarej,
Srebrzącej się w słonecznym pyle.

A z nieba śpiewa chór Anieli:
O, chwała Pannie Cystej, dzięki
Za to, że między wszystkich dzieli
Nawet stargany strzęp sukienki.

PAŹDZIERNIK

Drzewa, jako płonące pochodnie,
Krwawo-żółte i żółto-jaskrawe —
Nawet niebo, zamglone pogodnie
Zda się rzucać blask złoty na trawę.

Miesiąc w skarby, jak Krezus, bogaty;
Nawet rosa ma barwę opali,
Klony sypią najczystsze dukaty,
Jarzębiny — swe sznury korali.

Łąk rozległych wyblakły gobelin
Szarą ziemią, jak kanwą, przebłyska —
Ledwo jeszcze gdzieniegdzie, ze szczelin
Zapóźniony kwiat barwami tryska.

Ziemia, dobra Skarbniczka, nie strwoni
Cennych darów Królewny — Jesieni...
I gdy wiosna złe wichry przegoni, —
Złoto liści — w zbóż szmaragd przemieni.

LISTOPAD
MA 30 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	**W.**	**Wszystkich Św.**
2	Ś.	Dzień zaduszny
3	C.	Huberta
4	P.	Karola Bor.
5	S.	Elżbiety
6	**N.**	**Leonarda W.**
7	P.	Herkulana
8	W.	4 Koronatów
9	Ś.	Heodora męcz.
10	C.	Andrzeja z A.
11	P.	Marcina bisk.
12	S.	Marcina p.
13	**N.**	**Euegniusza**
14	P.	Serafina wyzn.
15	W.	Leop., Stanisł. K.
16	Ś.	Edmunda
17	C.	Salomei p.
18	P.	Ottona
19	S.	Elżbiety kr.
20	**N.**	**Feliksa**
21	P.	Ofiar. N.M.P. Alber.
22	W.	Cecylii p.
23	Ś.	Klemensa pap.
24	C.	Jana od Krzyża
25	P.	Katarzyny p.
26	S.	Konrada m.
27	**N.**	Wirgiliusza (1 N. Ad.)
28	P.	Krescentego
29	W.	Saturnina m.
30	Ś.	Andrzeja ap.

GRUDZIEŃ
MA 31 DNI

Dnie miesiąca		Święta Rzymsko-katolickie
1	C.	Eligiusza bisk.
2	P.	Bibianny p.
3	S.	Francisz. Ksaw.
4	**N.**	**Barbary p.**
5	P.	Sabby op.
6	W.	Mikołaja bisk.
7	Ś.	Ambrożego
8	**C.**	**Niep. pocz. N.M.P.**
9	P.	Leokadyi p.
10	S.	N. M. P. Lodetańsk.
11	**N.**	**Damazego**
12	P.	Aleks. żołn.
13	W.	Łucyi i Ottylii
14	Ś.	Spiryd bisk.
15	C.	Fortunata
16	P.	Adelajdy Ces.
17	S.	Łazarza b.
18	**N.**	**Gracyana m.**
19	P.	Nemezyusza
20	W.	Teofila m.
21	Ś.	Tomasza ap.
22	C.	Zenona m.
23	P.	Wiktoryi p.
24	S.	Adama i Ewy Wig.
25	**N.**	**Boże Narodzenie**
26	**P.**	**Szczepana p. m.**
27	W.	Jana ew.
28	Ś.	Młodzianków
29	C.	Tomasza bisk.
30	P.	Dawida Kr.
31	S.	Sylwestra

LISTOPAD

Twarze mamy posępne i mgliste, —
Twarze z raju wygnanych aniołów...
Suknie mamy długie, powłóczyste,
A szare i ciężkie jak ołów.

Włosy mamy długie, do ziemi,
A dwięczące, jak harfa Eola...
Uderzamy włosami naszemi
O puste, zamarłe pola.

Jednostajną pisenkę śpiewamy
Ziemi, która nas słucha niechętnie —
Jednostaje, perliste gamy,
Wciążjednako załośnie i smętnie...

Nigdyśmy smutku nie syte,
Zawsześmy łez pragnące —
A jednak, za nami ukryte,
Hen w dali, — uśmiecha się słońce.

GRUDZIEŃ

Skarży się klon: odarto mię z odzieży,
Z pozłocistej, królewskiej szaty!
Skarży się polny głóg: gdzie moje kwiaty?...
Wszędy śnieg biały leży...

Biadają sosny: igły nam poszarzały!
Na rudych pniach spękana kora!
Nad wodami jęczą wierzby z wieczora:
Wichry nam włos zielony zwiały...

Sztywne olchy i osiki drżące
Na jedną zawodzą nutę:
Otośmy ze wszystkiego wyzute!
Otośmy żebraczki konające!

Wiatr wtóruje żałosnej gromadzie,
Pod komendę objął drzew chóry —
Powolutku śnieg sypie z góry...
Na szkielety drzew całun kładzie...

NA NOWY ROK 1921.

Witaj nam roku wolności i sławy,
Kiedy minęły owe dni upiorne,
Gdyśmy musieli wieść bój długi, krwawy
O nasze życie swobodne i wolne!

Utul w dni swoje tych cierpiących wiele,
Co niezgojonych ran mają zarzewie,
Ulecz cierpiących na duszy i ciele
Z ran, o których świat i ludzkość nie wie!

Popatrz! tam idzie kaleka bez ręki,
A tu znów inny wlecze się o kuli...
Pełne w nich wielkiej, życiowej udręki,
A przecież obaj za wolność walczyli...

Weź ich w opiekę i umil im lata,
Które w kalctwie pędzić nam przychodzi;
Wzbudź dla nich litość szerokiego świata
Niechaj jej świat będzie druhem, a nie wrogiem,

Popatrz! Tam wdowa! Utraciła męża,
Bezradna z losem twardą walkę toczy...
Odkąd od wrogów mąż poległ oręża,
Z łez jej na chwilę nie schną biedne oczy...

Pociesz ją po tym, który jej był drogim,
Wesprzyj w potrzebie, jaką życie niesie...
Niech jej świat będzie druhem, a nie krogiem,
Niech pod cierpieniem życiowem nie gnie się.

Tam znów sierota bez matki i ojca:
Oboje padli w wojennej zawiei...
Samo, biedactwo, bez niedoli końca,
A szczęścia zaznać niema ni nadziei...

Pociesz ją, Roku, w życiowej rozterce,
Znajdź jej przyjaciół w dni życia bezkresne,
Otwórz biedactwu społeczeństwa serce,
Niech z ócz jej łezki nie płyną bolesne.

Bądź wszystkim, Roku, rokiem wyzwolenia
Z życiowych nieszczęść i zawodów wielu,
Niechaj się rozpacz w dniach twych w szczęście [zmienia
Miej wszystkich szczęście jedynie na celu.

ROTA.

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy!
Polski my naród, polski lud,
Królewski szczep piastowy.
Nie damy, by nas niemczył wróg...
Tak nam dopomóż Bóg!

Do krwi ostatniej kropli z żył
Bronić będziemy Ducha,
Aż się rozpadnie w proch i pył
Krzyżacka zawierucha.
Twierdzą nam będzie każdy próg...
Tak nam dopomóż Bóg!

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,
Ni dzieci nam germanił,
Orężny wstanie hufiec nasz,
Duch będzie nam hetmanił!
Pójdziem, gdy zabrzmi złoty róg...
Tak nam dopomóż Bóg!

Marya Konopnicka.

NIE DAMY ŚLĄSKA, SPIŻU, ORAWY.

Niech żyją Śląsk, Orawa, Spisz!
Prastare gniazda lasze,
W obronie staje Polak dziś,
One zostaną nasze!
Oddać je musi niecny wróg...
Tak nam dopomóż Bóg!

NIE DAMY GDNASKA!

Nie damy Gdańska! Oto śpiew,
Co przez Polskę dziś leci;
Za Gdańsk przelejem chętnie krew —
My Polski wolne dzieci.
Musi ustąpić z Gdańska wróg!
Tak nam dopomóż Bóg!

AFORYZMY.

Minęły czasy, kiedy narody mówiły: każdy u siebie, każdy dla siebie. Na czemże zależałby postęp narodów, gdyby nie zmierzały do zbudowania jedności religijnej, politycznej i społecznej.

A. Mickiewicz

Ten sam spór toczy się od początku społeczeństwa ludzkiego, a tylko strony walczące zmieniają kształt i godła.

A. Mickiewicz

Gdy jedno zagadnienie wywołuje drugie, tak, iż, zdaje się, jakoby nic trwale ostać się nie mogło, wówczas powstaje potrzeba jakiegoś bezwzględnego punktu odparcia, aby nie zostać wciągniętym w ogólny wir i odmęt.

Harald Hoeffding

"Ne można wyobrazić sobie nawet tak doskonałego ustroju społecznego, który nie dałby się urzeczywistnić przez ludzi".

Stany Zjednoczone Północnej Ameryki.

Stany Zjednoczone Północnej Ameryki składają się z 48 poszczególnych Stanów i trzech dystryktów (wyspy Hawajskie, District of Columbia i Alaska) — obejmujących 3,571.492 mil kwadratowych. Do Stanów Zjednoczonych należą również wyspy Filipińskie — 115,026 mil kwadratowych i wyspa Porto Rico — 34.135 mil kwadratowych.

Według wykazu ostatniego spisu ludności (cenzusu) dokonanego w dniu 15 kwietnia 1910 w 48-miu stanach znajduje się 91,402.151 mieszkańców, a razem z ludnością Alaski, Hawai, Porto Rico i wojskiem 93,402,151.

Instytucye polityczne Stanów Zjednoczonych obejmują zarówno rząd całego Związku, jako jednostki zbiorowej, składającej się z poszczególnych stanów, jakoteż rząd każdego pojedynczego stanu, lub pewnej jego części. Instytucye te są trojakiego rodzaju — prawodawcze, wykonawcze i sądownicze.

Instytucyą prawodawczą jest tak zwany „**KONGRES**". Jego czynnością główną jest ustanawianie nowych praw, gdy okoliczności i potrzeby państwa, lub społeczeństwa tego wymagają, lub też znoszenie, poprawianie i uzupełnianie praw już istniejących.

Instytucyą wykonawczą jest „**PREZYDENT**", który do pomocy dobiera sobie doradców-ministrów, tak zwanych „sekretarzy stanu". Prezydent, czyli władza wykonawcza, ma czynności ograniczone do wykonywania i wprowadzania w czyn praw ustanowionych przez władzę prawodawczą, oraz zapobiegania naruszania tychże praw.

WŁADZA WYKONAWCZA

Prezydent — Woodrow Wilson.
Wice-Prezydent — Thomas R. Marshall.

GABINET PREZYDENTA

(W porządku następstwa na urząd prezydenta)

1. Secretary of State — (Sekretarz Stanu(.
2. Secretary of Treasury — (Minister Skarbu.
3. Secretary of War (Minister Wojny).
4. Attorney-General — (Minister Sprawiedliwości).
5. Postmaster-General — (Pocztmistrz generalny).
6. Secretary of the Navy — (Minister Marynarki).
7. Secretary of Interior — (Minister spraw wewnętrznych).
8. Secretary of Agriculture — (Minister rolnictwa).
9. Secretary of Commerce — (Minister handlu).
10. Secretary of Labor — (Minister Pracy).

Prezydent pobiera rocznie $75.000, wice-prezydent i wszyscy członkowie gabinetu prezydenta pobierają rocznie po $12.000.

WŁADZA PRAWODAWCZA

Kongres jest władzą prawodawczą Stanów Zjednoczonych i składa się z dwóch izb: — z Senatu i z Izby Reprezentantów, które obradują w Kapitolu w Waszyngtonie, D. C.

Do senatu wybiera legislatura każdego stanu po dwóch senatorów na 6 lat. Ponieważ jest 48 stanów, senat więc liczy 96 senatorów.

Każdy z senatorów pobiera roczną płacę $7.500 i 20 centów milowego za podróż na sesyę i z powrotem do domu.

Członkowie Izby Reprezentantów wybierani są bezpośrednio przez lud, w dystryktach obejmujących obecnie nie mniej niż 194,182 mieszkańców.

Każdy z nich pobiera rocznie $7.500. Liczba reprezentantów zwiększa się stale co 10 lat, stosownie do wzrostu ludności. — Przewodniczący izby, tak zwany „speaker" — pobiera rocznie $12.000.

WŁADZA SĄDOWNICZA

Instytucyę sądowniczą stanowią SĄDY ZWIĄZKOWE (federalne). Zadaniem władzy sądowniczej jest baczenie za tem, aby prawa ustanawiane odpowiadały kardynalnym zasadom **sprawiedliwości i praw** konstytucyjn państwa, oraz tłómaczenie tychże w razie mogących powstać niepewności. Do instytucyi sądowniczych należy też sąd wykroczeń przeciw prawu i wymiar kar za nie.

Stany Zjednoczone są **związkową rzecząpospolitą demokratyczną.** Nazywają związkową dlatego, że powstała ona z dobrowolnego połączenia się niepodległych i samorządnych państw, zwanych Stanami, **demokratyczną** jest zaś dlatego, że jest rządzoną przez całą masę obywateli, a nie jakąkolwiek część, lub klasę ich. Poszczególne stany, łączące się w jedną całość państwową, zrzekły się pewnej części atrybucyi swej niezależności na korzyść władzy centralnej zwanej związkową, federalną.

SĄDY ZWIĄZKOWE (Federalne)

Sądy związkowe mają jurysdykcyę w każdej sprawie, gdzie jedna ze stron opiera się na związkowej uchwale. Sprawy takie mogą być przeniesione do sądu związkowego, nawet wtedy, gdyby sądy stanowe poprzednio wydały wyrok. Władza sądownicza Stanów Zjednoczonych składa się z „Sądu Najwyższego" i sądów niższych. Członkowie tych sądów są mianowani przez prezydenta i potwierdzeni przez Senat, a piastują swój urząd dożywotnie — chyba, że zostaną oskarżeni o występki w urzędowaniu. Wyroki sądów federalnych wykonuje **MARSZAŁEK** i jego pomocnicy.

SĄD NAJWYŻSZY
(United States Supreme Court).

Sąd Najwyższy odbywa swe posiedzenia w Waszyngtonie. Skład jego stanowią: „Sędzia Najwyższy" i ośmiu sędziów towarzyszących. Sześciu członków sądu stanowi „quorum" i decyzya tego quorum jest decyzyą Sądu. — Każda sprawa przychodząca pod obrady Sądu Najwyższego, rozpatruje się dwa razy. Raz, gdy większość głosów sędziów rozstrzyga sprawę na jedną, lub drugą stronę, drugi raz, gdy jeden z sędziów przedstawia projekt wydanego wyroku do przejrzenia i zatwierdzenia. Od Najwyższego Sądu niema apelacyi; on sam służy za najwyższą instnacyę apelacyjną.

„Sędzią Najwyższym" jest Edward D. White. **Sędziowie towarzyszący:** — Joseph McKenna, Oliver W. Holmes, William R. Day, Willis Van Devanter, Mahlon Pitney, Jas. C. McReynolds, Louis D. Brandeis, John H. Clarke.

Sekretarz Sądu — James D. Maner; **Marszałek sądu** — Frank Key Green; **Reporter** — Ernest Knaebel.

Płaca roczna: Sędzia najwyższy — $15.000, sędziowie towarzyszący po $14.500, sekretarz — $6.000, marszałek $4.500, reporter $4.500.

SĄDY OKRĘGOWE (Circuit Courts)

Sądy okręgowe są dwojakiego rodzaju, mianowicie: okręgowe (**Circuits Courts**) i okręgowe apelacyjne (**Circuit Courts of appeals**). Takich okręgów jest 9 i w każdym z nich urzęduje dwóch, a w większości trzech sędziów. Oprócz tego okręgi mają sądy obwodowe (**District Courts**). Tych obwodów jest obecnie 76 i każdy z nich ma jednego sędziego. Sądy obwodowe są najniższe ze wszystkich trybunałów związkowych. Każdy sędzia okręgowy danego okręgu, albo sędzia najwyższego sądu może otworzyć sesyę sam jeden, albo razem z drugim sędzią obwodowym, albo jeden z nich może otworzyć sesyę razem z sędzią obwodowym, gdzie sesya się odbywa. Od wyroku sądu okręgowego, albo obwodowego można apelować do tak zwanego Sądu Apelacyjnego, a niektóre sprawy można przenosić z apelacyjnego do Sądu Najwyższego.

Płaca roczna: Sędziowie okręgowi po $7.500, sędziowie obwodowi po $7,000.

COURT OF CLAIMS.

Sąd ten rozpatruje wszelkie sprawy wytoczone Stanom Zjednoczonym. Ponieważ nikt nie może zmusić Związku do wykonania wyroku, sąd więc ten przedstawia wyrok swój kongresowi. Kongres zaś uchwala wypłatę sum poszkodowanych.

Płaca roczna: Sędziowie okręgowi po $7.500, pozostali po $7.000.

SĄD DLA SPRAW CELNYCH
(Court of Custom Appeals).

Sąd ten został również utworzony w 1909 roku i służy wyłącznie do rozpatrywania zażaleń, powstałych wskutek zbyt wysokiego cła, nałożonego przez urząd celny na towary przywożone z zagranicy. Pięciu sędziów z płacą $7.500 rocznie decyduje sprawy.

———— o ————

ADMINISTRACYE STANOWE

Każdy z 48-miu stanów ma sobie pozostawione prawo ustanawiania konstytucyi i stanowych praw statutowych, oraz kompletny samorząd wewnętrzny. Władze wszystkich stanów są mniej więcej podobne do siebie i egzystują na mocy swoich konstytucyi, określających je nawet bardziej szczegółowo, aniżeli to się dzieje w konstytucyi związkowej. Instytucye te można podzielić na **centralne** instytucye stanowe i **lokalne**, należące do mniejszych jednostek administracyjnych, jak naprzykład gminy, powiaty, lub miasta i miasteczka, albo wsie. Cała różnica jest ta, że stan, jako jednostka państwowa, sam wytwarza swe instytucye. Instytucye zaś pomniejszych podziałów stanu, jak n. n. powiaty, lub gminy, egzystują na mocy przywilejów nadanych tym powiatom lub gminom przez legislatury stanów, lub też przez trybunały, upoważnione przez nią do tego.

Władzą prawodawczą stanu jest **legislatura**, składająca się z dwóch izb: — Senatu i Izby delegatów. W senacie przewodniczy **zastępca gubernatora**, w Izbie — **mówca** (Speaker).

Władzą wykonawczą stanu jest gubernator (Governor), a w razie jego ustąpienia zastępca (Lieutenat-Governor). Gubernator posiada w swoim stanie atrybucye władzy, podobne do władzy prezydenta. Gubernator i jego zastępcy są wybierani bezpośrednio przez lud.

Władzą sądowniczą są — sądy stanowe.

W większości stanów zazwyczaj urzędują: **sekretarz stanu, skarbnik, doradca główny, kontroler, i kierownik szkolnictwa.** Czas urzędowania i płaca są najrozmaitsze stosownie do zaludnienia stanu.

————

ADMINISTRACYE LOKALNE

Administracya lokalna w Stanach Zjednoczonych jest ustanowiona przez każdy ze stanów niezależnie. W tych warunkach siłą rzeczy istnieją niezliczone odrębności i różnice w organizacyi i w zakresie władzy czynników administracyi w różnych stanach.

POWIATY (County).

Między dystryktami administracyi lokalnej w Stanach Zjednoczonych najpospolitszym jest powiat. Każdy stan podzielony jest na okręgi, zwane powiatami, z wyjątkiem stanu Louisiana, gdzie odpowiednie okręgi nazywają się „parafiami“. Przy wielkich różnicach organizacyi i kompetencyi władz powiatowych, są jednak ważne rysy wspólne, które nadają administracyi powiatowej cechy fundamentalnego podobieństwa w całych Stanach Zjednoczonych.

Powiat amerykański zajmuje zupełnie inne miejsce w ogólnym planie administracyi publicznej, niż dystrykty lokalne w krajach europejskich. Nazwa „county“ wskazuje na historyczny związek z „hrabstwem“ angielskiem, z którego rozwinął się powiat amerykański.

Jest około 3.000 powiatów w Stanach Zjednoczonych. Przeważna ilość większych stanów ma od 60 do 100 powiatów każdy. Najwięcej powiatów ma stan Texas, bo 243; najmniej mają Rhode Island — pięć i Delaware — trzy.

Co do obszaru i liczby ludności powiaty wykazują wielkie różnice, lecz na ogół powiaty amerykańskie są znacznie mniejsze zarówno pod względem obszaru, jak i liczby ludności, od hrabstwa w Anglii, departamentów we Francyi i prowincyi w Prusiech, w Belgii, Włoszech i Hiszpanii. Około dwóch trzecich powiatów ma od 300 do 800 mil kwadratowych. Najczęściej spotyka się powiaty o obszarze od 400 do 650 mil kwadratowych. Przeszło połowa powiatów ma od 10.000 do 30.000 ludności, lecz w północnych stanach nadatlantyckich przeszło połowa powiatów ma ponad 50.000 ludności, gdy w stanach południowych i w stanach leżących na zachód od regionu suchych równin, wiele powiatów ma mniej niż 10.000 ludności.

Dziewięć dziesiątych powiatów ma wybitnie rolniczy charakter, lecz znaczna liczba powiatów zawiera wielkie miasta, i najważniejszymi powiatami są te, które obejmują największe miasta — jak miasto New York, składające się z czterech powiatów), Chicago, Philadelphia, St. Louis, Boston, Baltimore, San Francisco i Denver. W niektórych z tych powiatów administracya powiatowa jest częściowo włączoną w administracyę miejską.

Nietylko miejscowe władze powiatowe, lecz nawet główne czynniki rządu stanowego wybierane są w każdym powiecie z osobna, i poddane są małej lub nieskutecznej kontroli rządu centralnego w Stanach. Rząd Stanów Zjednoczonych niema żadnej kontroli nad urzędnikami powiatowymi, lub innymi lokalnymi urzędami z wyboru.

PODATKI I ASSESSMENTY.

Powiat we wszystkich stanach z wyjątkiem dwóch — trzech stanów Nowej Anglii, jest dystryktem o wielkiem znaczeniu w administracyi finansowej. Nakłada on podatki i spełnia wiele ważnych funkcyi. W większości stanów urzędnicy powiatowi działają także, jako agenci dla kolektowania dochodów drobniejszych dystryktów lokalnych. W stanach południowych i zachodnich majątek bywa szacowany dla opodatkowania przez urzędników powiatowych, a w wielu innych stanach urzędnicy powiatowi mają pewną kontrolę nad lokalnymi podatkami. Wielka liczba urzędników, wybieralnych w każdym powiecie, czyni powiat ważnym dystryktem wyborczym. Powiat jest także zawsze jednostką dla obliczania głosów na urzędników większych okręgów, jak stanowych, lub posłów do Kongresu. Na znaczenie powiatu, jako okręgu wyborczego, wskazuje wielkie znaczenie komitetów powiatowych partyi politycznych w wielu stanach.

WŁADZE POWIATOWE

Regulaminy dla spokoju i bezpieczeństwa w powiecie są uchwalane przez **„konwencye powiatowe“**, albo przez **„komisarzy powiatowych“**, ktorzy mają władzę wykonawczą i zawiadują budynkami powiatowymi, mostami, więzieniami, szkołami i drogami bitemi.

Każdy powiat posiada swego sekretarza (Clerk), który prowadzi daty urodzeń, śmierci, podatków, listę głosujących i t. p.

Szeryf — jest wykonawcą wyroków sądowych

Skarbnik — przyjmuje i wypłaca pieniądze uchwalane przez komisarzy.

Koroner — bada wypadki nagłej lub gwałtownej śmierci, w celu określenia przyczyny, i w potrzebie oddaje winnego sądom.

Oprócz tego są w powiecie: **prokurator, kontroler, komisya nadzorcza** (Supervisors).

Władzą wykonawczą jest **burmistrz** (Mayor), który w wielkich miastach ma swój doradczy gabinet i zarządza policyą.

Władzą **gospodarczą** są radcy miejscy (aldermani). Przewodniczącym rady miejskiej jest mayor.

Rada miejska ma prawo nadawania koncesyi, zaprowadzania ulic, mostów, wodociągów, parków i zawiaduje majątkiem miasta.

Ciałem sądowniczem miasta są różne sądy, tak zwane miejskie (**municipal**), sądy pokoju (**Justice of the peace courts**). W niektórych miastach są specyalni sędziowie policyjni (**police magistrates**). Sędziowie są albo obierani przez obywateli, lub też mianowani przez władze miejskie, jak burmistrza, lub radę miasta.

———— o ————

PREZYDENCI ST. ZJ. PÓŁNOCNEJ AM.

General George Washington, pierwszy prezydent	1789—1797
John Adams	1797—1801
Thomas Jefferson	1801—1809
James Madison	1809—1817
James Monroe	1817—1825
John Adams	1825—1829
Andrew Jackson	1829—1837
Martin Van Buren	—1837
William Henryk Harrison (um. 1841)	1841
John Tyler (obrany z wice-prezydenta)	—1841
James Knox Polk	1845
Zacharyasz Taylor	1849
Millard Fillmore (obrany z wice-prez.)	1850
Franklin Pierce	1853
James Buchanan	1857
Abraham Lincoln (zamordowany 14-go kwietnia 1865)	1861
Andrzej Johnson (obrany z wice-prez.)	1865
Ulisses S. Grant	1869—1877
Rutherford Burchard Hayes	1877
James A. Garfield (zamordowany 19-go września 1881 roku)	1881
Chester A. Arthur (wice-prezydent)	1881
Grover Cleveland	1885
Benjamin Harrison	1889
Grover Cleveland (po raz drugi)	1893
William McKinley (zamordowany 14 września 1901 roku)	1897
Teodor Roosevelt (był wice-prezydentem, obrany na prezydenta)	1901
William Taft	1909
Woodrow Wilson	1913

———— o ————

WYBORY PREZYDENCYALNE

Prezydent i wice-prezydent Stanów Zjednoczonych nie są wybierani bezpośrednio przez lud, lecz przez pośrednictwo **„elektorów“**.

Każdy stan uprawniony do tylu elektorów, wielu ma członków w Kongresie — w obu izbach razem, lecz ani senator, ani poseł izby reprezentantów, ani żadna

osoba piastująca jakikolwiek urząd Stanów Zjednoczonych nie może być elektorem.

Stosownie do uchwały Kongresu — opartego na statystyce cenzusu z 1910 roku — Stany były uprawnione do wyboru następującej liczby elektorów w 1916 i 1920 latach:

Stan	Elektorów	Stan	Elektorów
Alabama	12	Nebraska	8
Arizona	3	Nevada	3
Arkansas	9	New Hampishire	4
California	13	New Jersey	14
Colorado	6	New Mexico	3
Connecticut	7	New York	45
Delaware	3	North Carolina	12
Florida	6	North Dakota	5
Georgia	14	Ohio	24
Idaho	4	Oklahoma	10
Illinois	29	Oregon	5
Indiana	15	Pennsylvania	38
Iowa	13	Rhode Island	5
Kansas	10	South Carolina	9
Kentucky	13	South Dakota	5
Louisiana	10	Tennessee	12
Maine	6	Texas	20
Maryland	8	Utah	4
Massachusetts	18	Vermont	4
Michigan	15	Virginia	12
Minnesota	12	Washington	7
Mississippi	10	Wisconsin	13
Missouri	18	West Virginia	8
Montana	4	Wyoming	3
Razem			531
Potrzeba do wyboru			266

o

"HOMESTEAD" I OSADNICY

Cenne informacye, dla wszystkich, którzy zamierzają się osiedlić na gruntach rządowych.

1. Co to jest homestead? Jest to farma, dana mężczyźnie, lub kobiecie, który, lub która mieszka na niej i uprawia ją przez pięć lat. Mówimy „dana", gdyż cena wynosi tylko około 10c za akier, to jest koszta pomiarów i wpisywania do ksiąg, co wyniesie razem za farmę ćwierć mili w kwadracie, najwyżej ośmnaście dolarów, i cztery dolary z tej sumy płaci się dopiero popręciu latach.

2. Jak wielką farmą jest „homestead"? Jest to farma mająca 160 akrów, z wyjątkiem „traktów", w których połowa została przyznana kolejom żolaznym, lub innym przedsiębiorstwom użyteczności publicznej. Na takich traktach homestead ma tylko połowę zwykłej wielkości, o ile osadnik nie służył przynajmniej dziewięćdziesięciu dni w wojsku. W tym ostatnim wypadku ma on prawo otrzymać wszędzie ćwierć sekcyi.

3. Kto może dostać homestead? Każdy mężczyzna i kobieta amerykańskiego pochodzenia, lub po otrzymaniu pierwszych papierów obywatelskich, które można otrzymać w pierwszy dzień po przyjździe do Stanów Zjednoczonych.

4. Jak można otrzymać homestead? Idzie się do biura gruntowego Stanów Zjednoczonych, gdzie ma się dostęp do map, wykazujących wszystkie wolne grunta w sąsiednich okolicach. Potem się udaje na miejsce i wybiera się kawałek gruntu, który najbardziej przypada do gustu, wraca się do urzędu gruntowego, robi się aplikacyę, płaci się najwyżej czternaście dolarów i odtąd jest się absolutnym władcą na swym kawałku gruntu. Lecz osoba ubiegająca się o homestead, nie jest nawet obowiązana stawić się osobiście w rządowem biurze gruntowem. W większości wypadków, może ona dowiedzieć się od miejscowych agentów gruntowych, lub mieszkańców, jakie grunta są wolne i potem wnieść aplikacyę o homestead, który chce objąć, od klerka sądu w tym powiecie, w którym ziemia się znajduje, załączając zaprzysiężone zeznanie wyłuszczające powody, dla których osoba ta nie mogła stawić się osobiście.

5. Po jakim czasie może osadnik objąć swój homestead w posiadanie? W każdym czasie w ciągu sześciu miesięcy od wniesienia aplikacyi i zaksięgowania jej; może też wyjeżdżać poza obręb swej ziemi, lecz nie wolno mu opuszczać jej na przeciąg dłuższy, niż pół roku jednorazowo, i to pod warunkiem, że nie obierze sobie gdzieindziej stałego miejsca zamieszkania.

6. Czy osadnik może zostać zupełnym właścicielem swej ziemi wcześniej niż po pięciu latach? Tak! Po sześciu miesiącach zamieszkiwania może w każdym czasie nabyć swą ziemi od rządu, płacąc cenę rządową, wynoszącą najwyżej dwa dolary i pół, a najniżej połowę tego za akier.

7. O długach osadnika. Homestead jest wyjęty z pod pretensyi za długi, zaciągnięte przez osadnika przed objęciem ziemi, a w niektórych stanach także po objęciu ziemi w posiadanie.

5. Jak się otrzymuje w końcu kompletny tytu własności? Gdy osadnik mieszkał na swej ziemi i uprawiał ją przez pięć lat, może w każdym czasie w ciągu dwu lat udowodnić ten fakt w urzędzie gruntowym, w którym wniósł był swą aplikacyę, i urzędnik sprowadzi dlań z Waszyngtonu kompletny tytuł własności na jego ziemię, za co płaci się cztery dolary.

9. Czy wszyscy mają jednakowe prawa? Naogół tak, lecz Kongres uchwalił, że żołnierz ma dwa razy większe prawa co do homestead'ów, niż zwykły śmiertelnik. Prawo to zostało sankcyonowane przez prezydenta 15 lipca 1870. Prawo to ustanawia, że każdy, kto służył lojalnie w armii, lub w marynarce Stanów Zjednoczonych przynajmniej przez 90 dni, ma prawo na warunkach wyłożonych powyżej, otrzymać tytuł własności na całą ćwiartkę ziemi, t. j. 160 akrów tam, gdzie inni ludzie mogą otrzymać tylko 80 akrów, „z kolejowych rezerwowanych sekcyi, wzdłuż linii kolejowych, gdzie grunta publiczne zostały nadane aktami Kongresu". W celu otrzymania takiego homestead'u, żołnierz musi uczynić zadość tym samym formalnościom, co osoba cywilna i zapłacić te same opłaty. Lecz otrzymuje dwa razy więcej ziemi.

o

O CZEM KAŻDY WIEDZIEĆ POWINIEN?

Poniższe ustawy prawne są tak powszechne i tak mało zmodyfikowane przez statuty poszczególnych stanów, że przeważają we wszystkich częściach kraju i znajomość ich może być użyteczna dla wszystkich.

Nikt nie może korzystać ze swych błędów, to znaczy, że nikt nie może drogą prawną uzyskać zadowolenie pretensyi, wyrastającej z jego własnych błędnych czynów.

Kontrakt jest to umowa pomiędzy dwiema, lub więcej osobami, uprawnionemi do zawarcia kontraktu, przez którą dla jakichś specyalnych względów, pewne zasadnicze z prawem czyny mają, lub nie mają być wykonywane przez określony czas.

Kontrakty słowne, za niewielu wyjątkami, są ważne wobec prawa, lecz naturalnie są trudniejsze do udowodnienia, niż kontrakty pisane.

Kontrakty dotyczące realności, z wyjątkiem wynajmu na mniej niż rok, lub kontrakt zobowiązujący do odpowiedzialności za dług, defraudacyę, lub wykroczenia innej osoby, albo jeżeli istota kontraktu nie ma być uskuteczniona w przeciągu jednego roku, mają być zawierane na piśmie i opatrzone pieczęcią.

Osoby, gwarantujące kontrakt, są zwalniane od gwarancyi, jeżeli kontrakty zostały zmienione bez ich przyzwolenia.

Nota, otrzymana przez oszustwo, pod aresztem, lub od osoby będącej w stanie nietrzeźwym, jest nieważna, z wyjątkiem, gdy jest sprzedana niewinnemu.

Zguba, zniszczenie, lub kradzież noty, nie uwalnia od zobowiązań tego, kto ją wystawił, ani poręczyciela, jeżeli właściwe zawiadomienie zostało uczynione w ciągu odpowiedniego czasu.

Poręczyciele są zwolnieni od zobowiązań, jeżeli nie zostali zawiadomieni we właściwym czasie o niewypłaceniu noty w czasie oznaczonym.

Nota daje procenta do terminu płatności tylko wtedy, gdy to jest w niej zaznaczone.

Wszystkie noty, lub kontrakty, wystawione przez niepełnoletnich są nieważne z wyjątkiem wydanych za potrzeby życia (necessaries).

Kontrakt uzyskany przez oszustko, nie może być unieważniony przez sprawcę oszustwa.

Kontrakt na pracę przez pewien określony czas za pewną określoną zapłatę, jest „entire contract" i praca musi być wykonana w całości, poczem dopiero można domagać się umówionej zapłaty.

Agent jest to osoba upoważniona przez swego pryncypała, który będzie odpowiedzialnym za wszystkie jego czyny.

Nota, wystawiona w niedzielę, nie ma wartości.

Każda jednostka, należąca do firmy jest odpowiedzialna za cały dług firmy. Nieświadomość prawa nikogo nie tłómaczy. Jest oszustwem ukrywać oszustwo. Jest wykroczeniem układać się o kradzież. Prawo nie zmusza nikogo do wykonywania rzeczy niemożliwych. Kontrakt bez rozwagi (without consideration) jest nieważny.

Podpisy ołówkiem są ważne wobec prawa. Pokwitowanie na pieniądze nie jest dowodem bezspornym (conclusive). Czyny jednego wspólnika obowiązują wszystkich innych. Kontrakty zawarte w niedzielę, nie mogą być wykonywane przymusowo. Kontrakt zawarty z obłąkanym jest nieważny.

o

PRAWO O SPÓŁKACH.

Spółki mogą być ogólne, lub specyalne. W ogólnych spółkach, kapitał włożony przestaje być własnością prywatną. Każdy członek jest osobiście odpowiedzialnym za całą sumę długu zaciągniętego przez spółkę. Spółka jest odpowiedzialna za wszystkie kontrakty i zobowiązania, dokonane przez poszczególnych członków.

Specyalni spólnicy nie są odpowiedzialni poand pewną określoną sumę.

Osoba, która pozwala ludziom powszechnie przypuszczać, że jest spólnikiem, jak przez umieszczanie swego nazwiska na szyldzie, lub na opakowaniach, lub na blan-

kietach używanych w interesie, może zostać przez to samo spólnikiem wobec prawa.

Udział, lub pewien specyalny procent od zysków lub strat w intersie w postaci wynagrodzenia za pracę, może nałożyć na kogoś obowiązki partnera.

W razie bankructwa ogólny majątek spółki idzie przedewszystkiem na spłacenie długów spółki, i dopiero pozostałość możebyć użyta na spłacenie wierzycieli prywatnych.

Rozwiązanie spółki może nastąpić w wypadkach ściśble określonych w artykułach umowy, za wzajemnem przyzwoleniem spólników, skutkiem śmierci lub obłąkania jednego z członków firmy, przez wyrok sądu arbitracyjnego lub przez „sąd bezstronności" (court of equity), w razie niewłaściwego zachowania się jednego z członków firmy.

Spólnik, podpisujący swe nazwisko na sprzedanym dodumencie, który ma być obowiązującym dla spółki, czyni odpowiedzialnymi także wszystkich innych spólników. Dokument sprzedażny, nawet gdy jest wydany na prywatny rachunek jednego ze spólników, obowiązuje wszystkich członków firmy, gdy przechodzi w ręce osób nieświadomych na jakiej zasadzie dokument został wystawiony.

Prawa spólnika mogą być kupione i sprzedane przez spólnika, może on zawierać kontrakty, może odbierać pieniądze, może indorsować, wypisywać i akceptować weksle i noty, i chociaż to wszystko może być czynione na jego własny rachunek, to jednak skoro tylko daje on pozory, iż działa w imieniu spółki, jego spólnicy są odpowiedzialni za jego czyny, pod tym jednak warunkiem, że strony, prowadzące z nim interesa, nie wiedziały, iż tranzakcye dokonywane były na jego prywatny rachunek.

W ten sposób reprezentowanie spółki przez jednego nawet ze spólników, czy to na jej dobro, czy na szkodę, jest obowiązującem dla wszystkich członków w spółce.

W razie śmierci jednego ze spólników, spólnik pozostały przy życiu musi zdać rachunek przedstawicielom zmarłego.

JAK ZOSTAĆ OBYWATELEM?

Każdy cudzoziemiec, jeżeli jest człowiekiem rasy białej i wolnym, albo rasy afrykańskiej, lub afrykańskiego pochodzenia, może starać się o obywatelstwo, czyli naturalizacyę, z wyjątkiem Chińczyków, Japończyków, Hawajczyków, Birmajczyków i Indyan. Ustawy naturalizacyjne tyczą się zarówno kobiet jak mężczyzn. Cudzoziemka, zostając żoną obywatela, staje się naturlaizowaną obywatelką Stanów Zjednoczonych. Obywatelstwa Stanów Zjednoczonych nie może uzyskać osoba należąca do stowarzyszeń występujących przeciw rządowi zorganizowanemu (stowarzyszeń anarchistycznych i podobnych tymże celami). Obywatelem Stanów Zjednoczonych nie może zostać człowiek żyjący w wielożeństwie. Akt naturalizacyi składa się z dwóch procedur, a mianowicie: 1) z oświadczenia urzędowego, że ma się zamiar zostania obywatelem; 2) z pozyskania pełnego obywatelstwa Stanów Zjednoczonych. Nazywa się to zazwyczaj pozyskaniem pierwszych i pozyskaniem drugich papierów obywatelskich. Ażeby pozyskać drugie papiery obywatelskie, potrzeba mieszkać przynajmniej 5 lat w Stanach Zjednoczonych i posiadać pierwsze papiery obywatelskie przynajmniej od dwóch lat. Są jednakowoż pewne wyjątki. Pierwszych papierów nie wymaga się: 1) Od mężczyzny, w armii Stanów Zjednoczonych. 2) Od mężczyzny, liczącego 21 lat życia, który honorowo służył przez 5 lat w marynarce Stanów Zjednoczonych. 3) Od mężczyzny liczącego 21 lat życia, który wstąpił do korpusu marynarki Stanów Zjednoczonych. Nie wymaga się też pobytu przez 5 lat w Stanach Zjednoczonych od mężczyzny, liczącego lat 21, który honorowo ukończył służbę w armii i dostał już pierwsze papiery Stanów Zjednoczonych, lub od mężczyzny, który przez trzy lata pełnił honorowo służbę na jednym z handlowych okrętów Stanów Zjednoczonych (które mogą być własnością prywatną).

PAPIERY OBYWATELSKIE

Pierwsze papiery obywatelskie można pozyskać nawet zaraz po wylądowaniu w Stanach Zjednoczonych, ale nie przed ukończeniem 18 roku życia. Każdy musi umieć podpisać swoje imię i nazwisko, gdy chce pozyskać obywatelstwo i musi się postarać o poświadczenie wylądowania. Chcąc otrzymać pierwsze papiery, należy się udać do gmachu sądowego, gdzie za opłatą jednego dolara otrzymuje się papiery od klerka sądowego. Pierwsze papiery uzyskane w jakimkolwiek stanie, mają ważność także, w każdym innym stanie tego kraju.

Ażeby dostaać drugie papiery obywatelskie, potrzeba: 1) mieć przynajmniej 21 lat wieku. 2) Przebywać co najmniej 5 lat w Stanach Zjednoczonych. 3) Posiadać pierwsze papiery najmniej od dwóch lat, a najdłużej od 7 lat. Po 7 latach pierwsze papiery tracą swą wartość. 4) Umieć dostatecznie po angielsku by módz odpowiadać na zapytanie klerka sądowego. 5) posiadać certyfikat lądowania. 6) Znać w najgłówniejszych zarysach konstytucyę Stanów Zjednoczonych, o tyle, by umieć odpowiadać na pytania zadawane mu. 7) Przyprowadzić ze sobą dwóch obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy poświadczą, że znają aplikanta jako moralnego człowieka zasługującego na pozyskanie obywatelstwa. Gdy się posiada te warunki pozyskania drugich papierów, należy się udać do klerka sądowego celem złożenia aplikacyi. Tam składa się należność w sumie $2.00 i musi odpowiedzieć pod przysięgą na szereg pytań, tyczących się wiadomości o konstytucyi, urzędnikach i systemie ich wyborów.

KOSZTA PAPIERÓW OBYWATELSKICH

Regularny koszt nabycia papierów obywatelskich wynosi razem $5.00. Z tego jeden dolar zostaje wpłacony przy uzyskaniu pierwszych papierów, następnie dwa dolary przy podaniu aplikacyi o drugie papiery i, wreszcie ostatnie dwa dolary przy otrzymaniu drugich papierów. Z opłat tych klerk sądowy otrzymuje połowę, a druga połowa idzie do kasy rządowej Stanów Zjednoczonych.

UTRATA PAPIERÓW OBYWATELSTWA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Każdy, czy to urodzony w Stanach Zjednoczonych, czy też naturalizowany ma prawo zrzec się obywatelstwa Stanów Zjednoczonych, przez przyjęcie obywatelstwa innego kraju. Nie wolno zrzec się obywatelstwa tego kraju podczas wojny Stanów Zjednoczonych.

Jeżeli naturalizowany obywatel mieszka przez dwa lata w owem państwie, z którego przybył, lub przez 5 lat w innem państwie, to uważa się, że pozbył się obywatelstwa Stanów Zjednoczonych, chyba, że stosownie do ustaw w konsulacie Stanów Zjednoczonych lub w reprezentacyi dyplomatycznej tychże przeciw temu się ubezpieczy.

Kobiety utracają obywatelstwo tutejsze, jeśli wyjdą za mąż za obcokrajowca, mogą jednak po śmierci męża, lub po rozwodzie z nim odzyskać napowrót swoje prawa. W sprawach takich musi podać żądanie na piśmie.

KARA ZA PODRABIANIE PAPIERÓW OBYWATELSKICH

Każdy, kto fałszuje, lub pomaga innym fałszować papiery obywatelskie, ma być skazany na karę pieniężną, nie wyższą niż $10,000, lub 10 lat więzienia, ewentualnie na obie kary razem. Każdy, który przy otrzymaniu papierów obywatelskich, posługiwał się fałszywemi zeznaniami, ma być skazany na karę nie przenoszącą $5.000, lub na 5 lat więzienia, ewentualnie na obie kary razem.

NAJWAŻNIEJSZE PUNKTY KONSTYTUCYI STANÓW ZJEDN.

Konstytucya Stanów Zjednoczonych została początkowo przyjętą przez 13 stanów, które dały początek do teraźniejszych Stanów Zjednoczonych.

Po raz pierwszy została ogłoszoną i przyjętą przez stan Delaware, dnia 7go grudnia 1787, za którym później poszły i inne, i do roku 1790 została zaprowadzoną w następujących 13 stanach: Delaware, Pennsylvania, New Jersey, Georgia, Connecticut, Massachusetts, Maryland, South Carolina, New Hampshire, Virginia, New York, North Carolina i Rhode Island.

Konstytucya postanawia w 7 artykułach:

Kongres ma się zbierać przynajmniej raz na rok.

Kongres może dopuścić do unii tyle stanów, ile chce.

Jeden stan nie może znieść praw drugiego stanu.

Konstytucya gwarantuje każdemu obywatelowi szybki proces przed ławą przysięgłych.

Prawa, które tylko przez kongres mogą być wykonane są nienaruszalne przez poszczególne stany.

Każdy stan ma szanować prawa i wyroki drugiego stanu.

Kongres nie ma prawa wprowadzić w życie nowej ustawy karzącej za czyn przedtem popełniony.

Osoba, która się dopuściła zbrodni w jednym stanie nie może się schronić do drugiego.

Budżet państwa może być uchwalony tylko przez Izbę Posłów, Senat zaś ma prawo poddawać lub zgadzać się na wnioski.

Układy z innemi państwami robi prezydent, a Senat zatwierdza.

Terytorya mają prawo delegowania jednego posła, który jednak ma tylko przywilej obradowania z wykluczeniem głosowania.

Wiceprezydent, który z urzędu przewodniczy obradom Senatu, nie ma prawa do głosu, chyba na wypadek równości głosów.

Jeżeli prezydent podczas obrad Senatu zatrzymuje u siebie nową ustawę dłużej jak 10 dni, ustawa ta wchodzi w życie bez prezydyalnego podpisu.

Ustawa odrzucona przez prezydenta (veto) nie może wejść w życie, chyba ponownie przez obie izby przyjętą zostanie dwiema trzeciemi głosów.

Izba posłów ma prawo uznać prezydenta za winnego, wszystkie jednak obwinienia muszą być rozpatrywane przez Senat.

Urzędnik Stanów Zjednoczonych nie może przyjmować żadnych tytułów szlachectwa lub zaszczytów, chyba za pozwoleniem Kongresu.

Zmiany konstytucyi Stanów Zjednoczonych muszą być uchwalone przez dwie trzecie każdej izby i być zatwierdzone przynajmniej, przez trzy czwarte stanów.

Prezydent Stanów Zjednoczonych musi liczyć przynajmniej 35 lat i być stale zamieszkałym w stanach przez ostatnie 14 lat.

Senator musi liczyć najmniej 30, a poseł 25 lat.

Naturalizowany obywatel stanów nie jest obieralnym na prezydenta. Dziecko urodzone z amerykańskich rodziców, chociaż w innem państwie, ma te same prawa do wybieralności na prezydenta jakby tutaj urodzone.

Stany Zjednoczone mają gwarantować każdemu stanowi republikańską formę rządów i bronić każdy z nich przeciw najazdom, jako też wezwanie izby prawodawczej lub gubernatora uśmierzać wewnętrzne niesnaski.

Dodatek do konstytucyi składający się z 15 artykułów został uchwalony i w większej części przyjęty z końcem 18-go stulecia, ogólnie zaś przez wszystkie stany zatwierdzony w czasach późniejszych, kończących się w r. 1870.

DODATEK DO KONSTYTUCYI.

uchwala i gwarantuje: Wolność wyznania i słowa. Prawo noszenia broni. Zabrania kwaterunków wojskowych w czasie pokoju. Prawo przeszukania tylko za zezwoleniem sądu. Prawo do szybkiego procesu. Prawo do sądzenia przez ławę przysięgłych. Zabrania wygórowanych kaucyi sądowych. Chroni praw stanowych o ile nie dotyczą stanów ogólnie. Oznacza zakres działania sądownictwa. Sposób obradowania wyborców prezydenta i wiceprezydenta. Zniesienie niewolnictwa. Ochrona wszystkich obywateli państwa. Zdrada stanu i skutki. Prawo do głosowania bez względu na kolor i rasę.

NARODOWA FLAGA STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Urzędowa flaga Stanów Zjednoczonych ma obecnie 48 gwiazd w niebieskiem polu (na znak 48 różnych stanów, obecnie do unii należących). Od r. 1799, wskutek uchwały kongresu, zaprowadzono jako flagę marynarki cłowej flagę, składającą się z 16 pasów białych i czerwonych na przemian (na znak, że podówczas 16 stanów do unii należało). Flaga ta utrzymała się do dzisiaj w urzędowym użytku i w lewym jej górnym rogu umieszczono niebieskie pole, na którem w 6 rzędach widnieje 48 gwiazd.

POCZTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Wszelkie artykuły, przesyłane pocztą Stanów Zjednoczonych, są podzielone na cztery klasy. Opłata domowa pobierana jest od wszelkich artykułów, przesyłanych w granicach Stanów Zjednoczonych, do Kanady, Meksyku, Kuby, Porto Rico, Guam, Hawai, Panamy i miasta Shanghai w Chinach.

Pierwsza klasa. — Do tej klasy należą listy, pocztówki, druki zamknięte i zapieczętowane. Opłata 2 centy za uncyę lub część tejże. Karty pocztowe podlegają 1-centowej opłacie.

Druga klasa. — Wysyłki przez wydawnictwa do abonentów, jak gazet, tygodników, miesięczników itp., opłacane według zonów.

Trzecia klasa. — Należą do niej druki, cyrkularze, korekty, ale nie książki, fotografie, manuskrypty z korektami, z wyłączeniem osobistej korespondencyi. Najwyżej 4 funty. Drukowane przedmioty, ważące więcej aniżeli 4 funty, należą do poczty pakunkowej, jak również książki, ważące ponad 8 uncyi. Opłata 1 cent za każde dwie uncye albo część tychże.

Czwarta klasa. — Do tej należą paczki z towarem, nasionami, produktami rolnymi, książkami itp., które nie są zaliczone do pierwszych trzech klas. Zobacz poczta pakunkowa.

Wyjątki. — Do Kanady, Meksyku i Panamy: Dokumenty handlowe, próbki na żądanie według opłaty krajowej, Przedmioty drukowane (nie drugiej klasy) inne aniżeli książki, pojedyńczo ważyć mogą najwyżej 4 funty i 6 uncyi. Opłata 2 centy za każde dwie uncye lub część tychże. Paczki zapieczętowane nie są przyjmowane. Od roślin, nasion itp., do Kanady płaci się 1 cent za każdą uncyę lub część tejże.

Z wyjątkiem do krajów wyżej wymienionych opłata jest następująca:

Listy za pierwszą uncyę po 5 centów, za każdą dodatkową lub część tejże po 3 centy.

Karty pocztowe — po 2 centy, za podwójne po 4 centy.

Dokumenty handlowe itp. — 5 centów za każde 10 uncyi, a 1 cent za każde dodatkowe 10 uncyi, a 1 cent za każde dodatkowe dwie uncye, lub częśćtychże.

Poczta Zagraniczna.

Próbki towarów — po 2 centy za każde pierwsze 4 uncye a po 1 cencie za każde dodatkowe 2 uncye lub część tychże.

Listy do Anglii i posiadłości angielskich po 2 centy za uncyę lub część tejże.

Special Delivery.

Od listów tak zwanych „special delivery", t. j. że mają być specyalnie przez posłańca w granicach Stanów Zjednoczonych doręczone, dopłaca się 10 centów oprócz zwykłej opłaty.

Registracya.

Artykuły pierwszej i trzeciej klasy można ubezpieczać do sumy najwyżej $50 za dopłatą 10 centów, a do krajów zagranicznych (listy) 50 franków, około $9.65.

Poczta Pakunkowa.

Masło, owoce itp. — Masło, smalec i ulegające prędkiemu rozkładowi artykuły, jak ryby, mięso, oczyszczone ptactwo, jarzyny, owoce, jagody i inne, które ulegają prędkiemu rozkładowi, przyjmowane są do wysyłki, tylko w dobrem opakowaniu, aby z paczki nic nie wypadło. Paczki mogą być od 25 do 50 funtów, a na wierzchu musi być napis "Perishable".

Na paczkach zawierających szkło, towary z modniarstwa, zabawki, instrumenty muzyczne itp., napisać należy „Fragile".

W paczkach czwartej klasy wolno przesyłać pisane, lub drukowane listy. List ze zwykłą opłatą może być także przyczepiony do paczki.

Opłata Poczty Pakunkowej.

Strefy. (Zones) odległości	Pierwszy funt	Każdy dodatkowy ft.
W mieście i okolicy	$0.05	.—
1 strefa w obrębie 50 mil	.05	.01
2 strefa, 50 do 150 mil	.05	.01
3 strefa, 150 do 300 mil	.06	.02
4 strefa, 300 do 600 mil	.07	.04
5 strefa, 600 do 1000 mil	.08	.06
6 strefa, 10000 do 1400 mil	.09	.08
7 strefa, 1400 do 1800 mil	.11	.10
8 strefa, ponad 1800 mil zagraniczne posiadłości Stanów Zjednoczonych	.12	.12

Do sąsiednich krajów.

Paczki wysyłane ze Stanów Zjednoczonych do Kanady, Meksyku, Kuby i Panamy. — Waga najwyżej 4 funty i 6 uncyi, z wyjątkiem do pewnych miejsc w Meksyku i Panamie, dokąd wolno posyłać paczki, ważące 11 funtów.

Paczki do innych krajów.

O wysokość opłaty należy zapytać miejscowego pocztmistrza.

Przesyłki C. O. D.

Paczka może być wysłana na C. O. D. z wyszczególnieniem sumy, jaka ma być skolektowana przez doręczający urząd pocztowy. Najwyżej do $100. Opłata 10 centów. Zabezpiecza także do $50.

Pocztowe kasy oszczędności.

Od roku 1910 istnieją przy urzędach pocztowych kasy oszczędności, w których każda osoba powyżej lat 10, może składać swoje pieniądze.

Żaden depozytor nie może mieć więcej aniżeli jedno konto pocztowe w całym kraju. Pierwsza wpłata musi być złożona osobiście, inne mogą być przynoszone lub przysłane przez inną osobę. Depozytor otrzymuje certyfikaty na sumy $1.00, $2.00, $5.00, $10.00, $20.00, $50.00 i $100. Te mogą być wymienione w dniu 1 stycznia lub 1 lipca na bondy Stanów Zjednoczonych, przynoszące 4½ procent.

Suma deponowana w imieniu jednej osoby nie może przewyższać $1.000.

Każdy depozytor może każdej chwili wycofać złożone na poczcie pieniądze, w całości lub w części, po przedstawieniu certyfikatu.

DWIE PIEŚNI

Z powodu odzyskania bytu niepodległego, „Gazeta Warszawska“ ogłosiła konkurs na napisanie hymnu narodowego. Przysłano wiele utworów, z których kilka pochlebnie wyróżniono, a dwa nagrodzono nagrodą pierwszą i drugą. Niżej przytaczamy dwie pieśni nagrodzone.

I

HYMN NARODOWY

(pod muzykę).

Z dymu pożarów, z gruzów przemocy,
Na wielki losów dziejowych dzwon,
Jaki to naród wstał ku północy,
Gdy mu potężnych wrogów prorocy
Na bladem czole zoczyli zgon?
To naród kwietnych łąk i złotych łanów zboża,
Gdzie kosą zbrojny chłop i sierpem dziewa hoża,
Gdzie w cieniu sadów dwór—koleba sławnych dni,—
To polski ród, piastowy ród, szlachetnej Arjów krwi!

* * *

Z jezior Kruszwicy w niebios błękity
Wzbija się Orzeł Biały jak śnieg,
Nad Niżów bory i Karpat szczyty.
Niemna i Warty syn prawowity,
Czata wolności po wieków wiek.
Na jego władny znak—do pracy i doboju! —
Z podziemi, pól i miast, w czas wojny i pokoju,
Niby hussaryi pęd grzmi oskard, pług i młot, —
I armat straż, graniczna straż, jak huraganu grzmot.

* * *

Jest Bóg na polskiem niebie, czy niema?
— Podstępnie pyta złośliwy wróg —
że już go spiżem dzwonów nie zwiema,
Jeno podjęlim dłońmi obiema
Chorągiew życia i ziemskich dróg...
Spójrz w oceanu głąb', w głąb' naszych serc i ducha,
Jaka tam twórczych sił okrężna zawierucha,
Jaki tam Boga zew — w bezkresną Wisły dal —
W hejnale mew, zwiastuńczych mew i w hymnie morskich fal.

Stanisław Pieńkowski.

II.

HYMN WOLNOŚCI

To nie moc ludzka —to krzyk aniołów
Przed Twój tron, Boże! rzucony.
Wydźwignął Polskę z śmierci popiołów,
Roztrzaskał berła i trony;
To Twoje wielkie: „Stań się!“ przedwieczne,
Dech piersi Twojej z błękitu
Rozlał nad światem blaski słoneczne.
Sto słońc zapalił u szczytu! —
Gdy wiary naszej padały złomy,
Grobowa kryła nas szata:
Twórczych piorunów rzuciłeś gromy,
Wstrząsnąłeś zrębami świata —
I myśmy czuli, że one boje
I krwi rozlane potoki —
o wola Twoja, to słowo Twoje,
Twojej wszechmocy wyroki!
Chylą się nasze czoła w pokorze,
Nabrzmiałe łzami powieki — —
Boże Kościuszków, Sobieskich Boże,
Cześć Ci i chwała na wieki!

O! czyjeż serce w tej wielkiej chwili
Wawelskim nie zagrzmi dzwonem —
Czyje się dzisiaj czoło nie schyli
Wielkim radości pokłonem?
Złamani wczoraj, do walk niezdolni,
Powstajem z niewoli brudu —
Stał się cud wielki: Jesteśmy wolni!
Lecz trzeba godnym być cudu.
Trzeba się złotym związać łańcuchem,
W pierś swoją twórczą moc wchłonąć,
Drgnąć sercem jednem, tchnąć jednym duchem,
Jednym płomieniem zapłonąć —
Wielkiej miłości zażedz ognisko,
Wydobyć siły Samsona:
Niebo tak blizko, szczęście tak blizko,
Jeno je chwycić w ramiona!
Idziem do Ciebie, o — ukochana
Praojców święta puścizno — —
To krew Konarskich, to krzyk Rejtana
Wraca nam Ciebie, Ojczyzno!

Może w tej chwili jakiś cień czarny
Na drodze naszej się zjawi —
Może pierś zmrozi oddech cmentarny,
Boleśnie pierś się zakrwawi;
Krwawych pożarów zapłonie łuna,
W mroku cień stanie Kaima
W woli narodu jest grom pioruna,
Co cios morderczy zatrzyma.
Grzmij hymnie szczęścia!... Okrzyk milionów
Zagłuszy wycia szakali —
Grom pieśni naszej przy biciu dzwonów
Hufce szatanów powali.
Nie po to zdjęto nam głaz z mogiły,
By znów zadzwonić łańcuchem —
Staniem się jednym odłamem bryły,
Ogromni sercem i duchem.
Więc w górę czoła! Niech pieśnią chwały
Serca, jak dzwony, zabiją — —
Płynie ku Tobie nasz Orzeł Biały,
Bogiem sławiona Maryjo!

Kazimierz Gliński.

Proroctwa o Polsce.



JEST piękna opowieść Henryka Sienkiewicza o wielkim, wspaniałym okręcie, który zwał się "Purpura". Długie lata płynęła "Purpura" po morzu potężna, dumna, niezwyciężona, ratując inne statki, przygarniając rozbitków na swój pokład. Załoga "Purpury" żyła w dostatkach i szczęśliwości. Hen, daleko na morzu rozbrzmiewała jej pieśń radosna: "Wesoło płyńmy, wesoło!" Szczęśliwie przebyte burze i pokruszone skały podwodne zwiększyły jeszcze zaufanie marynarzy do statku. "Purpury" żadne niebezpieczeństwo nie zmoże! — wołali dumni żeglarze. I z czasem porzucili pracę na statku, zleniwieli i zniewieścieli, żyjąc bez troski. A tymczasem słona woda przeżarła belki okrętu, rozluźniły się potężne więzadła... Statek począł się psować.

Aż pewnego razu wybuchła taka burza, jakiej dotychczas nie bywało na morzu. Olbrzymie bałwany wodne uderzyły z taką siłą w statek, że wbiły go na dno morza, potem rzuciły go aż ku chmurom i zwaliły znów na dno. Wówczas na pokładzie rozległ się straszny krzyk: "Purpura tonie!" Żeglarze zerwali się co sił do obrony, bo jednak kochali gorąco swój statek. Poczęli bić z dział i chłostać morze, które chciało zatopić "Purpurę". Walczyli do ostatniego tchu. Lecz fale silniejsze były od żeglarzy. I statek począł pogrążać się w głębinę morską...

Taka jest opowieść o "Purpurze".

Okręt "Purpura" — to Polska potężna za Piastów i Jagiellonów, potężna jeszcze za Batorego i Sobieskiego. Polska, która niosła pomoc innym narodom, która przygarniała cudzoziemców i wygnańców, darząc ich wolnością. Załoga "Purpury"—to Polacy, żyjący w szczęśliwości i weselu; z czasem zaślepieni zwycięstwami, dostatkami, zaczęli zaniedbywać pracę i służbę dla Ojczyzny, aż popadli w lenistwo i zniewieściałość. I oto "Purpura — Polska poczęła się psować. Uderzyła w Purpurę — Polskę burza przemocy i gwałtu. Zalały ją, niby bałwany morskie, wojska nieprzyjacielskie. Rzucili się wówczas żeglarze — Polacy do rozpaczliwej obrony. Ale przemoc sąsiadów była silniejsza od nich. I Purpura — Polska poczęła się pogrążać w otchłań niewoli, upadku...

Upadek i niewolę Polski przepowiedział ksiądz Piotr Skarga (Pawęski), najznakomitszy kaznodzieja Polski, który żył w XVI i XVII wieku (przeszło 300 lat temu), za panowania Zygmunta III Wazy. Były to jeszcze świetne czasy Polski — nazewnątrz. Ale wewnątrz — dla bystrego oka i rozumu ludzi niepospolitych — widne już były pierwsze oznaki upadku narodu: rozterki i niezgody domowe, brak miłości ku Rzeczypospolitej, sobkostwo, chciwość, niesprawiedliwość, ucisk mieszczan i ludu wiejskiego. Piotr Skarga, obdarzony od Boga głęboką mądrością, pierwszy dostrzegł

zarodki zła, pierwszy pojął grozę, wiszącą nad narodem. Oto jak brzmi przepowiednia Skargi:

"Nastąpi postronny nieprzyjaciel, jąwszy się za waszą niezgodę, i mówić będzie: "Rozdzieliło się serce ich, teraz poginą!" I ta niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą. Bo wszyscy z domem i zdrowiem swojem w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą, poddani tym, którzy ich nienawidzą.

"Ziemie i księstwa wielkie, które się z koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą. Będziecie, jako wdowa osierociała, wy, coście drugie narody rządzili i będziecie ku pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciołom swoim.

"Język swój i naród pogubicie i ostatki tego narodu tak starego i po świecie szeroko rozkwitnionego, potracicie, i w obcy się naród, który was nienawidzi, obrócicie, jako się inszym przydało.

"Będziecie nie tylo bez pana krwie swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy, wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą. Gdzie się na taką drugą ojczyznę zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby i ozdobności i rozkosze mieć mogli? Urodzili się wam i synom waszym taka druga matka? Jako tę stracicie, już o drugiej nie myślić!

"Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli — jako Pismo św. przegraża — w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu i we wszystkiem niedostatku, i włożą jarzmo żelazne na szyji wasze, przeto, iżeście nie służyli Panu Bogu swemu w weselu i radości serdecznej, gdyście mieli dostatek wszystkiego.

"Do takich utrat i przeklęctwa pewnie was ta wasza niezgoda i rozterki domowe przyprawią! Nie tak rychło i nie tak żałośnie wojną i najazdem postronnych nieprzyjaciół zginąć możecie, jako waszą niezgodą".

Wiemy, jak niemylne było to proroctwo, wygłoszone na lat blisko 200 naprzód. Nadszedł koniec wieku XVIII, rok 1791. I nastąpił ów" postronny nieprzyjaciel" — Moskal, Prusak, Austryak rozszarpali nasz kraj. Niezgodny naród popadł w niewolę. Owe "ziemie i księstwa wielkie" — Ruś, Litwa, Inflanty, Prusy "odpadły od Korony t. j. od Polski. Polacy "bez pana krwie swojej", bez króla, bez królestwa, bez ojczyzny, jedni rozproszyli się po świecie, jako "nędzni, ubodzy, wzgardzeni, włóczęgowie" — drudzy nieprzyjaciołom swoim, Moskalom i Niemcom, służyć musieli.

W owych ta czasach naród nasz czerpał niejednokrotnie pociechę i otuchę z wieszczych słów mężów świątobliwych albo wielkich pieśniarzy naszych, którzy przepowiedzieli, że — po długich latach męczeństwa — Polska zmartwychwstanie, a naród jej żyć będzie wolny i niepodległy.

Przepowiednią mało znaną, a przedziwnie trafną, była przepowiednia błogosławionego Andrzeja Boboli, świątobliwego kapłana-zakonnika, który urodził się w r. 1592 w ziemi Sandomierskiej. Pracował on gorliwie, jako misyonarz, na Litwie i na Podlasiu dla sprawy unii, czyli przyłączenia schizmatyków do Kościoła rzymsko - katolickiego. Podczas tej misyi poniósł śmierć męczeńską od kozactwa w miasteczku Janowie, w ziemi Pińskiej (16 maja 1657 r.). Zwłoki tego wielkiego męczennika spoczywają w kaplicy podziemnej w Płocku. Żywot jego opisał ksiądz Hieronim Kajsiewicz ze zgromadzenia ojców Zmartwychwstańców. W tym opisie autor podaje, między innemi, następujące ciekawe zdarzenie:

Oto w r. 1819 przebywał w Wilnie ksiądz Korzeniecki, Dominikanin, kapłan wielce świątobliwy i sławny kaznodzieja. Walczył on gorliwie słowem i pismami przeciw schizmie, czyli prawosławiu, za co rząd rosyjski zabronił mu miewać kazania, a nawet spowiadać ludzi. Ojciec Korzeniecki, zamknięty w klasztorze i skazany na bezczynność, szukał ulgi jedynie w modlitwie. I oto pewnego wieczora, przyciśniony smutkiem, modlił się gorąco do błog. Andrzeja Boboli, ku któremu czuł od dzieciństwa szczególne nabożeństwo. Błagał on tego męczennika, by wyjednał u Boga miłosierdzie dla Polski i prześladowanej przez wrogów wiary naszej świętej. "Niech Polska stanie się znów jednem Królestwem prawowiernem i Bogu podległem" — wołał pobożny zakonnik. I nagle w celi o. Korzenieckiego zjawiła się postać Andrzeja Boboli, który rzekł: "Stawiam

się na twe wezwanie, jestem Andrzej Bobola. Otwórz okno... a dziwy zobaczysz...

Dominikanin, choć nieco przestraszony, spełnił rozkaz i ze zdumieniem ujrzał, zamiast klasztornego ogródka, ogromną przestrzeń, której końca nie było widać.

"Płaszczyzna, którą widzisz — mówił Andrzej Bobola — to okolice Pińska, gdzie poniosłem męczeństwo dla wiary św. Przyjrzyj się, a dowiesz się tego, co cię tak żywo obchodzi".

O. Korzeniecki zobaczył na tej ogromnej pałszczyźnie niezliczone wojska Moskali, Turków, Anglików, Francuzów, Niemców i inne wojska, których nie umiał rozróżnić. A gdy zdumiony Dominikanin nie rozumiał, co to znaczy, rzekł mu Bobola: "**Kiedy ludzie doczekają takiej wojny, to po przywróceniu pokoju, nastąpi wskrzeszenie Polski**". Sto lat minęło od owej przepowiedni, która z mocy i rozkazu Bożego, ziszcza się w obecnej wielkiej wojnie.

Najsłynniejsze i najbardziej znane w całej Polsce były i są przepowiednie Wernyhory. Niewiadomo kim był ów Wernyhora, a nawet niema pewności, — czy istniał naprawdę. Podanie mówi, że Wernyhora był to kozak-lirnik, i że pochodził z Zaporoża, ze wsi Dmytrykówki za Dnieprem. W r. 1776 (więc z górą 150 lat temu) przybył Wernyhora na ziemi polskie i osiadł we wsi Makiedony w starostwie Kaniowskiem na Ukrainie. Ale później, w obawie przed hajdamaczyzną (czyli rozbójnictwem kozaków) na Ukrainie w 18-ym wieku schronił się na samotną wyspę na rzece Rosi, gdzie oddał się rozmyślaniom i surowemu pokutnictwu. Wkrótce potem zasłynął jako pustelnik-wróżbita, a do ubogiej jego siedziby tłumnie napływał lud z różnych okolic kraju po rady i przepowiednie. Między innemi, przepowiedział Wernyhora, że po śmierci prochy jego rozproszą się po całym świecie. Ludność ukraińska, która miała wielką cześć dla Wernyhory, otaczała grób jego troskliwem staraniem. Mimo to jednak, po latach kilku dziesięciu, od nagłego wezbrania pobliskiej rzeczki, grób Wernyhory rozmyty, zniknął, a prochy jego — jak to przewidział — rozniósł wiatr po świecie.

Najciekawsze jednak są przepowiednie jego o Polsce, z których niemal wszystkie spełniły się do naszych czasów. Spisał je i potomności przekazał starosta korsuński (Korsuń, na Ukrainie), Nikodem Suchodolski. Oto co, w 18-ym wieku przepowiedział Wernyhora o Polsce:

"Polsko! Ojczyzno moja! biedna dola twoja na teraz. Hojnie się przeleje krew synów twoich, wysokie mogiły wzniosą się z ich kości; spustoszenie, rozpacz i bujny smutek pociągną się po twej ziemi. Trzy postronne sępy trzy razy ciebie rozszarpią i upadniesz. (To trzy sąsiednie mocarstwa, które dokonały 3-ch rozbiorów Polski).

"Na niczem spełzną usiłowania polskich synów. Ojczyzno, długo jęczeć będziesz pod jarzmem obcych: część twoich dzieci wywiozą w niewolę na bezludne obszary (to późniejsze "zsyłki" na Sybir); druga — pójdzie w dalekie kraje żebrać pomocy krwią i słowem dla nieszczęśliwej Matki — (to Polacy, którzy, po upadku powstania Kościuszkowskiego w 1794 r. szukali pomocy we Francyi, Turcyi, we Włoszech; to — legiony Dąbrowskiego, które przelewały swą krew w szeregach francuskich, w nadziei, że Francya pomoże im do odzyskania niepodległej Polski).

"Podługich latach zjawi się olbrzym zachodu, i nadzieja błyśnie dla Polski. (To cesarz francuski, Napoleon Bonaparte, który obiecywał odbudować Polskę).

"Ale ta nadzieja zabłyśnie i zniknie jak spadająca gwiazda. (Napoleon obietnic nie dotrzymał). Naród polski powstanie we wszystkich częściach polskiej ziemi, ale zabraknie mu na ładzie, zgodzie i człowieku; jak dawniej, tak i tym razem upadnie. (Rzeczywiście powstanie listopadowe w 1830 — 1831 r. upadło, wskutek braku zgody i mądrego, jednolitego dowództwa).

"Polacy, jedni, jak orły po spustoszeniu gniazda, polecą na wędrówkę daleką, drudzy na wygnaniach i niewolach smutne dni liczyć będą. (Po upadku powstania, istotnie jedni wywędrowali na obcą ziemię, byle ujść prześladowania wrogów; inni — cierpieli zamknięci w twierdzach pruskich lub austryackich, albo wywiezieni na Sybir). Polska znosić będzie ciężar niewoli, ale nareszcie nadejdzie czas, kiedy latające wojska przyjdą w pomoc (przepowiednia o samolotach wojennych), śpiący wstaną rycerze, koń turecki napije się wody w Horyniu, a srogie bitwy zajdą przy mogiłach Pie-

repita i Pierepiatychy (mogiły w pow. wasylkowskim na Ukrainie). **Polski kraj wstanie w dawnych granicach za pomocą Turków i Anglików. Nastaną nowe rządy, stare zmienią się albo upadną i szczęśliwość trwać będą przez wiele lat. Wtedy Polska wolność odzyszcze, a będzie wielka i potężna przez wiek wieków''.**

W tym czasie, co Wernyhora, żył jeszcze inny wróżbita narodowy. Był nim ksiądz Marek Jandołowicz, zakonnik Karmelita bosy. To już nie postać legendowa, ale historyczna. Urodził się ksiądz Marek na Podolu około r. 1713. W młodym wieku wstąpił do klasztoru Karmelitów bosych we Lwowie, skąd wysłano go niebawem na Białoruś. Tam ksiądz Jandołowicz walczył przeciw dyzunitom czyli wrogom unii, aż po ośmiu latach pracy antypolskiej, prześladowany przez prawosławnych, schronił się na Ukrainę. W roku 1768 ksiądz Marek został przełożonym klasztoru w miasteczku Barze na Podolu. W tym właśnie czasie szlachta polska zawiązała konfederacyę czyli związek przeciw Rosyi w owym Barze i podjęła zbrojną walkę z Rosyą. Wodzem konfederacyi barskiej został Kazimierz Pułaski, a duszą jej był właśnie ksiądz Marek. On to jeździł od dworu do dworu, on kołatał do chat włościańskich, budził bohaterstwo w barskich rycerzach, on wreszcie — jak drugi Kordecki — przyczynił się głównie do bohaterskiej obrony Baru. Przemogła, oczywiście, potężna Rosya, tembardziej, że Polacy nie działali zgodnie, że barszczanie stanowili zaledwie garść nieliczną w porównaniu z wojskami Rosyi. Ksiądz Marek wraz z 337 jeńcami dostał się do niewoli moskiewskiej. Trzymany przez lat siedem w fortecy kijowskiej i strzeżony pilnie, powrócił do kraju dopiero w r. 1774, więc w dwa lata po pierwszym rozbiorze Polski. Zmarł we wsi Berezówce, na Ukrainie około r. 1806. Zwłoki jego pochowano w grobach Karmelitów w Horodyszczach (na Ukrainie). Lud okoliczny otaczał grób ks. Marka czcią religijną.

Otóż ów ksiądz Marek, jeden z bohaterów polskich, napisał, w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta, przepowiednię o losach Polski, że przyjdzie czas, kiedy ''drgną strachem lutry, moskale, poganie''; że między różnemi narodami wybuchnie ''wiele wojen''; że w tych wojnach Polska wiele ucierpi.

''Kościoły z ozdób obdarte zostaną,
Dni zgoła wszystkie płaczliwe się staną.
Lecz się Najwyższy tej krzywdy użali,
Na nich się samych to nieszczęście zwali.
Bo on im przytrze wyniosłego rogu,
A ty, jak feniks, z popiołów powstaniesz,
Całej Europy ozdobą się staniesz''.

Śród wielkiej wojny spełniła się i dalej spełnia przepowiednia księdza Marka: istotnie, ''na nich się samych'', to jest na wrogów naszych, zwaliły klęski i nieszczęścia; Bóg sprawiedliwy przytarł im ''wyniosłego rogu''; Polska zaś odrodzona stanie się ''całej Europy ozdobą''. Ona to — nasza Polska, nieskalana nigdy zbrodnią gwałtu ani przemocy, niezbryzgana nigdy krwią słabych i niewinnych, Ona — krzewicielka wolności, równości i braterstwa; drogą wytkniętą od wieków wieść będzie inne ludy ku życiu coraz doskonalszemu, w krainę wiecznego szczęścia.

Niezmiernie ciekawe jest proroctwo pewnego świątobliwego zakonnika Polaka, rodem z okolicy Tarnowa (w Małopolsce). Przebywał on czas jakiś na górze Synai (góra na półwyspie nad morzem Czerwonem, gdzie żydzi otrzymali od Boga dziesięcioro przykazań). Otóż tutaj przepowiedział ów zakonnik w r. 1848, że Polska powstanie wówczas: kiedy walić się będą trony, kiedy część rodziny carskiej oraz kilku dostojników kościoła prawosławnego będą wymordowani; kiedy w Moskwie i w Petersburgu tyle będzie trupów, że ich pełnemi wozami wywozić będą...

Proroctwa o zmartwychwstaniu Polski, jako też o jej przodownictwie w późniejszym życiu i późniejszych losach narodów Europy — spotykamy, po upadku powstania listopadowego, w pismach naszych trzech największych pieśniarzy: Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.

Zygmunt Krasiński (urodz. 1812 r., zmarły 1859 roku), wierzył silnie w zmartwychwstanie Polski. Oto w przepięknej, natchnionej pieśni, w ''Przedświcie'', poeta oczyma duszy widział zmartwcyhwstającą Polskę, widział —

Na zerwanych jej kajdanach,
Miecz u piersi zawieszony!
Na tym mieczu trzy korony
Po trzech dawnych świata panach!

A dalej —

Wszystkie, wszystkie Duchy-Ludy
Pochyliły przed Nią czoła,
W Niej uznały Boże Piękno,
Dadzą świata Jej koronę!

W roku zaś 1856, więc na 58 lat przed wybuchem wojny europejskiej, Krasiński przepowiedział tę wielką wojnę oraz skutki jej dla Polski. Pisał on wówczas:

"... po wielu latach przyjdzie wielka wojna, w której wezmą udział wszystkie prawie państwa Europy, która głównie będzie się toczyła w naszym kraju, i kraj — jak długi i szeroki — spłynie łzami i krwią. Zniszczenia, pożogi, wyludnienia, wszelkiego rodzaju męki przejdą wszystko, co naród dotąd wycierpiał. Ale wówczas Bóg, na pohańbienie ludzi, a większą chwałę swoją każe... odbudować Polskę, a ci, którzy ją rozszarpali, będą walczyli na drgających jej członkach, wyrywając je sobie nawzajem i licytując się, kto uczynie więcej dla jej wskrzeszenia".

Jakże dziś zdumiewają nas te słowa wieszcze, jakże dokładnie spełniła się przepowiednia wielkiego poety!

Jeszcze dawniej od Krasińskiego, bo na 80 z górą lat przed tą przeżywaną przez nas wojną, przeczuł to Juliusz Słowacki (ur. 1809 r., zmarły w 1849 r.). W swej wstrząsającej do głębi opowieści o wygnaniu Anhelim pisał Słowacki w wieszczem jasnowidzeniu:

"Oto zmartwychwstają narody! oto z trupów są bruki miast! oto lud przeważa!

"Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie... Korony ich zlatują z głów, i czaszki królów są odkryte.

"Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła.

"Kto ma duszę, niech wstanie! niech żyje! Bo jest czas żywota dla ludzi silnych".

Czyż i to proroctwo nie spełniło się w naszych czasach?!

Mickiewicz (ur. 1798 r., zm. 1855 r.), na tułaczce w Paryżu, napisał jakoby przykazania zgody, jedności i miłości dla rodaków-tułaczy czyli "pielgrzymów", a poprzedził je wyjaśnieniem dziejów narodu polskiego; wyjaśnienie to kończy proroctwem wskrzeszenia Polski:

"Bo naród polski nie umarł...

"Trzeciego dnia dusza wróci do ciała, i naród zmartwychwstanie i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli.

"I przeszło już dni dwa: jeden dzień zaszedł z pierwszem wzięciem Warszawy, a drugi dzień — z drugiem wzięciem Warszawy, a trzeci dzień wnijdzie, ale nie zajdzie.

"A jako za zmartwychwstaniem Chrystusa ustały na ziemi całej ofiary krwawe, tak ze zmartwychwstaniem Narodu Polskiego ustaną w chrześcijaństwie wojny".

Dziś spełniają się wieszcze słowa Mickiewicza.

"Zaszedł" dla nas "jeden dzień" nadziei zmartwychwstania z wzięciem Warszawy w roku 1794 przez generała rosyjskiego Suworowa, z upadkiem powstania Kościuszkowskiego. Zaszedł i "drugi dzień" — z wzięciem Warszawy przez generała rosyjskiego Paszkiewicza, w roku 1831, po upadku powstania listopadowego.

Ale wzeszedł "dzień trzeci" — dzień tryumfu światła nad ciemności, prawdy nad fałszem, dobra nad złem; dzień rozbrojenia, upokorzenia i pokonania odwiecznych wrogów naszych; dzień wyzwolenia i zmartwychwstania Narodu Polkiego.

Wzeszedł—"**dzień trzeci, ale nie zajdzie!**"

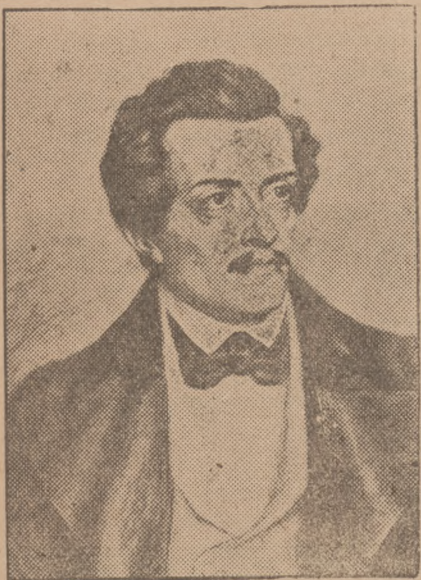
WARSZAWA I KRAKÓW.

A znacie wy piosnkę żaków? — Piosenka to gładka:
Dla Polaków ojciec Kraków, a Warszawa matka.
Jak odezwie się w Krakowie, w Warszawie odpowie;
Jak w Warszawie hukną żwawie, powtórzą
[w Krakowie.
A dlaczego ojciec Kraków? Bo stary za katy,
Siwe mchy mu opędziły ten Wawel garbaty.
Choć niewiada już którego krzyżyka dościga,
Jeszcze na swych silnych barkach stary zamek
[dźwiga.
I Maryacki kościół czarny z trębaczem na wieży,
Na swej dłoni spracowanej trzyma jak należy.
Cały dzień w nim dusza rusza a spokojną nocką
Wyciąga się ojciec Kraków przez ulicę Grodzką.
I patrzy się dniem i nocką na góry te same,
Ku Warszawie okiem mruga przez Floryańską bramę.

Teofil Lenartowicz.

PRZYPOWIEŚĆ O OJCZYŹNIE

JULIUSZ SŁOWACKI



Juliusz Słowacki.

PEWNEGO dnia, gdy kry na Wiśle pękały, a mosty były zerwane, pokazało się ludowi warszawskiemu na drugiej stronie cudowne zjawienie.

Ojczyzna, niby przez sto lat niewidziana, a w anioła przemieniona tęsknotą ludu, a słońcem przez Boga ukoronowana, stanęła nad wodą i wyciągnęła ku ludowi swojemu swe matczyne ramiona, prosząc, aby ją wzięli synaczkowie wierni i przenieśli przez Wisłę i postawili w stolicy ducha.

Lud więc cały z krzykiem i wrzaskiem, spostrzegłszy matkę swoją na drugim brzegu stojącą, zapragnął jej ogniście.

Lecz żadnego nie było, ktoby umiał pływać; mosty zaś były zerwane.

I rozpacz lud ogarnęła!

A widzenie trwało jakoby przez dziewięć godzin dnia zimowego.

Jedni rzucali się w wodę i tonęli, drudzy szli aż po szyję, a dna nie znalazłszy już pod nogami, wracali, inni chcieli budować pontony i posłali do Francyi po inżynierów, inni nareszcie zaczęli bić profesory, których obowiązkiem było uczyć w szkole sztuki pływania.

A gdy widzenie zniknęło, smutek był po umarłych i większy jeszcze żal po Ojczyźnie straconej!

Wszakże znów stanęli starzy ludzie, którzy naród cieszyli nadzieją, mówiąc:

Miejcie dobrą otuchę, albowiem anioł ten niezawodnie pokaże się nam, nim pomrzemy.

A uczyni to albo zimą, gdy lód będzie na wodzie, albo latem, gdy mosty rzekę nam do przejścia łatwiejszą uczynią.

Dlaczegóżby miał znowu obierać Wielki tydzień, a pojawiać się jakby na udręczenie nas biednych?

Wszakże widział, jak oto nawet... tonąc dla niego... umiemy tysiącami ofiarować mu życie nasze. A pełni jesteśmy odwagi.

Ufajcie Bogu, a miejcie oczy silnie zawsze na tamten brzeg obrócone, a nawet krzyczcie głośno wszystkimi głosy: pokaż się! — może usłyszy.

A jeden człowiek był który nie krzyczał, owszem, naganiał owe próżne, bezsilne krzyki i wołania; a sam co rana, rozebrawszy się do naga, biodra swoje przepasywał i rzucając się do wody, mordował się z Wisły falami.

Aż mu pierś ową pracą rozrosła się, a oddech posiniał... tak, że nie tylko na wodzie, ale pod wodą zostawać mógł całe godziny.

A inni mówili, że szalony jest i głupiec, bo pod wodą chodzi, a żadnych ryb nie wyciąga.

Czy pereł szuka — krzyczeli — a tego nie wie, iż perły są w morzu... a Wisła jeno muł ma na spodzie i chwasty.

Wszakże uczyli się pływać od swoich profesorów.

A do Francyi posłali niektóre, aby się w sztuce inżynierskiej wyćwiczyli.

I stało się, że dnia jednego dał się słyszeć głos, niby z pod ziemi wychodzący, który wołał: Ojczyzna waszą jestem! znów przychodzę!

A lud, zbiegłszy się nad Wisłę, słuchał! i głos ten, niewidzialnemi usty wydany, słysząc, radował się — wpadł w szaleństwo.

Lecz około, jakby wieczora, nie widząc nigdzie anioła... gdy nareszcie i wołanie ono ustało... wrócił do domu smętny, mówiąc: Wiart był i złudzenie!

Sam jeden człowiek ów, który się był nauczył pod wodą oddychać, nie stracił nadziei, albowiem, uważniej głosu słyszanego pilnując, przekonał się, iż ten jakoby od Krakowa ku Gdańskowi spoden wody wędruje.

Upatrzywszy więc czas i minutę... gdy anioł podwodny (ciągle idący) był mu najbliższy... rzucił się w toń, ofiarowawszy wprzód Bogu życie swoje.

I wobec tej garstki ostatniej, która jeszcze na brzegu stała smętna, zniechęcona i bez nadziei, a jeszcze trzymała w ręku mosty gotowe i odwagę miała rozpaczy — zjawił się rybak ów podwodny, lecz jakby umarły! a niesiony na rękach przez anioła jasnego — przez Ojczyznę!

A Ojczyzna szła do miasta, niosąc ciało jego i mówiąc: "Nie umarł, lecz śpi, a tylko w omdlałość wpadł, gdy mię pod wodą twarz w twarz zobaczył i samotny się ujrzał, że mnie jeden wyciągnąć niezdolny.

Oto przez wolę i miłość jednego człowieka, który się domyślił drogi, po której pójdę, wyratowaną jestem i żyć będę na wieki".

To właśnie trzeba wciąż i wciąż ludziom powtarzać, co się samo przez się rozumie.

Wiedza o tyle tylko ma znaczenie, o ile do uszlachetnienia człowieka się przyczynia.

NA WOŁYNIU.



Naczelnik Państwa podczas przeglądu 13 dywizyi Hallerowskiej w Zwiahlu (Nowogród Wołyński).

Rozbiory Polski w Cyfrach.

W dzisiejszych czasach, gdy doczekaliśmy się zmartwychwstania Ojczyzny, nie od rzeczy będzie przyjrzeć się, jak się przedstawiał w cyfrach rozbiór Polski przez trzech drapieżców: Rosyę, Niemcy i Austryę.

Zatraciliśmy już prawie poczucie, jak wielką i potężną była dawna Rzeczpospolita polska, zatraciliśmy poczucie jedności olbrzymich tych obszarów, które sięgały od Warty po Dźwinę i Dniepr. Wracają nam świadomość tego — cyfry, gdy je zwłaszcza porównawczo zestawimy. W cyfrach obszaru i ludności dawnej Polski najłatwiej też uzmysłowić sobie znaczenie podziałów i wzajemny stosunek dzielnic Polski z lat 1772, 1793 i 1795 i przez późniejsze zmiany granic ziem polskich, które dopiero od roku 1846 ustaliły się tak, jak przetrwały do wybuchu obecnej wojny.

Nie znała Polska dokładnych cufr wielkości swego terytoryum i liczby swej ludności; dopiero za Stanisława Augusta zaczęto liczyć, mniej lub więcej, jednak jeszcze nieudolnie. Nie wiedziały dobrze, ile biorą państwa porozbiorowe, gdy zagarniały części polskiego obszaru; ks. Kaunitz np. w raporcie do cesarzowej Maryi Teresy podał wielkość ówczesnej Galicyi o 500 mil kwadratowych, to jest o jedną trzecią mniejszą, niż była w rzeczywistości. Zaczęto też zaraz mierzyć rozbiorowe działy, liczyć ludność. — Pierwsze obliczenia ludności nie zawsze dokładne dawały wyniki przy ówczesnej niewydoskonalonej jeszcze technice ludnościowej statystyki; pćniejsze spisy umożliwiają jednak poprawę cyfr, zwłaszcza, gdy nie chodzi przy tak dużych sumach o drobnostkową dokładność. Błędne obliczenia powierzchni zajętych terytoryów polskich skorygowały naukowe badania późniejsze — lecz tylko częściowo; nie przeprowadzono ich dotąd dokładnie co do wszystkich kawałków, które od Polski odpadły, a nawet ścisłość zupełna nie będzie nigdy możliwa, gdy ostatni podział tak szybko po drugim nastąpił, gdy jeszcze jego granice nie mogły być ustalane.

Z temi zastrzeżeniami zestawiam też cyfry obszaru i ludności, najpierw całej Polski, potem rozbiorowych dzielnic według państw, którym w udziale przypadły.

Miała Rzeczpospolita polska przeszło 13,300 mil kwadratowych powierzchni. Z państw europejskich przewyższała ją Rosya, która liczyła prawie 82,000 mil kwadratowych, może państwa Habsburgów, nie stanowiące jednak zwartego państwowo i geograficznie terytoryum. Mniejszą była Francya z 9,822 mil. kwadratowemi, toż Hiszpania (9064 mil kwadratowych), czy niewielkie Prusy (2,750 mil kwadratowych). Ludność polska liczyła przeszło 11 milionów; stała więc Polska na czwartem miejscu w Europie, po Rosyi, Francyi i Austryi, z których każde ponad 20 milionów w tym czasie liczyły.

Ale i po pierwszym rozbiorze pozostała Polska państwem bardzo znacznem. Wynosiło jej obcięte tertyoryum 9,438 mil kwadratowych, stało się więc nieco mniejsze od Francyi. Ludność podniosła się przed drugim rozbiorem do przeszło 8½ milionów. Obok Rosyi i Francyi, które liczyły już po 26 milionów, i Austryi, mającej zapewne ponad 20 milionów, przenosiły Polskę: Anglia z 13¾ miliona głów i Hiszpania z 10¼ milionów; Prusy gęsto zaludnione, przecież miały 5½ miliona.

Tymi to obszarami i tą ludnością podzieliły się państwa rozbiorowe.

Przy pierwszym rozbiorze państwo pruskie zajęło Prusy Królewskie (dziś Zachodnie), lecz bez Gdańska i Torunia, Warmię i pas ziem nad Notecią; Austrya mniej więcej dzisiejszą Galicyę, to jest mniejszą o Kraków z obwodem po lewym brzegu Wisły (21 mil kwadratowych), który pozostał wtedy przy Polsce, a większą o obwód zamojski (101 mil kwadratowych); Rosya dostała północno-wschodnie województwa po Dźwinę i Berezynę: które utworzyły granicę.

Przy drugim i trzecim rozbiorze Polski granice Rosyi sięgnęły na zachód bardzo daleko, bo dzisiejszą wschodnią granicę Królestwa Kongresowego, z jednym wyjątkiem, iż Białystok z obwodem wtedy do tych jej zaborów jeszcze nie należał. Prusom dostały się miasta Gdańsk i Toruń z obwodami, nadto podzieliły się Prusy z Austryą tą przestrzenią, którą zajmuje obecnie Królestwo Kongresowe, z Białymstokiem jednak. Linia, jaka rozdzieliła Prusy od Austryi po trzecim rozbiorze, biegła mniej więcej tak, jak linia, która rozdzielała niemiecką i austryacką okupacyę; jednakże Piotrków wtedy przypadł Prusom, zaś Austrya sięgnęła po prawym brzegu Wisły dalej bo zachodziła granica na północ aż poza Warszawę.

W cyfrach zabory tak się przedstawiają:

Rosya zajęła	mil kw.	ludności
przy I rozbiorze 1772 r.	1693	1,300,000
przy II rozbiorze 1793 r.	4550	3,000,000
przy III rozbiorze 1795 r.	2185	1,200,000
Razem	8428	

Prusy	mil kw.	ludności
przy I rozbiorze 1772 r.	669	580,000
przy II rozbiorze 1793 r.	1914	2,000,000
przy III rozbiorze 1795 r.	——	
Razem	2583	

Austrya	mil kw.	ludności
przy I rozbiorze 1772 r.	1509	2,650,000
przy II rozbiorze 1793 r.	——	
przy III rozbiorze 1795 r.	870	1,200,000
Razem	2379	

Tak więc przy trzech rozbiorach Rosyi dostało się prawie dwie trzecie, a jeśli się wliczy także lenne państwo Polski, Kurlandyę, z obszarem prawie 50 mil kwadratowych, którą również wzięła Rosya przy trzecim rozbiorze, to nawet powyżej dwóch trzecich ziem dawnej Rzeczypospolitej, jednak najsłabiej zaludnionych. Udziały Prus i Austryi były terytoryalnie mniej więcej równe, udział Austryi, choć mniejszy nieco, zato większą wykazywał ludność. Warto to zaznaczyć, iż wówczas obie Galicye, to jest wschodnia, jak określono ten dział, który Austryi przypadł przy pierwszym rozbiorze, jak i zachodnia czyli nowa, to jest dział Austryi z trzeciego rozbioru, przedstawiały ziemie najlepiej zaludnione, wogóle najwięcej wartościowe z pośród ziem polskich.

Trzy rozbiory z końca wieku 18 nie zamknęły jeszcze okresu krajania Polski. W wieku 19 miały na nowe zmieniać się granice podziałowe w latach: 1807, 1809, 1815 i 1846.

Przyszedł jako ten, który zaczął łamać postanowienia traktatów rozbiorowych, Napoleon. Wykrajał on z ziem polskich nowe państwo polskie: Księstwo Warszawskie, które miało być początkiem odbudowy Polski; nadzieje te polskie, które za swoje wreszcie i Napoleon ogłosił przed wojną z Rosyą, zasypał potem śnieg rosyjski, zamroziła zima rosyjska 1812 r.

Księstwo Warszawskie stworzył Napoleon w dwu wojnach: w wojnie z Prusami z r. 1806, zakończonej przez traktaty tylżyckie z 7 i 9 lipca 1807 roku, i w wojnie z Austryą z r. 1809, którą zlikwidował traktat zawarty w Schoenbrunn 14 października 1809 roku. Z oddanych przez te dwa pobite państwa części dawnej Polski utworzył Napoleon Księstwo Warszawskie. Rosya nie straciła wtedy nic z goła z tych ziem polskich, jakie zabrała; przeciwnie, z łaski Napoleona otrzymała one jeszcze nowe ziem polskich kawałki, gdy w roku 1807 odstąpił jej Napoleon kawałek z ziem zdobytych na Prusach: Białystok z obwodem (160 mil kwadratowych, dziś zachodnie powiaty gubernii grodzieńskiej), zaś w roku 1809 dostała jako jego sojuszniczka za pomoc, bardzo zresztą problematycznej natury kawałek Galicyi, mianowicie Tarnopol z obwodem 121 mil kwadratowych, zwrócony Austryi w roku 1815).

Na Księstwo Warszawskie złożyły się Prusy przez oddanie wszystkich ziem, jakie zajęły przy drugim i trzecim rozbiorze Polski (więc z Toruniem) — a nawet kawałka z ziem, zajętych przy pierwszym rozbiorze, a mianowicie część obwodu nadnoteckiego (z wyjątkiem jednak obwodu białostockiego, oddanego Rosyi), Austrya przez oddanie całego swego udziału z trzeciego rozbioru Polski, oraz kawałka ziem, zajętych przy pierwszym rozbiorze, mianowicie obwodu zamojskiego (101 mil kwadratowych) i połowy Wieliczki z żupami, które przeszły pod współwładztwo Austryi i Księstwa Warszawskiego.

Tak więc powstało Księstwo Warszawskie z ziem, zabranych Polsce przez Austryę i Prusy przy drugim i trzecim rozbiorze (z wyjątkiem obwodu białostockiego i Gdańska, z którego utworzył Napoleon w r. 1807 wolne miasto), i z kawałeczków tych ziem, które im przypadły przy pierwszym rozbiorze, to jest Prusy Zachodnie, Warmia i Galicya, pozostały przy nich nadal.

Księstwo Warszawskie, tak jak ono przedstawiało się po roku 1809, to największy twór samodzielny państwowy polski, jaki powstał na ziemiach polskich po rozbiorach. Miało ono do 3000 mil kwadratowych przestrzeni, a ludności liczyło do 4 milionów. Królestwo Kongresowe w dzisiejszych granicach jest od niego o dużo mniejsze. Na kongresie bowiem wiedeńskim z roku 1815 dokonano znowu rozbioru — tym razem rozbioru Księstwa Warszawskiego.

Kongres wiedeński z roku 1815 podzielił Księstwo Warszawskie na trzy części:

....1) Królestwo Polskie, mające obszaru 2312 mil kwadratowych z ludnością nie dochodzącą do 3 milionów, utworzyło nowe samodzielne państwo polskie, złączone unią osobistą z Rosyą, pod berłem carów rosyjskich. Z Księstwa Warszawskiego dostało Królestwo więc tylko mniej ¾ ziemi i ludności.

2) Wolne miasto Kraków z okręgiem, mające obszaru 21 mil kwadratowych, z ludnością 95,000, utworzyło również samodzielne państewko z organizacyą republikańską, pod opieką trzech dworów: Rosyi, Austryi i Prus.

3) Wielkie Księstwo Poznańskie, obszaru około 500 mil kwadratowych, z ludnością koło 850,000, zostało oddane Prusom. Według traktatów wiedeńskich miało ono całe tworzyć odrębną jednostkę prawno-państwową w państwie pruskiem, z zastrzeżonemi przez kongres prawami Polaków. Jednakże wbrew traktatom z roku 1815 zaraz w tymże roku oddzielono od Wielkiego Księstwa powiaty: chełmiński i michałowski oraz miasto Toruń z okolicą i włączono do prowincyi Prus Zachodnich.

Po roku 1815 już tylko jedną w granicach ziem polskich przeprowadzono zmianę; w roku 1846 włączono wolne miasto Kraków do Galicyi.

W ten sposób Rosya w 19 wieku swoje posiadłości polskie jeszcze powiększyła. Gdy — po usunięciu odrębności Królestwa Polskiego — jako do niej należny zaliczyła i obszar Królestwa, objęła ona cztery piąte obszaru dawnej Rzeczypospolitej

(nie licząc Kurlandyi). Pozostała jedna piąta część dostała się Austryi (1425 mil kwadratowych) i Prusom (1047 mil kwadratowych). Na Królestwo Polskie przypada mniej więcej jedna trzecia powierzchni dawnej Rzeczypospolitej, na Galicyę nieco więcej ponad jedną dziesiątą część.

Stosunki jednak ludnościowe przesuwały ciężar gatunkowy dzielnic nieco inaczej. W roku 1815 na obszarach dawnej Polski żyło około 16 milionów, z tego na Litwie i Rusi około 8 milionów, pod rządem pruskim przeszło 1½ miliona (w czem 1-3 Niemców), w Królestwie prawie 3 miliony, w Galicyi 3½ miliona. Gęstością zaludnienia górowała więc wówczas Galicya nad Królestwem, prawda, że z ludnością nie tak wyłącznie polską, jak w Królestwie. Dopiero w połowie wieku 19 ludność Królestwa zrównała się z ludnością Galicyi.

Warto dla przeglądu zestawić ludność tych ziem polskich przed wojną, według obliczeń z roku 1910: Litwa i Ruś 25 milionów; — Królestwo Polskie 12½ mioliona; — Galicya 8 milionów; — Poznańskie i Prusy Zachodnie 3 i cztery pąte miliona.

Stanisław Kutrzeba.

Miliard.

Wyraz „miliard“ coraz częściej obija się o nasze uszy. Państwa, które prowadziły wojnę, wydały krocie miliardów na pokrycie kosztów wojennych. A jednak nie zdajemy sobie sprawy z tego, jaka to ogromna suma. Wiemy tylko, że miliard — to jest tysiąc milionów. Nie mało roboty mielibyśmy z przeliczeniem tej sumy, gdybyśmy ją dostali, dużo kłopotu sprawiłoby nam dostarczenie tej sumy do domu, a sporo miejsca potrzebowalibyśmy na jej przechowanie.

Przypuśćmy, że ktoś ofiarował nam miliard w srebrze. Otóż miliard dolarów ważyłby coś około 5 milionów kilogramów. Trzebaby więc 5 ogromnych lokomotyw, aby koleją przewieźć tę sumę. Gdybyśmy ją następnie chcieli znieść worami do domu, musielibyśmy zamówić całą armię posługaczy, bo jeden człowiek nie może unieść więcej jak 100 kilogramów, a zatem aż 50 tysięcy ludzi musiałoby nieść srebro po jednym worze stukilogramowym.

A więc lepiej, gdyby tę sumę dostarczono w złocie, bo złoto ma większą wartość, a przeto ta sama suma w złocie ważyłaby znacznie mniej. Ale i w złocie miliard ważyłby przeszło 320 tysięcy kilogramów. I tu jeszcze byłoby trzeba 3,220 tragarzy, aby nam przynieśli do domu.

Wolelibyśmy może, aby nam miliard wypłacono w studolarowych banknotach, bo przecież jeden banknot studolarowy waży bardzo mało. A przecież i tak jeszcze banknoty te, przedstawiające miliard, ważyłyby 11 kilogramów i trzebaby 115 ludzi, aby je nam przynieśli do domu.

A więc należałoby te pieniądze zmienić na banknoty tysiąc dolarowe. Ale i tak miliard dolarów zaważyłby jeszcze około 1800 kilogramów, a potrzebaby jeszcze 18 ludzi, aby je mogli zanieść do domu.

A teraz należałoby je gdzieś schować. Naturalnie wszelkie pugilaresy byłyby za małe; więc spróbujmy z banknotów tych zrobić książki i ustawić. W takim razie mielibyśmy 2000 książek, zawierających po 500 kartek.

A teraz pytanie, jak długo musielibyśmy rachować 1 miliard, nie śpiąc i nie jedząc. 1 miliard potrzeba rachować bez przestanku 32 lat, 1 miesiąc, 24 dni, 1 godzinę, 46 minut i 40 sekund. Chłopiec dziesięcioletni, skończyłby rachować miliard, jakby miał przeszło 42 lat.

Widzimy więc, jaka to ogromna suma, a jednak są ludzie, co mają 1 lub kilka miliardów majątku i tych nazywają miliarderami. Nie zazdrośćmy im tego majątku; niejeden z nich przy swoich pieniądzach jest bardziej od nas nieszczęśliwy. Prawdziwym majątkiem jest czyste sumienie, uczciwa praca i grosz krwawą pracą zarobiony.

Historya maszyn do szycia.

Wynalazek maszyny doszycia należy do najpiękniejszych zdobyczy mechaniki. Początkowo usiłowano zbudować maszynę, któraby naśladowała ręczny sposób szycia, wkrótce jednak bezowocność usiłowań zmusiła wynalazców do zaniechania tej myśli i zajęcia się budową maszyny, szyjącej szwem odmiennym. Pierwsza próba zbudowania maszyny do szycia przedsięwziętą była w końcu 13 stulecia przez Tomasza Stona i Jamesa Hendersona, lecz dopiero Madersbergier wziął się dowcipniej do rzeczy i zbudował w roku 1814 maszynę z zaostrzoną na obu końcach i przedziurawioną w środku igłą, poruszającą się kolejno w kierunku górnym i dolnym. Działanie tej maszyny okazało się jednak zbyt powolnem i nie mogło zastąpić pracy ręcznej. Pierwszy dopiero Amerykanin Eliasz Howe wpadł na myśl zastosowania przyrządu, podobnego do czółenka tkackiego i po wielu próbach zbudował w roku 1850 pierwszą rzeczywiście praktyczną maszynę do szycia. Od wynalazku Howego datuje się też rozwinięcie na olbrzymią skalę przemysłu maszynowego w Ameryce. Po Howem wystąpił Singer, po nim Wilson, którego cicho i lekko idąca maszyna stała się wkrótce niezbędnem mebelkiem domowym, podczas gdy hałaśliwa maszyna Howego przeszła do fabryk i pracowni rzemieślniczych.

Ostatnie Sejmy 1818, 1820, 1825, 1830, 1831 r.

Dnia 27 listopada 1815 r. w dobie obrad i targów kongresowych nadał Aleksander I konstytucyę dla nowoutworzonego Królestwa Polskiego. Artykuł 31 tej konstytucyi, zapewniający Królestwu stałe przedstawicielstwo narodowe, brzmiał: „Naród Polski mieć będzie wiecznymi czasy reprezentacyę narodową w Sejmie złożonym z króla i z dwóch Izb, z której pierwsza składać się będzie z Senatu, druga z posłów i deputowanych od gmin". Sejm zwyczajny miał być zwołany co dwa lata i trwać dni trzydzieści. Posłom zapewniono nietykalność, obrady miały być publiczne.

Na zasadzie tej ustawy zwołano na dzień 27 marca 1818 r. do Warszawy pierwszy Sejm królestwa Kongresowego. Otwierając posiedzenie Sejmu, oświadczył Aleksander, iż zasady liberalne mają w nim gorącego zwolennika i ku zdumieniu całej Europy zapowiedział obdarowanie całej Rosyi ustrojem konstytucyjnym. Sejm obradował w atmosferze wielkich, acz nieco nieokreślonych nadziei. Nastrój posłów odpowiadał też w zupełności nastrojowi całego społeczeństwa, gdy wyrażali oni Aleksandrowi głęboką wdzięczność za wskrzeszenie Królestwa i nadanie mu karty konstytucyjnej. Nie było w izbie opozycyi zorganizowanej, nie było stronnictw politycznych. Obrady prowadzono w tonie umiarkowanym i wyrozumiałym, krytyka była spokojna i rzeczowa. Na Sejmie uchwalono: ustawę normalnego zorganizowania własności ziemskiej, słynne prawo hypoteczne i prawo o odroczeniu; pozatem wprowadzono pewne poprawki do kodeksu Napoleona i ustaniowiono prawną stopę procentwą. Nic więc dziwnego, że wobec tak owocnej pracy Aleksander rozpoczął swe orędzie zamykające Sejm od słów: „Usprawiedliwiliście moje oczekiwanie". Nie wyrzucał Izbie, iż odrzuciła projekt prawa o małżeństwie, chociaż zależało mu na jego przyjęciu, przeciwnie, stwierdzał, iż pragnieniem jego było usłyszenie „szczerego i zupełnego opinii publicznej wyrażenia". Wbrew atoli uchwale sejmowej diaryusz poddany został cenzurze Namiestnika, przyczem petycya i gorętsze przemówienia zostały mocno poobcinane. Sejm r. 1820 obradował już w innej atmosferze politycznej, niż poprzedni. Nadzieje z przed dwóch laty zbladły, a rozdwojenie między królem i rządem a społeczeństwem stawało się coraz widoczniejsze. Aleksander w mowie otwierającej Sejm nawoływał wprawdzie znowu posłów do szczerego wypowiedzenia się, ale jednocześnie zaznaczał, iż obowiązkiem rządu jest strzedz społeczeństwo „od szkodliwego wpływu namiętności, zawsze niespokojnych, zawsze ślepych," i zapowiedział, iż będzie „wykorzeniał zarody rozprzężenia, skoroby się tylko postrzegać dały". Pomimo jednak tej groźby monarchy, na sejmie wystąpiła ostro opozycya z oskarżeniami i żądaniami. Projekty rządowe podległy umiarkowanej wprawdzie, ale mocnej krytyce. Wszyscy sejmujący występowali gorąco przeciwko gwałceniu swobód, zapewnionych przez konstytucyę. Uchwalono wprawdzie dodatkowy przepis o przedłużeniu moratoryum i przepisy procedury wywłaszczania na użytek publiczny, odrzucono jednak projekt procedury karnej (opozycya żądała wprowadzenia sądów przysięgłych i jawności postępowania sądowego), oraz nowy statut organiczny dla senatu. To też Aleksander w mowie zamykającej sejm dał wyraz swemu niezadowoleniu, zrzucając na opozycy sejmową odpowiedzialność za niewypełnienie swych przyrzeczeń i zapowiedzi.

Bezpośrednio po zamknięciu sejmu udał się Aleksander na kongres do Opawy, gdzie całkowicie już i nieodwołalnie poddał się wpływom Metternicha i to do tego stopnia, iż twierdził, że armia rosyjska i austryacka to tylko dwie dywizye jednej wielkiej „armii porządku". Nic też dziwnego, że na skutek rad Nowosilcowa i Namiestnika sejm w r. 1822 wcale nie został zwołany, ze względu na niespokojny stan umysłów w społeczeństwie.

Dopiero w r. 1825 zdecydował się Aleksander na ponowne zwołanie sejmu, wydając jednak przedtem artykuł dodatkowy, znoszący jawność sejmowania, ponieważ „publiczne odbywanie narad w obu Izbach sejmowych, pobudzając mówców do powodowania się raczej chwilową wziętością, niż korzyścią rzeczy publicznej, zmieniło takowe narady w czcze deklamacye". W czasie obrad opozycya sejmowa milczała. Znaczną większością przyjęto wszystkie projekty rządowe, a mianowicie: ustawę tow. kredytowego ziemskiego, księgę I kodeksu cywilnego, czyli t. zw. Kodeks Cywilny Król. Polskiego, którym zastąpiono odnośną część kodeksu Napoleona, prawo o oczynszowaniu, oraz drobniejsze poprawki do praw istniejących. Całe obrady cechowała chęć usunięcia wszelkiego pretekstu, mogącego tłómaczyć niezadowolenie monarchy.

Wkrótce po zamknięciu Sejmu nastąpiła tajemnicza śmierć Aleksandra I. Nowy monarcha odrazu stanął na gruncie wyraźnie reakcyjnym. Znów przez lat pięć sejm nie był zwoływany, a w społeczeństwie tymczasem wzmagała się coraz bardziej opozycya, przejawiająca się w licznych stowarzyszeniach tajnych i spiskach. Orędzie królewskie, otwierające Sejm d. 28 maja 1830 r. miało jednakże ton życzliwy; Mikołaj tłómaczył się, iż zwłoka w zwołaniu sejmu nastąpiła z przyczyn niezależnych od jego woli. Pomimo to sejm zajął stanowisko wyraźnie opozycyjne. Uchwalono wprawdzie podatek na pomnik Aleksandra I, "Wskrzesiciela Ojczyzny" i szereg drobniejszych nowel prawodawczych, jednocześnie protestowano energicznie przeciw gwałtom, zadawanym konstytucyi. Petycye, uchwalone w liczbie przeszło stu, żądały między innemi jasności obrad sejmowych, zniesienia cenzury, zwoływania sejmu co dwa lata, zapewnienia wolności osobistej, zniesienia tajnych więzień, ułaskawienie Łukasińskiego i t. p. To też mowa królewska, zamykająca sejm, była krótka i chłodna. Mikołaj wyraził Izbie swe niezadowolenie zwłaszcza z powodu odrzucenia prawa rozwodowego.

Tymczasem zbliżała się burza; 29 listopada, akurat w pięć miesięcy po zamknięciu sejmu, nastąpił wybuch powstania. Gdy zaś natychmiast po wybuchu pojawiły się różne trudności, gdyż przedstawiciele różnych kierunków coraz namiętniej zwalczali się wzajemnie, Rząd Tymczasowy postanowił zwołać sejm, jako jedyną władzę uprawnioną. Jakoż 18 grudnia 1830 r. zebrał się Sejm pod laską Ostrowskiego, a pierwszą jego uchwałą było uznanie państwa za narodowe. Chłopicki, niezadowolony z tej uchwały, utrudniającej mu układy z Petersburgiem, złożył w ręce sejmu swoją dyktaturę. Pod wpływem wzburzenia, jakie ten obrót spraw wywołał, sejm zmuszony był prosić Chłopickiego, aby przyjął napowrót dyktaturę, na co ten się zgodził pod warunkiem, że Sejm natychmiast się zakończy. Jednak na skutek niepowodzenia swoich rokowań petersburskich, — Chłopicki znów złożył dyktaturę w ręce ponownie d. 19 stycznia 1831 r. zwołanego Sejmu. Odtąd Sejm trwał i dzierżył władzę najwyższą przez cały czas powstania. On wybierał członków Rządu Narodowego, oraz Naczelnego Wodza. Dnia 25 stycznia 1831 r. została przez Sejm powzięta uchwała, ogłaszająca detronizacyę Mikołaja. Odtąd wszystkie drogi do ewentualnego porozumienia z Rosyą zostały zerwane ostatecznie. Gdy w połowie sierpnia 1831 r. pod wpływem rozruchów, wywołanych przez Klub Towarzystwa Patryotycznego, Rząd Narodowy z ks. Adamem Czartoryskim na czele zmuszony był ustąpić, w Sejmie zwyciężyło stronnictwo skrajnych. Mianowicie rząd składający się z prezesa i sześciu ministrów; prezesem został jenerał Krukowiecki.

Powstanie tymczasem dogorywało. Po kapitulacyi Warszawy d. 8 wrześnią 1831 r. Sejm zebrał się poraz ostatni w Płocku, aby 26 września odrzucić ostatnie ultimatum P a s k i e w i c z a.

Od tego czasu nie zbierał się Sejm polski w Warszawie przez lat osiemdziesiąt osiem.

Księga Warchołów.

Na podstawie książki Wł. Konopczyńskiego podajemy wszystkich zrywaczy sejmów, tych historycznych warchołów, których nazwiska zostały zapisane do Czarnej księgi warcholstwa polskiego.

Ile sejmów zerwano?

Od r. 1582 do 1762 zerwano sejmów 53. Z nich pierwszych 11 spełzło na niczem przez intrygi opozycyi. Począwszy od 11-go słynne "liberum veto" stanęło już jako zaraza konstytucyjna i resztę sejmów unicestwili specyalni zrywacze.

Porządek zrywania był prawie zawsze następujący. Mocarstwo zagraniczne wynajmowało magnata, magnat wynajmował zrywacza.

Od czasów Sobieskiego niemal we wszystkich zrywaniach uczestniczyły Prusy, szczególnie ich pełnomocnicy Hoffman i Benoit. Na drugiem miejscu stanęła Rosya (12 sejmów) — pełnomocnicy Dołgorukowie i Bestużew. Na trzeciem Francya (10 sejmów).

Magnaci.

Potoccy mają na sumieniu 12 sejmów, Sapiechowie 8, inni magnaci mniej. Przy magnatach ustawiamy żydów. Samorządny Sejm żydowski, zwłaszcza za Sasów, przyczyniał się pocichu do zabijania Sejmu polskiego ogólną składką. Koszta operacyi wahały się odpowiednio do podaży i popytu, od 500 dukatów. Rosyanie dopłacali soboiami i kosztownymi futrami. Ważny Sejm z r. 1744 kosztował 40,000 talarów francuskich i 15,000 dukatów pruskich, Sejm warszawski z r. 1746 dukatów 7,000 itd.

Zrywacze.

Zrywaczów możemy podzielić na trzy kategorye: od Sicińskiego do Olizara, od Olizara do Dąbrowskiego i trzecia od ostatniego.

a) Władysław Siciński (poseł trocki) sługa Janusza Radziwiłła w dn. 9 marca, 1652 r. pierwszy otwarcie zerwał Sejm, ale Sejm przedłużony, więc w ścisłem znaczeniu nie zgodził się tylko na przedłużenie normalnego 6-cio tygodniowego Sejmu. Dalszymi następcami Sicińskiego byli z kolei: Białokłocki (p. pruski), Zabokrzycki (bracławski), Łoś (dobrzyński), Miaskowski (poznański), Łukomski (witebski), Dębicki (sandomierski).

b) Pierwszym zrywaczem Sejmu nieprolongowanego, był Adam Olizar (kijowski) na Sejmie koronacyjnym Michała Korybuta w r. 1668. Następcy Olizara — Zabokrzycki (bracławski), Grudziński (rawski), Ubysz (gostyński), Przyjemski (chełmiński).

c) Jeszcze przed obiorem marszałka zerwał Sejm

Dąbrowski (wileński) w r. 1688. Śladami Dąbrowskiego poszli: Szołkowski (wiłkomirski), Szumowski, Grabski i Iwański (łęczyccy), Horodyński (czernikowski), Pac (pisarz Litewski), Puzyna (starosta upicki), Korbut (orszański), Świdziński (rawski), Rostkowski (wiski), Ruciński (czerski), Michałowski (bracławski), Dłużewski (lubelski), Korsak (nowogrodzki), Marcinkiewicz (upicki), Hurgo i Ogiński (witebscy), Sapiecha i Burzyński (smoleńscy), Rudomina (bracławski), Lubienicki (czernichowski), Lilicz (rzerzycki), Kamiński i Jełowicki (wołyńscy), Orański (czernikowski), Jeżewski (płocki), Małachowski (krakowski), Butler (mielnicki), Trypolski (kijewski), Grodzicki (kaliski), Kuczyński i Kuszel (podlascy), Brzeziński (nurski), Gąsecki (bełski), Chołoniewski (bracławski), Guranowski (kijowski), Czeczot i Czarnecki (bracławscy), Wydźga (bełski), Świdziński, Chojecki (bracławscy), Morski (sochaczewski), Strawiński (starodubowski), Podhorski (wołyński), Leżeński (podolski). Szereg tych zrywaczy zakończył Szymakowski (ciechanowski) na Sejmie 1762 r., wynajęty jednocześnie przez Bruehla, Rosyę i Prusy.

Dzielnice.

Gdy rozpatrzymy dzielnice, zauważymy, że nie we wszystkich panował w równej mierze duch niezadowolenia i buntu. Z siedemdziesięciu kilku najgłośniejszych zrywaczy 33 szkodników wydała prowincya Małopolska z Rusią (sam Bracław 12). 28 wydała Litwa (sama Upita 4 a Wilno 3), a Wielkopolska tylko 12, z których 5 przypada na Mazowsze (rawskie 3, płockie 2 zrywaczów); Sieradzkie, Kujawy, ziemia Warszawska, Liwska, Zakroczymska, Łomżyńska, Wyszogrodzka — nie urodziły ani jednego.

Przy ostatnich wyborach, różnica tych dzielnic wykazała się jaskrawo. Gdzie swawola magnatów była mniejsza, jak np. w Wielkopolsce, gdzie nie było jej wcale, jak na Mazowszu, tam i swawola rozagitowanych warstw ludowych okazała się nierównie mniejsza. Mazowsze i Wielkopolska, z bardzo małym wyjątkiem, wydały posłów narodowych. Małopolska zaraziła się bolszewizmem, produkując takie chorobliwe formacye jak tugutowców i stapińczyków w lubelszczyźnie, w sandomierszczyźnie, południowej kielleczyźnie oraz w Galicyi.

Kto wynalazł szczepienie ospy?

Pierwsze szczepienie ospy ochronnej stosował dr. Jenner w r. 1796. A jednak już przed nim znany był ten środek ochronny. Oto bowiem, co pisze lady Montugue, literatka angielska z 18 stulecia, umarła w roku 1762: „Przeciw strasznej chorobie, grasującej w Europie i pochłaniającej liczne ofiary, Turcy zabezpieczają się w sposób wielce oryginalny, a mianowicie zapomocą limfy, zebranej z osób chorych na ospę, którą sobie zastrzykują. Operacyi tej dokonują stare kobiety, zajmujące się leczeniem chorych. Podczas lata, w dni najbardziej upalne, zbiera się kilkanaście osób, jedna z nich w łupinie orzecha przynosi limfę. Operatorka macza w niej igłę grubą, poczem przekłuwa arteryę, dowolnie wskazaną przez pacyenta. Maleńką ranę przewiązuje tasiemką. Każdy z pacyentów poddaje się kilku takim zastrzyknięciom. Następstwem operacyi takiej jest gorączka, pojawiająca się zwykle w osiem dni po zastrzyknięciu, na twarzy pokazują się zrzadka pryszcze ospowe, lecz prędko znikają, nie pozostawiając śladu. Zazwyczaj po dwóch dniach zastrzykiwanie sobie ospy wywiera zdziwienie. Poseł francuski, mówiąc o tem, odezwał się: „Dziwni ludzie ci Turcy. My uciekamy jak najdalej od ospy, a oni ją sobie w krew zapuszczają". Nie było wypadku, ażeby ktoś z ubezpieczonych w ten sposób przed ospą zapadł poważnie na tę chorobę. Widząc cudowne skutki zastrzykiwania sobie ospy, poddałam takiej operacyi mego małego synka" — kończy lady Montague swoje opowiadanie, zapisane pod datą: sierpień r. 1749. — Jener zaczął stosować swój sposób szczepienia ospy w 4 lat później.

Który kraj jest najbogatszy?

Ciekawą jest oficyalna statystyka, w której przedstawiono, w jaki sposób światowy zapas złota był rozdzielony pomiędzy wielkiemi państwami aż do 19 lipca r. 1919. Tablica tak się przedstawia:

	W złocie:	W banknotach:
Stany Zjedn.	4,528,000,000	12,496,000,000
Francya	5,556,000,000	34,977,000,000
Anglia	2,218,000,000	1,972,000,000
Japonia	3,528,000,000	4,357,000,000
Włochy	809,000,000	9,308,000,000
Rosya	3,000,000,000	450,332,000,000
Niemcy	1,393,000,000	37,272,000,000
Hiszpania	2,290,000,000	2,122,000,000

Cyfry tyczące Rosyi wymagają potwierdzenia. Atoli dwa fakty nie ulegają wątpliwości, że nieszczęsny kraj, dzięki bolszewikom, posiada największą masę banknotów na świecie, powtóre, że Rosya na początku wojny miała największy w świecie zapas złota. Obecnie najwięcej złota posiada Francya, po której dopiero idą Stany Zjednoczone, Japonia, Anglia. Gdy się jednak rozważy stosunek złota do papierowych pieniędzy — Anglia, która posiada więcej złota niż banknotów wysuwa się na czoło wszystkich innych państw. Poczem idzie Japonia ze swoimi 81 proc. złota na papiery i Hiszpania, a Niemcy i Rosya są na końcu.

Niektóre państwa zarobiły na wojnie ogromne sumy. I tak Stany Zjednoczone w czerwcu 1914 r. rzuciły incasso w złocie miliard franków, w tym roku mają już cztery i pół miliarda! Hiszpania zaś, która miał w złocie 543 milionów fr. w lipcu 1914 r. ma dziś prawie pięć razy więcej.

POLSKA W KOŃCU 1920 ROKU.

I. Przestrzeń i zaludnienie

	Przestrzeń w km. kw.			Ludność (według spisów z 1910 roku) w tysiącach			na 1 km.kw.przestrz.		
	Ziemie bezsporne i przyznane bez plebiscytu	Obszary plebiscytowe, tereny sporne i ziemie okupowane przez wojska polskie	Razem	Ziemie bezsporne i przyznane bez plebiscytu	Obszary plebiscytowe, tereny sporne i ziemie okupowane przez wojska polskie	Razem	Ziemie bezsp. i przyznane bez plebiscytu	Obsz. plebisc. ter. sporne i ziemie ok. przez wojska pols.	Razem
B. Zabór Austr.	25.158	57.640	82.798	2.693,2	5.895,3	8.588,5	107	102	104
B. Zabór Niem.	43.334	26.413	69.747	2.949,9	2.828,7	5.778,6	68	107	83
B. Zabór Rosyj.	128.119	169.970	298.089	12.602,8	7.411.0	20.013,8	98	43	67
Razem	196.611	254.023	450.634	18.245.9	16.135.0	34.380,9	93	63	76

II. Stosunki narodowościowe w Polsce.

(na podstawie obliczeń E. Maliszewskiego.)

a) Ziemie bezsporne i przyznane Polsce bez plebiscytu	Polaków		Niemców		Żydów		Ukraińców		Białorusinów		Czechów	
	w tysiąc.	w %	w tysiąc.	w %	w tysiąc.	w %	w tysiąc.	w %	w tysiąc.	w %	w tysiąc.	w %
B. Zabór Austr.	2.383,5	88,5	26,9	1,0	204,7	7,6	75,4	2,8	—	—	—	—
B. Zabór Niem.	1.868,2	63,0	1.039,2	35,2	38,0	1,3	—	—	—	—	—	—
B. Zabór Rosyj.	9.468,0	75,1	487,0	3,8	1.715,0	13,6	437,0	3,5	18,0	0,1	—	—
Razem	13.719,7	75,2	1.553,1	8,5	1.957,7	10,4	512,4	2,8	18,0	0,1	—	—
b) Obszary plebiscytowe, tereny sporne i ziemie okupowane przez wojska polskie												
Obszar plebiscyt. Śląska Cieszyńsk.	234,0	53,8	66,0	15,3	11,0	2,5	—	—	—	—	116,0	26,7
Obszar plebiscyt. Spisza i Orawy	104,0	84,2	14,0	10,8	—	—	—	—	—	—	—	—
Obszar plebiscyt. Górnego Śląska	1.265,0	64,3	656,0	33,5	18,0	0,8	—	—	—	—	—	—
Obszar plebiscyt. na Mazurach i Warmii	288,0	40,3	416,0	58,3	3,0	0,4	—	—	—	—	—	—
Galicya Wschod.	1.455,1	27,4	10,1	0,2	659,7	12,4	3.132.2	58,9	—	—	—	—
Okupowane ziemie wschodnie	2.120,0	28,6	126,0	1,7	963,0	13,0	1.645,0	22,2	2,401,0,	32,4	—	—

Ludność Rzeczypospolitej Polskiej.

Granice Rzeczypospolitej Polskiej nie są jeszcze dotąd ustalone, przeto dziś nie można określić ściśle ani jej przestrzeni, ani zaludnienia. Wśród dzielnic i prowincyi, które w całości lub częściowo będą należały do Polski, rozróżnić musimy dwie zasadnicze grupy:

Pierwsze, do której zaliczamy ziemie bezsprzecznie polskie i te, które zostały przyznane Polsce przez kongres pokojowy;

drugą, do której zaliczamy ziemie sporne, a więc przedewszystkiem ziemie, mające podlegać plebiscytowi, oraz tereny wschodnie, t. j. części Litwy, Białorusi i Ukrainy, obecnie okupowane przez wojska polskie i będące dziś pod zarządem Rzeczypospolitej.

Ziemie bezsprzecznie polskie, tereny plebiscytowe i obszary okupowane w obecnej chwili przez wojska polskie razem liczą 450½ tysięcy kilometrów kwadratowych przestrzeni, na której w r. 1910 mieszkało 34,380,900 osób.

Do obszarów bezsprzecznie polskich należy zaliczyć b. Królestwo Kongresowe bez litewskiej części Suwalszczyzny, b. obwód Białostocki, Galicyę Zachodnią, prawie cały Śląsk Cieszyński i przyznane Polsce traktatem pokojowym części księstwa Poznańskiego, oraz Górnego Śląska i Prus Zachodnich. Ziemie te obejmują przestrzeń przeszło 196½ tysięcy kilometrów kwadratowych i były zamieszkane przed wojną przez 18 milionów osób.

Do obszarów plebiscytowych i spornych należy zaliczyć większą część Górnego Śląska, części ks. Cieszyńskiego, Spisza i Orawy, Mazury i Warmię, oraz Galicyę Wschodnią. Ziemie te liczą 84,053 kilometrów kwadratowych przestrzeni i były zamieszkane w 1910 r. przez 8,724,000 mieszkańców.

Części Litwy, Białorusi i Ukrainy, okupowane dzisiaj przez wojska polskie wynoszą prawie 170 tysięcy kilometrów kwadratowych przestrzeni i były zamieszkane w 1910 r. przez 7,411,000 mieszkańców.

Ludność Rzeczypospolitej zamieszkuje poszczególnie dzielnice bardzo nierównomiernie. W jednych skupienie ludności na małej przestrzeni jest bardzo znaczne, w innych przeciwnie. Największą **gęstość zaludnienia** posiada w Polsce Śląsk Cieszyński, liczy bowiem 196 mieszkańców na 1 km. i Śląsk Górny — 167 mieszkańców na 1 km. Gęstość zaludnienia b. Królestwa Kongresowego i Galicyi wynosi — 102 mieszkańców na 1 km., ks. Poznańskiego — 72, Prus Królewskich — 67. Zresztą w b. Królestwie Kongresowem są przemysłowe powiaty o gęstości zaludnienia przewyższającej gęstość zaludnienia Śląska.

Pod względem **liczby mieszkańców** Polska zajmuje miejsce w szeregu największych państw Europy. Większe niż Polska zaludnienie mają w Europie: Niemcy — 57 milionów, Wielka Brytania i Irlandya — 45 milionów, Francya 41 milionów i Włochy — 35 milionów. Wszystkie inne państwa europejskie posiadają o wiele mniej liczną ludność niż Polska.

O ile będziemy porównywali dzisiejsze zaludnienie Polski z **jej zaludnieniem przed stu laty**, to przekonamy się, że ludność Polski powiększyła się w tym czasie przeszło trzykrotnie. Pod tym względem wzrost ludności w Polsce jest o wiele szybszy niż w innych krajach europejskich: naprzykład w Niemczech za ostatnie sto lat ludność wzrosła 2.5 razy, w Szwecyi — 2.3 razy, we Włoszech — 1,8 razy, w Hiszpanii — 1,6 razy, we Francyi — 1,4 razy. Jedynie w Anglii ludność powiększyła się znaczniej niż w Polsce, gdyż wzrosła w ciągu XIX wieku prawie 3½ razy.

Wzrost ludności w Polsce odbywał się w ciągu ostatniego stulecia bardzo nierównomiernie. W pierwszej połowie XIX wieku podstawą życia gospodarczego kraju było rolnictwo, przeto ludność głównie wzrastała w okolicach słabo zaludnionych, gdyż tam tylko można było znaleźć warsztat pracy i utrzymanie dla przybywających mieszkańców. Potężny rozwój gospodarki kapitalistycznej i wielkiego przemysłu na kontynencie europejskim, w drugiej połowie ubiegłego stulecia począł wywierać coraz to większy wpływ na ukształtowanie stosunków gospodarczych w Polsce. Rolnictwo poczęło i u nas tracić rolę jedynej podstawy życia ekonomicznego, zjawiły się ośrodki wielkiego przemysłu fabrycznego, które gdzieniegdzie poczęły zmierzać nawet do stanowczej przewagi nad innemi dziedzinami działalności gospodarczej. W wyniku tych zmian w drugiej połowie XIX wieku, jako powszechne zjawisko, stwierdzić należy, że najsilniejszy wzrost ludności ma miejsce w najbardziej uprzemysłowionych okolicach, jak Śląsk Górny i Cieszyński, Zagłębie Dąbrowskie i okręgi przemysłu Łódzkiego i Warszawskiego. Jasną jest rzeczą, że powyższym procesom towarzyszy wzrost skupień miejskich, jako ośrodków życia fabrycznego i przemysłowego. Ludność miejska przed wojną stanowiła w Polsce przeszło czwartą część ogółu mieszkańców.

Niezwykle szybki wzrost ludności w Polsce w okresie ogromnie niepomyślnych warunków dla rozwoju gospodarczego niektórych jej dzielnic gdzie-

niegdzie znacznie wyprzedzał rozwój przemysłu. Było to źródłem stałej nadwyżki ludności nad ilością mogących znaleźć w kraju warsztat pracy. Zjawiła się konieczność szukania pracy na obczyźnie, jako skutek tego przeludnienia. Powstałe w ten sposób wychodźtwo w ostatnich dziesięcioleciach dotyczyło przeważnie okręgów rolniczych — o mało rozwiniętem życiu przemysłowem, gdyż tam jedynie można mówić o nadmiarze sił ludzkich i o większej podaży rąk roboczych, niż to można zużytkować. W okolicach przemysłowych o wychodźtwie niema mowy. Ilość wychodźców z Polski w ostatnim czasie przed wojną stale wzrastała: w latach 1901 — 1910 wyemigrowało z Galicyi prawie pół miliona ludzi, z zaboru rosyjskiego zaś tylko do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej przeszło 400 tysięcy Polaków.

Prócz stałego wychodźtwa zarobkowego w ostatnich latach w Polsce rozwinęła się **emigracya sezonowa** — do Niemiec, Francyi, Szwecyi, Danii. O rozmiarach jej dostatecznie świadczy fakt, że do samych tylko Prus rocznie emigrowało z Królestwa Kongresowego i z Galicyi przeszło 300 tysięcy Polaków.

W gospodarce społecznej kraju niewątpliwie społeczeństwo posiada znaczenie czynnika pierwszej wagi, gdyż jest ono przedewszystkiem podstawą i źródłem pracy. Pod tym względem należy zastanowić się nad budową wewnętrzną społeczeństwa, a przedewszystkiem nad **podziałem ludności według płci i według kategoryi wieku.** Mniejsza lub większa przewaga męskiej ludności oraz ludności w wieku produktywnym (od 15-tu do 60-ciu lat) stanowi o powiększeniu lub zmniejszeniu gospodarczej siły społeczeństwa.

W Polsce ustosunkowanie liczbowe obu płci ujawnia pewne różnice jedynie pomiędzy częścią Królestwa Kongresowego, a pozostałemi dzielnicami: na ziemiach byłego zaboru niemieckiego i w Galicyi wszędzie przeważała liczba kobiet; w Królestwie Kongresowem kobiet jest więcej niż mężczyzn tylko w byłych guberniach Kaliskiej, Kieleckiej, Piotrkowskiej i Płockiej, przytem przewaga ta jest nieznaczną, — w pozostałych zaś częściach byłej Kongresówki wszędzie przeważa liczba mężczyzn.

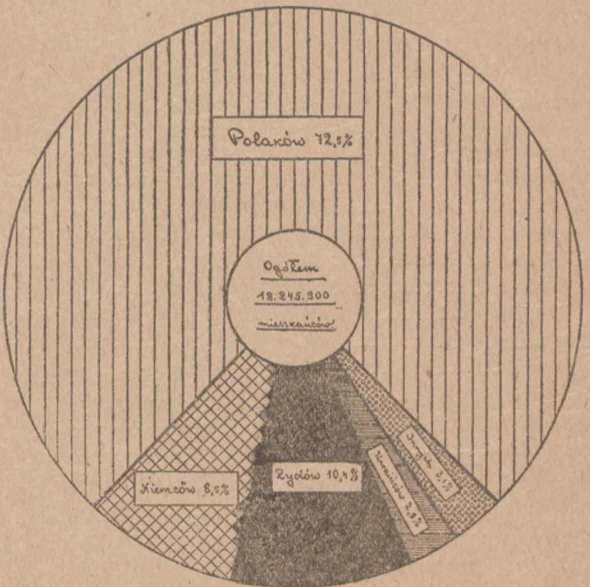
Co się tyczy odsetka, jaki stanowi wśród ogółu mieszkańców ludność w wieku produkcyjnym, to w poszczególnych dzielnicach Polski waha się on pomiędzy 51 a 56 procent. Odsetek ten jest niższy w Polsce niż w innych krajach europejskich, wobec większej śmiertelności, a głównie skutkiem znacznych rozmiarów wychodźtwa, które obejmuje przeważnie ludność w wieku produkcyjnym.

Stosownie do różnorodnej działalności gospodarczej poszczególnych dzielnic Polski zachodzą różnice w podziale ludności każdej dzielnicy na zasadnicze **ugrupowanie zawodowe.**

Ogólnie w Polsce przeważa grupa zatrudnionych w górnictwie: w Galicyi wynosi ona 82 proc., w byłem Królestwie Kongresowem 65 proc., w dzielnicach byłego zaboru niemieckiego 55 procent. Grupa zatrudnionych w przemyśle największą jest w dzielnicach byłego zaboru niemieckiego — sięga ona tu 35 procent wówczas, gdy byłem w Królestwie Kongresowem wynosi tylko 26 procent, a w Galicyi zaledwie dochodzi do 8½ procent.

Handel zatrudnia w ziemiach byłego zaboru niemieckiego 10 procent, w byłem Królestwie Kongresowem niespełna 8½ i w Galicyi 9½ procent.

Pomijając bardziej szczegółowe rozpatrzenie układu zawodowego ludności poszczególnych prowincyi i dzielnic Polski, należy zaznaczyć, że na terenie Górnego Śląska, na Śląsku Cieszyńskim oraz w fabrycznych kręgach byłego Królestwa Kongresowego, rozwój przemysłu zepchnął rolnictwo do rzędu czynnika wtórnego.



Stosunki narodowościowe w Polsce.
(Ziemie bezsporne i przyznane bez plebiscytu).

Stosunki narodowościowe Rzeczypospolitej Polskiej charakteryzuje zwarte skupienie żywiołu polskiego, w który wkraczają mniej lub więcej licznie inne grupy narodowościowe.

Najliczniejszą taką grupą jest żydowska, stanowiąca przeszło 10 procent ogółu ludności.

Ludność żydowska mieszka przeważnie w miastach. Największy odsetek ogółu ludności żydzi stanowią w ziemiach byłego zaboru rosyjskiego: na terenie byłego Królestwa Kongresowego wynosi on przeszło 13 procent, w obwodzie Białostockim zaś nawet 21 procent.

W Galicyi Zachodniej żydzi stanowią przeszło 7½ procent. W ziemiach byłego zaboru niemieckiego oraz na Śląsku Ciezsyńskim odsetek żydów jest nieznaczny.

Na ziemiach byłego zaboru niemieckiego znaczny odsetek stanowią Niemcy. Ogółem na obszarach z pod zaboru niemieckiego przyznanych Polsce traktatem pokojowym bez plebiscytu Niemcy stanowią od 30 do 40 procent ogółu mieszkańców; na terenie plebiscytowym w Mazurach i Warmii Niemcy stanowią 58 procent, na Górnym Śląsku 33 procent, na

Śląsku Cieszyńskim 15 procent. W byłem Królestwie Kongresowem liczba Niemców nie przekracza 4 procent, w pozostałych zaś dzielnicach Polski odsetek niemców jest zupełnie nieznaczny.

Ukraińcy stanowią 2 procent ogółu ludności w byłem Królestwie Kongresowem, 2.8 procent w Galicyi Zachodniej, 13 procent w obwodzie Białostockim i 58.9 procent w Galicyi Wschodniej.

Inne grupy narodowościowe są liczne jedynie na ziemiach litewskich, białoruskich i ukraińskich, których części są dzisiaj okupowane przez wojska polskie.

Znaczniejsze miasta w Polsce

	Liczba mieszkańców w roku 1910 w tysiącach		Liczba mieszkańców w roku 1910 w tysiącach
Warszawa	1.022	Grudziądz	40
Łódź	416	Żyrardów	40
Lwów	206	Pabianice	39
Wilno	193	Piotrków	39
Poznań	157	Racibórz	38
Kraków	152	Tarnów	37
Sosnowiec	90	Drohobycz	35
Białystok	86	Włocławek	35
Częstochowa	74	Opole	34
Huta Królewska	73	Tarnopol	34
Bytom	68	Stanisławów	33
Gliwice	67	Kielce	32
Grodno	66	Płock	31
Lublin	64	Stryj	31
Zabrze	63	Nissa	30
Radogoszcz	59	Kromołów	29
Bydgoszcz	58	Łomża	28
Brześć Litewski	57	Tomaszów	28
Przemyśl	54	Zaborze	27
Kalisz	51	Inowrocław	26
Będzin	50	Piła	26
Radom	49	Gniezno	25
Toruń	46	Nowy Sącz	25
Dąbrowa	45	Olkusko Siewierska	25
Katowice	43	Suwałki	25
Kołomyja	43		

GĘSTOŚĆ ZALUDNIENIA POSZCZEGÓLNYCH DZIELNIC RZECZYPOSPOLITEJ.

	Mieszkańców na 1 km.
Królestwo Kongresowe	101
Galicya Zachodnia	116
Śląsk Cieszyński	196
Ks. Poznańskie i Prusy Król.	69
Śląsk Górny	167

JAKŻE NAM PILNO!

Jakże nam pilno, ach, jak widzieć pilno
Kraków, Warszawę, Poznań, Lwów i Wilno!
Boso do świętych podążyć pamiątek,
Wielbiąc miłośnie każdy drogi kątek.

Uśmiecha nam się jak radość niebiańska
Droga wiślana z Krakowa do Gdańska!
Po drodze Kaźmierz, po drodze Warszawa,
I na Toruniu oko chętnie stawa...

A gdy się dusza nasyci aż do dna,
Praca na roli czeka nas pogodna,
Patrząc na łąki, na pól źrałe kłosy,
Ujmiemy sierpy, zamaszyste kosy.

I wznosząc głowę od czasu do czasu
Do niebios jasnych od bliskiego lasu,
Chwalić będziemy życia wielką sprawę
Na Ziemi Polskiej i słońce łaskawe...

Józef Ruffer.

SZUMI BŁĘKITNE MORZE...

Edward Słoński.

Wiersz ten był odczytany podczas uroczystego obiadu w Pucku, d. 10 b. m.

Szumi błękitne morze
bije skroś śnieg i szron:
— Skąd wy, żołnierze mili,
z jakich idziecie stron? —

— Od Polski my tu przyszli,
od Karpat i od Tatr,
choć w drodze wiał nam w oczy
od Sprewy ostry wiatr!

— Od Polski my tu przyszli
sam Bóg nas dobry strzegł,
a płowa Wisła wiodła
na twój ojczysty brzeg! —

Huczy wzburzone morze,
rozbija się u tam:
— Czemuż was nie przywiodła
do starych Gdańska bram? —

Jak piorun, na bagnetach
lutowe słońce drży:
— Do Gdańska z Polski mogą
dopłynąć tylko kry!

Zerwał się wiatr od morza
skoczył na brzeg, jak lew:
— Popłynie jeszcze Wisłą
do morza żywa krew!

10 luty 1920 r. w Pucku.

Dwojakie wychowanie odbiera każdy człowiek: jedno dają mu inni, oraz wyniki życiowe, drugie ważniejsze daje sobie sam.

Sejm — jako zwierciadło narodowej woli.

Jeśli teatr jest zwierciadłem obyczajów w narodzie, a literatura zwierciadłem narodowego ducha i umysłu, to sejm — jest zwierciadłem narodowej woli. Prace sejmu są zwykle odbiciem wiernem politycznego życia narodu, są odbiciem tego, co naród jako taki pragnie, co czyni i co czynić zamierza. Sejm powołany drogą wyborów powszechnych — to mały naród w narodzie, to, jeśli się tak można wyrazić, naród skondensowany, to oblicze narodowej woli. Sejm — to głowa narodu, to władza najwyższa, to najwyższe prawo.

Atoli w Polsce, w dobie przedrozbiorowej, zgodnie zresztą z duchem owych odległych czasów — sejmy nie były odbiciem woli całego narodu. Składając się wyłącznie z przedstawicieli klas uprzywilejowanych — dawały one wyraz pragnieniom i dążeniom szlachty, pozostawiając natomiast na uboczu interesa szerokich mas ludowych.

Siłą rzeczy, sejmy tedy w Rzeczypospolitej polskiej były szlacheckie, a jako takie, sprzyjały zwiększeniu swobód obywatelskich jednej klasy społecznej kosztem innej. Obywatelem Rzeczypospolitej był tylko szlachcic — i tylko szlachcic żył politycznie, i cieszył się wszelkimi przywilejami wolności. I to było najzgubniejsze. Bowiem nadmierna i źle pojęta wola jednej warstwy społecznej — sprowadzała samowolę jednostki. A w takich warunkach nie mogło być mowy o skoordynowanej woli narodowej, tembardziej, że ogół szlachecki żył maksymą, że Polska „nierządem stoi".

Szlachta tedy rozmiłowana w „źrenicy wolności" swojej, w „liberum veto" — miała w tem ostatniem broń niezawodną przeciwko wszelkim zakusom uszczuplenia swej nieograniczonej władzy.

Sejmy były dokładnem odbiciem tego przerostu źle pojętej wolności, były odbiciem tego nadmiaru szlachecko-sarmackiego animuszu i temperamentu.

Ogół szlachecki namiętnie lubił rajcować po sejmach i sejmikach, lubił te huczne zjazdy, coraz częściej, niestety, utożsamiane z miejscem rozrywek, burd i libacyi. Stąd wypływało, że brać szlachecka coraz częściej poczynała ku szkodzie sprawy publicznej służyć prywacie, i coraz częściej, jakiś panbrat szlachcic o tępym łbie — zrywał obrady sejmome warcholskim okrzykiem: Veto!

I nic to, że najlepsi w narodzie mężowie, że najtęższe głowy, że najbardziej miłujące Ojczyznę serca, prawie że od zarania polskich dziejów wołali kolejno o opamiętanie, że gromili warcholstwo, że przyzywali do poprawy, że błagali, klęli, szydzili.

I nic to, że Orzechowski w przystępie jasnowidzenia wołał: „Ukaż mi jedną rzecz najmniejszą, którąby nam pewnego upadku nie obiecowała!"

I nic to, że Łukasz Opaliński oburzał: „ Na sejmie każdemu wolno zgubić Ojczyznę!"

I nic to, że Skarga, natchniony „dusz tyran", w swojem szóstem kazaniu sejmowem, wolność szlachecką „dyabelską" i „piekielną" nazywa, nic to, Potocki w patryotycznym uniesieniu układał następujące strofy:

Apetytem wolności zbytniej oślepieni
Lecą w ubóstwo, lecą w niewolę, szaleni"
„Jokoż zabiegać, kiedy rwą sejm po sejmie?
Kogo chce skarać, wprzód mu Bóg rozum
[odejmie!"

I nic to, że Stanisław Konarski smutnie zadumany o „skutecznym rad sposobie" zwracał się do szlachty ze słowami pełnemi głębokiej prawdy: „Gdy sejmy niszczeją, wszystko niszczeć musi i niszczeje; co w ciele dusza, to są Rzeczypospolitej sejmy, co ciało bez duszy, to Rzeczpospolita bez sejmów!"

Nic nie pomogły wołania i prorocze ostrzeżenia najlepszych w narodzie ludzi. Szlachta była ślepa i głucha. Sejmy istotnie „niszczyły" w sposób zatrważający, z miejsca obrad o sprawach Ojczyzny, stawały się miejscem kłótni, swawoli i bijatyki.— Zamiast być zwierciadłem narodowego czynu, były zwierciadłem narodowego rozkładu, nie budowały — lecz niszczyły nawy państwowej fundamenty.

Stąd płynęło, że historya polska coraz częściej musiała notować takie przeklętej pamięci sejmy, jak sejm roku 1773 pod laską zdrajcy Ponińskiego, który to sejm zmusił Staszica rzucić w oczy narodowi takie męką nabrzmiałe słowa: „Jaka boleść tu ściska serce moje, gdy sobie przypominam, że urodziłem się Polakiem! Szlachta ulękła się więcej groźby śmierci, niżeli sromotnej hańby!"

Na szczęście, Polska obok Ponińskich wydała także i Rejtanów, obok Targowicy — Konstytucyę 3 Maja.

Sejm czteroletni był koroną wszystkich sejmów polskich, był ekspiacyą za grzechy przeszłości. Ale było już zapóźno. Gmach państwowości polskiej rozsypał się w gruzy.

„Musiałeś upaść nieszczęśliwy narodzie! — powiada Kołłątaj — Zachowuj wdzięcznie pamięć czy-

nów sejmu konstytucyjnego, który zgon twój przez szlachetne usiłowania rozumu, cnoty i prawdziwej miłości Ojczyzny uzacnił!"

Przeszło sto lat naród polski był pozbawiony własnego sejmu. I oto dziś, jak człowiek, który powstaje z łoża po długiej chorobie — naród polski ujrzy swoje oblicze w odbiciu Sejmowego Zwierciadła, oblicze blade i wycieńczone niewolą i długim bezwładem, w ciągu którego tak wiele zaszło zmian zasadniczych.

Sejm obecny ma dowieść, że naród „nie zagubił pamięci czynów sejmu kosntytucyjnego", że według słów Kołłątajowych „człowiek i jego bezpieczeństwo, obywatel i jego szczęśliwość, ojczyzna i jej całość —będą jedynem prawidłem jego robót".

Wierzymy wszyscy, że sejm obecny tego dowiedzie. I dlatego z całą ufnością i dumą zwracam się do Was posłowie, ze wszystkich Ziem Polskich przybyłych, słowami Trembeckiego:

„Mądry Polak po szkodzie, — już były te szkody!
Dziś na nas obrócony wzrok mają narody:
Lub nas rządnych, przezornych, czynny świat [pochwalił,
Lub nad chcącymi ginąć nikt się nie użalił!
Nigdy dobrańszych posłów nie miała Warszawa:
Ich cel! — Ojczyzny dobro, ich nagroda — Sława!"

Xawery Glinka.

Zagłoba Zdobywa Sztandar.

Gdy husarya ruszyła naprzód, pan Zagłoba, choć oddech miał krótki i tłoku nie lubił, skoczył przecie z innymi, bo zresztą i nie mógł inaczej uczynić, bez narażenia się na stratowanie. Leciał tedy, przymknąwszy oczy, a w głowie latały mu z błyskawiczną szybkością myśli: „Na nic fortele! na nic fortele! głupi wygrywa, mądry ginie!" Potem ogarnęła go złość na wojnę, na kozaków, na husarzy i na wszystkich w świecie. Zaczął kląć — i modlić się. Powietrze świszczało mu w uszach, tamowało oddech w piersi — nagle uderzył się o coś koniem, poczuł opór, więc otworzył oczy — i cóż ujrzał: oto kosy, szable, cepy, mnóstwo rozpalonych twarzy, oczu, wąsów, a wszystko to niewyraźne, niewiadomo czyje, wszystko drgające, skaczące, wściekłe. Wtedy porwała go ostatnia pasya na tych nieprzyjaciół że nie uciekli do dyabła, lecz leźli w oczy i zmuszali go do bitwy. „Chcecie, to macie!" — pomyślał — i począł ciąć na ślepo na wszystkie strony. Czasem przecinał powietrze, a czasem czuł, iż ostrze mu grzęźnie w coś miękkiego. Jednocześnie czuł, że żyje jeszcze i to dodawało mu nadzwyczajnie otuchy.

— Bij! zabij! — ryczał, jak bawół.

Nakoniec owe wściekłe twarze znikły mu z oczu, a natomiast ujrzał mnóstwo pleców, wierzchów od czapek, a krzyki mało mu uszu nie rozdarły.

— Zmykają? — przemknęło mu przez głowę. — Tak jest!

Wtedy odwaga wezbrała w nim bez miary.

— Złodzieje! — krzyknął. — Tak to Polakom stawacie!

I skoczył między uciekających, minął wielu i zmieszawszy się w gęstwinie, z większą już przytomnością pracować począł. Tymczasem towarzysze jego przyparli nożowców do brzegów Słuczy, porosłych dość gęsto drzewami i gnali ich wzdłuż brzegu groblami, nikogo żywcem nie biorąc, bo czasu nie stawało.

Nagle pan Zagłoba poczuł, że koń poczyna się pod nim rozpierać, a jednocześnie spadało nań coś cieężkiego i obwinęło mu całą głowę, tak, iż otoczyła go ciemność zupełna.

—Mości panowie! ratujcie! — krzyknął, bijąc piętami konia.

Rumak jednak, widocznie znużony ciężarem jeźdźca, jęczał tylko i stał na miejscu.

Pan Zagłoba słyszał wrzask, krzyki przelatujących koło siebie jeźdźców, potem cały ten huragan przeleciał i naokół nastała względna cisza. Znowu myśli tak szybkie, jak strzały tatarskie, poczęły mknąć przez jego głowę.

—Co jest? co się stało? Jezus Marya! wzięto mnie w niewolę!

I na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu. Widocznie owinięto mu głowę, tak samo jak niegdyś Bohunowi. Ten ciężar, który czuje na ramieniu — to dłoń hajdamacka. Ale czegóż go nie prowadzą lub nie zabijają? czemu stoi na miejscu?

— Puszczaj! — krzyknął wreszcie przyduszonym gołsem.

Milczenie.

— Puszczaj daruję cię zdrowiem.

Żadnej odpowiedzi.

Pan Zagłoba raz jeszcze uderzył piętami w boki konia, ale znowu bez skutku.

Zatknięte bydlę rozkroczyło się jeszcze szerzej i stało w miejscu.

Wówczas ostatnia pasya pochwyciła nieszczęsnego jeńca i dobywszy noża z pochwy, wiszącej mu na brzuchu, dał straszne pchnięcie w tył za siebie.

Ale nóż przeszył tylko powietrze.

Wtedy Zagłoba porwał obu rękami za ową zasłonę obwijającą mu głowę i zerwał w mgnieniu oka.

— Co to jest?

Hajdamaków niema. Naokół pusto. Zdala tylko widać w dymie przelatujących krasnych dragonów Wołodyjowskiego, a o kilkanaście staj dalej migocą zbroje husarzy, którzy gnają resztki niedobitków, zawracając je z pola ku wodzie.

Natomiast u nóg pana Zagłoby leży pułkowa chorągiew zaporoska. Widocznie uciekający kozak cisnął ją tak, że drzewcem wsparła się na ramieniu pana Zagłoby, a płachtą pokryła mu głowę.

Henryk Sienkiewicz.

Na Uczczenie Otwarcia Sejmu Polskiego.

Stanął przed nami dzisiaj sen wiekowy
Najśmielszą myślą zaledwie marzący:
Trójcy szatanów zwaliły się trony
A ku nam powiał jakiś wiew majowy,
Przed którym czoła uchyli człek wszelki...
Czy słyszysz, Polsko!... to nasz Sejm, Sejm Wielki!

W tych dwu wyrazach, co jak śpiewające
Harfy nad naszą zadzwoniły glebą,
Zda się, że całe rozwarło się niebo,
Jakieś ogromnie zażegło się słońce
I rozwinęła się gwiazd mleczna droga
A o pierś Polski trąciła pierś Boga!

Święte dotknięcie!... niechże będzie święta
Praca narodu... Zniknął krzyż Golgoty — —
Pamiętaj, Polsko, żeś jest wniebowzięta,
że ponad Tobą stoi Anioł złoty,
że wielkie „stań się!“ nad światem zagrzmiało,
Marzenie wieku dziś ciałem się stało —

Precz się rozwiały niewoli sny czarne,
Zamknięto wrota do cierpień Ogrojców
Zda się, że słyszę, jak mogiły ojców
Drżą dreszczem świętym; jak prochy ofiarne,
Dzwoniące niegdyś więzień kajdanami,
Wołają ku nam: — „My z wami! my z wami!“

O, święta chwilo, gdy z anioły zbratan
Duch wyzwolony o drzwi niebios trąca —
O, święta chwilo, miłowaniem drżąca,
Którejby zmącić nie śmiał nawet szatan,
Co kwitów śnieżnych opluwa powoje...
Bo i on nawet kocha Piekło swoje!

Krew święci tryumf i duch apostolski,
Który nie zgnębion katuszy ogromem,
Niósł na sztandarze święte imię Polski,
Sto lat powiewał nad niewoli domem
I — zaprzeczony — grzał hymnów szelestem
— „Nie zabijecie! oto żywy jestem!“

Lecz nie dość krzyku! na wieniec z wawrzynu.
Potrzeba czekać nieraz długie lata — —
By znowu wkuć się w złoty pierścień świata,
Wejść w prawo życia trzeba czynu, czynu
I nieskalanych rąk do pracy wszelkiej,
Ofiary wielkiej i miłości wielkiej!

Oto otwarto sejmowe wierzeje,
Wybrańcy ludu zapełniają ławy. —
Droga szeroka do szczęścia do sławy,
Tworzą się nowej Polski nowe dzieje —
Dreszcz czuję... To drżą piersi nasze krwawe...
Ave, Ojczyzno nasza!... Polsko — ave!

Bądź pozdrowiona tą mową milczenia,
Które grom tworzy. — Patrzy Polska macierz
Na Was, wybrańcy ludu!... Z Jej imienia
Myśmy zrobili nasz ostatni pacierz,
Który nam niebo i piekło otwierał — —
Człek z tym pacierzem żył i z nim — umierał!

Na Was, Posłowie! obrócone oczy
Polski i świata... My patrzym bez trwogi,
Wierząc, że rydwan dziejów się potoczy
Chwały gościńcem i nie zejdzie z drogi
Wytkniętej przez Was na tym pierwszym sejmie —
że co przeszłość objęła i przyszłość obejmie!

Dziś z śmiertelnego powstała spowicia
Ta matka nasza, owa „święta“ nasza!...
Dziś już męczeństwo krzyża nie zastrasza,
Wołania wielkie słychać! „życia, życia!“
Słowami Lewi, co, jak grad, spadają,
Wołają żywi i umarli wołają!...

Pokłon Wam, Bracia, z nad Wisły i Warty
I z nad niemeńskich umęczonych brzegów!
Pokłon Wam, coście nie przyszli z szeregów
Krwawego Lwowa na ten Sejm otwarty —
Pokłon ci ludu Piastowy, siermiężny,
Wielką miłością Ojczyzny — potężny!

Nie zapominaj, żeś Ty solą ziemi.
Nie zapominaj, że dziś w Twoim ręku
Jest przyszłość Polski. Ty granitowemi
Dłońmi ją dźwigniesz bez trwogi, bez lęku,
że gromy nowe w krwawą Jej pierś trzasną
Ty ją zawiedziesz w przyszłość wielką, jasną!

Nie zaśpiewamy już: "Z dymem pożarów"
Lecz: „Z wonią kwiatów wróconej wolności“ — —
Hymn uwielbienia, wielki hymn radości
Zabrzmi wśród Polski złączonych obszarów,
Nad które wionie dumny, pełen chwały.
Strząśnie ziemi pył — nasz Orzeł Biały,

Płyń ptaku srebrny wśród gromów okrzyku,
Przez bory Litwy, łany nieobłężne —
Rozwiń ramiona od Tatr do Bałtyku,
Przyjm miłościwie pod swe skrzydła śnieżne
Ludy, co w twoich piór posłyszą chrzęście
Zew:—„Przyjdźcie do mnie po wolność, po szczęście!“

Kazimierz Gliński.

PIERWSZY SEJM.

Dnia 9 lutego 1919 roku został uroczyście otwarty Sejm konstytucyjny Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej. Od roku 1831, od chwili tragicznej, gdy posłowie Królestwa Kongresowego musieli iść na tułaczkę, pokolenia tęskniące do wolności wyobrażały sobie dzień wskrzeszenia Sejmu, jako święto ważniejsze od świąt całej przeszłości, jako Święto Odrodzenia. I oto dzień wyśniony nadszedł. Józefowi Piłsudskiemu, naczelnikowi Państwa przypadł zaszczyt otworzenia po uroczystem nabożeństwie w katedrze świętojańskiej pierwszego posiedzenia Wysokiej Izby w gmachu dawnego Instytutu Maryjskiego. W orędziu inauguracyjnem Naczelnik Państwa powiedział: „Posłowie obdarzeni zaufaniem narodu dać mu macie podstawy dla jego niepodległego życia w postaci prawa Konstytucyjnego Rzeczypospolitej Polskiej: Na tej podstawie utworzycie rząd, oparty o prawa, przez wybrańców narodu ustanowione. Prawa przez was uchwalone będą początkiem nowego życia wolnej i zjednoczonej Ojczyzny".

W myśl wyłożonego wyżej programu Sejm przystąpił do pracy. Na drugiem z kolei posiedzeniu uchwalono regulamin i obrano Marszałka. Został nim Wojciech Trąmpczyński, znakomity działacz społeczny, adwokat i notaryusz z Poznania. Działalność swoją publiczną rozpoczął on w Poznańskiej Radzie Miejskiej. W r. 1910 został wybrany na posła w sejmie pruskim, a w dwa lata później wszedł do parlamentu Rzeszy. W Kole Polskiem został wybrany do komisyi parlamentarnej. Znakomity mówca zabierał głos w najważniejszych sprawach, a jako wytrawny publicysta zasłynął w kampanii przeciw wywłaszczaniu. W czasie wojny w parlamencie niemieckim i Sejmie pruskim wstępował kilkakrotnie, a specyalnie poświęcał się obronie praw robotników sezonowych i zwerbowanych przez okupantów z Królestwa. Mowy jego były zawsze nacechowane wielką znajomością rzeczy i niezwykłą odwagą cywilną. W okresie rewolucyi w byłym zaborze pruskim, wybrany został do Naczelnej Rady ludowej, która objąwszy rządy w Wielkopolsce, powołała go na stanowisko prezesa regencyi poznańskiej, gdzie okazał wielkie zdolności administracyjne i niezwykły takt w tych trudnych warunkach, w jakich Wielkopolska się podówczas znajdowała.

Jednem słowem laska marszałkowska dostała się w ręce bardzo odpowiednie. Marszałek Trąmpczyński dowiódł zaraz od pierwszych chwil, że świetnie potrafi prowadzić obrady Izby Sejmowej.

Zaraz po swem ukonstytuowaniu się, musiał Sejm załatwić poważne przesilenie rządowe. Komendant Piłsudski złożył swą władzę tymczasowego Naczelnika Państwa w ręce marszałka na trzeciem posiedzeniu Sejmu.

Sejm powziął wówczas uchwałę, która brzmi jak następuje: Aż do ustawowego uchwalenia tej części konstytucyi, która określi przepisy o organizacyi naczelnych władz w państwie Polskiem, Sejm powierza dalsze sprawowanie urzędu Naczelnikowi Państwa Józefowi Piłsudskiemu na następujących zasadach:

1) Władzą suwerenną i ustawodawczą w państwie polskiem jest Sejm ustawodawczy. Ustawy ogłasza marszałek Sejmu z kontrasygnaturą prezesa ministrów i odpowiedniego ministra fachowego.

2) Naczelnik państwa jest przedstawicielem państwa i najwyższym wykonawcą uchwał w sprawach cywilnych i wojskowych.

3) Naczelnik państwa powołuje rząd w pełnym składzie na podstawie porozumienia z Sejmem.

4) Naczelnik państwa oraz rząd są odpowiedzialni przed Sejmem za sprawowanie swego urzędu.

5) Akty państwowe naczelnika państwa wymagają podpisu odpowiedniego ministra.

Przytoczyliśmy tę uchwałę w jej dosłownem brzmieniu, bo jest to na razie jedyna nasza konstytucya. Nie będziemy zastanawiali się szczegółowo nad działalnością Sejmu, albowiem przedewszystkiem brak nam na to miejsca, zaznaczyć jednak musimy, że dał on od samego początku swego funkcyonowania mocne podwaliny naszej polityce. Zadokumentował wyraźnie niezłomną wolę narodu do stworzenia w oparciu o przymierze z Ententą wielkiego państwa i gotowość do poniesienia wszelkich ofiar dla urzeczywistnienia tej woli. Z zakresu polityki wewnętrznej najdonioślejszemi były uchwały Sejmu, dotyczące walki z bolszewizmem i agitacyą rewolucyjną. Sejm powziął też cały szereg uchwał z zakresu społecznego i ekonomicznego. Najważniejszą z nich było uchwalenie reformy agrarnej, której najbardziej zasadniczy, najnamiętniejsze spory pośród stronnictw Sejmowych budzący artykuł, — brzmi jak następuje:

Ustawa zabezpiecza właścicielowi dóbr ziemskich prawo do zatrzymania tylko jednego zabudowanego folwarku, na którym on, albo jego rodzina gospodarstwo prowadzi, przyczem rodzina, niepodzielona przed 1 stycznia 1919 r. uważana będzie za jednostkę. Zasadnicze maximum indywidualnego posiadania, niepodlegającego przymusowemu wykupowi ma być przez ustawę dla poszczególnych okręgów ustalone w granicach od 16—180 ha. Najniższa cyfra winna się odnosić do okręgów przemysłowych i podmiejskich. Dla części byłego zaboru pruskiego i ziem wschodnich, granica ta, gdzie tego będzie wymagał interes państwa może być przejściowo podniesiona do 400 ha. Majątki nieprawidłowo zagospodarowane, przynoszące uszczerbek produkcyi krajowej, podlegają całkowitemu przymusowemu wykupowi".

Powzięcie uchwały powyższej to najgłówniejsze bodaj zdarzenie w ciągu pierwszego okresu obrad Sejmu.

Sejm Ustawodawczy.

Odrodzonej Rzeczypospolitej polskiej pierwszy Sejm Ustawodawczy odbył pierwsze posiedzenie w dniu 10-tym lutego 1919 roku.

Posiedzenie się odbyło w gmachu dawnego Instytutu Szlacheckiego, później Instytutu Maryjskiego przy ulicy Wiejskiej. Sala posiedzeń prowizorycznie urządzona. Jest to długi prostokąt. We wnęce, tworzącej ścianę krótszą owej sali na wprost wejścia głównego, mieści się trybuna prezydyalna, stoły dla sekretarzy, trybuna mówcy, wszystko na wysoko zbudowanej estradzie, górującej nad poziomem sali. Po obu stronach trybuny stoją ławy dla ministrów — po prawej ręce od marszałka — i ławy dla wyższych urzędników — po lewej ręce od marszałka. Poniżej trybuny dla mówców mieści się stół biura stenograficznego. Wszystkie mowy są stenografowane, celem ich pomieszczenia w protokule pod groźbą nieważności posiedzenia.

Skład osobisty Sejmu.

Skład osobisty Sejmu jest bardzo niejednolitym pod rozmaitymi względami. Przedewszystkiem pod względem prawno-państwowym. Tylko dawne Królestwo Polskie, część dawniejszej Galicyi to jest właściwa Małopolska, czyli Galicya Zachodnia, i część Galicyi środkowej wybierały posłów na podstawie powszechnego prawa głosowania, przysługującego obywatelom i obywatelkom polskim. Z Galicyi wschodniej i drugiej części Galicyi środkowej, położonej bliżej Lwowa, weszli dawniejsi posłowie parlamentu austryackiego, posiadacze tak zwanych mandatów żelaznych. Takie same mandaty żelazne przypadły zrazu posłom polskim do parlamentu niemieckiego. Dopiero znacznie później, bo dnia 4-go czerwca zasiedli po raz pierwszy wybrani na podstawie powszechnego prawa głosowania posłowie polscy z tej części Wielkopolski, która w czasie od 27-go grudnia 1918 r. aż do początku lutego 19 r. zdołała się wyrwać ze szponów pruskich. Nie koniec na tem! Sejm polski posiada jeszcze posłów, którzy nie byli wybieranymi i nie posiadają mandatów żelaznych. Są to posłowie Ziemi Cieszyńskiej. Ponieważ byli to kandydaci kompromisowi, uznani jednogłośnie przez wszystkie stronnictwa, przeto Sejm wobec gwałtów czeskich, nie pozwalających na odbycie wyborów regularnych, uznał owych kandydatów kompromisowych za wybranych.

Marszałek dr. Wojciech Trąmpczyński.

Obrady sejmowe zagaił z tytułu starszeństwa po przeczytaniu orędzia Naczelnika Państwa poseł polski parlamentu niemieckiego i były prezes tamtejszego Koła Polskiego, Ferdynand książę Radziwiłł. Na posiedzeniu następnem w dniu 14-ym lutego wybrano marszałkiem dr. Wojciecha Trąmpczyńskiego z Wielkopolski 155 głosami przeciw 149 głosom, które otrzymał poseł Witos. Dr. Wojciech Trąmpczyński przewodniczy Sejmowi polskiemu do tej pory, ponieważ wybrano go marszałkiem po raz wtóry dnia 5-go czerwca, gdy uzyskał on już mandat z wyboru podczas ogólnych wyborów wielkopolskich. Zasługi jego jako marszałka — pierwszego marszałka pierwszego Sejmu odrodzonej państwowo Polski — są bardzo duże. Sam pilny i pracowity, umiał i umie przelać te zalety na Sejm jako całość i na poszczególnych posłów. Po przezwyciężeniu początkowych trudności Sejm pracuje dosyć sprawnie, pracuje plenum, pracują także i komisye. Wszystko to jest zasługą Marszałka. Tradycye pracowitości i systematyczności, wszczepione zaraz w samym początku odbudowanego państwa polskiego, wejdą w ciało i krew parlamentaryzmu polskiego. Żadna bowiem instytucya nie opiera się do tego stopnia na tradycyach i z tych rtadycyj nie czerpie soków ożywczych, jak właśnie wszędzie i zawsze parlamentaryzm. Niemałą zasługą Marszałka dr. Wojciecha Trąmpczyńskiego jest jego spokój i zimna krew, można nawet powiedzieć, brak nerwów. Wpływa to uspakajająco na przebieg obrad sejmowych, zwłaszcza wtedy, gdy namiętności wrą i niejeden poseł o temperamencie pobudliwym podnieca jeszcze burzę, szalejącą dookoła.

Stronnictwa Sejmowe.

Pod względem partyjnym Sejm się dzieli na trzy światy, bardzo się od siebie różniące. A to dlatego, że zróżniczkowanie Sejmu opiera się niemal wyłącznie na różnicach społecznych, a nie na różnicach politycznych. Lewica obejmuje posłów, reprezentujących wyłącznie proletaryat fabryczny. Są oni częściowo członkami **"Polskiej Partyi Socyalistycznej"**, częściowo **"Narodowego Związku Robotniczego"**.

W centrum siedzą wyłącznie posłowie dwóch wielkich organizacyi chłopskich: **"Piastowcy"** czyli posłowie **"Polskiego Stronnictwa Ludowego"**, działającego głównie na obszarze Małopolski, i posłowie grupy **"Wyzwolenia"** czyli — przezwisko popularne — **"tugutowcy"** o programie niemal identycznym z grupą poprzednią, tylko zabarwienie społeczne jest nieco bardziej radykalne.

Natomiast prawica od samego początku zebrania się Sejmu przedstawia mozajkę grup różnych pod względem społecznym i co chwila zmieniających swoją wielkość liczebną. Prawica obejmuje i stronnictwa czysto polityczne, jak **"Związek Narodowo-Ludowy"**, w którym się także mieści grupa **"narodowo-demokratyczna"**, i grupę księdza Blizińskiego: **"Polskie Zjednoczenie Narodowe"**, której charakteru społecznego niepodobna określić, i **"Związek Ludowy"** i grupę **"Pracy Konstytucyjnej"**, pod którą występują konserwatywni i część demokratycznych posłów z dawnego Koła Polskiego w Wiedniu.

Naprawdę prawica powinna byłaby reprezentować interesy stanu średniego w Polsce. Wówczas w układzie stosunków partyjnych w Sejmie zapanowałby pewien ład na podstawie równowagi. Brak reprezentacyi stanu średniego, skupionego po miastach, sprawia, że Sejm Ustawodawczy i jego działalność zarówno polityczna, jak i prawodawcza oraz kontrolująca nosi charakter wybitnie chłopski. Prócz tego istnieje jeszcze parę rozmaitych mniej albo bardziej nielicznych grup, przeważnie na prawicy, idących luzem bądź z powodu wybujałego temperamentu przywódców, bądź gwoli zachowania sobie wolnej ręki.

Trzeba przyznać posłom chłopskim, zwłaszcza wybranym w dawnej Kongresówce, że przynieśli do Sejmu wysokie poczucie odpowiedzialności i obowiązkowości, związanej z mandatem poselskim. Stąd płynie zrozumienie potrzeby pracowitości, niezaniedbywania posiedzeń sejmowych plenarnych i komisyjnych, przysłuchiwania się pilnego obradom i dzięki temu uczenia się wszystkiego, czego poseł za sprawą tak wytrwałej pilności i punktualności może się nauczyć. Następstwa tego przykładnego spełniania obowiązków poselskich objawiają się już dzisiaj bardzo dodatnio. Posłowie włościańscy, przeważnie mówcy z urodzenia, umieją teraz panować nad sobą na trybunie, już nie przemawiają zbyt często i zbyt długo, rachują się ze słowami, unikają frazesów i posługują się materyałem rzeczowym i rzeczowymi argumentami. Znać na nich owo wyrobienie i ów postęp w wyszkoleniu parlamentarnem daleko bardziej, niż wśród innych grup parlamentarnych, nie rozporządzających zbyt wielu wprawnymi pracownikami parlamentarnymi. Wyjątek tworzą tylko posłowie PPS. i posłowie grupy Pracy Konstytucyjnej. I pierwsi i drudzy — to przeważnie weterani parlamentu austryackiego, albo też ludzie, którzy jako agitatorzy partyjni nabyli wprawy i doświadczenia pierwszorzędnych debatteur'ów politycznych.

Grzeszki i złe nawyczki stronnictw i posłów.

Obrady Sejmowe na posiedzeniach plenarnych toczyły się zrazu hałaśliwie. Wpływały na to przyczyny zewnętrzne i wewnętrzne. Zewnętrznemi były złe nawyczki, przyniesione z parlamentu austryackiego, z parlamentu państwa, które rozkładając się, zarażało swą zgnilizną i wszystkie instytucye państwowe i obywateli. Takie grzechy parlamentarne, jak przerywanie mówcy z przeciwnego obozu wyzwiskami, jak teroryzowanie go przez zakrzyczenie, jak bicie w pulpity, jak posługiwanie się groźbami, apelującemi do siły fizycznej poza Sejmem — to wszystko częścią zabytki parlamentaryzmu wiedeńskiego, częścią echa czasów rewolucyjnych w Rosyi. Do rozpalenia namiętności i podniesienia temperatury politycznej, a co za tem idzie i osobistego roznamiętnienia posłów przyczyniało się także obradowanie nad paru sprawami bardzo doniosłej i niezwykłej natury, jak np. dyskusya i uchwały w sprawie reformy rolnej. Te posiedzenia, podczas których Izba Sejmowa miała ostatecznie sfinalizować wytyczne linie, według jakich rząd powinien w przyszłości opracować ustawy, wprowadzające w życie reformę rolną — te posiedzenia Izby należały do najbardziej burzliwych.

Sejm do tej pory jeszcze nie wyszedł poza granice obrad komisyjnych w sprawie konstytucyi. Poza tem przecież uchwalił szereg ustaw bardzo użytecznych i bardzo potrzebnych dla uregulowania toku normalnego machiny państwowej i życia gospodarczego tudzież społecznego obywateli polskich. Trudno je teraz wyliczać szczegółowo.

Ważniejsze prawa uchwalone przez Sejm.

Po zagajeniu pierwszego posiedzenia Sejmu w dniu 10-ym lutego i po wyborze marszałka na drugiem posiedzeniu w dniu 14-ym lutego — dnia 20-go lutego powierzono władzę naczelną w państwie ponownie Komendantowi Józefowi Piłsudskiemu. Na posiedzeniu w dniu 22-im lutego rozpoczęto dyskusyę nad oświadczeniem rządowem prezesa ministrów Ignacego Paderewskiego, złożonem w dniu 20-ym lutego. Zakończono ową dyskusyę dnia 25-go lutego uchwaleniem ufności dla premiera i jego gabinetu.

W dzień później, dnia 21-go lutego odbyło się pierwsze czytanie ustawy o poborze sześciu roczników rekruta do wojska polskiego. Dzień pamiętny zatem w dziejach odrodzonego wojska polskiego. Po raz pierwszy też Sejm uchwala żądanie, by dano pomoc zbrojną miastu Lwowu i oczyszczono Galicyę Wschodnią z band ukraińsko - bolszewickich. Ustawę rekrutacyjną w trzeciem czytaniu, to znaczy ostatecznem, Sejm załatwił jednomyślnie dnia 7-go marca.

Dnia 14-go marca przemawiała po raz pierwszy z trybuny Sejmowej polskiej kobieta-poseł. Była nią pani Moraczewska. Za okazyę do swego debiutu i wogóle do debiutu parlamentarnego kobiet polskich wybrała plan organizacyi ministeryum zdrowia publicznego.

Sprawa Śląska Górnego weszła po raz pierwszy na porządek dzienny Sejmu na posiedzeniach w dn. 14 i 18-ym marca. Stało się to oba razy za sprawą posła księdza Pośpiecha, zasłużonego szermierza polskiego w tej starej dzielnicy Piastowskiej. Tegoż dnia wybrano komisyę celem rozważenia kwestyi żydowskiej w Polsce.

Dnia 26-go marca Ignacy Paderewski złożył deklaracyę jako minister spraw zagranicznych o polityce zewnętrznej polskiej, poczem Izba zaczęła na ten temat dyskusyę. Dokończono jej dnia 27-go marca i uchwalono dla rządu pełnomocnictwa celem zawarcia z państwami Ententy konwencyi wojskowej, politycznej i gospodarczej.

Tego samego dnia uchwalono w trzeciem czytaniu ustawę o załatwianiu zatargów zbiorowych między pracodawcami i pracownikami rolnymi.

Ostatecznie na tem posiedzeniu wyszło na jaw, że istnieje pocztowy Gabinet Czarny, instytucya, nadużywana zawsze przez państwa absolustyczne do celów wyłącznie polityczno - partyjnych.

W dn. 3-im kwietnia przeprowadzono dyskusyę w kwestyi kresów wschodnich. Dokończono jej dnia następnego. Większość olbrzymia Sejmu zadokumentowała, że uważa te kresy wschodnie za dziedzictwo kutury polskiej, przyczem podzielał to zdanie do Galicyi Wschodniej nawet i poseł Jan Stapiński. Pierwszy też raz Sejm zajął się wtedy złodziejstwami i łapownictwem, uprawianem przez pewne jednostki wśród urzędników cywilnych i oficerów.

Ustawa o rozpisaniu wyborów sejmowych w tej części Wielkopolski, która się zdołała uwolnić z pod panowania pruskiego, załatwiono na posiedzeniu z dnia 5-go kwietnia. Dnia 8-go kwietnia uchwalono ustawę o objęciu przez państwo administracyi skarbowej na ziemiach byłego zaboru austryackiego. W drugiem i trzeciem czytaniu Sejm bardzo pospiesznie załatwił ustawę o dostarczaniu na potrzeby wojska mieszkań, tej ustawy, która teraz wywołuje niejednokrotnie usprawiedliwione zażalenia. Rozszerzono ustawę o nietykalności poselskiej, gwarantując ją i za to wszystko, co poseł mówi na sejmikach relacyjnych.

Od 11-go kwietnia po dzień 2-go maja trwały ferye parlamentarne z racyi Świąt Wielkanocnych.

Na posiedzeniu w dniu 2-go maja przeprowadzono ustawę o uregulowaniu i zużytkowaniu gazów ziemnych.

Posiedzenie z dnia 6-go maja przyniosło złożenie do laski marszałkowskiej projektu polskiej deklaracyi konstytucyjnej, uchwalonej przez rząd dnia 3-go maja. Objaśnił tę deklaracyę minister spraw wewnętrznych odpowiedniem przemówieniem. Dyskusyę nad tą deklaracyą rozpoczęto dnia 9-go maja, a skończono dnia 13-go maja. Dnia 9-go maja uchwalono też ustawę o wymianie znaków obiegowych, znajdujących się na ziemiach polskich.

Podczas posiedzenia w dniu 22-im maja prezes ministrów Paderewski objaśnił korzyści, które Polska osiągnęła dzięki traktatowi, mającemu być zawartym w Wersalu. Dyskusyę nad polityką zagraniczną rządu zakończono na posiedzeniu w dniu 23-go maja.

Dnia 30-go maja uchwalono uruchomienie Instytutu Geologicznego. Przyjęto ustawę, przeznaczającą 75 milionów marek na pożyczki ulgowe dla przemysłowców i 20 milionów dla drobnych przemysłowców i rękodzielników.

Rozprawy nad wytycznemi liniami reformy rolnej zagaił dnia 3-go czerwca wspaniałą, niemal dwugodzinną mową, poseł Jan Dąbski. Dnia 4-go czerwca weszli do Sejmu posłowie poznańscy, poczem dnia 5-go czerwca wybrano ponownie marszałkiem dr. Wojciecha Trąmpczyńskiego. Rozprawy nad reformą rolną toczyły się aż do dnia 10-go lipca. Na posiedzeniu plenarnem dnia tego przyszło do uchwalenia wytycznych reformy rolnej. Izba 183 głosami przeciwko 182 głosom w głosowaniu imiennem uchwaliła paragraf szósty ustawy, postanawiający, że władanie ziemią nie może w przyszłości przenosić 300 morgów. Zakończył rozprawy marszałek przemową, w której podniósł patryotyzm obu stron, przeciwników i zwolenników reformy. Reformę rolną należy wprowadzić w życie z taką samą godnością, z jaką Sejm ją uchwalił.

Między 3-im czerwca i 10-tym lipca Sejm uchwalił także cały szereg ustaw ekonomicznych. Między innemi oświadczył się za monopolami państwowymi, a między inemi oświadczył się za wprowadzeniem w Polsce monopolu tytoniowego. Uchwalono ustawę o sądach doraźnych. Poruszono także budowę dróg wodnych w Polsce.

W dniu 11-ym lipca Sejm skrytykował na podstawia faktów skandaliczną gospodarkę w ministeryach robót publicznych i pracy oraz opieki społecznej. Był to początek w Sejmie dyskusyi budżetowej. Tego dnia uchwalono jednogłośnie pomoc państwową polską dla ludności Górnego Śląska, prześladowanej przez Prusaków. Dnia 19-go lipca uchwalono przebudowę węzła kolejowego warszawskiego. Łączy się z tem sprawa budowy dworca centralnego kolejowego w Warszawie. Dnia 23-go lipca uchwalono ustawę o policyi państwowej. Tak samo i ustawę o zapewnienia bezpieczeństwa państwu i utrzymaniu porządku publicznego podczas wojny. Dnia 24-go lipca przeszła ustawa o osobistych świadczeniach wojennych, przyczem nie zrobiono wyjątku dla kobiet. Uchwalono też ustawę o zabraniu dóbr donataryuszom rosyjskim, przyczem odrzucono wszelkie odszkodowania dla tych ostatnich.

Ratyfikacyę traktatu pokojowego uchwalił Sejm dnia 31-go lipca i to imponującą większością 265 głosów, o przeciwko ratyfikacyi głosowali tylko socyaliści i paru socyalizujących tugutowców.

Dnia /1-go sierpnia uchwalono ustawę, mocą której łapownicy i złodzieje grosza publicznego w wojsku polskiem będą od tej pory karani śmiercią.

Wreszcie dnia 2-go sierpnia po uchwaleniu jeszcze całego szeregu ustaw Sejm, odbywszy 84 posiedzeń, rozpoczął wakacye.

Znaczenie pierwszej sesyi Sejmowej.

Ta pierwsza sesya odrodzonego Sejmu polskiego była zatem płodną w owoce i politycznie ważną. Sejm okazał się lepszym, niż jego opinia, wytwarzana sztucznie przedewszystkiem przez wrogów pań-

stwowego porządku w Polsce, przez wrogów wogóle państwa polskiego, następnie przez biurokracyę polską, która, wzorem biurokracyi całego świata, a przedewszystkiem trzech państw rozbiorczych, niechętnie się poddaje pod kontrolę Sejmu i pragnęłaby dlatego obniżyć jego autorytet, by potem zmniejszyć jego kompetencyę prawno - państwową, wreszcie przez niewyrobioną politycznie opinię inteligencyi i półinteligencyi w byłej Kongresówce i przez te wszystkie sfery zainteresowane materyalnie.

Sejm za samą sprawą swego istnienia stał się automatycznie ośrodkiem wszystkich prac i dążeń państwowotwórczych, pragnących skrystalizowania życia państwowego Polaków. Dzięki temu spełzły na niczem wszelkie zamachy wrogów państwa polskiego, wrogów politycznych, jak Niemcy, a po części i Rosya bolszewicka, wrogów społecznych, jak znowu bolszewicy w Moskwie i komuniści polscy, działający wewnątrz granic państwa polskiego. Stronnictwa i posłowie sejmowi polscy rośli szybko w rozum z biegiem tej pierwszej sesyi i uchwalali coraz to chętniej wszystko, co było podobnem do utrwalenia państwowości polskiej: a więc wydatki na wojsko, przymierza zewnętrzne, ustawy, zebezpieczające porządek wewnętrzny i regulujące porządek i ruch gospodarczy. Sejm kierował rządem.

Czy z czasem ten Sejm zasłuży sobie na nazwę Wielkiego, trudno teraz osądzić. Jesteśmy za blisko niego, brakuje nam zatem perspektywy. Nie widzimy jeszcze złych i dobrych skutków jego działalności. To będzie mogła stwierdzić dopiero historya.

Lecz już dzisaj wolno, a nawet trzeba stwierdzić, że bez Sejmu państwo polskie odrazu zapadłoby się w przepaść. Już dzisiaj trzeba podkreślić, że i ci, którzy ten Sejm stworzyli, i owi, którzy zasiadają na ławach sejmowych, bez różnicy partyj i poglądów dobrze się zasłużyli Ojczyźnie.

Zestawienie Klubów Poselskich Według Ilości Posłów.

Polskie Stronnictwo Ludowe	109
Związek Sejmowy Ludowo-Narodowy	73
Narodowe Zjednoczenie Ludowe	67
Związek Polskich Posłów Socyalistycznych	35
Narodowy Chrześcijański Klub Robotniczy	30
Klub Pracy Konstytucyjnej	18
Narodowe Koło Robotnicze	14
Zjednoczenie Mieszczańskie	12
Polskie Stronnictwo Ludowe (lewica)	12
Wolny Związek Posłów narodowości żydowskiej	10
Niemieckie Stronnictwo Ludowe	2
Posłowie, którzy nie zgłosili przynależności partyjnej	12
Vacat	1
Razem	395

Prezydyum Sejmu.

Marszałek: Wojciech Trąmpczyński. **Wice-Marszałkowie:** Jakób Bojko, Władysław Herz, Stanisław Osiecki, Andrzej Maj, Jędrzej Moraczewski,

Sekretarze: Jan Bryl, Jan Dębski Antoni Harasz, Józef Putek, Kazimierz Pużak, Stefan Sołtyk, Wincenty Szymczak, Ludwik Waszkiewicz.

POLSKIE STRONNICTWO LUDOWE

Prezes — Wincenty Witos. **Wice-prezes** — Maciej Rataj. **Sekretarz** — Jan Dębski.

ZWIĄZEK LUDOWO-NARODOWY

Prezes — Stanisław Głąbiński. **Sekretarze** — Dr. Stefan Rottermund, ks. Władysław Mąkowski.

NARODOWE ZJEDNOCZENIE LUDOWE

Prezes — Leopold Skulski. **Wice-prezesi** — Szczepan Piechota i dr. Juliusz Trzciński.

ZWIĄZEK POLSKICH POSŁÓW SOCYALISTYCZNYCH

Przewodniczący — Ignacy Daszyński. **Zastępca** Norbert Barlicki. **Sekretarze** — Kazimierz Czapiński i Aleksander Napiórkowski.

NARODOWY CHRZEŚCIJAŃSKI KLUB ROBOTNICZY

Prezes — Władysław Herz. **Wice-prezes** — Ludwik Gdyk. **Sekretarz** — Julian Łabęda.

KLUB PRACY KONSTYTUCYJNEJ

Przewodniczący — Jan Kanty Federowicz. **Wice-przewodniczący** — Stanisław Chaniewski. **Sekretarz** — Jerzy Baworowski.

NARODOWE KOŁO ROBOTNICZE

Przewodniczący — dr. Bolesław Fichna. **Zastępca** — Szymon Rajca. **Sekretarz** — Józef Zagórski.

ZJEDNOCZENIE MIESZCZAŃSKIE

Przewodniczący — Aleksander de Rosset. **Wice-przewodniczący** — Kazimierz Krojna. **Sekretarz** — Wacław Tomaszewski.

POLSKIE STRONNICTWO LUDOWE (LEWICA)

Przewodniczący — Jan Stapiński. **Zastępca** — Tomasz Dabal. **Sekretarz** — Tadeusz Seib.

WOLNY ZWIĄZEK POSŁÓW NARODOWOŚCI ŻYDOWSKIEJ

(Klub Narodowo-żydowski. Ludowcy żydowscy. Ortodoksi. Sjonista. Mizrachista).

NIEMIECKIE STRONNICTWO LUDOWE

Które owady niszczą przewodniki telefoniczne?

Największymi wrogami drutów telefonicznych są owady. W Australii, bez względu na powłokę ołowianą, ochraniającą przewodniki, wydarzyły się ciągłe przerwy w komunikacyi telefonicznej. Po zbadaniu drutów, przekonano się, że ołów był podziurawiony. Sprawcami szkody były poczwarki owadu zwanego **bostrycus.** W Szangaju pewien gatunek osy zawzięcie niszczy druty telegraficzne.

Przesilenie Grudniowe.

Koniec roku 1919 zaznaczył się w Polsce ciężkiem przesileniem rządowem, którego wynikiem było ustąpienie gabinetu Paderewskiego, a wreszcie i rezygnacya samego Paderewskiego z zamiaru tworzenia nowego rządu, oraz utworzenia nowego gabinetu z p. Leopoldem Skulskim, przywódcą stronnictwa Narodowego Zjednoczenia Ludowego na czele. Przesilenie wywołane zostało przedewszystkiem komplikacyami w polityce wewnętrznej, nie brakło jednak także powodów pośrednich w trudnych powikłaniach ogólnej polityki światowej.

Zapowiadana na 13 listopada ratyfikacya Traktatu Wersalskiego nie doszła do skutku. Senat amerykański nie znalazł większości gotowej do ratyfikacyi Traktatu bez zasadniczych zastrzeżeń, zwłaszcza w zakresie aprobaty zasad Ligi Narodów, mogących wprowadzić Stany Zjednoczone we wszystkie przyszłe zawikłania polityki europejskiej. Mimo tej przeszkody Traktat mógł być jednak ostatecznie ratyfikowany przez trzy Wielkie Mocarstwa i Niemcy. Dyplomacya niemiecka, korzystając jednak z wahań Stanów Zjednoczonych, poczęła czynić coraz to nowe trudności formalne, które wyczerpywały wprawdzie cierpliwość Paryża, ale z innych stron nie spotykały się z dość szybkiem i energicznem przeciwdziałaniem. Położenie komplikowało się przez klęskę armii Judenicza, która podchodziła pod Petrograd i coraz bardziej stanowczą decyzyę Angli przerwania zasiłków dla beznadziejnej akcyi rosyjskich generałów kontrrewolucyjnych.

W polityce wewnętrznej Rzeczypospolitej wczesna zima, która już w pierwszych dniach listopada stała się bardzo dokuczliwą, zwiększyła przedewszystkiem troski aprowizacyjne. Projekt rządowy o sekwestrze ziemiopłodów spotkał się z oporem kół agrarnych i z chwiejnem, ustępliwem stanowiskiem Paderewskiego wobec tych samych kół, które przez cały czas pobytu prezesa ministrów w Paryżu usiłowały podkopać jego stanowisko za niedostatecznie podporządkowanie się rządu interesom prawicy społecznej. Rozdrażnienie zwiększało się przez coraz jaskrawszy konflikt pomiędzy ministrem skarbu Bilińskim a otoczeniem Paderewskiego. Z drugiej strony polityka skarbowa p. Bilińskiego spotkała się z ostrą krytyką nietylko w narodowo-demokratycznej prasie: wchodziła w konflikty o niepokojących następstwach politycznych także i w polityce zagranicznej. Ustępstwa poczynione Niemcom przy układach polsko-niemieckich w Berlinie dolewały oliwy do ognia. Przesilenie na tle sekwestru ziemiopłodów zostało wprawdzie załatwione kompromisowo przez nowego ministra aprowizacyi Śliwińskiego, ale atmosfera sejmowa była bardzo zamącona.

Dnia 12 listopada Paderewski wypowiedział wieką mowę w Sejmie o sytuacyi zagranicznej i wewnętrznej. Mowa, nie wykraczająca poza zakres ogólników, nie zadowolniła stronnictw sejmowych. Posłowie Skulski i Witos rozpoczęli rokowania w sprawie utworzenia większości centrowej. Rokowania rozbiły się jednak w przededniu rozpoczęcia dyskusyi nad expose Paderewskiego. W dyskusyi poseł Daszyński wypowiedział mowę, mającą stanowić akt oskarżenia przeciw rządom Paderewskiego, któremu zresztą poseł socyalistyczny oddawał hołd, jako obywatelowi i patryocie. Nazajutrz po mowie Daszyńskiego rozeszły się wieści, że z Paryża przyszła wieść o podyktowaniu przez Radę Najwyższą statutu dla Galicyi Wschodniej, oddającego ten kraj pod wpływ rusiński z władzą zwierzchnią polską, ograniczoną tylko mandatem tylko do lat dwudziestu pięciu. Dnia 27 listopada podał się do dymisyi wiceminister spraw zagranicznych Władysław Skrzyński. Był to początek przesilenia ogólnego. Dnia 27 listopada obrady Sejmu nad expose Paderewskiego zostały przerwane wskutek wiadomości, że wszyscy ministrowie złożyli prośbę o dymisyę "na ręce" prezydenta ministrów.

W przesileniu wyłaniała się trojaka koncepcya. Narodowa demokracya pracowała nad stworzeniem gabinetu o charakterze przeważnie prawicowym, grupy lewicowe czyniły zabiegi o stworzenie gabinetu z przedstawicieli wszystkich stronnictw z wyłączeniem narodowej demokracyi, stronnictwa centrum rozpoczęły na nowo pracę nad podjęciem rokowań o stworzenie większości środka. Dnia 5 grudnia wieczorem Paderewski zgłosił swoją dymisyę, nie mogąc pozyskać stronnictwa ludowego dla pierwszej z tych kombinacyj i odrzucił nazajutrz propozycyę marszałka i konwentu seniorów, aby podjął się raz jeszcze próby tworzenia rządu. Dnia 6 grudnia Naczelnik Państwa zjechał do Sejmu i ofiarował marszałkowi Trąmpczyńskiemu misyę tworzenia rządu. Wobec odmowy marszałka grupy sejmowe wysunęły nazwisko p. Leopolda Skulskiego, jako przyszłego szefa rządu. Pewne grupy prawicy jednak, grupujące się dookoła arcybiskupa ormiańskiego, rozpoczęły wtedy ponowną, nieprzebierającą w środkach akcyę, której wynikiem było zaproponowanie formalne Paderewskiemu przez Naczelnika Państwa wieczorem 7 grudnia, aby próbę stworzenia

gabinetu nanowo rozpoczął. Paderewski podjął się tej misyi, ale pomimo pomocy p. Skulskiego, który miał być wiceprezydentem gabinetu, nie udało mu się stworzyć rządu. Dnia 10 grudnia zrezygnował ostatecznie.

Dnia 11 grudnia Naczelnik Państwa powierzył misyę nowego rządu p. Leopoldowi Skulskiemu. P. Skulski oparł pracę swoją na kompromisie pomiędzy swoją partyą a grupą Witosa w sprawie agrarnej i w sprawie konstytucyjnej a wybór ministrów powierzył stronnictwom, które weszły w skład centrowej większości, Zjednoczeniu, Piastowcom i Narodowemu Związkowi Robotniczemu. W nocy z dnia 12 na 13 grudnia ostateczne trudności zostały przełamane. Dnia 13 grudnia Naczelnik Państwa ogłosił nominacyę nowego rządu. Nominacya p. Stanisława Patka na ministra spraw zagranicznych nastąpiła w dniu 16 grudnia. Nowy rząd nosi charakter półparlamentarny, pół-fachowy; w składzie jego osobistym poczyniono pewne ustępstwa narodowej demokracyi, która jednak postanowiła zachować wobec rządu politykę wolnej ręki.

KAPELA BEJA.

W swoim czasie na długo przed wkroczeniem armii francuskiej do Krumira, panował w Tunisie pewien bej. W owym czasie władcy tego muzułmańskiego kraju kupowali jeszcze od korsarzy niewolników europejskich, chwytanych na okrętach, które krążyły po morzu śródziemnem. Jeden z tych nieszczęśliwych jeńców, przyprowadzony przed oblicze beja i wypytywany o swoje talenty, zdradził się nieopatrznie że był dyrektorem orkiestry.

— Dobrze się składa — rzekł bej; marzyłem ja zawsze o kapeli.

Jeniec drgnął. Próbował uniknąć wielkiego niebezpieczeństwa, które przewidywał. Brakowało instrumentów. A tyle ich trzeba! Zwrócił uwagę na wielki wydatek.

— Mój majątek — rzekł bej pozwala mi na ten zbytek!

Kazał kupić instrumenty.

Masz swoją kapelę powiada dyrektorowi orkiestry. —

— A muzykanci? — rzecze nieszczęśliwy dyrektor.

— Muzykanci! Dam ci pięćdziesięciu murzynów.

— Ale, — pyta biedny człowiek, czy ci murzyni potrafią grać?

To już twoja rzecz, — oświadczył bej, — jeżeli za miesiąc nie zagrają mi jakiego kawałka, to ty na pal zostaniesz wbity!

Nie wiem czy pojmujecie całą grozę sytuacyi.

Dyrektor orkiestry kazał się ćwiczyć pięćdziesięciu murzynom, po czternaście godzin dziennie, ażeby mogli zagrać uproszczoną fantazyę na nieśmiertelny temat: "Mamo, okręty co chodzą po wodzie, czy mają nogi?"

Jego wysiłki były prawie że nadaremne. Ofikleid był znośny, flet grał prawie dobrze prawie cztery czy pięć taktów, ale skrzypkowie nie mogli ponad jeden ton wydobyć ze swoich instrumentów, oboje zaś wydawały jakieś jęki żałosne. Wielki bęben jedynie okazał się na wysokości swojego zadania. A termin oznaczony, fatalny termin się zbliżał.

Bej wezwał kapelę.

— Jesteś gotów? — zapytał kapelmistrza.

— Wasza wysokość — wybełkotał.

— A więc graj.

Pięćdziesięciu murzynów zaczęło stroić swoje instrumenty. Wyobraźcie sobie drzwi, które skrzypią, psy, które wyją, koty, które miauczą, świnie, które kwiczą, konie, które rżą, pawie które wrzeszczą. Wreszcie w chwili, kiedy ten hałas wydał mu się przypadkiem trochę, mniej niezgodnym, muzyk blady i drżący, opuścił swój smyczek.

Orkiestra zaczęła: "Mamo okręty". Było to podobne do "okrętów", do "Króla Dagoberta", było podobne do wszystkiego, nie było podobne do niczego i kapelmistrz sobie mówił:

— Za dziesięć minut będę na palu, niema już wątpliwości, że wbiją mnie na pal!

Koncert zakończył się nadspodziewanie solo na wielkim bębnie, bej myślał chwilę i rzekł:

— To niezłe... ale wolę pierwszy kawałek!

Pierwszy kawałek to było owo przeraźliwe strojenie instrumentów. Kapelmistrz odetchnął. I od tego czasu dawał codziennie koncerty. Zestarzał się na dworze beja Tunisu, bogaty, możny, zasypany zaszczytami.

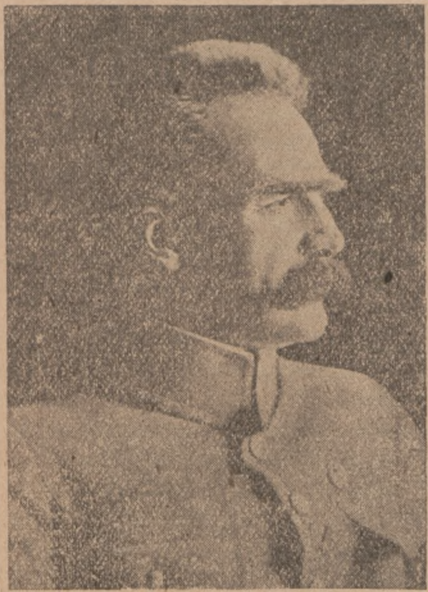
KAROL RADEK
(Sobelson)



Karol Radek (Sobelson), krakowianin, przewódca ruchu bolszewickiego w Rosyi, któremu Rząd Polski odmówił prawa przejazdu z Berlina przez ziemie Reczypospolitej.

RZĄD POLSKI.

NACZELNIK PAŃSTWA



Józef Piłsudski.

Kancelarya Cywilna Naczelnika Państwa — Belweder. Naczelnik kancelaryi — p. Stanisław Car.

SEJM USTAWODAWCZY

ul. Wiejska 4, 6, 8.

Marszałek Sejmu — p. Wojciech Trąmpczyński.

Dyrektor kancelaryi Sejmu — p. Jerzy Pomykalski.

PREZYDYUM RADY MINISTRÓW

Pałac Namiestnikowski, przy Krakowskiem Przedmieściu 46, 48.

Prezydent Ministrów — Wincenty Witos.

Wice-Prezydent — Ignacy Daszyński.

Minister Spraw wewnętrzynych — Leopold Skulski.

Minister Spraw Wojskowych — Gen. Sosnkowski.

Minister Spraw Zagranicznych — Eustachy Sapieha.

Minister Skarbu — Władysław Grabski.

Minister Rolnictwa — Juliusz Poniatowski.

Minister Aprowizacyi — Stanisław Śliwiński.

Minister Oświaty — Maciej Rataj.

Minister Handlu i Przemysłu — Wiesław Chrzanowski.

Minister Kolei żelaznej — Kazimierz Bartel.

Minister Poczty i Telegrafu — Władysław Stesłowicz.

Minister Robót Publicznych — Gabryel Narutowicz.

Minister Pracy i Opieki Społecznej — Edward Pepłowski.

Minister Byłej Dzielnicy Pruskiej — Władysław Kucharski.

Minister Sprawiedliwości — Stanisław Nowodworski.

Minister Zdrowia Publicznego — Dr. Chodźko.

Minister Kultury i Sztuki — Jan Heinrych.

Kancelarya Prezydyum Rady Ministrów — Pałac Namiestnikowski, Krakowskie Przedmieście 46, 48.

Polska Agencya Telegraficzna — Pałac Namiestnikowski, Krakowskie Przedmieście 46, 48. Kierownik Agencyi — p. Aleksander Grott.

Redakcya „Monitora Polskiego" — Miodowa 20. Redaktor Naczelny — p. Wojciech Baranowski.

Główny Zarząd Drukarni Państwowych — Miodowa 22. Dyrektor — p. Henryk Lilpop.

Przedstawicielstwo Zagraniczne.

Stolica Apostolska (Książęca 21) — Nuncyusz Papieski, Arcyb. Lepanta J. E. Mons. Achilles Ratti.

Francya (Al. Ujazdowska 31 i Al. Róż 2) — Poseł nadzwyczajny i minister upełnomoc. J. E. Eugeniusz Pralon.

Stany Zjednoczone (Senatorska 37) — Poseł nadzwyczajny i min. upełn. J. E. Hon. Hugh Gibson.

Wielka Brytanja (Nowy Świat 18) — Poseł nadzwyczajny i min. upełn. J. E. Horacy Jerzy Montagu Rumbold.

Włochy (Krak. Przedmieście 32) — Poseł nadzwyczajny i min. upełn. J. E. Francesco Tommasini.

Belgia (Hotel Europejski) — Poseł nadzwyczajny i min. upełn. J. E. Max Ypersele de Strihon.

Rumunia (Wiejska 10) — Poseł nadzwyczajny i min. upełn. J. E. Aleksander G. Florescu.

Hiszpania (Hotel Bristol) — Charge d'Affaires Fernando Gomez Contreras.

Dania (Kredytowa 8) — Charge d'Affaires Paul Victor Bigler.

Szwecya (Zielna 37) — Charge d'Affaires Ivan Danielson.

Czecho-Słowacya (Wielka 33) — Delegat Vladimir Radimsky.

Rosya (Hotel Bristol) — Szef misyi Jerzy Kutiepoft.

Japonia (Szopena 6) — Szef misyi kap. Imavaki.

Poselstwa Rzeczypospolitej Polskiej.

POSELSTWA I-EJ KLASY

Paryż — Paris Legation polonaise, Avenue Kleber. 11. Paris (France). — Poseł i nadzwyczajny minister pełnomocny I klasy: Maurycy ordynat hr. Zamoyski

Londyn — London Legation de Pologne, W. 1. Hereford Gardens. London (England). — Poseł i nadzwyczajny minister pełnomocny I. klasy: Eustachy książę Sapieha.

Rzym (Przy Kwirynale) — Rome Legation de Pologne, Piazza di Spagna 20. Rome (Italie). — Poseł i nadzwyczajny minister: Konstanty ks. i hr. Skirmunt.

Waszyngton — Washington Legation de Pologne. Washington (U. S. of N. A.) — Poseł i nadzwyczajny minister pełnomocny I klasy: Kazimierz książę Lubomirski. Radca legacyjny I klasy i pełnomocny zastępca posła: Franciszek Puławski. Radca legacyjny I. klasy: Michał Kwapiszewski.

Berlin — Berlin Delegation Polonaise, Hotel Adlon, Kurfuerstenstr. 143 — Jan Niemojewski.

POSELSTWA II-EJ KLASY

Rzym (przy Watykanie) — Rome Legation polonaise pres du Saint-Liege: Rome, Via Nomentana 56. Poseł i minister pełnomocny: Józef Wierusz-Kowalski.

Wiedeń — Vienne Legation Polonaise, Reunweg 1. Wien (Autriche) Oesterreich. — Poseł odwołany. Radca legacyjny I. klasy i charge d'Affaires (zastępca posła): Dr. Marceli Szarota.

Berno (szwajcarskie) — Berne, Legation Polonaise, (Louiscusstrasse 38) Bernehof, Kramgasse 72. Poseł: Modzelewski Jan.

Konstantynopol (Porta Ottomańska) — Constantinople, Legation de Pologne Galata. Post Box. — Poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny: Dr. Witold Jodko Narkiewicz.

Praga Czeska (Czecho Słowacya) — Prague, Legation polonaise (Praga) Praha, Staromestske Namest, Pałac Kinskych. — Poseł i nadzwyczajny minister pełnomocny Eerazm Piltz.

Madryt (Hiszpania) — Madride Legation de Pologne (Espana). — Poseł: Władysław hr. Skrzyński.

Bruksela (Belgia) — Bruxelles Belgique Legation de Pologne. — Poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny: Władysław hr. Sobański.

POSELSTWA III-ej KLASY.

Haga (Holandya). — Legation de Pologne, Benorden Handsche Weg, 5. — Poseł: vacat. Przedstawiciel tymczasowy Rządu i charge d'affaires: Dr. Jan Włodek.

Kopenhaga (Dania). — Copenhague Legation de Pologne (poselstwo III klasy). Westend. — Poseł i minister pełnomocny: Aleksander hr. Dzieduszycki.

Sztokholm (Szwecya). — Stockholme Legation de Pologne, Birgerjalsgatan 85; Paolsundsgatom 713. — Poseł: Zygmunt hr. Michałowski.

Sofia (Bułgarya). — Sofia Bulgarie, Legation de Pologne, Słowiańska 3, Krakra 13. — Radca legacyjny II klasy i charge d'affaires: Tadeusz Grabowski.

Christyania (Norwegya). — Christianie Nerge, Legation de Pologne. — Poseł i pełnomocny minister: Czesław Pruszyński.

Ateny (Grecya). — Poseł i minister pełnomocny: August Zaleski.

Pekin (Chiny). — Poseł: vacat. Radca legacyjny. II klasy i charge d'affaires: Jan hr. Szembek.

Tyflis (Gruzya). — Poseł: Tytus Filipowicz.

Ryga (Łotwa). — Poseł: Boufałł Bronisław.

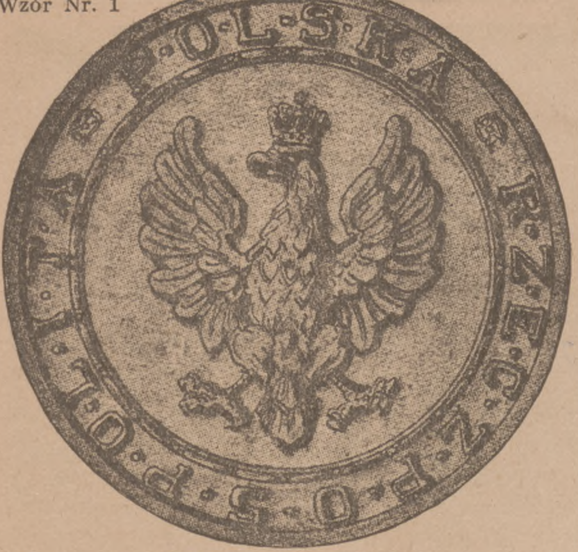
Wpływ matki na wzrost dziecka.

Wzrost dziecka zależy od wielu przyczyn drugorzędnych, jak zdrowie w pierwszych latach, normalny rozwój i t. d. Ale zasadniczo jest on określony dziedzicznie warunkami fizycznymi rodziców. Rzeczywistość poucza nas, że rodzice i dzieci pełnoletnie są przeciętnie jednako wysocy. Zdarza się jednakże, że wśród dzieci tych samych rodziców zachodzą znaczne różnice wzrostu, nieusprawiedliwione prawami dziedziczności lub innemi znanemi przyczynami. Badania doktora Beli Rewesza wykazały, co następuje:

Miara i waga noworodków przedstawia się tem korzystniej, im matka była starszą. Przyjmując, że kobieta przestaje rosnąć w 25 roku życia, jest zupełnie naturalnem, że organizm 20 letniej matki nie może dać dziecku tyle, co organizm 30-letniej, gdyż pierwsza wchłania pewną ilość przyswojonego pokarmu dla potrzeb własnego wzrostu. Skutkiem tego młodziutkie matki wydają na świat wątłe i drobne dzieci. Jeżeli natomiast u pewnego narodu kobiety wychodzą za mąż dopiero po osiągnięciu pełnego cielesnego rozwoju, dzieci ich wogóle będą dobrego wzrostu i w rezultacie lud taki cechować będzie wzrost wysoki.

GODŁA I BARWY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

Wzór Nr. 1



Herb Rzeczypospolitej

Za herb Rzeczypospolitej Polskiej uznaje się znak orła białego z głową, zwróconą w prawo (dla patrzącego, w lewo), ze skrzydłami, wzniesionemi do góry, ze szponami, koroną i dzióbem w czerwonem polu prostokątnem. (Wzór Nr. 1)

Wzór nr. 2.



Wzór nr. 3.



Pieczęcie Rzeczypospolitej

Za pieczęć Rzeczypospolitej Polskiej uznaje się pieczęć okrągłą z herbem Państwa na tle heraldycznem (wzory Nr. 1, 2 i 3, jako odmiany: 1 — dla aktów prawno-państwowych, 2 — dla Naczelnika Państwa; 3 — dla władz i urzędów państwowych).

Wzór No. 4



Chorągiew Rzeczypospolitej

Za godło Rzeczypospolitej, przysługujące Naczelnikowi Państwa, uznaje się chorągiew barwy czerwonej, przytwierdzoną do drzewca z herbem Rzeczypospolitej pośrodku. (wzór Nr. 4) Stosunek długości do szerokości stanowi 5:8.

Wzór No. 6a.



Flaga dyplomatyczna przedstawicieli Rzeczypospolitej Polskiej: konsulów, wice-konsulów, oraz handlowej bandery morskiej

Za flagę poselstw i konsulatów oraz banderę handlową morską uznaje się chorągiew bez wycięcia o barwach państwowych, przytwierdzoną do ruchomego sznura na drzewcu z herbem Rzeczypospolitej w pośrodku białego pasa. Stosunek długości do szerokości chorągwi stanowi 5:8.

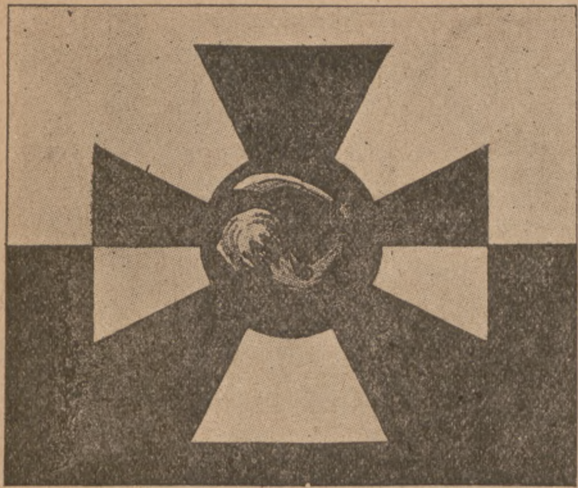
(Wzór Nr. 7 a)



Flaga wojenna lądowa i bandera morska wojenna.

Za flagę wojenną lądową, oraz za banderę wojenną morską uznaje się chorągiew z wycięciem o barwach narodowych, przytwierdzoną do ruchomego sznurka na drzewcu z herbem Rzeczypospolitej w pośrodku białego pasa (wzór Nr. 7 a). Stosunek długości do szerokości chorągwi stanowi 5:8.

(Wzór Nr. 8)

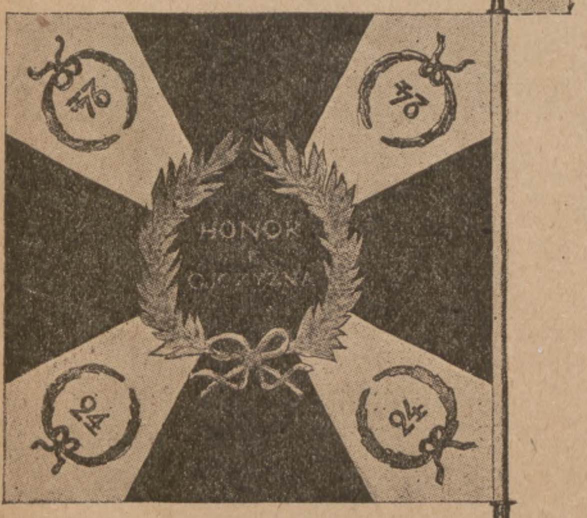


Proporzec

Prócz bandery wojennej, która stanowi wojskowy sztandar na okręcie, ustanawia się następujące chorągwie okrętowe marynarki wojennej:

1) Proporzec, który wywiesza się na dziubie okrętu wojennego, o ile ten należy do pierwszych 2 klas okrętu, t. j. ma większą pojemność i artylerye. Proporzec przedstawia chorągiew prostokątną o barwach narodowych; na niej znajduje się polski krzyż kawalerski, w którego sercu umieszczona ręka z mieczem (wzór Nr. 8). Stosunek długości proporca do szerokości tegoż stanowi 5:6.

Wzór Nr. 10.



Chorągiew i sztandar wojskowy piechoty.

Za chorągiew wojskową w piechocie uznaje się chorągiem białą, prawie całkowicie zajętą przez polski krzyż kawalerski barwy czerwonej, pośrodku którego w otoku liści wawrzynowych istnieje napis: "Honor i Ojczyzna". Po rogach chorągwi w wieńcach laurowych umieszczony jest Nr. pułku. Chorągiew stanowi kwadrat, którego bok wynosi 1 metr. (wzór Nr. 10)

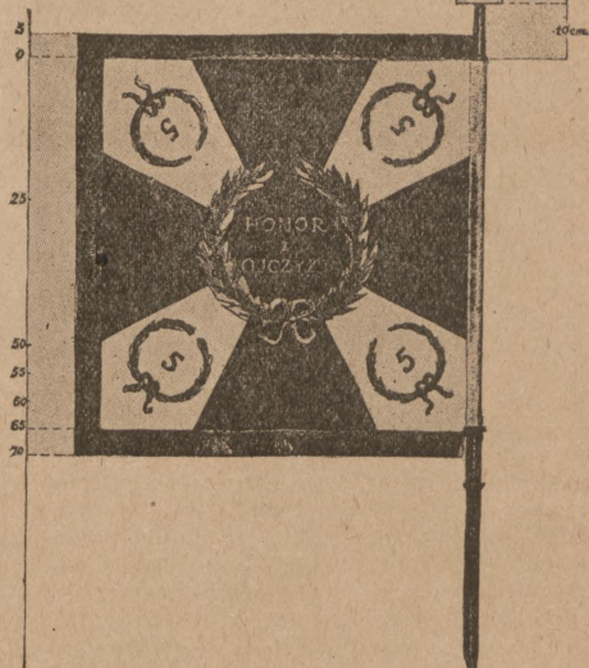
Wzór Nr. 9.



Znak polskiej marynarki wojennej

Znak, który umieszcza się na szczycie wielkiego masztu okrętu wojennego dla oznaczenia, że okręt jest w służbie czynnej pod dowództwem oficera polskiej marynarki wojennej. Znak przedstawia wstęgę o barwach narodowych z polskim krzyżem kawalerskim przy drzewcu (wzór Nr. 9). Stosunek długości do szerokości tegoż stanowi 1:25.

Wzór No. 11.



Chorągiew i sztandar wojskowy jazdy.

Za chorągiew pułkową w jeździe uznaje się chorągiew tego samego wzoru, jednak bok kwadratu wynosi 65 cm. (wzór Nr. 11).

Na jednej stronie sztandaru pułkowego dozwolone jest zastąpienie przepisanego godła przez emblematy szczególne i napisy, podlegające zatwierdzeniu Naczelnika Państwa na wniosek Rady Ministrów.

Wzór Nr. 12)



Znak pułkowy

KONSTYTUCYA TRZECIEGO MAJA 1791 ROKU.

Lubo ustawa 3 maja 1791 r. znaną jest dobrze światu, nie będzie od rzeczy, choć celniejsze jej punkta w tem miejscu położyć. Podług więc tej ustawy berło polskie dziedzicznem się stawało, tolerancyę wszystkich wyznań zapewniono, a stanowi szlacheckiemu równość między sobą i używanie wszelkich swych przywilejów, królewskie miasta wysyłały swych deputowanych. Służba cywilna, lub wojskowa otwierała mieszczanom drogę do szlachectwa. Stan wiejski, zabezpieczony od wyzysku szlachty i pod opiekę prawa wzięty. Władza prawodawcza w dwóch izbach sejmowych, wykonawcza przy królu, z przydaną mu strażą, z ministrów złożoną. Ministrowie odpowiedzialni. ¾ części sejmujących ministra obalić mogło. Sądownictwo niepodległe. Cztery komisye: edukacyi, policyi, wojny i skarbu składało zarządzenie kraju. Trybunał pierwszej instancyi, trybunał apelacyjny; liberum veto i wszelkie konfederacye usunięto na zawsze. — Konstytucya co lat 25 poprawianą być miała.

Lecz nie tylko naród polski przyjął z radością ustawę tę; co tylko było w Europie mężów cnotą, światłem i zasługami znakomitych, pośpieszyli wszyscy z oddaniem hołdu i pochwał królowi, oraz narodowi za tak ważne dzieło. Między wszystkimi atoli pośpieszył najpierwszy z oddaniem hołdu Polakom sam Fryderyk Wilhelm II., król pruski, w liście swoim z 23 maja 1791 r. do króla, a czytanym publicznie na sesyi sejmowej, winszując Polakom tak zbawiennej dla nich ustawy. Któżby zgadł na ówczas, że nie ubieży i rok, a tenże monarcha odważy się wyprzeć bezwstydnie i listów i przyrzeczeń i uroczystego zawartego z Polską przymierza; co więcej, że pierwszy poda myśl rozszarpania na szmaty kraju, który sam bronić, wspierać i powiększyć przyrzekał.

Wyznać należy, iż wiele jeszcze podług pojęć dzisiejszych nie dostawało tamtej, mianowicie tej wielkiej zasady, że w obliczu prawa każdy człowiek jest drugiemu równym. Lecz ktokolwiek przenieść się zechce w owe czasy, kto zważy, że sama szlachta sejm ten składała, że znaczna jej część zastarzałymi przesądami rządzoną była, kto zważy, iż położono zastrzeżenie, że konstytucya co lat 25 poprawianą być mogła — przyznać powinien, że sejm 1791 r. w położeniu swojem czyniąc nie co chciał, lecz co mógł, zostawił następcom swoim sposobność udoskonalenia dzieła swego.

J. U. Niemcewicz.

Marcowa Noc.

W powietrzu pachnie wiosną
Młodziutką i radosną,
Na niebie księżyc złoty
Po dachach miauczą koty.

Przywykły łowić myszy
I znany z swoich psot,
W bezmiernej nocnej ciszy
Namiętnie miaucze kot.

O cudna o wyśniona!
Wzejdź gwiazdką na mym niebie.
Tęsknotą drżą ramiona...
W mych snach przeczuwam ciebie!

Urocza i powabna,
A niby trzcina wiotka,
Mięciutka i jedwabna
Słucha go młoda kotka.

Dziewicza pierś faluje
Jak ptaszę, serce kwili,
Nieznane dreszcze czuje,
W przedziwnej onej chwili....

Księżyc blask leje złoty,
Kot z kotką przy kominie.
Uściski i pieszczoty...
Bez słów pieśń cudna płynie.

GÓRNY ŚLĄSK.

Najpiękniejszym objawem naszego narodowego odrodzenia jest przebudzenie się Śląska. Kraj oderwany przed wiekami, co przez lat sześćset pozostawał pod innymi wpływami, obecnie wrócił na łono Polski i czyn swój okupił zaraz dużemi ofiarami.

„Długo Śląsk nasz kochany, bez wszelkiej obrony został od swych zaniedbany, od obcych wzgardzony", słowa takie wyrywają się z zbolałego serca pieśniarza górnośląskiego. Po odłączeniu Śląska od Polski, zapomniano o nim zupełnie, zapomniano niemal, iż mieszka tam lud rdzennie polski — gdy rozszerzano ciągle granicę na wschód i musiano jej bronić w bezustannych walkach, ziemię śląską oddano bez walk na łup Czechom i Niemcom.

Ale i Śląsk zapomniał, iż o miedzę mieszka lud ten sam. Książęta śląscy zniemczeli, zniemczało także duchowieństwo i mieszczaństwo. Język nasz skrył się jeno pod strzechy wieśniacze i do chat robotniczych, i tak przetrwał po dziś dzień.

Lud sam żył w warunkach najokropniejszych; warunki pańszczyźniane były tam najcięższe z europejskich, dla pana niemieckiego musiał pracować po sześć dni tygodniowo, gdy na swoje potrzeby mógł używać jedynie nocy; w razie braku inwentarza pan zaprzęgał kobiety i dzieci do pługa, bito je, gdy stawały znużone do pracy. Ten lud, ciemiężony i bity żelaznymi prętami, mówił po polsku: stąd też i język ten stał się językiem niewolników — dlatego pozbywał się go każdy, kto wydostawał się w życiu na wyższe stanowiska.

Lubo lud po polsku mówił, jednak za Polaków się nie uważał. Kiedy jeszcze w połowie minionego wieku ks. Antoniewicz na kazaniu zwrócił się do ludu ze słowami: Ludu polski... — wtedy inni księża prosili go, aby ludu pogardliwie nie nazywał. Tak nie miał lud górnośląski nikogo, ktoby w jego stanął obronie, a Niemcy uważali go za pół-człowieka, pijaka i leniwca.

A przecie dzięki wytężonej pracy robotnika śląskiego Niemcy zarabiają tysiące milionów. Bo kraj cały posiada niezmierzone bogactwa ziemne. W okolicach: Gór tarnowskich, Bytomia, Katowic, Zabrza, Rybnika, Pszczyny, Gliwic, Raciborza znajdują się olbrzymie złoża węglowe. Należą do najbogatszych w całej Europie; obliczają bowiem uczeni, iż kiedy pokłady w Niemczech i Anglii wyczerpią się w przeciągu pół tysiąca lat, to śląskie starczą jeszcze przynajmniej na lat tysiąc. W innych okolicach, jak n. p. Wielkie Strzelce, Opole posiadamy nieprzebrane niemal kopalnie kamienia wapiennego. Naturalnie, iż odpowiednio do tych bogactw posiada Śląsk urządzenia przemysłowe, znajdują się tam przeto huty żelazne, jakich niema gdzieindziej w Polsce, znajdują się fabryki lokomotyw i wagonów kolejowych, są tak wielkie, że nietylko zaspokoją całkowicie potrzeby Polski samej, ale także będziemy mogli nasze wyroby sprzedawać obcym. Przedsiębiorstwa te kopalniane i przemysłowe są po części własnością państwową, częścią własnością finansistów niemieckich.

Na tych ziemiach siedzi przeszło półtora miliona Polaków, a około 580.000 Niemców. Tak przynajmniej wykazywała statystyka rządowa niemiecka, na ich korzyść zestawiana. W niektórych okolicach Niemcy posiadają pewną przewagę i nie wiadomo, czy wszystkie strony kraju zdołają przy plebiscycie wskutek tego przypaść Polsce. Lud jest bardzo dobry i nader gościnny. Przechował w sobie wszelkie cechy dawne polskie, a przedewszystkiem język. Mówią tam jeszcze wszyscy językiem złotoustego Skargi i niezapomnianego autora pieśni „Kto się w opiekę", Jana Kochanowskiego. Lud jest niesłychanie chciwy wiedzy, szczególnie zaś pociągają go dzieje dawnych lat, a także sprawy gospodarcze. Pilnie przestrzega dawnych zwyczajów i obyczajów narodowych, ma serce otwarte dla każdego, kto jest mu życzliwy.

Ruch narodowy zaczął się krzewić w połowie minionego stulecia. Pierwszym szerzycielem oświaty polskiej na Śląsku Górnym był nauczyciel Józef Lompa, który wydawał powiastki i książki gospodarskie dla ludu, a także drukował gazetki; jednocześnie Karol Kosicki zabiegał o równouprawnienie języka polskiego w administracyi, a ks. Józef Szafranek, pierwszy poseł polski na Śląsku, jeszcze w roku 1848 na sejmie berlińskim domagał się uznania języka polskiego w sądownictwie i administracyi, zaś ks. Bernard Bogedain czynił bezskuteczne starania o uzyskanie praw naszego języka w szkole. Józefowi Lompie zawdzięczamy zainteresowanie się uczonych polskich i obywateli dobrych w Warszawie i Krakowie sprawami ludu śląskiego: były to początki nawiązania tych stosunków, które zerwały się przed sześciu wiekami.

Praca tych działaczy wydała duże owoce. Zaczęto z czasem tworzyć rozmaite stowarzyszenia polskie. Tak w Sokole skupiają się robotnicy, mężczyźni i kobiety. Towarzystwa śpiewackie należą do najbardziej rozpowszechnionych, są instytucyami narodowo-kulturalnemi; skupiono je w związek, do którego w r. 1911 należało około 100 kół, gdy dziś należy już 200.

Oświatą zajmuje się osobne „Tow. Oświaty na Śląsku" im. św. Jacka, młodzież się skupia w Tow. Młodzieży Górnego Śląska, w osobnem stowarzyszeniu kupcy i rzemieślnicy, istnieją dalej organizacye czytelni ludowych, kółek rolniczych, banków ludowych, "Rolników" dla zakupna i sprzedaży produktów rolnych. Najpotężniejszem wszakże zrzeszeniem jest zjednoczenie zawodowe polskich robotników, liczące około 85.000 członków.

Jednocześnie z ruchem oświatowym nie budził się jednak ruch polityczny Polski. Z początku lud wybierał posłów, którzy wstępowali do niemieckiego katolickiego centrum, które broniło spraw Kościoła. Tam wstępowali także posłowie Polacy. Ale to ludu nie zadawalało, domagał się bowiem, aby ich posłowie bronili interesów ludu polskiego. Dopomógł im bardzo także Bismark, który swojemi prześladowaniami religii i polskości pobudził tylko nasz ruch narodowy.

W r. 1901 zaczęli w Katowicach wydawać dwaj młodzi studenci górnośląscy: Wojciech Korfanty i Jan Kowalczyk gazetę „Górnoślązaka", który głosił potrzebę oderwania się od centrum, które choć jest katolickiem, jest jednocześnie niemieckiem, i wysunęli hasło wybierania posłów polskich, którzy weszliby do Koła Polskiego. Przy wyborach r. 1903 Korfanty odniósł wielkie zwycięstwo i on pierwszy został wybrany stamtąd na posła przeciwko kandydatom centrowym. Przy wyborach r. 1907 wybrano 5 Polaków, a w r. 1912 — czterech.

Od tego czasu coraz silniej bije ruch narodowy na Śląsku i coraz silniej słychać głosy do połączenia się z Polską. Jak dawniej Bismark przyczynił się wielce do pognębienia ducha narodowego, tak ostatnimi czasy przysłużył się do tem energiczniejszego ciążenia ku Polsce socyalista Hoersing, który po rewolucyi został powołany na komisarza Górnego Śląska i swojem barbarzyńskiem postępowaniem, prześladowaniem polskości, gnębieniem górników i rolników, uznaniem przestępstw grencszucu, który niewygodnych sobie ludzi zabijał, wskutek czego straciliśmy wielu naszych dzielnych działaczy — sprowokował wybuch powstania. Bez żadnego uzbrojenia, bez wojska, rzucili się górnicy śląscy na swoich oprawców i podjęli z nimi nierówną walkę. Młodzi bohaterzy krwią swą silniej znaczyli przynależność do Polski, niż wszelkie wyniki głosowania.

Wybuch powstania narodowego przeciwko Niemcom na Śląsku jest wielkim wypadkiem historycznym. Ta dzielnica, która przez wieki stała od Polski oderwana, o której zapomniano, sama podniosła broń przeciwko swym ciemiężcom, dotychczasowym władcom Śląska.

Był to chrzest polskości ludu górnośląskiego.

Paweł Pospiech, poseł śląski.

W RAJU BOLSZEWICKIM.



Czerwona gwardya "rekwiruje".

Polska między narodami świata.

Mija lat pięć z okładem, jak uciekli od nas Moskale, mija dwa, jak uciekli od nas Prusacy i Austryacy. Polska wróciła do stanu wolności, należnego wszystkim narodom, Ojczyzna nasza, po stu zgórą latach poniewierki, jest znowu krajem samym w sobie, od nikogo obcego niezależnym. Ten cud wyzwolenia odbył się w oczach naszych i będzie przedmiotem podziwu dla wielu pokoleń.

Polska ma teraz rząd — nie nadzwyczajny, ale własny, ma Sejm wybrany przez ogół ludności, ma wojsko. Grzebiemy się pomaleńku z ruin, które sprowadziła na nas wojna. Ciężko nam, bo po tylu latach wojny wszystkim ciężko — i tym, którzy przegrali, i tym, którzy zwyciężyli. Polska ma jeszcze trudności osobne, ile-że kraj, zapuszczony przed wojną i zrujnowany w cazsie wojny, odwykł od rządzenia samym sobą i brak mu nietylko wprawy, ale i ludzi zdatnych do rządu. Przytem setki tysięcy narodu, wygnanego przez Moskali w głąb Rosyi, takież setki tysięcy zatrzymane przez Prusaków w głębi Niemiec wracają do kraju — i nie zastają tu ani dachu nad głową, ani warsztatu pracy. Na domiar złego — sąsiedzi, nawykli do poniewierania nami, nie chcą ustąpić dobrowolnie z naszych ziem pogranicznych i pastwią się nad braćmi naszymi. Trzeba gwałcicieli wypędzać siłą, aby ludność nieszczęsną tych obszarów wyzwolić od napaści Moskali-bolszewików, Niemców, Litwinów.

Na to więc przyszło, że gdy Ameryka, Anglia, Francya, Włochy zabierają się do spożywania owoców zwycięstwa i wojnę kończą, Polska musi trwać w ogniu. To też trwa Polska pod bronią, walczy o bezpieczeństwo, o utrwalenie linii swych granic i walczy nader skutecznie. Nic tak nie wzmocniło powagi i znaczenia Polski między narodami świata, jak piękne czyny wojska naszego na polach bitew. Obrona Lwowa, zdobycie Borysławia i błyskawiczny pochód na Tarnopol — ku brzegom Zbrucza, opanowanie podwójnej linii fortec wołyńskich (Kowel, Łuck, Włodzimierz Wołyński, Dubno, Równe, Ostróg); zdobycie Brześcia, Pińska i Wilna; potem Mołodeczna, Wilejki i Mińska, potem Borysowa, potem Bobrujska — są to czyny wiekopomne, które wskrzesiły dawną sławę oręża polskiego i przypomniały światu, że Polska nie przestanie być nadal przedmurzem kultury Zachodu od nawałnicy wschodniego barbarzyństwa. Młode państwo — Polska, wyzwolona przez cudowne zrządzenie Opotrzności, wyrobiła sobie prędko dobre imię w świecie. Już w połowie ubiegłego 1919 roku można było oglądać w stolicy Rzeczypospolitej w Warszawie poselstwa od wszystkich głównych mocarstw Zachodu. Zjechał do Polski poseł od Ojca świętego, zjechało poselstwo od króla angielskiego i cesarza Indyi; od prezydenta Francyi, od prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, od króla włoskiego, od króla rumuńskiego, szwedzkiego, duńskiego i innych pomniejszych. Z mocarstwami wielkiemi Polska zawarła przymierze, potwierdzone uroczyście przez Sejm Rzeczypospolitej. Państwa mniejsze, lub te, których los nie jest ustalony, muszą szukać z nami dobrych stosunków. Dotyczy to w szczególności Węgier, Czech i także Rosyi. Z tą narazie, póki tam grasuje zaraza żydowsko-bolszewicka, jesteśmy w wojnie, ale do zgody dojdziemy. Jednak przedtem musimy wyznaczyć z tej strony granice takie, które odpowiadają prawu historycznemu Polski i które zabezpieczałyby nas przed napaścią ze strony Rosyi. Węgrzy szukają przyjaźni z Polską, do której odwołują się, swiadcząc się wspólnemi przeżyciami lat dawnych, zamierzchłych. Czesi rozpoczęli od zdrady i napaści, od wystąpienia przeciw nam do spółki z Ukraińcami, od szukania drogi ku Rosyi na naszą szkodę, ale — muszą być z nami w zgodzie. Z Litwinami, a nawet Łotyszami zgoda będzie nietrudna. Pozostaje zatem Polsce wróg jeden — Niemcy oraz ich między nami przyjaciele, i przeciwko Niemcom naród polski musi stanąć frontem na długie lata, jeżeli Polska nie ma znowu utracić swej niepodległości. Potęga Niemiec bowiem została jedynie nadwyrężona przez wojnę. I Polska musi wytężyć wszystkie siły, aby się ostać przed tą ciągle dla siebie groźną potęgą, która wyrzucona przez Anglię z obszarów morskich, z tem większą energią musi uderzyć na lądzie w kierunku naszym, wschodnim, aby po naszym grzbiecie dotrzeć do Rosyi i ssać ją nadal, jak przed wojną. Polska weszła między narody świata. Żyje własnem życiem, według własnego planu i woli. Ma swój rząd, Sejm, prawa, skarb, wojsko. Ma liczne miasta, duże skarby w ziemi, ma własne wybrzeże morskie i stąd dostęp do wielkich szlaków handlu światowego. Tak zrządził jakoś Bóg litościwy, że naród polski ma przed sobą przyszłość piękną, choć pełną przeszkód i pracy bardzo ciężkiej. Byle nam, którzy dożyliśmy tej cudownej doby, starczyło woli do usłuchania głosu Przenaczenia. Woła on, że Polsce potrzebna jest teraz zgoda, zgoda i jeszcze ras zgoda.

Jan Załuska, poseł łomżyński.

WIELCY MĘŻOWIE NARODU.

Opatrzność, która narodami rządzi i każdemu z nich pewne zadanie do spełnienia przeznaczyła, zsyła tym narodom w przełomowych chwilach ich życia takich mężów, jakich dany naród w pewnych chwilach potrzebuje. Gdy Polska była u szczytu swej sławy, świetności i potęgi, wystąpił u nas złotousty ksiądz Skarga, który w swych kazaniach wskazywał na zło, które w narodzie poczęło się gnieździć i przepowiadał, że po latach blasku i chwały nadejdzie upadek i niewola narodu. Gromił złotousty kaznodzieja prywatę i pychę możnowładców, przeklinał tych, którzy dbali tylko o siebie a nie o Ojczyznę i mówił, że pycha ta i to samolubstwo upadek Polski przyniesie i jej niewolę. Jakoż w niedługi czas przepowiednie Skargi w zupełności się spełniły, — nikła coraz bardziej dawna dzielność i siła narodu, nikła u Polaków coraz więcej miłość Ojczyzny, a rosło ciągle zło i niezgoda tak długo, aż państwo polskie na trzy części zostało rozdarte, a z dawnej naszej świetności, wspniałości i potęgi zostało tylko wspomnienie.

Przed samym upadkiem Polski nie brakło nam mężów, którzy wszelkiemi siłami starali się zaradzić nadchodzącemu nieszczęściu i pracowali w tym kierunku, by Rzeczpospolitą od upadku uchronić. Wystąpili wtedy mężowie tej miary, co Kołłątaj, Staszic i Konarski, lecz usiłowania ich spełzły niestety na niczem. Naród był zbyt słabym i niedołężnym, by zdołał przeprowadzić te reformy, które dla uratowania jego niepodległości były konieczne. Na reformy te było za późno: skarb nasz był zawsze pusty, żaden prawie sejm nie dochodził do skutku, a co do wojska, tośmy go prawie zupełnie nie mieli. Wojska zaś potrzebowała Polska stokroć więcej, niż każde inne państwo; otoczone trzema zaborczymi sąsiadami, dybiącymi na jej ziemię, Austryą, Rosyą i Prusami, musiała bez siły zbrojnej stać się niewolnicą tych państw, musiała upaść i zostać rozebraną.

Smutne nastały dla narodu polskiego czasy. Rozebrani na trzy części, staliśmy się łupem naszych wrogów i byliśmy skazani na nędzę pod każdym względem. Gnębił i wynaradawiał nas Prusak, wydzierał nam naszą religię i ojczystą mowę Moskal, więził nas i prześladował Austryak. Ale mimo najstraszniejszych prześladowań nie straciliśmy nigdy nadziei, że będziemy kiedyś znowu wolni, — w najgorszych nawet chwilach wierzyliśmy zawsze, że Polska jeszcze nie zginęła, że niepodległość znowu odzyskamy i że wstanie jeszcze wielka, silna i potężna Rzeczpospolita.

Wierzyliśmy zawsze, że jak długo żyje duch w Narodzie, jak długo myślimy i czujemy po polsku, tak długo Polska żyje w sercach naszych, tak długo nic nie znaczą uciemiężenia naszych wrogów i ich zabiegi, by zdusić wszystko, co polskie.

I w tych chwilach nadziei całego Narodu, w tych chwilach męki i oczekiwania, w tych czasach strasznych, kiedy w czasie wojen, prowadzonych przez naszych zaborców, Polak ubrany w mundur jednego państwa zaborczego musiał strzelać do Polaka, ubranego w mundur inny, w czasach, kiedy brat musiał strzelać do brata, żyliśmy wielkiemi słowami Wieszczów Narodu i ich proroctwami. W tych najcięższych dla nas chwilach zesłana nam Opatrzność trzech wielkich mężów, którzy jak słup ognisty wskazywali nam drogę przyszłości i mówili zawsze, żeśmy nie zginęli i że wkrótce niepodległość odzyskamy. Tymi wielkimi mężami, tymi naszymi prorokami i wieszczami, to: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński.

Długo, bardzo długo żyliśmy myślami tych trzech naszych wieszczów i nadzieją, z ich wielkich dzieł płynącą. Wielkie słowa Mickie-

wicza, Słowackiego i Krasińskiego były dla nas codzienną karmą i one trzymały nas przy życiu. One dodawały nam w najcięższych chwilach otuchy, one kazały trwać nam wiernie pod sztandarem naszych ideałów i wierzyć zawsze i wszędzie w bliskie zmartwychwstanie Polski.

I zmartwychwstanie to nadeszło prędzej, niżby można było się spodziewać. Nadeszła wielka wojna światowa, powszechna wojna ludów, o którą modlił się Mickiewicz i ta wolność nam przyniosła. Po strasznych latach udręki, po długim czasie nadziei, weszło wreszcie nad polską ziemią tak długo oczekiwane słońce swobody, weszła jutrzenka niepodległości i nowego życia.

Powstała Polska i coraz silniejszą, coraz potężniejszą się staje! Aczkolwiek wrogów nam nie braknie, aczkolwiek nie wszystkie jeszcze ziemie Rzeczypospolitej nie są jeszcze z Macierzą złączone w chwili, gdy te słowa oddajemy do druku, przecież widzimy, że Polsce sił coraz więcej przybywa, a wrogowie nasi leżą w niemocy pogrążeni. Znikła Austrya i rozsypała się w gruzy tak nagle, jak żadne jeszcze państwo, w bezładzie pogrążona Rosya, obalone są Niemcy. Hydra prusko - krzyżacka została raz na zawsze pokonaną i musi oddać nam wszystko, co tak chciwie pożreć chciała.

I znowu w tych wielkich, przełomowych czasach, obdarzyła nas Opatrzność mężami, którzy wodzami są Narodu i stanąwszy u jego szczytu, kierują nawą niepodległej Polski. Nazwiska tych trzech mężów każdy z nas z należną czcią wymawia i jak najgorętszą wdzięczność dla nich czuje. Mężowie ci, to: Piłsudski, Paderewski i Haller.

Piłsudski to wódz Legionów i naczelnik Państwa. Wtedy, gdy wojna wybuchła, gdy brat musiał jeszcze przeciw bratu walczyć, on ujął wysoko sztandar żołnierza polskiego i poprowadził tego żołnierza na nowe boje i nowe zwycięstwa. Sława oręża polskiego rozbrzmiała znowu szeroko i tym razem krew, przez najlepszych synów rozlana, nie poszła na marne: Polska zmartychwstała, a Piłsudski, więziony długo przez Prusaków, wrócił do Ojczyzny i jest Naczelnikiem wolnej i zjednoczonej Rzeczypospolitej.

Drugim z tej wielkiej trójki mężów to nasz kochany Paderewski. ''Przyjaciel Wilsona'', prezydenta Stanów Zjednoczonych, nie wahał się w przełomowych chwilach poświęcić dla Narodu wszystkie swoje siły i ze słynnego na świat cały muzyka stał się słynnym, dzielnym wodzem Polski.

Trzeci z wielkiej trójki to Haller. W czasie, gdy Legiony polskie, stworzone przez Piłsudskiego, przechodziły swój kryzys, gdy po traktacie brzeskim okazało się, że Niemcy i Austrya haniebnie nas oszukały i zdradziły, poprowadził swoje Legiony na tułaczkę i po dwu latach przez Rosyę, Francyi i Niemcy, oddawszy wiele usług dla koalicyi i sprawy polskiej, wrócił w chwale do Warszawy, witany owacyjnie przez cały Naród.

Nazwiska tych trzech mężów, będące dzisiaj na ustach każdego Polaka, to nazwiska najlepszych synów Ojczyzny, to nazwiska jej duchowych wodzów.

KTO CIĘ WOŁA?

Kto cię wołał, żołnierzyku,
Kto cię wołał w bój?
— Wołała mię Polska, matka...
— Każda wioska, każda chatka...
— Abym szedł na znój!
— Abym szedł na znój!

Kto cię wzywał, żołnierzyku,
Abyś rzucił dom?...
— Wzywały mię krzywdy, bole...
— Za kajdany, za niewolę
— Nie pomścić się srom!
— Nie pomścić się srom!

Kto cię wiedzie, żołnierzyku,
W ten daleki szlak?
— Pacierz stary, krzyż, znak wiary...
— O Kościuszce myśl ofiary
— I ten biały ptak,
— Orzeł, biały ptak!

Bóg cię prowadź, żołnierzyku,
Na ten wielki trud...
Niech zadzwoni Zygmunt z wieży...
Niech zwycięstwa wieść przybieży,
By znał wolność lud!
By znał wolność lud!

Jadwiga z Łobzowa.

Mowa Polska.

„Opatrzność, tworząc narody, hojnie osypała naszych ojców rozlicznymi darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie; dała im zarazem lwie i głębokie serca, szlachetne dusze, i bystre umysły zdolne do najgórniejszych lotów.

A nie był to jeszcze kres darów. Możnaby mniemać, że Bóg tworząc Polaków, rzekł im: Oto nadomiar wszystkiego daję wam śpiż dźwięczny, a niepożyty, taki z jakiego ludy, żyjące przed wami, stawiały posągi swym bohaterom; daję wam to złoto błyszczące a giętkie, a wy z tego tworzywa uczyńcie mowę waszą. I została mowa, niespożyta jak śpiż, świetna i droga jak złoto, jedna z najwspanialszych w świecie, tak wspaniała, piękna i wdzięczna, że chyba tylko język dawnych Helenów (Greków) może się z nią porównać.

Powstali również z biegiem wieków liczni mistrze słowa, którzy ze śpiżu uczynili ramię harfy, a ze złota nawiązali na nią struny. A wówczas śpiewać ta polska harfa poczęła i wyśpiewywać dawne życie. Czasem huczała jak grzmot w górach; czasem w skowronczych tonach dźwięczała nad polami — błogosławiąca i błogosławiona, czysta jak łza Boża, jak modlitwa — słodka, jak miłość. Aż przyszedł wreszcie do naszej harfy największy z mistrzów — Mickiewicz i, położywszy na niej natchnione dłonie, wydostał z jej strun takie jeszcze dźwięki, jakich nie domyślano się przed nim. Pieśń jego kończyła się aż gdzieś na Niebios progu, tak doskonała, tak prawie nieziemska, że wówczas nawet, gdy przestawał grać:

...Wszystkim się zdawało, że wielki mistrz gra
[jeszcze
A to echo grało...

Echo serc polskich... I wygrał szum naszych lasów, plusk naszych rzek i dżdżów, gromy naszych burz, pieśni naszego ludu — wszystko, co nasza myśl może objąć, serce odczuć, a dusza wyobrazić, jako wzniosłe i jako najpiękniejsze w świecie. Więc zdawać się mogło, że po nim i obok niego nikt nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu, i że ozdoby a doskonałości nikt już nie potrafi jej przysporzyć. A jednak znalazł się poeta, który to uczynił — i to jest ten, którego rysy widzicie wykute dłonią mistrza w marmurze (Słowacki).

....

Lećcie u zorzy prosić purpury,
Pereł u rosy, szafiru u chmury,
A może gdzie zawieszona
Na niebie tęczowa nić —
To tęczę wziąć na wrzeciona
I wić, i wić, i wić..."

Tak jest! On to uczynił. On nabrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających dyamentów i osypał niemi tę naszą harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przy nim i przed nami w niebywałym blasku, przepychu i majestacie — niby Harfa-Królowa, przed którą gną się kolana ludu i schylają się czoła ludu, jak ongi przed harfą Dawida. I oto jego zasługa, jego chwała, jego wielkość. Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą z podziwem i zdumieniem się pytały, jak zdołał i mógł to uczynić? A jednak — uczynił. Zdołał — bo poezya w jego duszy była jak nieprzebrane wody mórz, a mógł — bo tylko zmarłym nie można nic dodać.

Przed żywą królową zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej skarby w ofierze; ta zaś nasza królowa (mowa polska) była i będzie nietylko żywa, ale i nieśmiertelna..."

(Z mowy H. Sienkiewicza przy odsłonięciu pomnika Juliusza Słowackiego w Miłosławiu w 1889 roku).

Henryk Sienkiewicz

Gdzie umiera najwięcej dzieci

Norwegia przed 80 laty była krajem najwięcej pijackim w Europie. Każdy prawie dom włościański miał swoją małą gorzelnię. Na 1000 nowonarodzonych dzieci umierało wtedy 300 w pierwszym roku życia. A przecież wówczas Norwegia nie odznaczała się ani kiepskiemi mieszkaniami, ani krowami tuberkulicznemi, ani rozwojem przemysłu, którym to czynnikom możnaby przypisać winę. Wtedy rozpoczął się w Norwegii silny ruch wstrzemięźliwości, lud uświadomiony przeprowadził prawa, znoszące gorzelnie domowe i ograniczające sprzedaż napojów upajających, a w ślad zatem śmiertelność niemowląt zmniejszyła się ogromnie i wynosi dziś zaledwie 80—90 na tysiąc. Dziś wzrasta tam nowe, silne i zdrowe pokolenie. W Bawaryi zaś, w klasycznym kraju piwa, panują dziś te same stosunki, co ongi w Norwegii; na 1000 niemowląt umiera w pierwszym roku życia około 300, t. zn. prawie połowa dziecii Jaki ogrom troski, łez, zmartwienia, ileż zmarnowanej siły roboczej przedstawiają te liczby! Na 23,700 dzieci, rodzących się w Bawaryi, około 6,500 rodzi się nieżywo; z pośród 230,000, które żywe przyszły na świat, umiera już w pierwszym roku życia 69,000. Nie przesadzimy, twierdząc, że większa część winy tej wielkiej śmiertelności ponosi ów „napój ludowy" — piwo.

Potrzeba posiadania floty wojennej przez Polskę



GDYBYŚMY byli więcej i stale interesowali się morzem, nie bylibyśmy dopuścili do powstania i rozwinięcia się na jego brzegach potęgi pruskiej, ani do zagarnięcia na niem panowania przez Piotra Wielkiego, ani do pozostawania na specyalnych przywilejach butnego miasta Gdańska, bogacącego się zyskami z naszego handlu zamorskiego.

Wszystkie narody, które zrozumiały znaczenie morza, rozwinęły się w państwa bogate i potężne: Fenicya, Kartagina, Hiszpania, Portugalia, Wenecya, Holandya; natomiast upadły całkowicie, lub straciły znaczenie swej potęgi wówczas, gdy, czy to z własnej winy, czy też przez konflikt z silniejszym przeciwnikiem utraciły siłę na morzu (Hiszpania).

To też z chwilą osiągnięcia przez nas naszego najśmielszego postulatu politycznego, t. j. dostępu do morza, przybywa nam jeszcze jeden obowiązek, wypływający z odzyskanej przez nas niepodległości, a jest nim umiejętność wyzyskania osiągniętego dostępu do morza.

To, co ma być dla nas złotonośnem źródłem naszego rozkwitu ekonomicznego, trzeba wyposażyć i zabezpieczyć.

Wyposażyć przez włożenie odpowiednich kapitałów zakładowych w nabycie statków handlowych i urządzenie portu, a zabezpieczyć przez stworzenie floty wojennej.

Jedyny istniejący, urządzony na wybrzeżu port — to Gdańsk. Niestety, historya się powtarza. Specyalna dopiero konwencya nasza z tem wolnem miastem ma określić nasze w niem prawa. Miejmy nadzieję, że wypadnie ona dla nas korzystnie. Gdyby jednak nie wypadła nam ona po myśli, to będziemy musieli zabrać się natychmiast do budowy portu na własnem, bezpośrednio nam przeznaczonem wybrzeżu. To samo dotyczy portu wojennego.

Zabezpieczyć musimy nasze wybrzeże i nasz handel morski przez odpowiednie ufortyfikowanie wybrzeża i stworzenie silnej floty wojennej.

Z potrzeby posiadania przez nas floty handlowej zdajemy sobie dokładnie sprawę.

Potrzeba jednak floty wojennej, silnej stanie się dla nas zrozumiałą dopiero wtedy, gdy nasza żegluga handlowa zacznie się rozwijać. Wówczas jednak, gdy dalszy jej rozwój, a nawet i byt będzie zagrożony przez brak floty wojennej, stwarzać ją będzie już za późno.

Nikt bowiem nie będzie chciał wkładać kapitałów w urządzenia handlowe na wybrzeżu i łożyć na budowę statków handlowych, które nie będą zabezpieczone przed wpadnięciem w ręce wroga podczas pierwszego lepszego konfliktu zbrojnego.

Wąski skrawek naszego wybrzeża, wciśnięty pomiędzy obce państwa, tem więcej musi być broniony, bo łatwo możemy go utracić.

Stając się teraz przez rozszerzenie naszych granic nad brzeg morski narodem równorzęd-

nym z innymi pod względem otwarcia dla nas wolnego przystępu do wszystkich mórz i portów całego świata, powinniśmy uświadomić sobie znaczenie morskiej siły zbrojnej.

Narodom nadmorskim, do których i my się obecnie zaliczać mamy, znaczenie jej nie jest obce.

Bo wystarczy spojrzeć na historyę, ażeby przekonać się, że każdy konflikt światowy rozstrzygnięty został przez morze, a bardzo często na samem morzu. I to od najdawniejszych czasów. Z nowszych np. wojny napoleońskie rozstrzygnęły się przez morze, wojna rosyjsko - japońska — na morzu.

O wyniku minionej wojny światowej rozstrzygnęło także morze. Przez cztery lata zwyciężający na lądzie Niemcy zostali zwyciężeni, bo posiadali flotę słabszą, niż Koalicya.

W portach angielskich stojące okręty wojenne angielskie rozstrzygnęły o losach wojny.



ADMIRAŁ KAZIMIERZ PORĘBSKI,
Szef Departamentu Morskiego Ministeryum Spraw Wojskowych.

Gdyby Niemcy były posiadały silniejszą flotę, one byłyby wygłodziły Anglię, zabrały jej kolonie, Amerykanie i wojsko kolonialne nie byłyby mogły przyjechać na front zachodni, a i my nie odzyskalibyśmy niepodległości.

Uchwalenie kredytów na flotę, hasło jej powiększania w Niemczech tak popularne, na kilkanaście lat przed wojną z dobrym skutkiem propagowane przez "Flottenverein", przyszło za późno albo raczej wojna światowa wybuchnęła dla nich zawcześnie. W ostatnich latach przed wojną, mimo łożenia olbrzymich sum na budowę floty narodowej, cieszyła się przecież ludność Niemiec ogólnym dobrobytem, bo przez silną flotę wojenną rośnie flota handlowa i rozwija się przemysł rodzinny.

Niepodległe państwo, roztaczając swą władzę na wody terytoryalne, prowadząc handel zamorski, a przez to występując w ogólnym zespole innych państw, jako państwo równorzędne i suwerenne, musi dla poparcia swoich postulatów, tak podczas wojny, jak podczas pokoju posiadać organa wykonawcze swej władzy, t. j. flotę wojenną.

Bałtyk podczas wojny może być zupełnie izolowany od reszty morza, to też liczenie na pomoc na morzu innych sojuszników zachodnich jest dla nas niemożliwe.

Naturalnych jednak naszych sojuszników na morzu, mających sprzeczności interesów tak, jak my, czy to z Rosyą, czy z Niemcami, posiadamy na Bałtyku.

Są to: Szwecya, Dania, Finlandya, Estonia i Łotwa. Z flotami tych państw nasza flota połączona choćby już w najbliższych latach może się skutecznie wrogom, lub wrogowi przeciwstawić.

Wziąć pod uwagę należy, że połączenie Prus Wschodnich z Rzeszą, jak i połączenie Niemiec z Rosyą na wypadek wojny z nami, polegające na przesyłaniu sobie posiłków, może się dokonać tylko drogą morską, a przeszkodzić temu możemy tylko za pomocą floty wojennej.

Zważywszy te wszystkie powody, oraz nie chcąc powtarzać błędów naszej przeszłości, które wydarły nam to dziś odzyskane morze, a nawet przyprawiły nas w znacznym stopniu o upadek polityczny, widzimy konieczność posiadania przez nas silnej floty wojennej.

A powstać ona może, gdy stworzenie jej stanie się wolą i dążeniem głęboko przekonanego o jej potrzebie narodu.

A gdy się to stanie, z wiarą ufać możemy w swe siły i wierzyć, że odzyskana rubież Chrobrego nie będzie nam już nigdy wydarta, że nad morzem polskiem po wieczne czasy panować będzie: ORZEŁ BIAŁY.

Z LEGEND ZAPOMNIANYCH ZNALEZIONA ZGUBA.

Toneromo.

Zdarzyło się pewnego razu że, żona cesarza rzymskiego, wracając z igrzysk, zgubiła swe drogocenne ozdoby.

Cesarz wydał rozkaz i rozesłał po mieście gońców obwieszczających narodowi, że kto znajdzie zgubę, i zwróci ozdoby w ciągu dni trzydziestu, dostanie ze skarbca cesarskiego sute wynagrodzenie. Kto zaś znajdzie zgubę i nie zwróci jej w ciągu dni trzydziestu — będzie publicznie ścięty.

W tym czasie przybył do Rzymu pielgrzym do Ziemi Świętej, przechodząc jedną z bocznych ulic, znalazł przedmiot zgubiony przez cesarzową.

Gdy wszedł do miasta i przechodził zaludnionymy ulicami, dochodzić go zaczęły nawoływania gońców i widział, jak tłum rozbiegł się na wszystkie strony w celu odszukania cennej zguby.

Mąż święty nie zdradził się jednak, przed nikim ze znalezieniem ozdób, tail się z tym i zguby do pałacu nie odnosił. rzymał on u siebie te drogocenne przedmioty przez dni trzydzieści, i dopiero gdy odeszła na wieczność noc trzydziestego dnia i nastąpił ranek trzydziestego pierwszego, mąż święty ułożył w węzełek znalezione ozdoby i udał się do żony cesarza.

— Oto rzekł — zguba twoja. Bierz ją bo do ciebie należy.

Uradowało się serce cesarzowej, rozwiązała węzełek — wszystkie ozdoby były w całości i ani jedna nie była uszkodzona.

— Zapewne nie byłeś w Rzymie? — podpowiedziała cesarzowi, myśląc o usprawiedliwieniu świętego męża.

— Przeciwnie, odrzekł ten śmiało — byłem.

— Lecz pewnie nie wiedziałeś nic o rozkazie cesarza i nie doszły cię wieści o poszukiwaniach tych ozdób?

— Owszem, doszły i zgubę znalazłem w pierwszym dniu ogłoszenia cesarskiego rozkazu.

— Więc czemuż nie oddałeś ich natychmiast? Toć teraz czeka cię śmierć niechybna!

A święty odpowiedział:

— Chciałem dowieść ci, że wróciłem ozdoby nie pod wpływem lęku przed śmierciu, lecz z bojaźni przed Bogiem.

Rozradowało się serce cesarzowej.

Niech będzie błogosławiony Bóg twój, — rzekła, — który obdarzył cię tak wielką duszą.

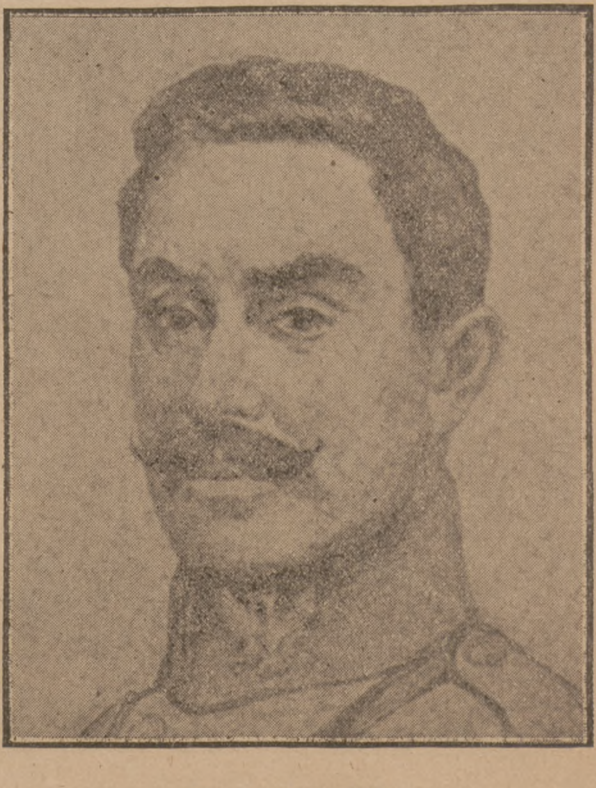
I rzuciła się na szyję cesarzowi, prosząc o przebaczenie dla świętego męża.

Która Polka otrzymała krzyż „Zasługi Wojskowej?“

Zofia Kodrębska, rodem z guberni Radomskiej, będąc młodem dziewczęciem, chciała służyć wojskowo i, przebrawszy się po męsku, w r. 1815 pod nazwiskiem Wańkowicza, wstąpiła do wojska polskiego. W r. 1831, jako ordynans generała Skrzyneckiego, odznaczyła się taką odwagą, że Skrzynecki na placu boju mianował ją oficerem i ozdobił “Virtuti militari“. Raniona w nogę, wyjechała za granicę, skąd powróciła do kraju dopiero w r. 1857, umarła w r. 1885 we wsi Wieniatycze na Wołyniu.

Kiedy słońce jest szkodliwsze dla zdrowia: w zimie, czy w lecie?

Badania lekarzy dowiodły, że promienie słoneczne są najszkodliwsze w styczniu, lutym, marcu, kwietniu i maju, kiedy tymczasem palące letnie słońce nie wywiera ujemnego wpływu na osoby, wystawione na jego działanie. Wiosenne i zimowe słońce często wywołuje następujące objawy: katar, ból głowy i gardła, osłabienie w nogach, gorączkę i bóle w plecach.



Jenerał Pruszyński,
m ó w c a pod pomnikiem Wilhelma w Grudziądzu. Pomnik ten następnej nocy został zburzony.

Typy Okrętów Wojennych i Rola Ich w Marynarce Wojennej.

W dobie bieżącej urządzenie różnych statków morskich jest bardzo odmienne; podług urządzenia wszystkie statki można podzielić na dwie kategorye: statki handlowe i statki wojenne, czyli okręty.

Statki handlowe służą do komunikacyi pomiędzy krajami, rozdzielonymi przez morza. Zależnie od miejsca pływania statki nazywają się morskimi, kabotażowymi, czyli pływającymi w pobliżu brzegów, oraz rzecznymi. Podług silnika statki handlowe bywają parowe i żaglowe. Okręty wojenne budują się wyjątkowo dla celów wojennych i służą podczas wojny do wykonywania pewnych operacyi; w tym celu marynarka wojenna posiada kilkanaście typów okrętów, a mianowicie: 1) okręty liniowe, 2) pancerniki, 3) krążowniki pancerne, 4) krążowniki zbrojno-pokładowe, 5) krążowniki szybkobieżne, 6) kontrtorpedowce, 7) torpedowce, 8) łodzie podwodne, 9) łodzie działowe morskie i rzeczne, 10) zagrodowce minowe, 11) niszczyciele łodzi podwodnych (destrojer), 12) monitory rzeczne, 13) transportery, 14) statki posłańcze, 15) statki dozorcze, 16) statki portowe, 17) bazy pływające, 18) statki straży granicznej, 19) jachty i 20) statki szkolnictwa morskiego. — Z przytoczonych tu typów pierwsze 12 służą do walki aktywnej, przeto nazywamy je bojowymi, reszta zaś odgrywa rolę pomocniczą.

Okręty liniowe są to bardzo duże okręty, wypasażone w artyleryę najsilniejszą i opancerzenie najmocniejsze. Pojemność takich okrętów sięga do 35,000 ton. Długość ich bywa do 600 stóp, szerokość do 90 stóp, zagłębienie do 30 stóp, szybkość do 28 węzłów. Artylerya okrętu liniowego składa się z 12-tu dział o 12 do 14 cali, które umieszczone są w wieżach pancernych, oraz z kilkunastu dział przeciwko torpedowcom o 130 mm., z kilku dział pionowych przeciwko hydroplanom. Oprócz dział okręt liniowy ma jeszcze kilka aparatów torpedowych podwodnych, przeważnie po 2 aparaty przy każdej burcie. Okręty liniowe budują się z takiem wyrachowaniem, aby mogły być w pochodzie czas możliwie długi, przeto muszą mieć większe zapasy paliwa i prowizyi. Okręty liniowe przeznaczają się tylko do boju z przeciwnikiem w szyku liniowym, stąd też otrzymały swoją nazwę.

Krążowniki opancerzone są to najwieksze okręty też o silnem opancerzeniu, mające jeszcze większą niż okręty liniowe szybkość; przeznaczają się do wywiadów, oraz obserwacyi nad przeciwnikiem; podczas boju zaś dopomagają okrętom liniowym. Pojemność dochodzi do 32.000 tonn, szybkość do 32-ch węzłów. Artylerya do 12-tu dział po 12 cali w walkach pancernych, kilkanaście dział kalibru do 10 mm., 4 aparaty torpedowe. Zapasy ropy spalinowej jeszcze większe, niż u okrętów liniowych.

Krążowniki mają znacznie mniejszą artyleryę, oraz mniejsze opancerzenie, lub mają opancerzenie tylko pokładu (krążownik zbrojno-pokładowy), chociaż mają być całkiem bez opancerzenia. Szybkość do 30 węzłów. Rola krążowników — wywiady, służba dozorcza, a również obrona i konwojowanie transportów wojennych, torpedowce, desantu i wogóle operacye takiego rodzaju. Artylerya krążowników składa się z 4ch dział 8-mio calowych, 10 lub 16 — 6 calowych, kilku dział 120 mm., 75 mm., i jeszcze mniejszych; 4 aparaty torpedowe. Zapasy paliwa wielkie, przeto pozwalają krążownikom czas dłuższy nie zawijać do portu.

Torpedowce eskadrowe są tostosunkowo małe okręty o pojemności do 1.000 ton, natomiast o bardzo wielkiej szybkości (do 36ciu węzłów) i silnem wyposażeniu torpedowem, gdyż mają do ataków na duże okręty 3 — 4 aparaty tor-

pedowe potrójne, do boju zaś artyleryjskiego z torpedowcami, a nawet z krążownikami ale mniejszymi mają 3 — 4 działa 100 mm. — 130 mm., 2 — 3 działka przeciwko hydroplanom, oraz kilka działek kalibrów małych, mitraliez i karabinów maszynowych. Budowa torpedowców jako też zapasy paliwa obliczają się na pływanie samodzielne lub wspólne z eskadrą, przeto torpedowce są dwu rodzajów: eskadrowe i torpedowe.

Torpedowce są znacznie mniejszej pojemności, o słabszej artyleryi, oraz o mniejszych zapasach paliwa; przeznaczają się torpedowce do pływania w pobliżu brzegów.

Łodzie podwodne są to specyalnej budowy okręty torpedowe o pojemności od 300 do 2.500 tonn, które, pływając pod wodą, łatwo mogą zaatakować okręt, dlatego też łodzie podwodne są bardzo groźnem orężem na morzu. Pod wodą łódź może przebyć do 30tu godzin i wówczas porusza się zapomocą silników elektrycznych, otrzymując prąd od rzeszy zasilników z szybkocią do 4ch węzłów. Na powierzchni wody łódź podwodna porusza się za pomocą silników spalinowych Diezel'a, z szybkością do 20tu węzłów, lub też za pomocą turbin parowych z szybkością do 26ciu węzłów (angielskie submersible eskadrowe). Najważniejszem orężem łodzi podwodnych są torpedy, które umieszczają się w 4ch aparatach na dziobie i 2ch aparatach na rufie. Oprócz tego bywją jeszcze aparaty torpedowe w poprzek łodzi, tak zwane aparaty trawersowe, po 4ry na burtę. Artylerya składa się z 2 — 3 dział średnich kalibrów, a nawet i dużych, włącznie do 12tu calówek (Anglia), z kilku dział przeciwko hydroplanom, kilku mitraliez i karabinów maszynowych. Oprócz łodzi torpedowych, są też jeszcze łodzie torpedowe zagrodowe, zawierające po 60 min zagrodowych (Rosya). Wszystkie łodzie podwodne nowoczesne budują się z wyrachowaniem na bardzo długi pobyt na morzu (do 8 tygodni). **Łodzie działowe** są to nieduże do 1.000 ton pojemności statki, z artyleryą średnich kalibrów; przeznaczają się do pływania w pobliżu brzegów, na rzekach, jeziorach większych dla ich ochrony, dlatego budują się o małem zagłębieniu i mają nieduże zapasy paliwa.

Zagrodowce minowe są to specyalnej budowy statki do szybkiego założenia w miejscach wskazanych min zagrodowych. W razach takich zagrodowców rabią się magazyny do pomieszczenia 500 min zagrodowych. Dla postawienia zagrody minowej wystarcza kilka godzin.

Praktyka wojny ostatniej stworzyła specyalny typ statków **niszczycieli** łodzi podwodnych (destrojer). Są to malutkie stateczki motorowe o pojemności 15 — 40 ton, o bardzo wielkiej szybkości (do 35 węzłów). Do zniszczenia łodzi podwonych oprócz ostrego bodźca przy dziobie, niszczyciele mają działa z pociskami nurkującymi, oraz miny, które holują się na trawlach różnej długości.

Do operacyi na rzekach buduje się **monitory**; są to nieduże statki opancerzone, z artyleryą średnich kalibrów w wieżach pancernych.

Transportery wojenne przeznaczone są do przewożenia paliwa, amunicyi, desantu, zapasów dla eskadry i portów; budują się na wzór dużych statków handlowych.

Na niektórych transporterach urządzają się warsztaty, co pozwala okrętom robić pewne reperacye na morzu, nie zawijając do portu. Takie warsztaty pływające nazywają się bazą pływającą.

Statki posłańcze wykonywają przeróżne poruczenia na morzu, **jachtami** zaś podróżują osoby władzy wyższej.

Statki szkolnictwa morskiego służą do odbywania studyów praktycznych przez uczniów różnych fachów morskich.

Statki portowe wykonywają najrozmaitsze roboty niezbędne w porcie.





Do obrony naszego wybrzeża nadają się pomiędzy innymi środkami szybkie łodzie motorowe, uzbrojone w torpedy. Jednakże te łodzie bez wywiadu i poparcia lotniczego zupełnie samodzielnie działać nie mogą. Koniecznem więc jest tworzenie dobrze zorganizowanego lotnictwa morskiego.

Jaką nadzwyczajną rolę lotnictwo odgrywać może, okazała wojna światowa. Aby dobrze móc działać, lotnictwo morskie musi być ściśle związane z marynarką wojenną i z tego powodu lotnik morski przedewszystkiem powinien być marynarzem, potem zaś dopiero lotnikiem.

Pilotowi morskiemu przypadają wielokrotnie zadania, przed któremi z braku wykształcenia marynarskiego lotnik lądowy bezradnie stać będzie.

Zadania lotnictwa morskiego dzielą się na: zadania w czasie wojny i zadania w czasie pokoju.

Podczas wojny lotnictwu mogą przypadać:

a) **Wywiady** nieprzyjacielskich portów, wybrzeża i stacye marynarki wojennej, jak również handlowej, **b)** wywiady własnego wybrzeża, szukanie min, szukanie nieprzyjacielskich łodzi podwodnych i zwalczanie ich za pomocą szybkich małych torpedowców (łodzi motorowych), **c)** wywiady dla operacyi floty własnej.

d) Ataki: na nieprzyjacielskie porty, doki, warsztaty okrętowe, arsenały, bazy dla łodzi podwodnych i motorówek. Następnie stacye lotnicze, sygnałowe, radiotelegraficzne i stacye do pelengowania, **e)** ataki na nieprzyjacielskie statki wedetowe i tralery z posiłkami motorówek.

f) Obrona przed lądującem nieprzyjacielskiem wojskiem (zwalczanie ich przez bomby i ogień karabinów maszynowych, **g)** obrona przed nieprzyjacielskimi lotnikami. Przeszkadzanie im w wywiadach własnego wybrzeża, **h)** obrona przed nieprzyjacielskimi statkami (zwalczanie ich przez bomby i torpedy), **i)** obrona własnych płatowców podczas ostrych wywiadów.

k) Służba łączności pomiędzy statkami i poszczególnemi stacyami.

W czasie pokoju.

a) Główne zadania: przygotowanie się na czas wojenny.

b) Służba wywiadowcza i hydrograficzna własnego wybrzeża.

c) Służba policyjna napowietrzna i morska.

d) Służba pocztowa dla marynarki i dla wojska.

Do osiągnięcia wyżej wymienionych celów okazuje się konieczność rozmaitych typów:

1) Płatowiec wywiadowczy, nadający się do wywiadów.

2) Płatowiec niszczycielski, nadający się do ataków.

3) Płatowiec myśliwski, nadający się do obrony.

Nareszcie jest potrzebny czwarty typ:

4) Płatowiec szkolny, nadający się do wyszkolenia.

Płatowiec wywiadowczy, ażeby wszystkie swoje zadania mógł dostatecznie wypełniać, musi mieć: jak największy promień działania, wielką szybkość wzbijania się, doskonałą ruchliwość, — oprócz tego musi być w stanie dźwignąć 2 do 3 lotników, stacyę radiotelegraficzną odbiorczą i nadawczą, wszelkie potrzebne urządzenie do fotografowania i sygnalizowania, jeden do dwóch karabinów maszynowych, bomby, wyposażenia morskie i gołębie pocztowe.

Płatowiec niszczycielski. Pożądane jest, aby mógł nosić jak najwięcej bomb. Będzie to z tego powodu typ o jak największych rozmiarach. Promień działania powinien być wielki, szybkość jednakże, ażeby móc lepiej celować i (ponieważ ataki na nieprzyjacielskie porty odbywają się przeważnie w nocy) lepiej lądować, powinna być mniejsza. Miejsc powinno być na 3 — 4 osoby. Urządzenia radiotelegraficzne i do sygnalizowania, a także karabin maszynowy.

Oprócz tego jest specyalny typ płatowca torpedowca. Typ ten może dźwignąć mniejszą torpedę i po spuszczeniu się na morze wylądować. Płatowce tego typu nadają się też do przewozu większych ciężarów drogą napowietrzną.

Płatowiec myśliwski służy przeważnie do obrony własnego wybrzeża przed nieprzyjacielskimi lotnikami. Ze względu na to musi mieć jak największą szybkość i szybkość wzbijania się, nieograniczoną ruchliwość podczas lotu, 2 karabiny maszynowe i miejsce dla 1 pilota. Typ ten może być używany do robienia zdjęć na froncie.

Płatowiec szkolny. Jest specyalny typ wyłącznie do wyszkolenia i z tego powodu ma urządzenia do podwójnego sterowania, albo dla postępowych uczniów pilotów używa się jednego z wyżej wymienionych typów.

ŻARTY.

LOGIKA.

— Mój pies jest tak inteligentny, że można by go nazwać półczłowiekiem.

— W takim razie ty jesteś podwójnym psem.

W SĄDZIE

Sędzia: — Wytłómacz mi, dlaczego twoje opowiadanie nie zgadza się zupełnie z opowiadaniem drugiego świadka.

Świadek: — Prawdopodobnie on także kłamie.

CZARNE KROWY

Przypatrz się, mój synku, to są krowy. One dostarczają nam mleka.

— Mamusiu, a ta czarna krowa, ta z pewnością daje nam kawę. Czy nie tak?



Koło kolejowców polskich i przedstawicieli cechów w oczekiwaniu wojsk polskich pod dworcem w Bygdoszczy.

NAD POLSKIEM MORZEM.

Uroczystość objęcia pobrzeża Bałtyku przez wojska polskie, dnia 10 lutego 1920 roku.



Jenerał Haller ze świtą wjeżdża do zatoki Puckiej.

W nocy z dnia 9 na 10 luty wyruszyliśmy z Torunia przez Tczew i Gdańsk do Pucka — nad polskie morze.

Wolno posuwaliśmy się naprzód, zabierając po drodze w Grudziądzu i Tczewie delegacye wojskowe, lub czekając całe godziny na uwolnienie toru od transportów wojskowyih.

W Tczewie oczekiwała nas niebylejaka sensacya. Zastaliśmy cały peron zasłany ułamkami szkła i resztkami rozdartej bomby.

Patrzyliśmy na to dzieło zniszczenia w świetle budzącego się dnia, powtarzając najfantastyczniejsze domysły i wieści o dwunastu jakoby zabitych i dwudziestu rannych.

Kto wie, może ta bomba była przeznaczona dla nas.

— Kapitanie, tu leży cały jeszcze granat!

A to lont!

Zabraliśmy ze sobą te rzeczowe dowody i po dłuższym postoju ruszyliśmy w dalszą drogę. Bombę rzucono podczas przejazdu pociągu ewakuacyjnego z Niemcami o godz. 11 wieczorem. Pociąg ten dopędziliśmy w Redzie za Gdańskiem. Znaleźliśmy w nim tylko trzy osoby pokaleczone odłamkami szkła. Ze słów i zachowania się wywnioskowaliśmy, że była to jakaś symulacya zamachu. Mówili o braku policyjnego dozoru na dworcu, o żołnierzu polskim, który jakoby miał rzucić bombę. Patrzyli na nas, jak wilki i unikali naszego wzroku.

Ze znacznem opóźnieniem przybyliśmy do Pucka.

Szaro już było zupełnie, kiedyśmy, zabłoceni po kolana, stanęli nad "polskiem morzem". Martwa i płytka zatoka Pucka wyglądała dziś jeszcze rozpaczliwiej, niż zwykle. Byłoż to morze naprawdę? Na szarym, mokrym lodzie, leżało szare, mokre niebo.

Dalekie jednak były nasze wiary w przyszłość od tego rozpaczliwego wyglądu "polskiego morza", w uszach naszych bowiem brzmiały jeszcze ostatnie słowa dziennego rozkazu generała Hallera do wojsk, odczytanego dnia tego przed frontem:

"żołnierze! Z szumem fal morskich, z łopotaniem sztandarów narodowych, z dźwiękiem dzwonów całej Polski od Karpat po najdalsze kresy północne, z hymnem dziękczynnym, śpiewanym we wszystkich kościołach polskich, biją dziś serca wasze, przepełnione męstwem i dumą.

"Stajemy dziś nad Bałtykiem na progu własnego domu, szczęśliwi, że zwrócić możemy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej najcenniejszy jej klejnot.

"Ślubujemy, że morza naszego, chwały naszej i źródła naszej świetności, bronić będziemy do ostatniej kropli krwi i że go nigdy sobie wydrzeć nie damy."

Tak ślubowaliśmy sobie pocichu podczas, gdy generał Haller wraz ze sztabem wjeżdżał do morza. Chwila była uroczysta, niezrównana. Był to jakiś obrządek z zamierzchłych czasów rycerski, jakiś piękny ustęp z bajki, gdy król, ujarzmiwszy morze, rzuca w nie swój piedścień.

I generał Haller rzucił swój pierścień w morze.

W tej chwili zapomniałem o tem, że Puck nie jest miastem portowem, a tylko starą osadą rybacką, że zatoka Pucka jest niedostępna nawet dla małych statków i że to "polskie morze" — nie jest morzem.

Zaszumiały mi fale morskie, załopotały sztandary narodowe. Stanęliśmy nad Bałtykiem na progu własnego domu.

Złoty pierścień wpadł w morze i fale przycichły, ujarzmione morze położyło się u nóg naszych i zamarzło.

Patrzyliśmy na siebie zdumieni — deszcz to, czy łzy płynęły nam po twarzach, kiedy kapelan Antosz odprawiał mszę polową i kiedy potem generał Haller wbijał w morze pal.

Dziwiliśmy się, że taki deszcz pada i mówiliśmy do siebie pocichu, jakby się bojąc obudzić ze snu.

Pal był już wbity w morze, a deszcz się wzmagał, zaczęliśmy się przeto oglądać za powrotem do miasta.

— Pan major też już myśli o powrocie do miasta? — zagadnąłem jednego z kolegów po piórze, a należącego do sztabu.

— A może zabierzecie się ze mną — odrzekł major, wskazując stojące na uboczu auto.

Oczywiście skwapliwie skorzystaliśmy z uprzejmej propozycyi kolegi i po chwili byliśmy już w rynku przed pomnikiem żołnierza niemieckiego, trzymającego pikielhaubę w ręku.

Skąd się wziął ten pomnik! — zapytałem rybaków, którzy, widząc nas wysiadających z samochodu, zbiegli się ze wszystkich stron. — Tego pomnika nie było tu przed ośmiu laty.

— Jo! Jo! nie było — odpowiedział mi stary rybak w dużym skórzanym kapeluszu na głowie. — Przed samą wojną postawili...

— Niemcy? — zapytałem.

— Jo, jo, Niemcy i my...

Nie odrazu go zrozumiałem. Dlaczego oni, Kaszubi, mieliby stawiać pomnik niemieckiemu żołnierzowi?

— Przecież to żołnierz niemiecki! — zawołałem — przecież tu jeszcze leżą kwiaty, któremi go żegnały odchodzące Grencszuce.

— Jo, jo! — odrzekł na to rybak, klepiąc mnie po ramieniu. — Ale to je Polak w niemieckiej służbie... Kaszuba je...

— A niech was Bóg kocha, moi mili! — pomyślałem, klepiąc go tak samo po ramieniu. — Jak wyście to sobie wytłómaczyli znakomicie.

Byliśmy jednak głodni, a uroczystość w porcie przeciągała się nadmiernie, więc zaszliśmy do gospody rybackiej w rynku.

W gospodzie, należącej, jak się potem okazało do rybaka z Kusfeldu, otoczyła nas kołem rodzina gospodarza.

— Nie tu, panowie — zawołała gospodyni, widząc, że siadamy przy stole — tam na górze będzie lepiej.

Jakoż przekonaliśmy się wkrótce, że na górze naprawdę było lepiej. W obszernej widnej izbie zastaliśmy stół białą serwetą nakryty i czyste talerze na stole. Wkrótce też znalazł się koniak, kiełbasa i duży bochen chleba.

— Jedzta na zdrowie — powiedzieli chórem i sami przy nas usiedli.

Częstowali nas koniakiem i bawili rozmową.

Otworzył się przed nami zupełnie inny świat. Morze wyciska na ludziach swoje piętno, urabia im dusze inaczej. Ci ludzie mali i prości, mówiący chyba najgorzej po polsku, byli o wiele mniej zniemczeni od tych inteligentów, których spotykaliśmy po drodze. I fizycznie i moralnie wyglądali zupełnie inaczej.

Sam gospodarz usiadł przy mnie i tak mówił:

— Tera je Polska. My już myślelim, że z tego nic nie będzie, że nas tak na uboczu zostawią... Jo, jo... na uboczu... Niemcy gadali tu różne rzeczy, straszyli. Dwa sta chłopaków naszych z nimi poszło, — bało się polskiego wojska.

To mówiąc, bił mnie twardą ręką po kolanie i co chwila chwytał za rękaw. A gdy przyszło do rozrachunku za spożyte jadło, powiedział tak śmiesznie małą sumę, że musieliśmy mu zapłacić więcej.

Znać było, że jest zadowolony, że zaszczyciliśmy jego gospodę swoją obecnością. Jakoż po rozrachunku nalał jeszcze raz wszystkie kieliszki i prosił, żebyśmy wypili na drogę.

Z gospody udaliśmy się do Kurhauzu dokąd właśnie zaczęli ściągać z morza przybyli ze wszystkich stron Polski na uroczystość goście. Wkrótce też rojno i gwarno zrobiło się na sali, jakkolwiek wszyscy przejęci jeszcze powagą chwili mówili między sobą pocichu. Jakiś cichy smutek wszedł wraz z nimi z tej płytkiej, zamarzniętej zatoki puckiej na salę. Wszyscy przekonali się naocznie, że Puck nie będzie nigdy portem polskim, a zostanie nadal osadą rybacką. Każdy myślał tylko o tem i tylko tego sąsiadowi swemu nie mówił, nie chcąc mu psuć zabawy. Ten smutek wycisnął również swoje piętno i na przemówieniach zebranych, którzy, jak wojewoda Łaszewski i potem sam generał Haller, mówiąc o doniosłości chwili i spowiadając się ze swych wiar w promienne jutro Polski, mieli wciąż przed oczyma ten zamarzły port rybacki, tę przystań dla łódek najmniejszych, którą "morzem polskiem", "oknem Polski na cały świat" nazwano. Wszyscy wiedzieli, że to tak na długo pozostać nie może i podkreślali to w swoich przemówieniach, nie wyłączając nawet przedstawicieli koalicyi. Pułkownik Allegrini, przyłączony z ramienia misyi francuskiej do dowództwa frontu pomorskiego, zakończył wzniesiony w imieniu Francyi toast słowami:

— Prosperite de la Pologne, de la grande Pologne, de la plus grande Pologne!

— Vive la France! — odpowiedzieli na to zebrani i zaintonowali Marsyliankę.

Potem na salę weszła Poezya i zabrała głos, a reprezentował ją przybyły z Warszawy Or-Ot, znakomity autor "Pieśni o sławie". Donośnym głosem przeczytał on apostrofę do morza polskiego, do Bałtyku, co "szumi brzegom i upada twarzą na piaski i do piasków piersiami przywiera..."

"Morze"!—wołał—"twój skrzydlaty
Wiatr niechaj nas poniesie na światy! na światy!
Niech tchem olbrzymów piersi wypełni po brzegi!
Niech da nam pod gwiazdami, na morzu, noclegi
Pełne Boga, niech dni nam da twarde i znojne,
Abyśmy, o Bałtyku, wygrali tę wojnę,
Którą bojują ludy o wieki spokojne!

Burzą oklasków rozbrzmiała sala po natchnionych słowach poety. Nie mniejszą jednak burzę wywołało mistrzowskie przemówienie Andrzeja Niemojewskiego, który od pierwszego słowa opanował salę, mówiąc o przyszłości marynarki polskiej i wznosząc na jej cześć kielich.

Do późna przeciągnęła się biesiada, zakończona nakazaną przez generała Hallera minutą milczenia.

Wymowną była w dniu tym ta minuta milczenia:

— Jutro, w nielicznem gronie z racyi braku samochodów, jedziemy do Wielkiej Wsi, na brzeg Bałtyku.

....

Wąskim skrawkiem złotego piasku dobiegła Polska do morza.

Zatrzymała się — i patrzy.

Wielkie słońce stoi nad wielką wodą, białe mewy zerwały się z fal i lecą w słońce, a szafirowy Bałtyk szumi:

— Chcę tobie służyć... tobie służyć...

Jakieś statki duże ciągną od zachodu, jakieś statki duże płyną na zachód, czarne dymy kładą się na szafirowych wodach, a żaden z tych statków nie może się u polskiego brzegu zatrzymać.

Zadumała się Polska nad wodą szafirową — statki z chlebem płyną nie do niej.

— Jakże ty mi służyć będziesz? — pyta szafirowego Bałtyku.

— To prawda... to prawda... — szumi Bałtyk i bezradnie kładzie się na piasku złotym. — Jakże ci służyć będę, skoro ci żadnego statku przyholować nie mogę?

A statki płyną kędyś na horyzoncie, płyną z zachodu i na zachód do oceanów dalekich, do ziem obcych pełnych miodu i mleka.

Więc zadumała się Polska nad wodą szafirową i posmutniała. Statki z chlebem płyną mimo, płyną nie do niej.

A ludzie z chorągiewkami na brzeg wybiegli i śmieją się do morza i do słońca i weselą się a radują, że Polska do nich przyszła i myślą, że już teraz te statki do ich brzegu dopłyną.

Sam generał Haller wsiadł do łódeczki małej i na pełne morze wypłynął. Zbiegły się ze wszystkich stron granatowe fale, zakołysały małą łódeczką, pozdrowiły polskiego generała, pokłoniły się polskiemu wojsku uczciwie, jakby je chciały przeprosić za to, że dużych statków zamorskich z chlebem i solą do polskiego brzegu donieść nie potrafią.

Uśmiechnął się do nich generał Haller, jak ojciec rodzony.

— Nie wasza w tem wina... nie wasza... Mistrz Fałat was zaraz dla Polski na czasy wieczne wyczaruje swoim geniuszem... Dzieciom was i wnukom przekaże w tym dniu pamiętnym.

Uspokoiły się fale i jęły mistrzowi Fałatowi pozować, jęły pod słońcem swoje szafiry rozkładać, swoje grzywy białe rozczesywać, srebrne łuski w przedziwne desenie układać.

Patrzył na to generał Haller i uśmiechał się pogodnie.

Aż wreszcie mała jego łódeczka przybiła do brzegu, werznęła się w złoty piasek głęboko.

Wówczas wyszedł z tłumu stary rybak, stary rybak w dużym kapeluszu skórzanym, w butach z cholewami, sięgającemi do pasa, w sukmanie ciemnej taśmą lamowanej. Wyszedł z tłumu, stanął przed generałem i obie ręce do góry podniósł.

— Taki je dzień dziś! — wołał wielkim głosem — taki dzień, w którym Ojczyzna kochana, Matka serdeczna do nas, do rybaków przyszła. Czekali my tego dnia a wypatrywali. Ojce nasze nam o nim mówiły, matki siwe nam go przepowiadały.

A gdy tak mówił, przyszły dzieci rybackie płowowłose i chabrowookie, w słonej wodzie wykąpane, a od słońca czarne, jak murzynki małe. W zaciśnię-

tych mocno piąstkach trzymały złote monety i srebrne duże talary, podarunki chrzestne, pamiątki imieninowe.

— My to na wojsko polskie chowali...

I zrobiło się wielkie święto na brzegu kaszubskim, choć zamorskie statki, chlebem ładowane, tylko swoje czarne dymy zostawiały na horyzoncie.

— Jo! jo! — powtarzał, kiwając głową stary jakiś rybak z Jastarni — i nie mógł powiedzieć więcej ani słowa. Ręce mu się trzęsły, a łzy jak groch, spływały po policzkach.

— Jo! jo! — mówił, a ujrzawszy mnie, za rękę uchwycił i, zwracając się w stronę Małego morza na cały głos zawołał:

— Cały Holpindzel wi, że Dancig ma być nasz!

Spojrzałem w jego siwe oczy i zamyśliłem się. Cóż z tego, że cały Hol to wie?

....

W Pucku na stacyi kasyer Niemiec od gościa przybyłego z Warszawy i nie posiadającego marek niemieckich nie chce przyjąć polskich pieniędzy.

— Tu jest Polska, mój panie! — woła gość z Warszawy.

— Ale koleje podlegają jeszcze rządowi niemieckiemu! — tłómaczy się po niemiecku kasyer i zasłania się ręką, jakby się bał, że go ktoś za to, co powiedział, przez to zakratowane okienko uderzy.

Gość z Warszawy powiedział już po niemiecku wszystko, co umiał, więc klnie po polsku. Niemca to nie wzrusza bynajmniej.

— Deutsche Regirung... — powtarza uparcie.

Przy kasie stoją żołnierze nowozaciężni, z umundurowania ogromnie do Grencszuców podobni. Ci, usłyszawszy oświadczenie kasyera podnoszą krzyk. Dość już mieli rządów niemieckich.

— Wynoś się do Niemiec! — wołają po niemiecku.

Ale kasyer pieniędzy polskich przyjąć nie chce. Oddziela go od tłumu zakratowane okienko, więc się niczego nie boi.

— Nie było befelu — mówi z uśmiechem.

— My ci befel wypiszemy na skórze! — wołają żołnierze.

Ale pociąg za chwilę ma odejść. Gość z Warszawy zdecydował się i wsiada do wagonu bez biletu.

— W czepkuś się urodził... — mruczy. Czepkiem nazywa z pewnością to zakratowane okienko.

....

Jedziemy. Nikt na granicy nie pyta o papiery, nikt przy wyjściu z dworca nie sprawdza dokumentów. Mam wrażenie, że jeszcze jestem w Polsce. Wrażenie to potęguje się znacznie, gdy po dwugodzinnej wędrówce po hotelach nie możemy znaleźć żadnego pokoju.

Zupełnie przypadkiem znajdujemy wreszcie w prywatnem mieszkaniu w śródmieściu wygodny nocleg. I tu już Gdańsk przestaje być podobnym do Polski, bo uprzejma gospodyni bierze od nas tylko po 9 marek od osoby i częstuje nas zrana kawą.

Gdańsk jest bardzo starem miastem, port jego jednak został rozbudowany dopiero w r. 1841. Wówczas to uregulowano ujście Motławy i zbudowano Westerplatte.

Jakkolwiek dziś port jest własnością miasta, stoi Gdańsk przed pytaniem, kto będzie nim rządził: Anglicy, Polacy, czy samo miasto.

Zwycięży oczywiście pieniądz i nie trudno dziś przewidzieć kto będzie zwycięzcą.

Mamy jednak w chwili obecnej w Gdańsku człowieka, którego energii i zapobiegliwości zawdzięczamy już bardzo wiele, a jest nim pan Jałowiecki, który niedawno jeszcze wyruszył do Gdańska z jedną maszynistką, a dziś już stoi na czele iście po amerykańsku urządzonego biura i zatrudnia w porcie setki ludzi. Boryka się on z trudnościami nielada. Brak mu składów i narzędzi wyładunkowych — a do najważniejszych funkcyi należy opróżnianie okrętów. Robotę utrudniają mu wielce nasi szyprowie, którzy raptem podnieśli swoje honoracya z 30 na 150 marek dziennie, a za przetrzymanie ładunku na okręcie płaci się dolara od tonny dziennie. Wskutek tego zapłaciliśmy już w roku ubiegłym 18 milionów marek.

Również dotkliwie daje się we znaki brak holowników. Bogaty kupiec gdański p. Ick dąży do zmonopolizowania ich, pomimo to udało się już panu Jałowieckiemu nabyć 5 większych o pojemności 8 tysięcy tonn każdy i 4 mniejsze o pojemności 4 tysięcy tonn.

Edward Słoński.

Gdańsk, 13 lutego, 1920.

Z WILEŃSKIEGO PUŁKU STRZELCÓW.



Wspólna mogiła bratnia żołnierzy wileńskiego pułku strzelców, poległych przy zdobyciu i obronie miasta Lepla, najwięcej wysuniętej placówki na froncie bolszewickim.

W dzień zajęcia Torunia, dnia 18go Stycznia, 1920.

Uroczyste manifestacye w Warszawie.



Obchód uroczystości pod pomnikiem Mikołaja Kopernika w Warszawie. — Przew. Rady Miejskiej, I. Baliński, przemawia do zebranej licznie publiczności.

Od Bram Torunia Aż Po Polskie Morze.

Wojska polskie, pod dowództwem generałów Hallera i Dowbora-Muśnickiego, rozpoczęły zajmowanie ziem polskich byłego pruskiego zaboru, oddanych nam traktatem wersalskim, i ustanawianie nad niemi zwierzchnictwa Rzeczypospolitej Polskiej. Ziemie, które już pierwsze Polski rozbiory oderwały od macierzystego łona — powracają do nas. Aż po polskie Pomorze, na którem ród Kaszubów dochował, mimo swe oderwanie od źródlisk kultury polskiej, swego języka i obyczaju, obroniwszy się zwycięsko wpływom przemożnym kultury niemieckiej — napowrót, jak było przed wiekami, polskie rozpościerać się będzie władztwo. Wielowiekowy spór polsko-niemiecki został rozstrzygnięty. Nie oni — my w tym sporze stajemy się zwycięzcami.

Były to ziemie, na których oddawna wpływ polski ścierał się z niemieckim. Oddane pod panowanie krzyżackie, następnie, po zniesieniu zakonu i poddaniu ich pod berło Rzeczypospolitej, stały się one terenem krzyżowania się wpływów niemieckich i polskich. Jak po dziś dzień, niemczyzna przenikała do miast, ziemia i lud na niej zamieszkały pozostawały

polskiemi. Polszczył się, jak wszędzie, żywioł niemiecki, interes państwowy skłaniał do żywszego poczuwania się obywatelami Rzeczypospolitej. Z tego czasu datują się liczne ślady rozkwitania kultury polskiej na tych ziemiach, z tego czasu — spory o pochodzenie i narodowość wybitnych i sławnych mężów — naprzykład o pochodzenie Mikołaja Kopernika. Los tak zdarzył, iż mieliśmy możność, Polacy i Niemcy, wykazać się, w jaki sposób potrafimy pełnić zadania dziejowe — gospodarzenia na ziemiach, do których my i oni rościliśmy prawo, które my i oni pod swojem mieliśmy zwierzchnictwem. Panowanie polskie przynosiło rozkwit kultury, swobodę niewymuszoną, dobrowolną uległość i przywiązanie do korony polskiej. Panowanie niemieckie było ciągłym, drapieżnym gwałtem i takiem aż do chwili ostatniej pozostało. Duch niemiecki, posiadający dużą, o wiele większą niż inne narody, zdolność asymilowania się w obcem środowisku, nie posiada natomiast najmniejszej zdolności asymilowania innych. Tej to okoliczności zawdzięczać należy, iż pomimo wyższości kultury materyalnej nie potrafił wpływ niemiecki poczynić szczerb znaczniejszych w polskości. Zasiedlił tylko miasta napływowym żywiołem kupieckim oraz urzędnictwem, wsie — osadnictwem komisyi kolonizacyjnej. Prusy Zachodnie i Pomorze nie utraciły swej większości polskiej — ani polskiego oblicza. Polskość tam trwała, nie wybujając strzelistym kwiatem kultury, korzeniąc się tylko mocno w duszach ludu, lecz wytrwała.

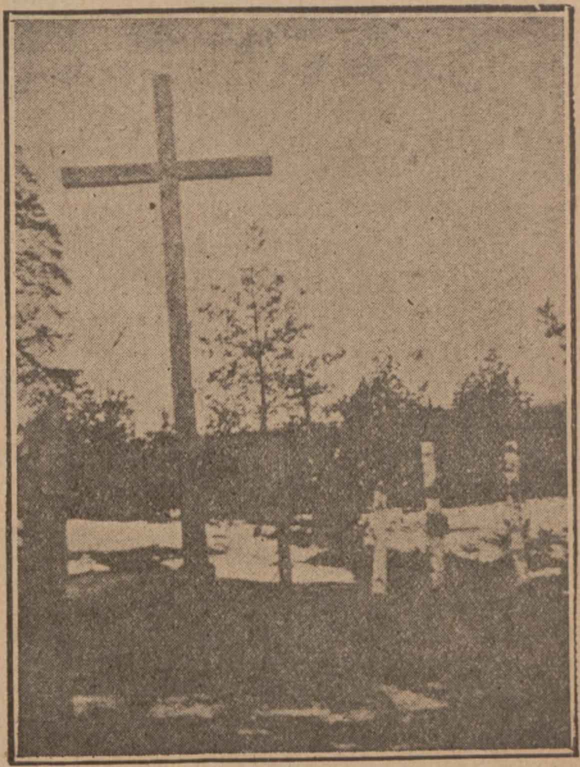
Niewątpliwie, gdy spadnie wreszcie jarzmo niemieckie i polska ustanowiona zostanie władza, że przykładem Wielkopolski, pierwsze starania zwrócone będą w kierunku utworzenia sieci szkół polskich, krzewienia polskiego słowa i wiedzy o Polsce. Dalsza praca narodowa w tych ziemiach nie będzie odkopywaniem z pod popiołów śladów polskości, lecz tylko połączeniem ze wspólnem łożyskiem jednego strumienia, któremu usunięte będą z drogi jego naturalnego biegu krępujące go zapory. Te ziemie, tak dotychczas od nas dalekie, bo niezwyciężonemi odgrodzone przeszkodami, staną się teraz blizkiemi i nawzajem — poczuć będą mogły swą blizkość z polską macierzą. Przyjdą stamtąd typy tęgie i wytrwałe, doświadczone w ustawicznem zmaganiu się. Układ społeczny tych ziem, bardziej demokratyczny niż w Wielkopolsce, przypuszczać pozwala, iż będą to dzieci ludu, wzwyczajone do pracy, umiejące łamać przeciwności.

Obok nich, pozyskujemy również tysiące obywateli Niemców. Ich zachowanie się jest po dziś dzień dla nas jeszcze zagadką. Wiemy, że nie brak było wpływów, podburzających ich przeciwko nam, nie brak tajemnych przygotowań, by podminować ten grunt, na który wstąpić ma polska stopa. Zobaczymy... Gdy jednak miną pierwsze burze i doświadczenie pouczy o twardej i nieugiętej ręce władzy polskiej wobec tych, którzyby się jej w sposób podstępny przeciwstawiać chcieli, nie wątpimy, iż stosunek nasz do Niemców, pozostałych pod panowaniem polskiem, będzie zgoła odmiennym, niż był przez lat sto pięćdziesiąt stosunek Niemców do Polaków. Garnąc do swej piersi ziemię tak drogą i tyle znoszącą cierpień, Polska nie będzie dążyła do pomsty i poniżenia tych, którzy byli sprawcami krzywd jej dzieci. Wytworzy warunki, w których żywioł niemiecki będzie mógł korzystać z równych praw obywatelstwa, nie wyrzekając się swej narodowości, ani nie doznając jej poniżenia.

Nie trzeba mieć złudzeń: współżycie nie będzie łatwem, ani też nie zaraz równą potoczy się drogą. Być może, iż wiele wypadnie nam przeżyć wstrząśnień i ciężkich prób, lecz Polska przeżywać je już odtąd będzie jako pani swych ziem, najwyższą nad niemi sprawująca władzę i mająca w ręku wszystkie środki do utrzymania ładu i porządku.

W tę przyszłość, bliższą i daleką, patrzymy bez lekkomyślnej ufności, ale i bez lęku. Nad jej wszelkiemi możliwemi groźbami góruje przeświadczenie, że dziś oto nastał wreszcie dzień, gdy jeszcze jedno ogniwo kajdan pęka, jeszcze jedna zorza wolności wschodzi, jeszcze jeden wielki szmat ziemi polskiej aż po piasku brzegów Bałtyku, powraca do nas. Zrasta się rozdarte ciało Polski i powraca dawna jej świetność i chwała. Dzień ten, cokolwiek by jutro przynieść miało, musi być dla nas dniem święta i serca nasze poić radosną otuchą.

CMENTARZ POD WOŁOCZECKIEM.



Mogiły legionistów poległych w r. 1915-16. Na pierwszym polanie krzyż wspólny z napisem:
"My krew i życie niesiem w dań,
tylko Ojczyzno z grobu wstań".

HALLERCZYCY

Powieść z czasów wielkiej wojny

Staś Krynicki jeszcze młodym był chłopcem, kiedy wyjechał do Ameryki. Pracą i trudem doszedł do znaczenia i majątku. W życiu społecznem żywy brał udział, to też niedługo w „Sokole“ w Cleveland doszedł do zaszczytnego stanowiska członka wydziału, bo w ruchu sokolim żywy brał udział.

Kiedy wybuchła wielka wojna i do Ameryki doszła wieść o tworzących się w Polsce Legionach, zadrgała w nim polska dusza. Chciał co rychlej biedz do Ojczyzny, aby zaciągnąć się w szeregi narodowe, lecz nie dopuściła go do tego długa i obłożna choroba, która zwaliła go z nóg. Przyszedłszy nieco do siebie, począł nanowo myśleć o wyjeździe do Ojczyzny, ale teraz już nie sam, lecz zapragnął skupić koło siebie jak najwięcej rodaków i z nimi wyruszyć do Polski. W jaki się to sposób stać miało, narazie sam nie wiedział. Wiedział jednak, że do tego przyjść musi, czy wcześniej czy później, i w tym celu skupiał koło siebie coraz więcej towarzyszy, którzy poza pracą zawodową ćwiczyli się w obrotach wojskowych i w władaniu bronią.

Aż nadeszła wreszcie ta chwila. W Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki ogłoszono dobrowolny zaciąg do armii polskiej, formującej się we Francyi do walki przeciw Niemcom. Stachowi było wszystko jedno, czy miał walczyć w Legionach przeciw Moskalom, czy teraz przeciw Niemcom; jemu szło o jedno, aby bić wroga, kimkolwiek on jest i pędzić go z ziemi ojczystej. To też pierwszy zgłosił się jako ochotnik, za nim poszło wielu innych. Krynicki otrzymał nad towarzyszami swymi komendę, jako oficer, i zaraz z pierwszymi oddziałami został wysłany do Francyi.

Niedługo po przybyciu do Europy wysłano go na front, w chwili gdy Niemcy jak najzażarciej atakowali front amerykański w lesie Aragońskim. Szły dni ciężkie w wypadki, zbliżały się chwile, w których kwiat młodzieży miał zaścielić swymi trupami zielone stoki lasu.

Nazajutrz spodziewano się ataku niemieckiego, na co wskazywały liczne wywiady lotników nieprzyjacielskich, i od czasu do czasu grzmot ognia huraganowego. Dywizya, złożona przeważnie z ochotników amerykańskich Polaków, nie obawiała się bardzo o swe pozycye, gdyż wiadomo było pwszechnie, że naprzeciw niej stoją oddziały austryackie, które na froncie francuskim niezbyt dzielnie się spisywały.

Mimo to Krynicki postanowił nocą podsunąć się pod placówki nieprzyjacielskie i naocznie zbadać teren, na którym mogło przyjść do walki. Dobrał więc sobie dwóch szeregowców, Polaków z swojego oddziału, i gdy cienie nocy pokryły świat, wysunął się po cichu z okopów.

Szli w milczeniu czas dłuższy, potykając się po kamieniach, lub zapadając w leje, wyryte przez granaty. Czasem gałąź zadrasła twarz, czasem któryś padł na ziemię, potknąwszy się na zgruchotanem drzewie. Od czasu do czasu powietrze przeszył ze świstem pocisk armatni i gdzieś w oddali zarył się w ziemi. Oni szli, niezważając na nic, co się tam gdzieś dzieje, a tylko co pewien czas oświetlali latarkami elektrycznemi najbliższe otoczenie, aby lepiej zbadać tren, przez który przechodzili, lub aby spoglądnąć na mapę, którędy wracać im wypadnie.

Nagle z pośród bliskich krzewów ozwał się głos:

— Werda?

— Milcz, psia krew, bo w łeb strzelę —odpowiedział Stach, kierując równocześnie lufę pistoletu w stronę, z której głos pochodził.

— Jezus, nasi! — dał się słyszeć okrzyk i równocześnie przed Stachem stanęło trzech żołnierzy, ubranych w austryackie mundury.

—Tak niby wasi, ale nie wasi — burknął chmurnie Stach. — Kto służy w nieprzyjacielskich szeregach, choćby on polską władał mową, bratem mi być nie może.Zresztą, co tu dużo gadać! Poddajcie się, bo...

— O to też głównie idzie — odrzekł austryacki oficer. — Służę wrogom, bo muszę, tembardziej teraz, gdy nas tak haniebnie w Brześciu oszukano. A jeno patrzyłem oddawna na sposobność, aby się z tej psiej służby wyrwać i iść z wami na Niemca. W tej chwili spełniają się moje marzenia.

Mówiący otarł skroń dłonią, widocznie postanowienie to, choć uczynione po długiej rozwadze, nie przychodziło mu z łatwością. W każdym razie było to złamanie złożonej przysięgi na wierność sztandarowi, pod którym od początku walczył, było przekreśleniem tego wszystkiego, co dotychczas zdziałał. Ale z postępku jego rozgrzeszała go haniebna zdrada spraw naszej ojczyzny, dokonana przez rząd austryacki w Brześciu Litewskim i dokonywana przez niego na każdym kroku codziennie.

— Ja i brat mój — tu wskazał na szeregowca — dawnośmy to postanowili uczynić. Nie było sposobności. Dziś się nadarzyła, jesteśmy twoimi jeńcami. Ale, panie, o jedno śmiem prosić. losem tych dwóch — tu wskazał na stojących obok dwóch szeregowców — ja nie rozporządzam. Pozwól im, niech wrócą do swojego pułku... Na poparcię mej prośby powiem, że nie zostaliśmy przez was zaskoczeni z nienacka, ale owszem zdawnaśmy was obserwowali i w mocy naszej było nikogo żywego nie puścić. Lecz

przeczucie jakieś mówiło mi, że to nie obcy... a gdyście się zbliżyli...

Stach namyślał się chwilę, co mu uczynić wypada. Lecz nim zdołał zadecydować, jeden z szeregowców w mundurze austryackim, przyłożył rękę do daszku i rzekł:

— Panie poruczniku, melduję posłusznie! Co tu dużo gadać!... Biłem się pod Krzywopłotami, byłem ranny pod Łowczówkiem, wszedłem jeden z pierwszych do Lublina... Byłem potem w Albanii i nad Piawą, a gdziekolwiek mnie losy rzuciły, myślałem zawsze o tem i modliłem się zawsze o to, jak o zbawienie duszy, aby jeszcze dożyć tej chwili, w którejby mi danem było z Niemcami pohulać. Nie było sposobności... Ja dziś, jak o łaskę, proszę: weźcie mnie z sobą.

— Prawdę mówi — ozwał się brat oficera.

A więc dobrze, a właściwie to jeszcze lepiej, że nie potrzebuję się liczyć z pańską prośbą — zwrócił się Stach z odpowiedzią do oficera. A na dowód, że was nie mam za jeńców, zatrzymajcie broń przy sobie, dopóki komenda inaczej nie zarządzi. A teraz w drogę.

I sześciu ludzi z dwóch nieprzyjacielskich armii, jak bracia rodzeni, postępowali wśród nocnej ciszy po zboczach lasu Aragońskiego.

Świtać zaczynało, gdy znaleźli się na miejscu przenaczenia.

— Hej tam który — krzyknął Stach — mamy gości! Postarać się a żywo, aby było czem pokrzepić się po przechadzce i gardło przepłukać.

Za małą chwilę znalazł się posiłek żołnierski i butelka dobrego wina, którą oficerowie do spółki z żołnierzami momentalnie wysuszyli.

— A teraz — ozwał się Stach — do komendanta! Niech on zarządzi, co się stać ma z wami.

Poszli tylko we czterech t. j. Stach i jeńcy. Komendant, którym był kapitan Wysowski, mimo wczesnej pory, już nie spał. Kiedy mu ordynans zameldował przybyłych, kazał ich natychmiast wprowadzić, celem spisania protokółu.

Stach opowiedział mu rzecz najdokładniej, a następnie wniósł od siebie prośbę, aby ujętych nie traktowano, jako jeńców, ale jako towarzyszy broni.

Kapitan postanowił jednak rzecz całą przeprowadzić z całą formalnością, więc zwrócił się przedewszystkiem do oficera z zapytaniem:

— Jakie pańskie nazwisko?

— Jan Krynicki.

— Czy z Luboni? — przerwał Stacr.

— Czy z Luboni? — przerwał Stach.

— Syn Antonięgo?

— Tak jest!

— Jaśku! — wyrwał się okrzyk z piersi Stacha. — Jaśku, bracie! Toć ja jestem brat twój Stanisław! — i rzucił się ze łzami szczęścia na piersi oficera austryackiego.

Podczas, gdy bracia tonęli w wzajemnym uścisku, kapitan Wysowski ocierał pokryjomu łzy rozrzewnienia, które mu na wąsy spadały.

Kiedy się już bracia nacieszyli sobą, wysunął się ku nim jeden z szeregowców, a wyprostowawszy się, rzekł:

— Panowie oficerzy, melduję posłusznie, że i mnie się coś należy. I ja jestem z Luboni, i ja jestem syn Antoniego, i ja nazywam się Krynicki, z tą tylko różnicą, że nie żaden Stanisław, ani Jan, ale najpospolitszy Franuś, od urodzenia Piłsudczyk i basta.

— Tyżeś to Franuś, któryś jeszcze chorągiewkę z tyłu spodeńków nosił, gdym ja do Ameryki odjeżdżał — rzekł Stach i ujął młodszego brata w objęcia.

A ten, ściskając starszego brata i oficera, na którego piersiach medal zasługi już widniał, prawił:

— Ten ci sam, nie inny i od urodzenia Piłsudczyk. Poszedłem zaraza z pierwszą kadrową z Krakowa pod Kielce; jest tam gdzieś mała dziurka w lewej ręce, jako pamiątka po kuli rosyjskiej. Pod Dęblinem trzy razy mnie brali do niewoli i trzy razy robiłem im nogę, z pod Łowczówka mam order pod koszulą od kuli karabinowej. Rannego znów mnie wzięli i razem z Kubą Bojarskim chcieli mnie posłać na tamten świat, ale powiedziałem im, iż jeszczem dla świętego Piotra za młody: czmychnąłem. Pod Jastkowem dostałem się po raz piąty w ich ręce, ale stamtąd już nie wróciłem sam: towarzyszyło mi pięciu Polaków, którzy do tego czasu byli w służbie rosyjskiej. A po rozbiciu Legionów i uwięzieniu Dziadka posłano mnie nad Piawę. Zaraz w pierwszej patroli wstąpiłem w niewolę włoską. Ale na krótko, bo wikt dają podły. Wróciłem i za to miano mnie mianować frajtrem. Coś się jednak popsuło i awans, zamiast ja, dostał jakiś żydek z naszego plutonu. Nad Piawą dawnym Legionistom nie ufano bardzo, gdyż z każdym dniem było ich coraz mniej: jedni wstępowali dobrowolnie do niewoli włoskiej, inni, jak lis Kula, szli na urlop, i nie wracali... Wiadomo było, że jeszcze dłużej, a po dawnych Legionistach i zapachu nie pozostanie.. Podzielono nas więc pomiędzy różne pułki. Ja dostałem się pod komendę mojego braciszka i znim znalazłem się tutaj... Ale widzę, że i tu nie lepiej. Jak kiedy znów wrócę do babci Austryi, to powiem Hoetzendorfowi, że dla Polaka jedynie odpowiednią służbą, to służba dla Ojczyzny.

Stach nie puszczał długo z objęć młodszego brata, zaś kapitan słuchał jego opowiadania i radował się niem, bo poznawał, że szeregi jego zasilą ludzie, którzy wiedzą, za co walczą. Jakoż nie robił najmniejszych trudności, aby wszyscy trzej dotychczasowi żołnierze austryaccy otrzymali mundury jego żołnierzy i zostali zaciągnięci do batalionu, nad którym miał powierzoną komendę.

W taki to oto sposób i w sposoby temu podobne tworzyła się późniejsza armia jenerala Hallera, owo niebieskie wojsko, które ze wszystkich stron miało pospieszyć do Ojczyzny, zagrożonej z jednej strony przez wrogich nam ciągle Prusaków, a zdrugiej przez dzikie bandy hajdamackie.

OPOWIESCI MURMAŃSKIE

Z ŻYCIA WOJSK POLSKICH NA MURMANIE.



Dowódca oddziału murmańskiego, pułkownik Skokowski, wraz z adjutantem, porucznikiem Mejrem, oraz oficerem gospodarczym, Krzywką.

Biedna Baśka...

Tragicznie skończyła dni swego żywota na polskiej ziemi. Oswoili faworytkę swoją murmańczycy, obłaskawili zupełnie. Dzieliła z nimi dolę i niedolę żołnierską na śniegach północy w nieustającym blasku polarnej zorzy. Wędrowała razem z oddziałem z miejsca na miejsce, z posterunku na posterunek, to też uchwalono nie rozstawać się z białą niedźwiedzicą i przywieźć ją do Warszawy. Pięknie prezentowała się wraz z oddziałem na placu Saskim, budząc ogólną sensacyę, aż oto dnia pewnego chytry kmiotek z pod Modlina upolował ją dlatego, że była na "jego groncie" i zabrał się do zdzierania kosztownego futra.

Niema już Baśki. Wypchana na pamiątkę zdobić może będzie jakie muzeum, jako wspomnienie z wyprawy po Polskę nad Murman...

Tak, z wyprawy po Polskę nad Murman! Bo w istocie ci, co pod koło podbiegunowe zawędrowali aż, by walczyć o wolność i niepodległość, przedzierali się tam w tej nadziei, iż nad Murman idą po Polskę wielką, potężną i zjednoczoną. Jak ongi przemierzano świat cały od piramid Egiptu do San-Domingo, tak i w wojnie obecnej pędzono oślep, gdzie się dało tylko, choćby w krainę białych niedźwiedzi i wiecznego śniegu, byle z myślą o Polskę i dla Niej. Na gruncie tego wiek cały trwającego pędu do niepodległości epizod murmański jest jedną z pięknych i imponujących kart ducha.

Nie niszczeje, bo wielki jest ten naród, którego synów stać na taki wicher animuszu i brawury!...

Przedostać się na Murman nie było łatwo.

Posłuchajmy ciekawej opowieści na ten temat:

— żołnierzy polskich — opowiada jeden z murmańczyków — bolszewicy gnębili specyalnie. Uciekaliśmy nad Murman za paszportami francuskiemi, jako opuszczający granice Rosyi obywatele francuscy. W Petrozawodzku zdarzył się raz wypadek niezmiernie ciekawy. Za paszportem francuskim przekradał się na Murman dzielny szeregowiec, mazur z pod Warszawy, prowadząc ze sobą partyę swoich kolegów. Na dworcu zatrzymano go wraz z towarzyszami, zapytując groźnie: "ty, pollak". Mazur, nie tracąc nic na minie, uczynił gest rozpaczny rękoma, iż nic nie rozumie. Ponieważ nikt z obecnych przedstawicieli bolszewickiej władzy nie mówił po francusku, sprowadzono miejscowego prezesa komisyi kulturalno-oświatowej, który rzekomo posiadał liczne języki świata. Na widok prezesa nie dający za wygranę Mazur, który posiadał jedynie mowę polską, i to z mazurska, począł wydobywać jednym tchem seryę nieartykułowanych dźwięków, nie należących właściwie do żadnego języka, pan prezes zaś słuchał z wielką uwagą, kiwając poważnie głową i powtarzając od czasu do czasu: "gut, gut!" Gdy Mazur skończył, prezes oświadczył z namaszczeniem: "tak, to Francuzi, czystej krwi Francuzi", i sytuacya była uratowana. Pojechano nad Murman.

Było chłodno i głodno i do domu tęskno. Doskonałe nastroje przeżywane oddała piosenka, wdzięczna towarzyszka trudów żołnierskich, która umilała i skracała niejedną chwilę. Powstało ich sporo. Oto jedna z nich p. t. "Północne lamenty", charakterystyczna dla doli nad Murmanem. Śpiewano ją chętnie i często:

Straszneż to dziwy, Boże apostolski,
wybrał się legun na obronę Polski,
chciał bronić kraju nieszczęśliwy legun,
obronił biegun.

Tak nami dziwnie kręci ręka Boża,
chciałeś mieć Polskę od morza do morza,
zdobyłeś dostęp swoim krwawym potem
tam i z powrotem.

Zwiedziłeś, bracie, świata kawał srogi,
w różnych żeś krajach poobijał nogi,
ażeś tu przyszedł stare mrozić gnaty
w kraj lodowaty.

Lecz tu cię straszna czekała udręka,
bo tu się biedny człowiek ciągiem lęka,
żeby mu koło nie spadło na głowę
podbiegunowe.

Tu miast na koniach naród na psach jedzie,
tu krowiem mlekiem doją się niedźwiedzie,

tu wieloryby rosną co dwa kroki
i insze foki.

Przez całą zimę tu nie ujrzysz słońca,
bo nie chce wschodzić, w lecie znów bez końca
wciąż jeździ z jednej w drugą nieba stronę
jak pomylone.

Więc bolszewickie przechytrzaj wybiegi,
pod Obozierską lub w błotach Onegi,
marznij nad Dźwiną lub moknij do woli
na moście w Koli.

A gdy już z frontu powrócisz nareszcie,
nie myśl, że spoczniesz w jakiem ludzkiem mieście
bo cię wpakują, o Matko anielska,
do Archangielska.

Zamiast jedzenia dają nam bez przerwy
przeróżne małpy i inne konserwy,
że niezbyt długo, a będziesz na czysto
konserwatystą.

A zamiast chleba suchary, galety,
co dentystyczne siedzą w nich zalety,
bo nieostrożnie włóż bestyę do gęby,
wylecą zęby.

O, gdyby mi kto postawił pytanie,
czego chcę teraz, to odpowiem na nie:
ja nie chcę wiele, tylko jedno wspomnę
życzenie skromne:

Z pruskiej korony już zrezygnowałem,
mogę nie zaraz zostać jenerałem,
tylko nam bilet daj, Boże łaskawy,
stąd do Warszawy!

Spełniła się końcowa zwrotka piosenki murmańskiej. Orlęta polskie z nad Murmanu sfrunęły już do Warszawy, którą witała ich radośnie i z serca.

SPRYT STAREGO WIARUSA.

WŁ. BEŁZA.

W czasie powstania listopadowego w. r. 1831. jenerał Rybiński, gdy stanął pod Wawrem, gdzie odniósł świetne zwycięstwo, posłał pierwej do rozstawionych czat moskiewskich jednego ze starych, zaufanych wiarusów, który doskonale mówił po rosyjsku, aby się dowiedział, jakie jest hasło moskiewskie. Sierżant poszedł zasięgnąć języka, zbliżył się wśród ciemnej nocy do nieprzyjacielskiej wedety, gdy negle stojący na straży sołdat, krzyknie:

— Kto idiot?

— Swój — odpowiada sierżant.

— Kakoj swój?

— Sołdat.

— Tak skaži hasło.

— Oj bracie — mówi, tłumacząc się po rosyjsku nasz wiarus — tak byłem pijany i śpiący, kiedy je dawano, że zupełnie zapomniałem. Zlituj się, przypomnij je.

— Wot durak słuszaj, hasło: Warszawa!

Sierżant podziękował i wali do drugiej wedety, gdzie podaje hasło. Gdy się przekonał, że sołdat prawdę mówił, wraca chyłkiem do polskiego obozu powiada o tem swemu wodzowi.

Rybiński tedy już śmiało postępuje do nieprzyjacielskiego obozu, a gdy się zbliżył do czat, warta krzyknęła:

— Kto idiot?

— Generał Stropow.

— Hasło?

— Warszawa!

— Stupajte — odparł sołdat i puścił Rybińskiego do okopu, gdzie stało sześć dział, przygotowanych do strzału, przy których jednak warta spała, nic nie widząc i nie wiedząc, co się obok niej dzieje. A tu, za jenerałem, wali cała nasza armia. W jednej chwili działa zostały zagwożdżone; wojsko rzuca się na śpiących Moskali i bitwa rozpoczyna się na dobre.

Na krzyk kłutych bagnetami sołdatów cały obóz się zrywa; ale ludzie rozespani, żaden z nich nie wiedział, co zaszło, gdzie jego broń stoi. Tymczasem nasi z bagnetem w ręku zajmują obóz, biją kolbami, a kosynierzy zachodzą drogę uciekającym Moskalom. Tym sposobem zdobyty i zniesiony został obóz Pahlena pod Wawrem, a niezmierna ilość broni i dwadzieścia dział było owocem tego zwycięstwa.

POCZĄTEK KŁÓTNI

Sędzia: — Czy byliście obecni przy początku kłótni między małżeństwem Musiałkami?

Świadek: — Tak.

Musiał: — On kłamie, panie sędzio!

Świadek (do Musiała): — Co? Ja kłamię? Czy nie byłem obecny przy waszem weselu przed dwudziestoma laty?

CHIŃCZYK W NIEWOLI POLSKIEJ.

Sowdepia wojska swoje od dłuższego już czasu zasila rasą żółtą. Niewybredny Chińczyk, który gotów jak najuczciwiej służyć każdemu, kto go nakarmi i opłaci, w ten sposób dość licznie znalazł się w czerwonej armii bolszewickiej. Posłuszny jest i ma pogardę śmierci, a do tego nie zna uczucia litości. Każą męczyć, męczy, na wszystko gotów, jak narzędzie. To też osławieni męczyciele i kaci w „czrezwyczajkach" przeważnie rekrutują się z Chińczyków.

Władze Sowdepii zręcznie wykorzystują podatny bardzo materyał ludzki z Chin, a nawet, jak brzmią ostatnie szumne zapowiedzi p. Bronsteina, gdy Sowdepia przerzuci hasła swoje do Chin i zbolszewizuje miliony rasy żółtej, zadrży w podstawach świat cały i nastąpi zapowiadany raj na ziemi.

Tak twierdzi p. Bronstein-Trocki i werbuje sobie Chińczyków do wojska.

Stąd też w naszych obozach jenieckich znajdują się jeńcy-Chińczycy. Wogóle Chińczyk, nawet na jeńca materyał dobry. Nie wymagający, zadawalający się byle czem, nie utyskujący, nie widzący różnicy między służbą w czerwonej armii a pobytem w niewoli. Przeciwnie, w obozie polskim czuje się doskonale, gdy karmią dodatnio i obchodzą się po ludzku.



(Typ Chińczyka-bolszewika).

— Bolszewik mówić, Polaka manza rżnął, a polaka kapitana szybko! — temi słowy tłómaczył swoje uwagi i spostrzeżenia Chińczyk-bolszewik Czu-fu-li.

Słowa te, wyłożone prawidłową polską mową ze specyalnego sposobu przyswajania sobie wszelkich języków świata przez Chińczyków oznaczają:

— Bolszewik mówił, iż Polak będzie zarzynał każdego Chińczyka (chińczyk mówi o sobie: "manza"), a Polak jest dobry pan...

Okazuje się więc, iż bolszewicy wpajają w chińskich żołnierzy to przekonanie, iż Polacy jeńców, a zwłaszcza Chińczyków mordują. Stąd też Chińczyk walczy zaciekle i unika poddawania się, gdyż wierzy, iż będzie zamordowany, gdy wpadnie w polskie ręce.

Z jednem tylko jest kłopot w obozach dla jeńców: gdy chodzi o Chińczyków. Nie uznają wody, jako płynu do mycia twarzy lub kąpania ciała. Wogóle wszelkie mycie się uważają za przesąd kultury europejskiej. Do mycia i kąpieli trzeba ich zmuszać siłą. Nic więc dziwnego, iż są doskonałymi rozsadnikami tyfusu.

WIKTOR GOMULICKI.

BIAŁY SZTANDAR.

Ojczyźnie służąc — plon bogaty
Gromadźmy pracę w wspólny bróg;
Nastanie dla nas dzień zapłaty:
Płatnikiem wówczas będzie Bóg!

Razem więc, razem więc, naprzód wraz
Nasz Sztandar idzie drogą chwały,
Precz odeń pomsty szał, złość i gniew
Jedności on niesie siew —
A kolor jego lśniąco biały,
Bo go nie plami bratnia krew!

Niech nie upadla więcej duszy
Złej nienawiści wstrętny jad.
Co złe — moc Boża sama skruszy,
Co dobre uczci Bóg i świat.
Razem więc, razem... i t. d.

Gmach samolubstwa,sam się zwali,
Gdy wstrząśnie nim Chrystusa moc!
Gdy razem będziem pracowali,
Przed prawdą umknie fałszu noc.
Razem więc, razem... i t. d.

Precz z brauningami, grabieżami
Niech zginie gwałt, i rzeź i mord.
Chrystusa znamię rządzi nami,
Nie pójdziem drogą dzikich hord!
Razem więc, razem... i t. d.

Już idzie czas, gdzie Bóg zwycięża
Ustąpić musi dniowi cień,
Ten, co świat zwalczył bez oręża
I nam tryumfu ześle dzień!
Razem więc, razem... i t. d.

BRAT PRZECIW BRATU.

Zdarzenie prawdziwe z zeszłego roku.

...Zmrok wieczorny. Słońce złoci ostatkami promieni chmureczki, cisza już powoli zaczyna swoje królowanie. Wśród łanów pochylającego się pod ciężarem kłosów żyta występuje krwawo plama rdzawego ugoru, nakropionego gdzieniegdzie z żółtego piasku usypaną kretowiną. Zmrok się czai w bruzdach i dołkach, wyłazi zza miedze, snuje się po zielonych runiach zboża i niknie gdzieś w oddali, przechodząc w ciemną noc.

Miedzami, ostrożnie przesuwa się trzech ludzi. Szare ich ubrania, jak ten zmrok szare, a jeno w rękach dzierżą śmiercionośne karabiny, a za pasami jeszcze groźniejsze granat ręczne. Idą powoli, co chwilę nasłuchując i przystając, jakby na kogoś oczekiwali, jakby kogoś śledzili.

Nagle z przeciwnej strony wyłoniły się trzy inne cienie.

Idący miedzami przyłożyli broń do piersi, palce spoczęły na cyglach karabinów. Chwila, a padną ostre strzały i położą trupem idących z przeciwnej strony.

— Nie strzelać! — odezwał się komendant patroli. — Najpierw trzeba zbadać, kto idzie!

— Mnie wsio jedno! — odparł jeden z towarzyszy — Lach, czy czort, to jedna sobaka.

— Nie strzelać, powiadam, a ty masz usłuchać rozkazu! Zrozumiałeś?

— Ta niby tak!

Idący z przeciwnej strony również przystanęli. Z ruchów ich poznać było, że również wahają się, co im czynić wypada. Wreszcie jeden odłączył się od pozostałych i wysunął się ku przodowi; dwaj inni z bronią przy piersi, gotową do strzału, śledzili każdy ruch przeciwników.

Przestrzeń, dzieląca dwie przeciwne patrole, z każdym krokiem zmniejszała się i już obydwie mogły pomimo zmroku rozpoznać, kogo mają przed sobą. Nie było już wątpliwości, że były to patrole ruska i polska.

Idący, będąc zaledwie kilkanaście kroków od patroli ruskiej, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zawiesił ją na karabinie na znak, że chce się z przeciwnikami porozumieć. Rusini opuścili broń.

— Kto idzie? — zapytał komendant patroli po rusku.

— Swój!

— Co za swój? Ot, Lach... I poco ty tu...

— Jurek! Dalibóg Jurek! — zdziwił się przybysz. — I my w takiej chwili, tutaj... jako wrogi?

— Staszek! — odkrzyknął komendant. — Szwagierek! A ty skąd tutaj?

— Nie widzisz! Prędzejbym się śmierci był spodziewał, aniżeli ciebie tutaj zobaczyć. Wszak idąc do wojska zostawiłem cię w domu, przy boku żony...

— Ot widzisz taki los. Ani ja wiem, dlaczego i poco? Kazali, musiałem.

— A cóż na to Helenka, siostra moja?

— Płakała, rozpaczała, ale cóż było robić? Pójdziesz, powiada, i po co? Wszak ja, żona twoja, Polka jestem. Brat mój, Stach, w polskiem wojsku. Żyliśmy tyle wieków razem, od setek lat nie było sporów, dopóki nie rzucono pomiędzy nas zarzewia niezgody. A i to żarli się politycy, podczas gdy narody żyły ze sobą dobrze. Najlepszy dowód, że ja Polka, a ty Rusin, a przecież się kochamy i żyjemy w zgodzie. Ale takich małżeństw setki i tysiące.

Przerwał na chwilę i znać było, że to, co mówi, z trudem mówić mu przychodzi. Ale chciał się wyspowiadać, powiedzieć to, co sam czuł dawno, a co jego umiłowana żona głośno mu przy odejściu mówiła.

— I ja tak samo myślałem — ciągnął po chwili — choć tego głośno nie mówiłem, bom wiedział, że Polacy i Rusini mogą żyć ze sobą w zgodzie, byle się nikt trzeci pomiędzy nich nie mieszał. Niestety, mamy podstępnych opiekunów, którzy z naszej niezgody chcą zyski dla siebie ciągnąć i ot skutki tego. Byłbym nie poszedł, ale zmusili. Biedna Hela...

Stach słuchał z prawdziwem wzruszeniem i szczerze szwagra żałował.

— Ot rzuć to wszystko i chodź z nami — rzekł.

— Nie mogę, nie mogę! A wiesz dlaczego? Bo i we mnie płynie krew polska; wszak matka moja była również Polką i babka również, a Polak obowiązki swe, choćby siłą narzucone, wypełniać umie. To jedno, a drugie: gdyby się dowiedziano, żem ruską sprawę dobrowolnie opuścił, kto wie, coby się stało z Helą, która jest jeszcze na terytoryum, zajmowanem przez Rusinów. Ty mnie rozumiesz.

— Niestety, rozumiem cię dobrze i żal mi cię, jak mi żal tych wszystkich, którzy znajdują się w położeniu, podobnem twojemu... Lecz cóż teraz?

— Niech się spełni do ostatka kielich goryczy! Może być, że padnę ja z twojej ręki, lub ty z mojej... Cokolwiek jednak się stanie, niech krew ta nasza i wszystkich nam podobnych, spadnie na tych, którzy tę bratobójczą rzeź wywołali.

Rzekłszy to, Jurek rzucił się w objęcia Stacha i tak wśród wieczornego zmroku żegnali się dwaj "nieprzyjacielscy" żołnierze, może po raz ostatni w życiu.

NA PUNKCIE OBSERWACYJNYM

WSTAŁ gorący, majowy poranek. Wieś nasza otoczona drutem kolczastym tuli się w strzępy mgieł porannych. Ale i tam rozrywa ciszę trzask karabinu i kula świszcząc leci do przeciwległych rumowisk, gdzie są stanowiska Ukraińców. Tam stoi wraży kulomiot — stamtąd oni ślą na nas kule.

Nasz punkt obserwacyjny, to okop piechoty na skraju wsi, obok ustawionej maszynki. Wątła nić druciana łączy nas z bateryą. Kwaterujemy obok, w chacie zadymionej: trzech telefonistów, wywiadowca i oficer. Ot! Zwykłe życie na pozycyi.

Niema i odrobiny tych wrażeń, jakie to często zapełniają książki i pisma. Meldunki nasze zwykle brzmią: Rzadka wymiana strzałów karabinowych. Sytuacya bez miary. Czasami jednak mamy i ożywioną działalność. Na przykład dzisiaj. Godzina 5. rano. Oficer jeszcze śpi, przybrawszy możliwie wygodną pozycyę na ciasnym łóżku. Wywiadowca, wsadziwszy głowę w słomę, nie myśli o Ukraińcach, a chrapie, jakby już było po wojnie. Telefoniści też nie gorzej się zachowują. Wogóle nastrój i harmonia jak nigdy.

A tu masz dyable kaftan.

Od strony Ukraińców, cholera wie skąd, słychać huk, a potem charakterystyczny świst i...fiuu... skonał gdzieś w pobliżu nas, nie wydawszy głosu. W naszym mieszkaniu małe poruszenie. Dyżurny telefonista niecierpliwi się! Bum! Bum! a potem fiu...uu... i... strach! Zatrzęsły się szyby, sen prysł i nasz punkt obserwacyjny, — to znaczy, śpiący — wstali.

Oczywiście w owej chwili nikt, chociażby chciał, nie zaśnie. Perspektywa ujrzenia w izbie ot takiego okrągłego, jak kiełbasa, niezbyt smakującego kawałka żelaza, wprawia nas we wzruszenie.

— Kanalie, już biją —oburza się oficer, przecierając oczy i poprawiając spodnie.

— A to panie poruczniku pobudka, ażebyśmy za długo nie spali —, melduję nadsłuchując dalszych pocisków.

Znów słychać: Bum! Bum! i fiu...uu... Pocisk ugrząsł nosem w błocie bez krzyku.

Już wywiadowcy niema w izbie, gdyż zabrawszy lornetkę, siedzi w okopie.

— Ano, trzeba uspokoić. Poślemy im kilka pigułek.

— Tak na dzień dobry, panie poruczniku.

— Zawołajcie dyżurnego, działo do boju. i z aparatem do okopu.

— Rozkaz, panie poruczniku — odpowiadam, jak echo.

Za chwilę nić telefoniczna drży i leci rozkaz do wsi St., gdzie stoją nasze armatki.

— Hallo! Ira! Dyżurne działo do boju! — telefonuję, poczem odłączam i śpieszę z aparatem do okopu, o dziesięć kroków od chaty.

Het, przedemną wieś. Na prawo widzę ruiny chat i lasek, gdzie są Ukraińcy. Teraz nie widać nikogo. Gorące, majowe słońce błyszczy na kroplach rosy. Skowronek gdzieś w podniebiu śpiewa i patrzy z góry na okopy. Wróbel nad głową szczebioce. Na lewo od okopu ciągnie się tor kolejowy, widać wieś Mł. i cerkiew. Tam, prawdopodobnie za wsią, stoi baterya, tam też będziemy prać ku uciesze gromadzących się widzów z piechoty. Tych gapiów to nie brak. Ot, taka nierozwaga, a może odwaga naszej piechoty. Po stronie ukraińskiej żaden głowy nie wychyli, bo nasi biją, że Boże mój!

A u nas, nasza wiara, wlezie na okop, oprze się o drzewo, lub płot, stanie na drodze i patrzy, gdzie padają nasze szusy. Był amator, co żeby zobaczyć tych pierunów-hajdamaków, wlazł na drziewo. Oczywiście, że Ukraińcy zaczęli bić do niego i ten rad nie rad musiał zleść,

podarłszy haniebnie spodnie. Taki to, nasz żołnierz zawsze.

Na rozkaz oficera musieli się pochować. Chwila oczekiwania. Porucznik oblicza, podaje przez telefon rozkazy. Ognia! pada komenda, gdy słyszę z bateryi: Gotowe. Bum! Bum! i fiuu...uu... leci nad nami nasz kochany granacik. Słychać daleką detonacyę. Lecz i oni nie próżnują. Leci posłaniec śmierć. I znów —.

Trrach!... A niech cię cholera!... W samą chałupę. O! Jaką dziurę wywiercił. Sypią się uwagi piechociarzy, gdyż pocisk padł w drugą chałupę za nami, tam, gdzie my, artylerzyści, gotujemy sobie jedzenie. Klniemy zcicha, ale cóż robić? Nie jesteśmy dłużni.

Parę naszych nie wybuchło.

— Wziąść francuskie szrapnele! — pada rozkaz porucznika. — Ognia...

I znów lecą, świszcząc nasze żelazne ptaki. Widocznie dobry skutek, bo po kilku strzałach Ukraińcy milkną. Wśród piechociarzy widocznie zadowolenie.

— A co? uspokoją się na pewien czas — mruczy porucznik.

— Ale co rozbiło nam kuchnię, to rozbiło — mówię zafrasowany, bo o drugą w pobliżu będzie trudno.

Zaprzestajemy bić i znów armaty milkną. Maszynka gdzieś z boku trajkocze, to znów cichnie. Gorąco, jasno! Słońce radośnie oblewa wieś i pola i we mnie krzepiące budzi czucie. Radośnie spozieram na świat. Niedawno jeszcze śnieg padał —deszcz i błoto straszliwe, a teraz ciepło, myśl zwraca się do wspomnień.

....

Idę posłuchać harmonii, na której już gra nasz wywiadowca.

Sawicki.

OBEREK.

A zagrajcie, a wesoło,
Na basetli rżnij rzępoło,
Niech się ziemia zadziwuje,
Jak se polski chłop tańcuje!
Oj, nie żałuj skrzypku smyka:
Jak muzyka, to muzyka!
Grajże żwawo, po staremu!
Hejże! hejże po naszemu!...

Hej z pod ściany dziewka zerka, —
Nie widziałaś to oberka?
A nie wstydaj się dziewczyno,
A do tańca pójdź że ino!
Oj, skrzypiciel smykiem kręci,
Rżnie basetla bez pamięci,

Aż to słonko oczy mruży,
Aż im cała ziemia wtórzy!

Grają pola, łąki grają.
Echa w lesie przepadają,
Za dąbrową, za zieloną,
W naszej srebrnej Wiśle toną!
Z pod komina wstańcie dziady,
Hejże do nas, do gromady!
Jak tańcować, to tańcować,
Starym dziadom nie darować.

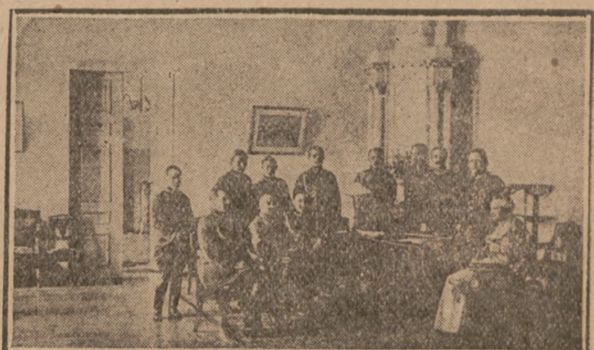
Czy młodemu, czy staremu,
Grajcie grajki po naszemu,
Niech się ziemia zadziwuje,
Jak to dziarsko chłop tańcuje! t

Or-Ot.

Z POBYTU NACZELNIKA PAŃSTWA W WILNIE.



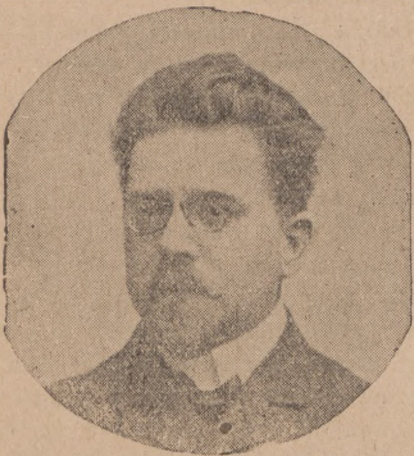
Naczelnik państwa, Józef Piłsudski, z Jego Excelencyą Monsignorem Rattim w byłym pałacu biskupim w Wilnie.



Naczelnik państwa z ks. Plewsko-Plewczyńskim i adjutanturą generalną w byłym pałacu biskupim w Wilnie.

WŁADYSŁAW ST. RAYMONT

WALKA O LAS



Władysław St. Raymont.

NARODZIE chrześcijański! Polaki sprawiedliwe! gospodarze a komorniki! — jął wielkim głosem wołać Boryna. — Krzywda się nam wszystkim stała, jakiej nie ścierpieć, ni podarować! Dwór las nasz tnie, dwór nikomu z naszych roboty nie dawał, dwór cięgiem na nas nastaje i do zaguby wiedzie! Bo i nie pamiętać ni tych krzywd, tych fantowań, tych szkód a utrapień, jakie cały naród ponosi!! Podawalim do sądu — co mu kto zrobi! Jeździlim ze skargą — nadarmo. Ale miarka się przebrała, tnie nasz bór! Pozwolim na to, co?''

— Nie, nie! nie dać! Rozpędzić, zakatrupić, nie dać!—krzyczeli, a twarze szare, chmurne, zasępione rozbłysły wnet kiejby piorunami, sto pięści zamigotało w powietrzu i sto gardzieli zaryczało, a gniew zatrząsł sercami.

— Nasze prawo, a nikt nam go nie przyznaje; nasz bór, a tnie go! To i cóż my, sieroty, poczniemy, kiej nikt na świecie o nas nie stoi, a wszystkie ukrzywdzają, cóż?... Narodzie kochany, ludzie chrześcijański, Polaki, to mówię, że rady już inszej niema, jeno sami musimy swojego dobra bronić, gromadą całą iść i boru rąbać nie pozwolić! Wszystkie chodźmy, kto jeno żyw, kto jeno kulasami rucha, całą wsią, wszystkie jak jeden. Nie bójta się niczego, ludzie, nie bójta, nasze prawo, to i nasza wola i sprawiedliwość nasza, a całej wsi karać nie ukarzą... Za mną ludzie, zbierać się duchem, za mną. Na las! — ryknął mocno.

— Na las! — odwrzasnęli wraz wszyscy.

....

Świat był jeszcze zmartwiały od nocnego chłodu, pełen sennej głuszy i spowity w lute i szkliste mgły.

Cichość zalegała bory, ziąb przeciągał ostry i słaby brzask zórz oczerwieniał czuby i sypał się gdzieniegdzie na śniegi białe.

Jeno na Wilczych dołach grzmiały huki walących się raz po raz drzew, bicie siekier i przeszywający, zgrzytliwy pisk pił.

Walili bór!...

Więcej, niż czterdzieści chłopa pracowało od rannego świtania, kieby stado dzięciołów spadło na bór, przypięło się do drzew i kuło tak zawzięcie i zajadle, że drzewa padały jedne po drugich, poręba rosła, pocięte olbrzymy leżały pokotem niby łan stratowany, a jeno kajś niekaj, niby te osty kwarde, sterczały smukłe nasienniki, pochylając się ciężko jako matki, żałośnie płaczące nad pobitemi, kajś niekaj szeleściły smutno krze niedocięte, to jakaś drzewina - mizerota, której topór nie chycił, dygotała trwożnie, a wszędy na płachtach śniegów podeptanych, niby na tych całunach ostatnich, leżały pobite drzewa, kupy gałęzi, wierzchoły martwe i kloce potężne, obdartym i poćwiertowanym trupom podobne, zaś strugi żółtych

trocin rozsączały się w śniegach, kieby ta żałosna krew lasu.

A wokół nad porębą, niby nad grobem otwartym, stał las zbitą, wyniosłą i nieprzeniknioną ciżbą, jako te przyjacioły, krewniaki, a znajomkowie, co gęstwą stanęli pochyloną i w trwożnem milczeniu, z tłumionym krzykiem rozpaczy, nasłuchują padających w śmierć i patrzą zdrętwieli na nieubłaganą kośbę.

Bo rębacze szli naprzód nieustannie, rozwiedli się w szeroką ławę i zwolna, w milczeniu, wpierali się w bór, zda się niezmożony, któren posępną, wyniosłą ścianą pni zwartych zastępował im drogę, a tak przysłaniał ogromem, że zginęli zgoła w cieniu konarów, jeno topory błyskały w mrokach i biły niestrudzenie, jeno świst pił nieustawa ani na chwilę, a co trochę drzewo się jakieś chwiało i znagła, kiej ten ptak, zdradnie pochwycony we wnyki, odrywało się od swoich, biło gałęziami i z jękiem śmiertelnym padało na ziemię, a za niem drugie, trzecie, dziesiąte....

Padały sosny ogromne, już od starości ozieleniałe, padały jedle, kieby w zgrzebne kapoty przyodziane, padały świerki rozłożyste, padały i dęby bure, brodami siwych mchów obrosłe, kiej te starce, których pioruny nie zmogły i setki lat nie skruszyły, a topory na śmierć powiodły, a inszych zasię tyle podlejszych drzew, któż to wypowie ile, a jakich padało!

Las marł z jękiem, drzewa padały ciężko, jako te chłopy w boju ściśnięte, a parte jedne przez drugie, nieustępliwe, krzepkie, jeno że bite mocą niezmożoną, iż ni "Jezus" krzyknąć nie krzykną i wraz całą ławą się chylą i w lutą śmierć padają.

Jęk jeno rozbrzmiewał po lesie, ziemia drgała ciągiem od zwalonych drzew, siekiery waliły bez przestanku, zgrzyt pił nie ustawał, a świst gałęzi niby ten wzdych ostatni, przedzierał powietrze.

I tak szły godziny za godzinami, a coraz nowe pokosy drzew zalegały porębę i robota nie ustawała.

Sroki krzyczały, wieszając się po nasiennikach, to czasem stado wron przeciągało z krakaniem nad tem polem śmierci, to zwierz jaki wysuwał się z gęstwiny, stawał na skraju i długo wodził szklistemi oczami po skołtunionych dymach ognisk, po drzewach padających, a dojrzawszy ludzi, z bekiem uciekał.

A chłopy rąbali zawzięcie, wżerając się w bór kiej te wilki, gdy stada dopadną, a ono się zbije w kupę i zdrwętwiałe śmiertelnie, pobekujące czeka, póki ostatnia owieczka nie padnie pod kłami.

Dopiero po śniadaniu, gdy słońce podniosło się do tela, że osiędzielizna jęła skapywać, a złote pająki światła pełzały wskróś boru, dosłyszał ktosik daleką wrzawę.

— Ludzie jakieś idą całą gromadą — rzekł któryś, przyłożywszy ucho do drzewa.

Jakoż i gwar był coraz bliższy i wyraźniejszy, że wnet rozległy się pojedyńcze okrzyki i głuchy łopot wielu nóg, a nie wyszło i "Zdrowaś", kiedy na dróżce, biegnącej od wsi, zamajaczyły sanie, które wnet wypadły na porębę; stojał w nich Boryna, a za nim konno, wozami i piechotą wysypywał się gęsty tłum kobiet, chłopów i wyrostków, a wszystko to, podniósłszy srogi krzyk, jęło gnać ku rębaczom.

Boryna zeskoczył ze sani i pognał przodem; za nim zaś, gdzie kto ino wziął miejsce, lecieli drudzy; kto był z kijem, kto znów groźnie potrząchał widłami, któren cepy dzierżył mocno w garści, inszy kosą migotał, a inszy jeszcze z prostą gałęzią, a jak kobiety, to prosto z pazurami i wrzaskiem, a wszystkie runęli na przerażonych rębaczów.

— Nie rąbać! Wara od boru! Nasz las, nie pozwalamy — wrzeszczeli razem, że nikto nie wyrozumiał, czego chcieli, dopiero Boryna przystanął przy struchlałych i ryknął, że na cały las się rozległo:

— Ludzie z Modlicy! ludzie z Rzepek i skądta jeszcze jesteśta, słuchajcie!

Przycichło ździebko, a on znowu wołał:

— Zabierzta, co wasze i idźta z Bogiem, rąbać wzbraniamy, a którenby nie usłuchał — z całym narodem miał będzie sprawę...

Nie opierali się, boć srogie twarze, kije, widły, cepy i tyla narodu rozgniewanego, gotowego do bitki, strachem przejmowało, to zaczęli się zmawiać, skrzykiwać, topory za pas zakładać, piły zbierać i kupić się do się z pomrukiem gniewnym, a zwłaszcza Rzepczaki, że to szlachta była i od wieków w kłótniach sąsiedzkich z Lipczakami, to wyklinali w głos, trzaskali toporami, odgrażali się, ale chcąc nie

chcąc, ustępowali przed siłą, a naród zaś krzykał groźnie, następował na nich i wypierał w bór.

Insi zaś rozbiegli się po porębie gasić ogniska i rozwalać poukładane sążnie, a baby, dojrzawszy budy, zbite z desek na kraju poręby, pognały tam i nuż je rozbierać a rozwłóczyć po lesie, by i śladu nie zostało.

Boryna zaś, skoro rębacze ustąpili tak łacno, skrzykiwał gospodarzy i namawiał tych całą gromadą do dworu teraz iść i zapowiedzieć dziedzicowi, aby się nie ważył lasu ruszyć, póki sądy nie oddadzą co jest chłopskiego. Ale nim się zmówili, nim wymiarkowali, co zrobić, aby było jak najlepiej, baby podniosły krzyk i zaczęły bezładnie uciekać od bud, bo kilkanaście koni, wypadłych z lasu, jechało im na karkach...

Dwór uprzedzony przybywał rębaczom na pomoc.

Na czele parobków jechał rządca; wpadli na porębę ostro i zaraz z miejsca, dopadłszy kobiet, zaczęli je prać batami, a rządca, chłop kiej tur, bił pierwszy i krzyczał:

— Złodzieje, wszarze! Batami ich! W postronki, do kryminału!

— Kupą, kupą do mnie, nie dawać się! — wrzeszczał Boryna, bo naród już się rozlatywał zestrachany, ale na ten głos powstrzymywali się w miejscu, nie bacząc na baty, prażące niejednych już po łbach, w dyrdy, osłaniając rękami głowy, biegli do starego.

— Kijami psubratów!! Cepami w konie! — krzyczał rozsrożony stary i, porwawszy jakiś kół, pierwszy rzucił się na dworskich! A prał, gdzie popadło, za nim zaś, kiej ten bór, wichurą gniewu przejęty, zwarły się chłopy ramię w ramię, cepy przy cepach, widły przy widłach i z krzykiem ogromnym runęli na dworskich, prażąc czem kto ino mógł dosięgnąć, aż zadudniało, jakby kto groch na podłodze kijem wyłuskiwał.

Podniesły się wrzaski nieludzkie, przekleństwa, kwiki przetrącanych koni, jęki rannych, głuche a gęste razy kołów, szamotania chrapliwe i dzikie krzyki pobojowiska.

Dworscy bronili się tęgo, wymyślali i bili niezgorzej od chłopów, ale zaczęli się w końcu mieszać i cofać, bo konie, smagane cepami, stawały dęba i z kwikiem nawracały, podnosząc się, aż rządca, widząc co się dzieje, spiął swojego bułanka i skoczył w całą kupę narodu ku Borynie, ale ino tyla go było widać, bo naraz zawarczały cepy i kilkadziesiąt bijaków spadło na niego, a kilkadziesiąt rąk chwyciło go ze wszystkich stron i wyrwało z konia, że kiej ten kierz, ryjem podważony, wyleciał w powietrze i padł na śnieg, pod nogi, iż ledwie go Borynia ochronił i zawlókł nieprzytomnego w przespieczne miejsce.

Skłębiło się wtedy wszystko z nagła, jak kiedy wicher uderzy niespodzianie w kopy, zamąci, że jeno jeden kłąb nierozeznany się uczyni, tacza po polu i przewala po zagonach; krzyk się podniósł straszny i taki zamęt, taki wir, że już nic nie było widno, kromie splątanych kup, tarzających się po śniegach, kromie pięści, walących z wściekłością, a czasem jakiś wydzierał się z kupy i uciekał kiej oszalały, ale nawracał wnet i z nowym krzykiem, z nową wściekłością rzucał się do bitki!...

Prali się w pojedynkę i kupami, wodzili za orzydła, to za łby, gnietli kolanami, ozdzierali do żywego mięsa, a przeprzeć się jeszcze nie mogli, bo dworscy pozeskakiwali z koni, nie ustępując ani na krok, ile że przybywała im ciągła pomoc, bo rębacze przeszli na ich stronę i tęgo wspierali; pierwsze Rzepczaki hurmą a milczkiem, kiej te złe psy, rzucili się pomagać, a wiódł ich wszystkich borowy, któren w ostatniej chwili się zjawił, że zaś chłop był jak byk, mocarz głośny na okolicę a przytem zadzierzysty i swoje sprawy z Lipcami mający, to pierwszy się rzucał w pojedynkę na całe kupy, rozbijał łby kolbą fuzyi, rozpędzał i tak prał, że niech Bóg broni.

Posedł za nim Stacho Płoszka, by go wstrzymać, bo już naród zaczął przed nim uciekać, to go uchwycił za orzydlę, okręcił nad sobą i rzucił na ziem kiej ten snopek wymłócony, aż Stacho padł nieprzytomny. Skoczył doń któryś w Wachników i trząsnął go cepami gdziesik w ramię, ale dostał na dlew pięścią pomiędzy oczy, że jeno ozwarł ramiona i z tem słowem "Jezus" rymnął na ziemię.

Wkońcu już i Mateusz nie wytrzymał i rzucił się do niego, ale choć chłop był w mocy jednemu Antkowi równy, nie wytrzymał i pacierza, borowy go zmógł, sprał, w śniegu utytłał i do ucieczki przyniewolił, a sam ruszył ku

Borynie, któren w kupie całej wodził się za łby z Rzeczpakami, ale nim się nań dobrał, opadły go z wrzaskiem baby, przychwyciły pazurami, wpięły mu się w kudły, splątały i, przygiąwszy do ziemi, wodziły się z nim, jako te kundle, kiej psa owczarskiego opadną, kłami za skórę ujmą i ciepią się z nim to w tę, to w ową stronę.

Ale już pod ten czas i naród brał górę, zwarli się i pomieszali kiej te liście, każden swojego ułapił, dusił i taczał się z nim po śniegu, a baby dopadały z boków i darły za kudły.

Wrzask był ano już taki, zamęt, kotłowanina, że swój swojego ledwie rozpoznawał, ale wkońcu przeparli dworskich, paru już z nich leżało pokrwawionych, a insze zaś zmordowane, osłabłe, chyłkiem uciekały w las, tylko rębacze bronili się ostatkami sił, a nawet gdzieniegdzie prosili o miłosierdzie, ale że naród był rozsrożony jeszcze bardziej na nich, niźli na dworskich, że rozgorzał, kiej ta żagiew na wietrze, to próśb nie słuchał i na nic nie baczył, jeno prał z całą wściekłością.

Porzucali kije, cepy, widły, a zwarli się na moc, chłop z chłopem, pięść na pięść, siła na siłę, gnietli się tak ano, dusili ozdzierali, kulali po ziemi, że już przymilkły wrzaski, a tylko ciężkie charczenia, klątwy i szamotania słychać było.

Taki się sądny dzień zrobił, że i wypowiedzieć nie sposób!

Ludzie poszaleli prawie, zawziętość niemi rzucała i gniew ponosił, a zwłaszcza Kobus z Kozłową widzieli się całkiem powściekani, że aż strach było na nich patrzeć, tak byli okrwawieni, pobici, a mimo to rzucający się na całe kupy.

Tak się ano przepierali jeszcze, a z coraz większym krzykiem, Lipczakom, że już się zaczynały gonitwy uciekających i bicie w dziesięciu jednego, gdy borowy opędził się wreszcie babom, ale srodze poturbowany i przeto jeszcze wścieklejszy, zaczął skrzykiwać swoich, a dojrzawszy Borynę, skoczył na niego; chycili się wpół, opletli barami kiej niedźwiedzie i nuż się przepierać a zataczać, a bić o drzewa, bo się już byli wywiedli w bór...

Borowy przemagał, ciężko mu szło, bo już był srodze zmordowany, a i stary trzymał się krzepko, padli właśnie na ziemię, tarzając się kiej dwa psy i tłukąc o ziemię, ale coraz częściej stary był na spodzie, czapa mu zleciała, że jeno ten łeb siwy podskakiwał po korzeniach... Porwali się obaj na nogi... Naraz rozległ się krótki, przeraźliwy krzyk:

— Ratujta, ludzie!... Ratujta!...

Borowy właśnie w ten mig trzasnął Borynę kolbą przez łeb, aż krew chlusnęła, a stary jeno zakrzyczał, podniósł ręce do góry i padł kiej kloc na ziemi, charczał, krew zalewała mu twarz, głowę miał prawie napół rozłupaną, żyw był jeszcze, ale już oczy zachodziły mu mgłą i kopał nogami...

— Ociec! Mój Jezus! Ociec! — wrzasnął strasznym głosem Antek (syn Boryny), porwał go na ręce, przytulił do piersi i zaczął w niebogłosy krzyczeć:

— Ociec! Zabili go! Zabili! — wył kiej ta suka, gdy jej dzieci potopią.

Aż kilkoro ludzi co najbliższych posłyszało i przybiegło na ratunek; złożyli pobitego na gałęziach i śniegiem obwalać mu głowę i ratować, jak ino poredzili. Antek zaś przysiadł na ziemi, targał się za włosy i krzyczał nieprzytomnie:

— Zabili go! Zabili!

Aż myśleli, iż mu się z nagła w głowie popsuwało.

Naraz ucichł, przypomniał sobie znagła wszystko i rzucił się do borowego z krzykiem przerażającym i z takiem szaleństwem w oczach,, że borowy się zląkł i zaczął uciekać, ale czując, że go tamten dogania, odwrócił się raptem i strzelił mu prosto w piersi, nie trafił go jednak jakimś cudem, tyle jeno, że twarz osmalił, a Antek zwalił się na niego jak piorun.

Próżno się bronił, próżno wymykał, próżno — przywiedzony rozpaczą i strachem śmiertelnym o zmiłowanie prosił. Antek porwał go w pazury kiej ten wilk wściekły, zdusił za gardziel, aż grdyka zachrzęściała, uniósł do góry i tłukł nim o drzewa potąd, póki ostatniej pary nie puścił.

A potem, jakby się zapamiętał, że już nie wiedział, co robił, rzucił się w bitkę, a tam, kędy się zjawił, serca truchlały, ludzie uciekali ze strachem, bo straszny był, umazany ojcową krwią i swoją, bez czapki, z pozlepianym włosem, siny kiej trup jakiś, a tak nadludzko mocny, że prawie sam jeden zmordował i pobił tę

resztę dających opór, aż musieli go wkońcu uspokajać i odrywać, boby zabijał na śmierć.

Bitka się skończyła i Lipczaki, choć zmordowani, pakleczeni, okrwawieni, napełniali las radosną wrzawą.

Kobiety opatrywały co cięższej rannych i przenosił na sanie, a było ich niemało. Kłębiak jeden miał złamaną rękę, Jędrzych Pacześ przetrącony kulas, że stąpić nie mógł i darł się wniebogłosy, kiej go przenosili. Kobus zaś był tak pobity, że się ruchać nie mógł, Mateusz żywą krew oddawał i na krzyż narzekał, a insi też ucierpieli nie gorzej że prawie ni było ani jednego, któryby cało wyszedł, ale że górę wzięli, to i na bój nie bacząc, pokrzykiwali wesoło a rozgłośnie i zabierali się do powrotu.

Borynę złożyli na saniach i wieźli wolno, bojąc się, by w drodze nie zamarł; nieprzytomny był, a z pod szmat wciąż wydobywała się krew, zalewając mu oczy i twarz całą, blady był jak płótno i zupełnie podobny do trupa...

Antek szedł przy saniach, wpatrzony przerażonym wzrokiem w ojca, podtrzymywał mu głowę na wybojach i raz wraz bełkotał cicho, prosząco, żałośnie:

— Ociec! Loboga, ociec!...

Ludzie szli bezładnie, kupami, jako komu lepiej było, a lasem, bo środkiem drogi szły sanie z poranionymi, jaki taki jęczał i postękiwał, a reszta śmiała się głośno, pokrzykując wesoło i szumnie. Zaczęli opowiadać sobie różności, a przechwalać się z przewagi i przekpiwać z pokonanych, gdzieniegdzie już i śpiewy zaczęły się rozlewać, ktoś znów krzykał na cały bór, aż się rozlegało, a wszyscy byli pijani tryumfem, że niejeden zataczał się na drzewa i potykał o lada jaki korzeń!...

Mało kto czuł pobicie i zmęczenie, bo wszystkie serca rozpierała nieopowiedziana radość zwycięstwa, wszyscy pełni byli wesela i takiej mocy, że niechby się kto sprzeciwił, na prochby starli, na cały światby się porwali.

Szli mocno, głośno, hałaśliwie, tocząc jarzącemi oczami po tym borze zdobytym, któren chwiał się nad głowami, sumiał sennie i sypał dla nich rosisty opad osędzielizny — kiedy temi łzami pokrapiał.

HUMOR.

NA GORĄCYM UCZYNKU

Mąż wychodzi na posiedzenie.

— Do widzenia, żono, powrócę do domu o siódmej. Gdybym nie powrócił, zawiadomię cię listownie przez posłańca.

— To zbyteczne, mój drogi, bo list z zawiadomieniem wyjęłam już z kieszeni twego paltota.

W SZPITALU

Lekarz: — Ilu chorych wczoraj umarło?

— Pielęgniarka: — Czterech.

— Lekarz: — Czterech? Zapisałem przecież lekarstwo dla pięciu...

Pielęgniarka: — Tak, ale jeden chory nie zażył lekarstwa i ten żyje.





ROKOWANIA POLSKO-ROSYJSKIE W SPRAWIE WYMIANY JEŃCÓW.
(Odbywały się na stacyi Mikaszewicze, na linii Homel-Łuniniec.)

MICHAŁKO.

NA niebrukowanej ulicy, gdzie stoło ledwie kilka domów, kręcili się strwożeni ludzie. Krzyczeli i pokazywali rękoma niewykończoną budowlę, przed którą leżały deski, połamane słupy i świeże gruzy. Nad wszystkiem unosił się czerwony pył cegły.

Michałko przybiegł bliżej. Tam już zobaczył, co się zdarzyło. Oto — nowy dom upadł.

Cała jedna ściana rozsypała się od góry do dołu, a druga w większej swej części.

W poszczerbionych murach wisiały futryny, a dwie belki, przeznaczone do dźwigania sufitów, opadły, pogięły się i potrzaskały, jak wióry. W oknach sąsiednich domów ukazały się zalęknione kobiety. Ale na ulicy ,prócz robotników, było ledwie kilka osób. Wieść o wypadku nie zdążyła jeszcze do środka miasta.

Pierwszy oprzytomniał główny majster.

— Czy nie zginął kto? — pytał drżący.

— Zdaje się, że nie. Wszyscy byli na śniadaniu.

Majster począł rachować swoich, ale wciąż mylił się.

— Czeladnicy są?

— Jesteśmy.

— A pomocnicy?

— Jesteśwa!...

— Jędrzeja niema!... — odezwał się jeden głos.

Obecni na chwilę zaniemieli.

— Tak, on był we środku.

— Trzeba go szukać! — rzekł majster ochrypłym głosem.

I poszedł ku przewróconemu domowi, a za nim kilku śmielszych.

Michałko machinalnie zbliżył się także.

— Jędrzeju!... Jędrzeju! — wołał majster.

— Usuń się pan — ostrzegli go — ta ściana ledwie wisi.

— Jędrzeju!... Jędrzeju!...

Z wnętrza domu odpowiedział jęk.

W jednem miejscu ściana była rozdarta na szerokość drzwi.

Majster zabiegł z tamtej strony, zajrzał i schwycił się oburącz za głowę. Potem, jak szalony, popędził do miasta.

Za ścianą wił się w boleściach człowiek. Obie nogi zdruzgotała i przycisnęła mu belka. Nad nim wisiało urwisko muru, który pękał coraz mocniej i lada chwilę mógł się oberwać.

Jeden z cieślów począł oglądać miejscowość, skamienieli z trwogi robotnicy patrzyli mu w oczy, gotowi pójść, jeżeli ratunek jest możliwy.

Ranny konwulsyjnie wykręcił się i stanął na dwu rękach.

Był to chłop. Miał czarne z bólu usta, szarą twarz i zapadłe oczy.

Patrzał na ludzi, stojących o kilkanaście kroków od niego, jęczał, ale wzywać o ratunek nie śmiał. Mówił tylko:

— Boże mój!... Boże miłosierny!...

— Tu nie można wejść! — rzekł głucho cieśla.

Gromada cofnęła się w tył.

Między nimi stał Michałko, przerażony może więcej, niż inni.

Strach, co się z nim działo!... Czuł wszystek ból rannego, jego bojaźń, rozpacz, a jednocześnie czuł jakąś siłę, która popychała go naprzód. Zdawało mu się, że w tłumie nikt, tylko on jeden ma obowiązek i musi ratować człowieka, który przyszedł tu ze wsi na zarobek. I w tej chwili, kiedy inni mówili sobie: "pójdę", on myślał:

— Nie pójdę! Nie chcę!

Obejrzał się bojaźliwie. Stał sam jeden przed gromadą, bliżej muru, niż inni.

— Nie pójdę!... — szeptał, i... podniósł drąg, który leżał mu prawie na nogach.

Między ludźmi zaszemrano:

— Patrzcie!... Co on robi?

— Cicho!

— Boże miłosierny, zmiłuj się! — wołał ranny, szlochając z bólu.

— Idę! Idę!... rzekł Michałko i wszedł między gruzy.

— Zginiecie obaj! — krzyknął cieśla.

Michałko już był przy nieszczęśliwym. Zobaczył jego zdruzgotane nogi, kałużę krwi, i pociemniało mu w oczach.

— Bracie mój! bracie!... — szeptał ranny i objął go za kolana.

Chłop podsunął drąg pod belkę i rozpaczliwym ruchem podważył ją. Rozległo się trzeszczenie, a z wysokości drugiego piętra spadło kilka kawałków cegły.

— Wali się! — krzyknęli robotnicy, rozbiegając się. Ale Michałko nie słyszał, nie myślał, nie czuł nic. Silnem ramieniem podparł znowu drąg i już całkiem usunął belkę ze zmiażdżonych nóg leżącego człowieka.

Z góry posypały się gruzy. Czerwony pył zakłębił się, zgęstniał i wypełnił wnętrze budynku. Za ścianą słychać było jakieś szamotanie się. Ranny jęknął głośno i nagle ucichł.

W otworze rozdartej ściany ukazał się Michałko zgięty, z trudnością dźwigający rannego. Powoli przeszedł niebezpieczną granicę i, stanąwszy przed tłumem, zawołał z naiwną radością:

— Jedzie!... jedzie!.. Jeno mu tam jeden but ostał.

Robotnicy schwycili rannego, który omdlał, i ostrożnie zanieśli do najbliższej bramy.

— Wody!..

— Octu!..

— Po doktora!...

Michałko powlókł się za niemi, myśląc:

— To ci dobry naród w tej Warszawie!

Zobaczył, że ma ręce zakrwawione, więc umył je w kałuży i stanął pod bramą domu, gdzie leżał ranny. Do środka nie pchał się. Alboż on doktór? czy mu co poradzi?

Tymczasem ulica poczęła się bardzo zaludniać. Biegli ciekawi, pędziły dorożki, a nawet zdaleka słychać było dzwonki straży ogniowej, którą także ktoś zaalarmował. Nowy tłum, już takich, którzy byli chciwi wrażeń, skupił się przed bramą, a gorętsi pięściami torowali sobie drogę dla zobaczenia krwawej hecy.

Jednemu z nich stojący przy furtce Michałko zawadzał.

— Usuń się gapiu jakiś! — krzyknął jegomość, widząc, że bosy chłop nie bardzo ustępuje pod naciskiem jego ręki.

— A bo co? — spytał Michałko, zdziwiony tym zapędem.

— Coś ty za jeden, zuchwalcze jakiś? — wrzasnął ciekawy, — Co to, niema policyi, żeby takich próżniaków rozpędzała?...

— Oj! na złe idzie! — pomyślał chłop i zląkł się, żeby go za taki występek nie wsadzono do kozy. I, nie chcąc budzić licha, wcisnął się między gromadę.

W kilka minut później zaczęto z bramy wołać tego, który biedaka wyniósł z pod gruzów.

Nie odezwał się nikt.

— Jak on wygląda? — pytano.

— To chłop. Miał białą sukmanę, okrągłą czapkę i był bosy...

— Niema tam takiego na ulicy?

Poczęto szukać.

— Był tu taki, — krzyknął ktoś — ale poszedł!

Rozbiegła się policya, rozbiegli się robotnicy, i — nie znaleźli Michałka.



Ignacy Daszyński,
chwilowy min. Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej.

PŁANETNIK

A. Dygasiński.

AKURAT było to jakoś po strasznej nawalnicy, co spadła z gradem, z piorunami: chmura się pono oberwała i narobiła ludziom szkody. Wojtek Kręczisz wyszedł na wieś; idzie groblą i spotyka jakichś dwóch czarnych ludzi, a każdy z nich trzymał pęki sznurów. Myślał, że to są kominiarze z Działoszyc, co wieś obchodzą i gdzie wypadnie wycierają sadze w kominach.

Byli to jednak płanetnicy, którzy spadli na ziemię, jak się ta chmura oberwała. Ci się zaraz na Wojtku poznali i wzięli go z sobą.

— Pójdź do nas — będzie ci dobrze!... Jedwabne życie!

— A jakąż wy mi robotę dacie?

— Co ci teraz mamy gadać. Pójdź z nami... a jak ci się nie spodoba, to odejdziesz! U nas niema żadnej niewoli.

Uszli kęs drogi — wstępują do jednej chałupy... proszą baby, żeby im dała mleka od czarnej krowy; sami się napili i Wojtkowi też dali.

Poszli.

Przychodzą potem nad jakiś staw — a tu się czarna chmura opuszcza z nieba aż do samego dołu. Wtenczas ci dwaj mówią do Wojtka:

— Siadaj na tę chmurę, usadów się z wygodą, bo pojedziemy!

Przez chwilę się wahał, ale wsiadł i oni takoż wsiedli, wołają:

— Wio bure, na góre!

Niby chmurom tak przykazywali.

Zrobił się zaraz szum, war jakiś — kipiało tam, a tak dudniło, jakby kto tysiące koni pędził.

Zajechali pod niebo. Wojtek spogląda, a tu naokoło niego same płanetniki, jeno ci dwaj, co z nim przyjechali, byli starsi, majstrowie sami, a reszta czeladnicy. Jedni na komendę brali chmury na powrozy i ciągnęli, kaj im przekazano; drudzy znowu dmuchali tam w chmurach na deszczówkę i lód z niej robili, a inni siekali ten lód na kawałki, żeby mieć grad; przesypywali to z miejsca na miejsce, a dopiero to rechotało! nikiej orzechy.

Spodobało się Wojtkowi takie rzemiosło: przecz robił grad; oddawał go pod miarą na ćwierci, albo przeciągał i przesuwał chmury nad różnemi wsiami; puszczał miejscami grad, miejscami dżdże. Po jakimś czasie przychodzi do niego jeden z tych majstrów i powiada:

— Dosyć już masz wyćwiki w tej robocie; pójdziesz teraz robić śnieg, bo go mało co mamy na zimę.

Musiał teraz Wojtek heblować cieniusieńkie wióry z lodu, żeby to było lżejsze od pierza. Ale nie umiał dobrze lodu zasłaniać od słońca i szkody im tam narobił.

Z dobre pół roku czasu zbarłożył u tych płanetników, aż raz słyszę komendę:

— Ustawić chmurę prosto nad Kręciszową chałupą.

Poszedł tam na tę chmurę, wywiercił sobie dziurkę i patrzy: akuratnie ta chałupa, gdze się odchował, a dalej struga, błonie, gdzie pasał bydło, gęsi.

Tak mu się cno zrobiło do ludzi, ile że spostrzegł matusię na podwórku, jak przed deszczem zbierała z płotu szmaty. Wziął, skoczył i spadł rychtyk na strzechę Kręciszowej chałupy.

Spostrzegła go tam matka i pyta:

— Wojtek! czyś to ty?

— Toć ja, ja sam, matusiu!

— Oj, zbytniku jakiś! mało ci miejsca na ziemi, żeś aż na kalenicę wylazł? Schodźże prędzej, bo deszcz zaraz lunie z tej czarnej chmury!

— Mnie ta deszcz i chmury nie żadna dziwota!

Matka nie mogła sobie nijak zmiarkować, dlaczego on tak mówi.

Przyszedł potem do izby — przeciąga się, ziewa i rzecze:

— Spracowałem się ogromnie, moi rodzice, i przyszedłem się tu do was wyspać!

Oboje Kręciszowie spoglądali nań, a on — kocmołuch taki czarny, że aż niemiło patrzeć.

— Kajżeś ty znowu bywał, coś tak poczerniał? — pyta ojciec.

— Żałujecie mi kawałka chleba, tom musiał chodzić po zarobkach, jako darmo nigdzie jeść nie dają.

— A umyjże się, ladaco, bo patrzeć na ciebie przykro! — rzeknie matka.

— Moja czarność od wody nie puści. Dajcie mi się czem posilić, potem pójdę do stodoły na spanie!

— Oj ty paliwodo, płanetniku jakiś! — zawołała matka.

— Skądże wy znowu wiecie, że ja płanetnik?...

Zaraz zastanowiło rodziców to jego pytanie: bo jakby był synem boginki, to mógł być i naprawdę płanetnikiem.

Wyjadł wszystko co tylko było w garnkach i pyta:

— Nie macie matusiu już nic do jedzenia?

Dodała mu jeszcze Kręciszowa pajdę chleba z masłem; później poszedł spać do stodoły.

Przesiadywał już przy tych rzekomo swoich rodzicach: ale się nie brał do żadnej zwyczajnej roboty, a czem się odzywał:

— Ja to tylko umiem robić, czemu nikt nie poradzi.

— A byłżeś ty kiedy w nocy na tem naszem pólku koło łąki?

— Nie byłem! Pocóżbym tam w nocy chodził?

— Widzisz, a tam jakieś licho lata z latarką... i skoro się tylko chłowiek pokaże, to ono tak goni, że niech ręka Boska broni!

— Tegom nie wiedział; ale skoro teraz wiem, może co na to poradzę.

Zaraz wieczorem poszedł na owo pole. Po drodze ukopał sobie rzepy, potem wlazł w kartofle, położył się w bróździe, leżał i rzepę zagryzał.

No, dobrze. Około północka ni stąd ni zowąd pokazał się tam na polu jakiś człowiek w szlacheckim surducie, w kaszkiecie, z latarką w ręku.

Przebiegł po skraju, a potem w poprzek przeskakiwał zagony i tak marotał pod nosem:

— To jest Kręciszów zysk, a Boroniowa strata! To jest Kręciszów zysk, a Boroniowa strata!

I tak w kółko: co skoczył, powtórzył to samo.

Wojtek nagle wypadł z kartofli.

— Bliżej pójdź — mówi — bliżej!... ja przed tobą nie mam żadnego boja!

Dopiero tamten zawrócił i sam w nogi.

Jak się też Wojtek za nim puści, to tylko po naci kartoflanej furczało, a ziemia dudniła. Ten na przodzie zmykał jak zając, jeno się światełko migotało, ale go Wojtek nareszcie dognał i już miał go za kark chwytnąć, kiedy mu się nogi w badyle zaplątały i w tym rozmachu gruchnął, aż nosem ziemię zarył w bróździe.

Tamto tymczasem umknęło.

Powrócił do domu; markotny był, że mu tak źle poszło. Kręcisz z pod oka nań spojrzał i powiada:

— Różności ci się już pono udawały z takiemi złemi, ale to licho na naszem polu musi być sztuczka! Niedarmo on ze światłem chodzi.

Wojtek nic ojcu nie odrzekł, jeno się w duchu zawziął, żeby postawić na swojem.

Na drugą noc już się w poręczniejszem miejscu zasadził, żeby bliżej być tego stracha. Tak ledwie co si pokazało owo licho, a on już zastąpił drogę i chciał przycapić. Ale co ręką chwyci, nic w garści nie czuje: rozstępowało się to tak jak powietrze.

Biegli tam obok siebie i Wojtek wyraźnie czuł, że tamten jest jak wiatr. Podziw go zdjął ogromny, więc pyta:

— Cóżeś za jedno, że cię widzę na oczy, a tykać nijak nie mogę?

— Mnie nie chwycisz, bom jest dusza!

— A czegóż ty się po naszem pólku wałęsasz?

— Odpokutować muszę za grzechy swego życia.

— Nie można ci pomódz pacierzami albo czem innem?

— Tenby mi tylko pomógł, ktoby te kliny na polu Kręcisza oddał na własność dzieciom po Boroniu.

— Jakim sposobem grzesznej duszy miałaby pomóc taka darowizna?

— Oj, nie darowizna to, nie! Z mojej przyczyny Boroniowi krzywda się stała i ja teraz za to pokutuję.

— Kimżeś ty był za życia?

— Miernikiem, mój człowieku, miernikiem! Ja rozmierzyłem to pole niesprawiedliwie... Widzisz, przy świetle muszę co noc dziewięćdziesiąt razy obejść i obejrzeć krzywdę ludzką; niespodziewam się zaś, żeby prędko te Kręciszowe kliny przeszły na dzieci Boronia... Człowieku, jeśli mi nie możesz pomódz, to w pokucie nie przeszkadzaj.

Zafrasował się Wojtek, jako co innego zamyślał, a co innego się stało: on myślał, że to było złe, co ludziom szkodzi, i chciał je zgnębić, a to nieszczęśliwa dusza, pokutująca na miejscu, gdzie zgrzeszyła.

Tak poszedł do Kręcisza i zapytuje:

— Powiedzcie mi też, tatusiu, jakeście wy nabyli te kliny nad łąką, co teraz są na nich kartofle?

— Ho, ho! Kiedy to tam było! Z okładem dwadzieścia pięć lat temu, jakem do spółki z nieboszczykiem Boroniem kupił był duży szamt roli. Omętra potem rozdzielił to pole na dwie równe połowy i każdy z nas wziął swoje.

— Tylko wy, tatusiu, wzieliście więcej, jako te kliny akurat powinien był dostać Boroń!

— Rychtyk! Ciewy! skądże on wie? A toć ja omętrze dałem pięćdziesiąt rubli gotowego grosza za to, żeby sprawę dobrze pokierował na moją stronę. O! tè kliniki to w całej naszej wsi najlepszy kawałek ziemi!

— Należałoby je zwrócić dzieciom po Boroniu, bo jużci krzywdę mają.

— Czyś ty oszalał? sobie radź, nie mnie staremu! —tak fuknął Kręcisz i już nie chciał dalej rozmawiać.

Ale Wojtek myślał nad tym, jakby pomoc duszy owego miernika; nałamał sobie dosyć głowy, nareszcie wpadł na myśl, żeby się ożenić z Kaśką Boroniówną, to będzie koniec z temi klinami, bo właśnie przejdą na córkę Boronia.

SZANUJ KAŻDEGO.

Nie pogardzaj ubogimi,
Gdy jesteś bogaty,
Bo nie czynią nas wielkimi
Klejnoty i szaty.

Nie wydzieraj, co cudzego,
Szanuj wszystkie stany;
Poznaj w człeku brata swgeo,
A będziesz kochany.

Z odzyskanych terenów: — Bydgoszcz, d. 22 stycznia 1920 r.





Defilada wojsk polskich po głównych ulicach podczas defilady korporacyi i cechów.

Co Mówiły Drzewa.

FILIK był gazdą bardzo honorowym. Uczęszczał do kościoła co niedzieli, a przynajmniej raz w dwa miesiące do spowiedzi, pracował na swoich trzech morgach jak nie przymierzając wół w jarzmie, żony nie bił, w karczmie nie pił, dzieci po bożemu wychowywał, nikomu nic nie ukradł nikogo nie wybił, nie obmówił, nie oczernił, słowem Filik był w całem znaczeniu tego słowa człekiem uczciwym i ogólnie honorowym, a nawet niejednokrotnie posłyszał tu i ówdzie, że skoro nadejdą nowe wybory do rady gminnej, to go wójtem obiorą.

Był tedy Filik całkowicie szczęśliwy i nieraz zdawało mu się, że gdyby umarł, to poszedłby prosto do nieba...

A miał Filik brata starszego wiekiem, z którym dawniej żył pod jednym dachem, w dwójkę z nim młócił w stodole, z jednej misy ziemniaki zajadał i nawet dzielił z nim bieliznę i odzież. Tak było, gdy nieboszczyk ojciec żył jeszcze. Lecz gdy umarł, stosunki się zmieniły.

Przysłowie: kochajmy się jak bracia, drzyjmy się jak żydzi, zastosowali obydwaj do siebie bardzo dobrze.

Podzielili się tedy gruntem bardzo szczerze i rzetelnie, jak w dekrecie spadkowym stało napisane — po pół. Nawet pług, bronę, wóz, chałupę, stodołę — wszystko podzielono na pół. Rozumie się grunt przedewszystkiem.

Mimo wielkiej skrupulatności w podziale, grunt nie dał się podzielić tak, aby żadnemu ani o włos krzywdy nie było. Bo grunt bywa rozmaity. Część zwrócona do słońca, część mokra, część osłonięta drzewami...

Najpierwszy kawałek tuż za osiedlem przypierał od wschodniej strony do sadu, w którym rosły bujne czereśnie rzędem, jedna obok drugiej i w czerwcu jak korale, słodkie jak miód.

Gałęzie swoje dźwigały one ku górze jakby do nieba wydrapać się chciały, a mimo to w każde rano rzucały długi cień na pole. Z podziału musiało tak wyniknąć, że czereśnie brata starszego rzucały cień na pole brata młodszego Filika.

I oto raz, gdy była burza i brzydko na dworze, Filik wziął siekierę, wylazł na jedną czereśnię i obił jej pień obuchem z całej siły. Z kolei zrobił to samo ze wszystkiemi, których było około dwanaście.

Dokonawszy tego dzieła, poszedł uradowany do domu, albowiem był pewny, że wszystkie czereśnie poschną i nie będą już rzucały cienia na jego pole.

I tak się stało. Czereśniom istotnie pousychały czuby a tylko dolne części zazieleniły się z wiosną i w lecie wydały zaledwie nikłe i marne jagódki.

Raz, a było to z początkiem żniw, wyszedł Filik wieczorem na swoje pole, czatować, czy jaki złodziej nie zechce nabrać dopiero wysuszonej, wonnej koniczyny, ustawionej w kopice. Wieczór był miły, ciepły, wonny. Na firmamencie błyszczały miliony gwiazd. Ciepła rosa padała na trawę jak balsam. Filik położył się pod kopicą i wkrótce usnął.

Aż oto usłyszał straszny jęk.

— Jakże mnie okropnie bolą te razy — jęczało coś w pobliżu.

—I mnie tak samo — odpowiadał drugi głos, jakby lecący z lekkim wietrzykiem w powietrzu.

Ja cierpię najwięcej — skarżył się głos trzeci . — Otwartą na sobie mam ranę, a do niej cisną się całemi stadami mrówki i ssą ze mnie żywcem krew...

— To okropne! Jak długo będziemy się tak męczyć...

— Całe lata...

— Żeby to zlitował się gospodarz nad nami i ukrócił te nasze męki...

— On dobry, może to i zrobi. Nie zauważyłaś, przyjaciółko, jak on ciężko wzdycha, kiedy koło nas przechodzi? Raz nawet łza potoczyła się po jego śniadem zmarszczonem obliczu...

— A ten łotr, co nam tyle boleści zadał, ani na nas nie spojrzy. Ze zpokojnem sumieniem, raduje się, że my jego polu szkodzić nie będziemy. Łotr!

— Morderca!...

— Okrutnik...

— Pan Bóg mu taką samą karę zgotuje. Nie słyszałyście, co mówił wietrzyk w samą wielką noc tego roku?

— Słyszałyśmy. I jemu Bóg odejmie ręce, potem nogi... Będzie się czołgał, jak pies...

— A na tamtym świecie powie do niego: Obłudniku, wargami tylko mnie chwaliłeś, a drwa moje męczyłeś okrutnie. Niema dla takiego miłosierdzia!

Filik zerwał się na równe nogi. Drżał cały, jak w febrze. Podbiegł ku biednym drzewom. Nie słyszał już nic. Tylko wietrzyk szemrał cichutko o zeschłe gałęzie...

Na drugi dzień pobiegł Filik do spowiedzi, ale mimo to spokoju nie uzyskał. Z początku stronił od tych okropnych drzew, uciekał od nich, a raz nawet zakradł się wieczorem i obejmując je rękona, płakał, jak dziecko i o przebaczenie błagał.

Lecz drzewa okaleczałe, cierpiące, nie odezwały się, nie odrzekły nic na jego smutek i jego boleść.

Kazimierz Króliński.

PRZEPOWIEDNIA O NIEWIESCIE W LETARGU.

A. Mickiewicz.

LEŻAŁA pewna niewiasta w letargu i wezwał syn lekarzy.

Rzekli wszyscy lekarze: wybierz jednego znas, aby ją leczył.

Rzekł jeden lekarz: Ja będę ją leczył podług nauki Brauna; ale drudzy odpowiedzieli: zła to jest nauka, niech lepiej w letargu leży i umrze, niż gdybyś ją miał leczyć podług nauki Brauna.

Rzekł drugi: Ja będę ją leczył podług nauki Hannemanna; odpowiedzieli drudzy: zła to nauka, niech lepiej umrze niż gdybyś ją miał leczyć podług nauki Hannemanna.

Tedy rzekł syn niewiasty: leczcie jakkolwiek, bylebyście wyleczyli. Ale lekarze nie chcieli zgodzić się, jeden żadnym sposobem nie chciał ustąpić drugiemu.

Tedy syn z żalem i rozpaczą zawołał: o matko moja! A niewiasta na ten głos syna obudziła się i wyzdrowiała. Lekarzów wypędzono.

Zaprawdę powiadam wam: nie badajcie, jaki będzie rząd w Polsce, dosyć wam wiedzieć, iż będzie lepszy niż wszystkie, o których wiecie; ani pytajcie o jej granicach, bo większe będą, niż były kiedykolwiek.

A każdy z was w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic.

O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie wasze prawa i powiększycie granice.

Są z was niektórzy, którzy mówią: niech lepiej Polska leży w niewoli, niż gdyby się zbudzić miała według arystokracyi; a drudzy: niech lepiej leży, niż gdyby zbudzić się miała według demokracyi, a inni: niech lepiej leży, niż gdyby miała granice takie, a inni owakie. Ci wszyscy są lekarzami, nie synami i nie kochają matki Ojczyzny.

NIEMOŻLIWY ROZWÓD

Kłótliwi małżonkowie przychodzą do księdza.

Mąż: — Księże dobrodzieju, proszę o rozwód.

Ksiądz (do żony): — A ty moja córko?

Żona: — I ja proszę o rozwód.

Ksiądz: — Moi kochani, rozwód wasz jest niemożliwy. Jesteście przecież zupełnie zgodliwi.

TEN SIĘ NIE BAWIŁ

— Panie Trębacki! Dlaczego pan wczoraj nie byłeś w biurze?

— Przepraszam pana, ale ja byłem na weselu.

— Zamiast pracować, to pan się bawisz?

— Ale ja się wcale nie bawiłem, panie, to było moje własne wesele.

W Winiarskim Forcie w Poznaniu.

Marya Konopnicka.



Marya Konopnicka

WIELKIEGO dnia po Wielkiej nocy i święconego jajka Bóg doczekać dał. Od wczoraj już fort cały pełen był zapachów gorącego ciasta i mięsiwa, które zagłuszała nieco czeremcha, kwitnąca bujnie i rozgrzana w słońcu kwietniowem. Dzwony u Fary biją, jakby pęknąć miały, a stary wachmistrz Dzieszuk nie śpieszy się jakoś. A czego się śpieszyć?

To nie ksiądz Cydzik będzie dzisiaj mszę żołnierską odprawiał.

Złe jakieś szepty chodziły już oddawna po winiarskim forcie, ba, po mieście całem. Gadali ludzie, że nowy proboszcz przybywał z daleka; gadali, że nawet po polsku nie umie...

Nie umie? Jakżeby to? Po jakiemużby się z ludźmi dogadał?

Tak sobie rozumował Dzieszuk, ale jakby mu mrówki po sercu lazły.

Ksiądz Cydzik od kilku dni nie wychodzi z domu. Powiadają, że chory. Może chory, a może i nie chory. Może to tylko polityka taka. Jak politykować nie ma, kiedy od piątku na cudzych jakby śmieciach siedzi, bo się już nowy proboszcz sprowadził z betami, z gratami z kurami, ot i z tym kałakutem przeklętym, a dziś pierwszą mszę żołnierską ma mieć...

A no, da się to widzieć! Przestał Dzieszuk mundur czyścić; wdział go na siebie i ruszył naprzód.

Wchodzi wiara, jak zawsze, dwójkami do Fary, a łeb Dzieszuka wyżej jeszcze, niż zwykle, nad wszystkimi sterczy. Na prawo przed ołtarzem klęczy w ławeczce ksiądz Cydzik, w starej swojej, znoszonej sutannie. Obie ręce złożone na wytartym brewiarzu, na rękach oparte czoło; z boku tylko widać nieco twarz jego, zmizerowaną i żółtą, jak wosk.

Zaruszał się wąs szroniasty pod wargą Dzieszuka, ale nic.

A tuż zaraz i dzwonek brzęczy u drzwi zakrystyi.

Wszedł nowy proboszcz — wspaniała osoba — i tubalnym głosem zaintonował Asperges. Rozstąpiły się dwójki na obie strony nawy, a celebrant ruszył się środkiem, poprzedzony przez wylękłego i plączącego nogami chłopaka z kubełkiem wody w komeżce.

Niema co, wspaniała osoba! Gdzie tam do niego księdzu Cydzikowi! Czarna kędzierzawa głowa, twarz mięsista, rumiana, świecące oczy, ręce białe i tłuste, ruchy zamaszyste. A buty skrzypią, jak u pana komendanta; a z pod kapy widać nową błyszczącą sutannę. Kropidłem macha, jakby kij w ręku trzymał: po ludziach bystro pogląda, jakby ich odrazu przeczuć chciał. Jaki taki oczy spuścić musiał.

Zaczęła się msza.

Ksiądz Cydzik nie podnosił głowy.

Zdawało się Dzieszukowi, że przez blade, cienkie palce klęczącego przesączyło się na brewiarz jakby kropel parę... i nagle go coś przy sercu ścisnęło. Żeby sobie wybić próżne myśli z głowy, dobył książkę i modlić się z niej zaczął. Ale modlitwa mu nie szła. Szczególniej to go stropiło, że nowy organista, który razem z nowym proboszczem nastał, trele jakieś wywodzi, a zwykłych pieśni wcale nie zaczyna. I msza odprawiała się jakoś dziwnie krótko, węzłowato. Nie było w niej tych długich modłów, tych cichych zachwyceń dawnego proboszcza.

Od Introit do Ewangelii — jakby z bicza trzasł. Połowy, gdzie! ćwierci zwykłych modlitw swoich nie zdążył Dzieszuk odczytać, kie-

dy już ksiądz Credo śpiewał. Przed Podniesieniem znów oczy od książki oderwać musiał wachmistrz, bo mu się zdało, że świece mniej się jakoś w ołtarzu palą i że chyba połowa pogasła. Ale nie. Paliły się wszystkie. Tylko czemu ten organista nie zaczyna pieśni? Ta pieśń doroczna, ta pieśń nie śpiewana, tak mu wierciła w głowie, że padłszy na kolana przy podniesieniu, bił się w piersi, jak na Agnus, a za nim wiara grzmociła się tak samo, aż do ostatniego.

Ksiądz Cydzik klęczał nieporuszony. Zdawało się, że to figura kamienna, której nadano twarz ludzką, bardzo bladą. Po Podniesieniu szronowaty łeb Dzieszuka obrócił się ku chórowi. Natychmiast wiara uczyniła toż samo.

Na chórze wszakże nie odezwała się pieśń oczekiwana.

Dzieszuk zupełnie modlić się nie mógł. Trzymał wprawdzie książkę swoją na wysokości nosa, ale litery i wiersze migały mu przed oczyma, jak czarne punkta i wężyki. Wydłużał i przeciągał ręce, ale i to nie pomagało. Westchnął nareszcie z uczuciem ulgi, kiedy ksiądz wysokim tonem zaśpiewał: Ite missa est Alleluja! Ano, kiedy Alleluja, to już dobrze. Przynajmniej się wie, że to po polsku. Już chrząknął, już wydał piersi, już nogi dla pewniejszego dobycia głosu rozstawił, kiedy ołtarzem, w albie, z sutą u szyi wstęgą żółtą, do nauki stanął i, zakreślajc szeroko w powietrzu nad zebranymi znak krzyża, donośnym odezwał się głosem:

— Im Namen des Vaters, des Sohnes und des heiligen Geistes! Amen!

Dzieszuk, który już do czoła rękę był podniósł, spuścił ją, jak paraliżem tknięty.

Co to? Co to jest? Co to ma znaczyć?!

— Meine teueren Brueder! — zaczął ksiądz swoją przemowę.

— Chryste! To naprawdę!... Chryste... Chryste... Chryste...

Wypadła z głuchym łoskotem książka z rąk Dzieszuka, a ręce te, drżące i kościste ręce podnosiły się zwolna coraz wyżej ku krzyżowi.

Wiara patrzyła w niego, jak w obraz cudowny. A łeb Dzieszuka razem z rękoma podnosić się zdawał tuż, tuż do nóg Ukrzyżowanego. Jeszcze chwila, a dostanie on nóg rękoma, oplecie je, uściśnie, i włóczyć się będzie u stóp przebitych, i nie puści, póki go tu zaraz nie przeżegna po polsku ksiądz Cydzik, póki Mateusz, stary organista, nie zagrzmi:

— Wesoły nam dziś dzień nastał.

Wesoły... Chryste! Chryste! Toż dzień sądu, a nie zmartwychwstanie Twoje? To nie zmartwychwstanie, ale męka! Męka, i krew, i żółć, i przebicie boku włócznią!... Słońce i gwiazdy się zaćmiły, ziemia się wstrzęsła, powstali z grobu umarli!... Boże! Boże! czemuś mnie opuścił? Boże Boże! czemuś mnie opuścił!...

I ryknął stary Dzieszuk nagłym płaczem, i padł na kolana i, wpatrzony w Chrystusa ukrzyżowanego, wielkim głosem zaczął śpiewać:

Któryś cierpiał za nas rany,

Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami!

A za nim wiara tuż, na kolanach w szloch, i w ono błaganie żałosne...

Stropił się nowy proboszcz u ołtarza, pomylił, z drugiego końca zaczął, i znów się pomylił, ale nauki nie przerwał, chłopaka w komeszce tylko w bok szturnął, wskazując mu palcem Dzieszuka.

Chłopak podszedł do wachmistrza i trącił go w ramię. Nic. Trącił go tedy powtórnie. Ale Dzieszuk nie czuł tego nawet.

I rozpostarł ręce i, twarzą na ziemię ległszy, rozkrzyżował się szeroko na kamiennych kaflach...

Ksiądz Cydzik klęczał nieruchomy z pochyloną na ręce twarzą, a jego wątłą postacią wstrząsało wewnętrzne łkanie!

Dawno już się nauka skończyła, a ksiądz Johann Wurst przez zakrystyę na plebanię wracał, kiedy Dzieszuk oderwał swój łeb siwy od kamiennych kafli podłogi, podniósł się, zatoczył i, jak pijany, ku drzwiom iść zaczął, zapomniawszy po raz pierwszy, zabrać książkę swoją.

Kto pierwszy nauczał o kulistości ziemi?

Prawie na 2,000 lat przed Kopernikiem filozof grecki Pytagoras nauczał, że ziemia jest okrągła. Podróż do Indyi naprowadziła go na to odkrycie. Widząc, że zamiast zbliżać się do słońca, jest ciągle w jednakowej od niego odległości, wpadł na myśl, że ziemia musi mieć kształt kulisty. W kilka stuleci później to samo przekonanie wyrażał astronom Arystarch z wyspy Samos.

Januszek Znajda.

MAŁY Januszek był ulubieńcem w ochronie doktorowej Budrewiczowej. Odstawiano go z leśniczówki do zakładu "czarnej pani" w trzecim roku życia. Ubrany w przestronną sukieneczkę, zaczynał dopiero chybotać się, jak kaczka, na swych grubych, wałeczkowatych i pulchnych nóżkach.

Chodząc między dziećmi z ochrony, najczęściej prowadzony przez kogoś za rękę, rozglądał się ciekawie swemi wielkiemi, niebieskiemi oczyma po twarzach ludzkich i zdawał się pytać odważnie:

Kochasz ty mnie, czy nie kochasz?

Takich jednak, coby na to pytanie odpowiedzieli słowem: "nie", w zakładzie doktorowej nie było. Ten i ów bosonogi kolega odnosił się do niego czasem obojętnie, ta i owa dziewczynka odpowiadała niekiedy wykrętną obietnicą: "Puść mnie Januszku, zaraz przyjdę", ale nie było nikogo, ktoby malca skrzywdził złem słowem lub odpychającem wejrzeniem. Przeciwnie, może go nawet zanadto pieszczono, a to głównie dlatego, że był najmniejszą osobą w zakładzie, w dodatku osobą, nad którą, mimo małego wzrostu, zawisła wielka tajemnica nieznanego, zagadkowego pochodzenia.

Dokoła niego rozgrywała się potężna trgedya dziejowa, której nikły okrawek przykrył i jego wiośniane życie swą ponurą czerwienią... ale on tej czerwieni dotąd nie dostrzegał, nie rozumiał, nie opłakiwał. Los oderwał go gwałtownie, przypadkowo, wśród pękających szrapneli od boku ojca i matki, on jednak, patrząc na to wszystko swemi cudnemi niezapominajkami, nawet się nie skrzywił, nie zapłakał. Jedynie piastunka jego, Kasia, gdyby jeszcze żyła, mogłaby powiedzieć, że w onej tragicznej chwili dzieciak uczepił się tylko nieco mocniej obu rączkami jej szyi i zdziwiony rzucał jasną głowiną w prawo i lewo.

Ale Kasia już nie żyła, to zaś, co opowiedziała woźnicy leśniczego na krótko przed śmiercią, kiedy ten, spotkawszy ją w gorączce na gościńcu, z dzieckiem na ręku, pytał o szczegóły wydarzenia, ani leśniczy z tych jej słów, zapewne powtórzonych jeszcze przez Wojtka błędnie, niczego domyślić się nie mogli.

Wojtek był kilkakrotnie przesłuchiwany i za każdym razem coś dodawał, coś ujmował, coś przeinaczał, dopiero ostatnie opowiadania doczekały się swego ustalenia. Uwierzył sam w to co mówił: nauczył się własnego opowiadania na pamięć... A trzeba dodać, że młody woźnica, choć prostak, ulepiony był z tej gliny, z jakiej niezbadane siły formują przyszłych literatów czy oratorów. On lubił opowiadać o wszystkiem szeroko, rozlewnie i wpatrywać się z rozkoszą w kreślone przez się obrazy, lub wsłuchiwać się w dźwięki swego głosu. Wiadomo zaś, że literaci, choćby nie chcieli, muszą bodaj trochę skłamać, bodaj trochę poprawić naturę, bo taki to już ich zawód.

Oto co opowiadał Wojtek doktorowej i leśniczemu w ostatecznem oświetleniu znanej mu sprawy:

— Jadę ja sobie pod wieczór gościńcem z koniczynką do domu... patrzę: — bokiem, ścieżką, idzie dziewczyna z dzieckiem na ręku. Zdaleka już widzę, że ledwie się sunie. Ze zmęczenia, czy też ze słabości tak się zatacza, że mało nie upadnie do rowu. Stanęła, obejrzała się na furę, postawiła dziecko na ziemi i ocierała kurz z czoła rękawem.

— Dokąd to panienka idzie? — pytam.

A ona na to:

— Ej, weźcie mnie, dobry człeku na furę, bo już ledwie nogami plączę. Trzeci dzień pędzę, żeby tylko do kolei!...

— Do kolei jeszcze kawałek. Siadajcie — mówię.

Wlazła od tyłu na koniczynę i prosi dalej:

— Potrzymajcie dziecko trochę przy sobie, bo się boję, żeby mi z rąk nie wypadło. Takam słaba, że małego utrzymać nie mogę.

Przygarnąłem dziecko lewą ręką do siebie, a ono w płacz. Wtedy dziewczyna do niego łagonie, z pańska:

— Cicho Januszku, cicho! Nie płacz dzieciaku, nie płacz...

Więc napewno jemu Januszek na imię, słyszałem przecie dobrze.

Dziewczyna była ubrana po naszemu, tylko miała cieńszą, ładnie wyszywaną na ramionach koszulę i szerokie wstążki we włosach, jakby na wielkie święto. Szkoda jej, bo ładna była, że tylko malować. Ale już wtedy ogień bił od niej, a oczy błyskały, jak u człowieka po flaszce mocnej wódki.

— Skądże idziecie? — pytam znowu.

— Czy ja wiem skąd. Uciekam, wciąż uciekam. Nie wiem skąd idę i dokąd idę. Mówili tylko ludzie, że tą drogą dojdę do kolei.

— Jakieś nieszczęście was spotkało, co? — pytam. — Dziecko, miarkując po ubraniu i trzewiczkach, pańskie. Służyliście w jakim dworze, co?...

— A ino — powiada. — Państwo moi bogaci ludzie. Jechaliśmy na Wołyń końmi do krewnych, a wybraliśmy się nocą, kiedy już huk było słychać wielki i ktoś od sąsiadów dał znać, że do południa nadejdą Niemcy. Mieliśmy jechać koleją, ale kolej stanęła. Więc państwo uradzili, żeby jechać dalej końmi, bo już nie było jak wracać do domu. Tam już błyskały ogniste kule i paliły się chaty., a ruscy uciekali, spychając nas co chwila z gościńca. Musieliśmy spieszyć się, żeby uciec z tego piekła. A tu nad nami coraz gorzej i gorzej; tak huczy, że wytrzymać nie można. Naraz nadpędziły galopem ruskie armaty i strąciły nas w rów. Patrzymy a tu i powóz się na bok pochyla... Wyłupało się koło. Co tu teraz robić... Kazał pan Kasprowi odprządz jednego konia i powiada:

— Zaczekajcie. Pojadę oklep do wsi i może znajdę jakiego stelmacha, a nie, to kupię koło, choćby od starego woza. Pojechał. Ledwie zapuścił się w dolinkę do wsi, aż tu jak ci zaczną prać nas z obu stron pękającemi kulami... Rany boskie!... Pani krzyczy:

— Kasiu, pod most, pod most!...

Schowałyśmy się pod most, a tu dokoła nas z prawej i lewej strony lecą kule i kawałki żelaza, jak grochu; Kasper także nie wytrzymał w rowie, odprzągł drugiego konia i w nogi.

Widziałyśmy go, jak zmykał.

Trochę przycichło. Wtedy powiada pani:

— Uciekajmy z dzieckiem do lasu, bo tu gorzej.

Puściłyśmy się ku lasowi. Aż tu trzask!... znowu ogień nad głowami. Oglądam się, a pani moja siedzi na roli, obejmuje rękami jedną nogę i krzyczy wciąż:

— Uciekaj, prędko uciekaj...

Chciałam wrócić, ale pani tak się rozłościła i tak wciąż kiwała ręką, żebym uciekała, żem musiała biedz do lasu. Dobiegłam szczęśliwie i szłam, szłam, szłam całą noc. Nie wiem już którędy i gdzie. Nad ranem przeszłam przez jakieś obozowisko niemieckie. Szwargotali coś na mnie, potem dali znak, żebym uciekała prędko na bok i pokazali drogę. Więc poszłam i tak idę, idę już trzeci dzień. Dobrzy ludzie dawali po drodze trochę mleka mnie i dziecku.

— Oto i wszystko, co wiem. — Kończył Wojtek opowiadanie, wyrażając za każdym razem głębokie oburzenie swemu koledze Kasprowi, który w tak ciężkiej chwili zostawił dwie kobiety i dziecko na gościńcu, a sam uciekł w las... On byłby inaczej postąpił!... Oburzenie to tak go zawsze unosiło i do tego stopnia zaprzątało jego umysł, że zapominał stale o najważniejszej rzeczy, a mianowicie o małej, żółtej torebce podróżnej, którą dziewczyna miała w ręku i którą oddała za przyjazdem na leśniczówkę starej kucharce, Marychnie.

Kasia, nim jeszcze dojechała do siedziby leśniczego, popadła w malignę i poczęła bredzić o swem weselu, o ładnym wojaku i jego czarnych wąsikach. Dostała plamistego tyfusu i nie odzyskawszy już przytomności, umarła w kilka dni potem w miejskim szpitalu. Leśniczy, stary kawaler, znalazłszy się przypadkowo w posiadaniu tak dla niektórych ludzi cennego, lecz dla starych kawalerów tak zazwyczaj nieciekawego upominku, jak obce niemowlę, uczuł się szczęśliwym, gdy mu powiedziano, iż w miasteczku Z. doktorowa Budrewiczowa założyła ochronę i w niej tuli do swych czarnych

szarf — straciła bowiem męża na wojnie — trzy tuziny rozbitków i sierot.

Tym sposobem mały, bezimienny Januszek, nazwany przez dziatwę z ochrony Znajdą, dostał się we właściwe miejsce i stał się odrazu ulubieńcem całej kolonii. Wszystko mu było wolno: grymasić, gniewać się, bić chłopców i dziewczęta po rękach, zasypiać o każdej porze na rękach samej doktorowej, lub budzić się z płaczem w nocy. Zresztą był z natury dość grzeczny, uległy, a przytem ładny, jak mały cherubinek, nie dziwota więc, że szybko podbił serce "czarnej pani" i stał się jej oczkiem w głowie.

Doktorowa dała kilka ogłoszeń do dzienników warszawskich, wymieniając w nich imię dziecka, lecz rodzice jego nie zgłaszali się. Albo już nie żyli, albo pozostawali po tamtej stronie linii bojowej. Potrosze zadowolona z tego doktorowa Budrewiczowa nie czyniła dalszych strań — pokochała dziecko, jak własne.

Tak upłynęły dwa lata.

Januszek urósł w tym czasie, rozwinął się i biegał już jak kula, po ogrodzie ochronki.

Tymczasem jeden ze starszych chłopców zakładu, wysłany do leśniczego w sprawie wycieczki ochrony do lasu, wdał się w rozmowę z woźnicą Wojtkiem i dowiedział się od tegoż o owej żółtej torebce, którą Kasia miała w ręku w chwili przyjazdu na leśniczówkę. Kucharki Marychny nie było już w służbie u leśniczego, więc zbiegło dalszych kilka miesięcy, nim ją odszukano i zdołano wydobyć z niej groźbą i prośbą, gdzie się żółta torebka znajduje. Można się było domyślać, że stara kobieta, korzystając z zamieszania po śmierci piastunki Kasi, przeszukała torebkę i zabrała z niej srebrną dziecięcą łyżeczkę, by zaś zatuszować swoją kradzież, zaniosła torebkę na strych i tam ją ukryła.

Z papierów odszukanych na dnie tej torebki, w szczególności ze starej gazety, na której znajdował sęi adres prenumeratora, dowiedziano się o nazwisku i miejscu zamieszkania rodziców Januszka.

W jakiś czas potem rzeczywiście oboje rodzice małego Januszka zjawili się w ochronce doktorowej.

Matka porwała dziecko w objęcia i poczęła je gorączkowo ściskać i całować. Ale Januszek zachmurzył się srodze, ustroił twarzyczkę w grymas blizki płaczu i chwyciwszy się, oburącz sukni doktorowej, ukrył swe jasne kędziory w jej fałdach.

Nie chciał dawnej mamusi znać, zbojkotował ją — miał nową lepszą.

Widząc to, doktorowa mrugnęła na matkę i poprosiła ją, by opowiedziała co się dalej z nią stało od chwili, gdy dziewczyna pozostawiła ją na polu ranną...

— Rzeczywiście, byłam ranna — opowiadała p. Rolińska. — Mimo trwogi i bólu kazałam Kasi uciekać czémprędzej w las, żeby przynajmniej ocalić dziecko.

Wkrótce potem zaczęło się zmierzchać i bitwa ustała. Byłam tak osłabiona wskutek upływu krwi, żem około północy zemdlała i już nie wiedziałam nic, co się ze mną dalej dzieje. Obudziłam się dopiero w powozie. Tu dowiedziałam się, że Niemcy cofnęli się trochę wstecz, zaś Rosyanie poszli za nimi. Tym sposobem znaleźliśmy się za rosyjską linią bojową. Mąż wyszukał mnie o świtaniu i zaniósł do powozu, gdzie już sprowadzono jakieś koło ze wsi. Znalazł się i Kasper. Chcieliśmy wracać i szukać dziecka, ale nie pozwolono nam przejść linii bojowej.

Para rozbitków, jadąc teraz rzemiennym dyszlem, dotarła wreszcie do Kowla. Tu otrzymała matka Januszka pierwszy opatrunek i podążając dalej koleją, dowlokła się w stanie gorączkowym do krewnych w Żytomierzu, gdzie przeleżała blisko sześć miesięcy. Po przybyciu jej do zdrowia państwo Rolińscy poczynili starania, aby dostać się przez Sztokholm i Kopenhagę do kraju. Atoli wyrobienie przepustki trwało długo i dopiero po 18 miesiącach żmudnych zabiegów udało im się uzyskać pozwolenie na wyjazd do Żytomierza. Wreszcie dobili jakoś szczęśliwie do ukochanej Warszawy i tu zastali list p. Budrewiczowej z wieścią o Januszku.

Malec, siedząc na kolanach p. Budrewiczowej podczas tego opowiadania, wsłuchiwał się z uwagą w znany sobie dobrze głos matki a gdy usłyszał w dodatku nazwiska Kasi i Kaspra, coraz widoczniej przypominał sobie zamierzchłą swą przeszłość. Naraz uśmiechnął się, wyciągnął rękę ku złotemu wisiorkowi u łańcu-

szka pani Rolińskiej i zauważył rozpromieniony:

— Zigołek!...

Zrozumiał i przypomniał sobie wszystko!

Matka przyklękła teraz przed swą pociechą i połykając łzy radości, wydobyła złoty zegareczek z zanadrza:

— Tak jest — szeptała — to zegarek... ten sam zegarek, który mamusia przykładała Januszkowi do ucha, a on mówił: "tyk, tyk, tyk"... Posłuchaj!

Januszek rozśmiał się, nadstawił uszko— i słuchał długo, długo...

A potem nagle, niby ptaszyna do lotu, dźwignął ramionka i wyciągnął obie rączki do swej prawdziwej mamusi.

K. Rosinkiewicz. (Rojan).

DAWNY KAT ŁÓDZKI—MORDERCA CARA.



Hipolit Pośrednicki.

Przed kilkoma miesiącami, po wzięciu przez wojska polskie Mińska, przyjechał do Warszawy dr. Jan Skriabin-Szabłowski. Zgłosił się on do władz wojskowych polskich z propozycyą wstąpienia w szeregi armii. Informacye zdobyte w Mińsku rzuciły podejrzenie na domniemanego doktora. żandarmerya nasza aresztowała go w bogatym apartamencie w Warszawie, po powrocie z wycieczki do Łodzi. Dr. Szabłowski tłóżmaczył się, iż do Warszawy przyjechał w zamiarze wydawnictwa broszur antibolszewickich. W ogniu krzyżowych pytań na śledztwie udało się jednak wydostać z pana doktora kilka wysoce interesujących zeznań.

Przedewszystkiem nazywa się on Hipolit Pośrednicki. Ma obecnie zaledwie lat 38. Pochodzi z Łodzi, gdzie w r. 1905 znany był jako pomocnik kata Fremla. Wieszał on ludzi bez wszelkich skrupułów. Ze szczególną predyspozycyą spełniał wyroki sądów carskich na przestępcach politycznych. Dzięki temu, znajdował się w szczególnych łaskach u władz rosyjskich. Rozzuchwaliło go do tego stopnia, że zamordował pewną dziewczynę, która nie chciała mu być powolną. Skazano go wtedy na 8 lat katorgi.

Ale już 1913 roku Pośrednicki dostał się na wolność skutkiem amnestyi. Udało mu się niebawem zdobyć stanowisko felczera w tomskim miejskim szpitalu. Tu zaprzyjaźnił się z Arałowym i Swierdłowym, obecnymi dyktatorami bolszewickiej Rosyi.

Gdy wybuchła wojna, Pośrednicki znalazł się jako felczer w 57 zapasowym pułku piechoty w Twerze. Późniejsze jego koleje zaprowadziły go znów do więzienia w Moskwie, lecz rewolucya Kiereńskiego wypuściła Pośrednickiego na wolność. Od tej chwili Pośrednicki szybko rośnie w dostojeństwa. Morduje znajomego lekarza, przywłaszcza sobie jego dokumenty i jako pan doktor zostaje w Bolszewii mianowany członkiem inspekcyi wojennej. On też organizuje sztab armii w Kazaniu i na Uralu pracuje nad stworzeniem drugiej bolszewickiej armii. Przez pewien czas z tej racyi był w Jekaterynburgu, gdzie brał udział w zamordowaniu cara i jego rodziny.

W Jekaterynburgu Pośrednicki paradował w mundurze marynarskim. Miejscowy komitet bolszewicki przyjął go z otwartymi ramionami. Wtedy wybuchły w tem mieście rozruchy. Bolszewicy wydali odezwę, że sprzeciwianie się władzy sowietów doprowadzi do rozstrzelania wszystkich zakładników, a w tej liczbie i cara.

Rozruchy zostały krwawo umiejscowione. Komitet bolszewicki postanowił rozstrzelać cara z całą rodziną. Wyrok ten wydali Biełoborodow, Małkow, Gorbunow, Bierzin, Smiłyn, Kral i Abrahamjanc. Pośrednicki na posiedzeniu komitetu był obecny jako gość. Uczestniczył on również w rozstrzeliwaniu cara i jego rodziny. Egzekucya ta odbyła się o godzinie 5-tej z rana. Pod miejscowym cmentarzem finowie-bolszewicy dokonali mordu, rozstrzeliwując cara z karabinów. Ciało jego natychmiast przysypano ziemią. O godzinie 11 z rana tegoż dnia, rozstrzelano carową i hr. Fredericksa. O 4-tej po południu przyszła kolej na Olgę. Carówna Tatiana żyła jeszcze dwa dni. Bolszewicy oddali ją marynarzom na zabawę. Pośrednicki, jako noszący mundur marynarza, podobno uczestniczył też w tej zabawie.

Nie na tem jednak kończą się przeżycia domniemanego doktora. Śledztwo przyniesie zapewne sporą wiązankę ciekawych faktów, które wykażą całą ohydę zbrodniczej jaźni tego rzadko anormalnego człowieka.

DZIADEK.

WSZYSTKIE wieśniaczki biegły na ulicę i pogardliwie przypatrywały się kobiecie bladej, wynędzniałej, ubranej prawie w łachmany, która niepewnym krokiem, wpatrzona w ziemię, szła pod ogniem spojrzeń, szeptów i wymysłów brutalnych; — szła, trzymając za rękę dziewczynkę wesoło uśmiechniętą, podskakującą, choć także bladziutką, łachmankiem odzianą. Ale nietylko wieśniaczki obrzucały przechodzącą wzgardliwem spojrzeniem i słowami, nawet dzieci wiejskie, zamorusane, bose, podbiegały do idących i biczyskami, ze szpagatu i rózgi, podcinały dziewczynkę, która śmiała się do nich, myśląc, że to żarty.

Nawet psy czaiły się do ubogo ubranej kobiety, a obwąchawszy jej łachmany, odchodziły, poszczekując lub wyszczerzając zęby.

I mężczyźni, wracający pod tę porę z pola, przystawali, głośno wołając:

— Patrz! patrz! to Kasia.

— Piękna Kasia! — powtarzali parobczaki i śmiali się na całe gardło, jakby z jakiego wybornego konceptu.

Słońce, zachodzące purpurą, okryło niebo, wietrzyk, co muskał lilie w ogródkach wiejskich i śliczne, kwitnące jabłonie, napełnił powietrze wiosennym aromatem.

Wszystko pragnęło się radować, bawić, żartować — ona tylko jedna, Kasia, ani uśmiechnąć, ani przemówić słowa nie mogła. Kasia miała zaledwie lat dwadzieścia, a wyglądała teraz na daleko starszą; jej bladość, włosy w nieładzie, spadające na ramiona, nędza na twarzy i w ubraniu, wreszcie wstyd, a może i hańba nie pozwalały podnieść głowy, spojrzeć śmiało w oczy i bronić się przed napaścią ludzi i zwierząt.

Córeczka, mały cherubinek, nie czuła niedoli matki, nie umiała podzielać jej cierpień; — oczka jej błyszczały figlarnie, włoski trzepotały się na niespokojnej główce; trzymała się sukni matki, ale spoglądała ciągle poza siebie, śmiejąc się do dzieciaków, co z biczyskami biegły za niemi. Dziecina była wesoła jak niebo, zarumieniona jak kwiat jabłoni, śliczną jak wiosną ustrojona wioska.

Kobieta, przeszedłszy przez całą wieś, zatrzymała się przed chatą na końcu ulicy.

Jakby chroniąc się przed napaścią, rozpaczliwie przypadła do drzwi i zaczęła do nich silnie kołatać.

Córeczka widząc, że matka zajęta, puściła jej suknię i podeszła nieco ku dzieciakom. Mali następnicy najpierw cofnęli się, lecz wkrótce, zwabieni uśmiechem, trzepotaniem rączek i szczebiotaniem, przystanęli, a potem, złączywszy się z nieznajomą towarzyszką, rozpoczęli wspólną zabawę.

Kobieta coraz silniej, coraz rozpaczliwiej do drzwi kołatała. Nareszcie zasuwa skrzypnęła, drzwi się uchyliły, a na progu stanął siwowłosy starzec.

— Kto tam? — zapytał głosem drżącym, gasnącym. Lecz zanim odebrał odpowiedź, cofnął się i zawołał, wyciągając ręce przed siebie, jakby kobietę chciał od drzwi odepchnąć:

— To ty!... Czego chcesz odemnie? — Potem wybuchnął namiętnym gniewem, trzęsąc się cały i wygrażając pięściami, wołał:

— Idź precz! precz!... tyś niemoja!

Nieszczęśliwa oparła się o ścianę domostwa, aby nie upaść. Ale i to nie uśmierzyło gniewu starca. Ciągle, tylko coraz słabszym głosem, wykrzykiwał:

— Idź precz stąd, żebraczko, włóczęgo!... i nie brudź mego domu!

— Ojcze! — jęknęła kobieta.

— Precz! precz!... nie znam ciebie! tyś nie moja! — powtarzał i chciał zamknąć drzwi.

Lecz nieszczęśliwa, rozpaczą zdjęta, ze zwierzęcą jakąś napaścią rzuciła się do wnę-

trza chaty i zanim starzec zdołał spuścić zasuwę, stała już przy stole, trzymając się go oburącz, niby ostatniego ratunku.

Kobieta nie odezwała się ani słowem, gdy starzec obrzucał ją złorzeczeniem; stała złamana, z głową bezwładnie zwieszoną, z óczpłynęły łzy, z piersi wydobywały się głuche westchnienia; — gotową była upaść i umrzeć, ale ustąpić z pod dachu ojcowskiego nie miała odwagi.

Starca ani postać złamana, ani westchnienia, ani łzy dziecka nie wzruszyły. Mówił on z przestankami, usiadłszy na stołku, bo osłabiony nie mógł się utrzymać na nogach.

— Ojcze!... ja twoim ojcem. Ta żebraczka jest moją córką... ha! ha! piękna córka! piękne dziecko!... Tak, ja miałem dziecko, miałem córkę, którą nieboszczka moja żona kochała jak świętość, czciła jak największą łaskę Boga... Było to dobre dziecko i piękne — oddalibyśmy oboje za nią swe życie... Od rana do nocy pracowaliśmy koło domu i w roli, aby tylko dla naszego aniołka jak najwięcej nazbierać... Jak tylko przyszedł czas, odebraliśmy ją ze szkółki elementarnej i oddali na pensyę, aby się najwięcej nauczyła. Chcieliśmy, żeby była piękną i mądrą, najpiękniejszą i najmądrzejszą ze wszystkich jej rówieśniczek, nie żałowaliśmy ani sił, ani zdrowia — nie było dla nas pracy, jakiejbyśmy z rozkoszą dla niej nie podjęli... Gdy już wyrosła, gdy się wykształciła, odmawialiśmy sobie posiłku, aby tylko uzbierać dla niej posag; — myśleliśmy, że będzie żoną człowieka uczciwego, którego my jej wybierzemy...

A ona... ona pokochała nikczemnika — uciekła z nim i pozwoliła, żeby wszyscy sąsiedzi, cała wieś naśmiewała się z ojca i matki i z tego, co jej tak wierzył, co jej swą miłość przysięgał.

Tu strzec, zmęczony ,umilk, oczy przymknął i piersią strasznie oddychał. Córka zanosiła się od płaczu; — ponure milczenie starca i płacz pokutującej przerywały rozkoszne śmiechy dziatwy, bawiącej się przed drzwiami na ulicy.

Starzec odzyskiwał siły, jakby marząc, zaczął mówić powoli, lecz bez uniesienia, bez krzyku:

— Zaziębiła się matka... i wyschła... A jak nie miała się zaziębić, jak nie miała uschnąć, kiedy czy śnieg, czy ulewa, czy wicher, czy dzień, czy noc wyczekiwała przed domem, włóczyła się po drogach... wszędzie rozpytując się o dziecko, czekając na deszczu, dopóki córki nie ujrzy. Ale nogi nie chciały już słuchać — pierś zaczęła wyrzucać sam kaszel... kaszel suchy, długi, ostry jak drapanie wichru, co się przez wązki komin przedziera...

Stara już nie mogła wychodzić z domu, więc mnie na zwiady wysłała, a gdym wracał, pytała ostatnim głosem: A cóż? A nic! — odpowiadałem, a matka dalej dusiła się od kaszlu. Raz wróciłem i matka już nie powtórzyła zwyczajnego a cóż? Nie powtórzyła, bo już jej na świecie nie było.

Zawiozłem ją na cmentarz, a do trumny, w ręce włożyłem czepeczek haftowany. który uszyła na pierwszą komunię dla swej córeczki... Córeczka miała go na głowie przy pierwszej komunii... O niego stara prosiła kilka razy, kiedy jeszcze mówić mogła. Dałem jej go...

— Ojcze! ojcze! litości! zawołała okropnym głosem nieszczęśliwa i padła na kolana.

— Gdzie byłaś przez ten czas? — zapytał gwałtownie starzec, jakby jękiem córki został znowu, przywołany do walki z rzeczywistością. Ludzie mówili mi, że cię widzieli w mieście. W mieście na służbie! ale na jakiej służbie! Gdzie wasza córka służy! — pytali mnie z przekąsem — a ja im odpowiadałem: ja nie mam córki! nie miałem nigdy żadnej.

Wszak to wasza Kasia... — znowu zaczynali. Alboż to jedna Kasia na świecie! A gdy nie ustępowali, gdy języków swoich jeszcze pod zęby nie chcieli schować, pogroziłem pięścią i kijem, zapowiadając, że kto mi wspomni o tej Kasi, o mojem dziecku, to łeb jak psu rozbiję.

I znowu nastało w izbie straszna cisza, przerywana dyszeniem starca, jękiem kobiety i rozkosznym śmiechem dzieci.

Ale nie rozbiłem nikomu głowy — zaczął znowu starzec —bom już nikogo nie spotkał. Nie śmiałem wyjść z tej izby, nie śmiałem nikomu spojrzeć w oczy, byłem jak kryminalista, co się chowa przed cprawiedliwością... A kiedym musiał koniecznie wyjrzeć na świat i przez wieś przechodzić, zdawało mi się, że

wszyscy mnie pokazują sobie palcami, jak widmo, jak zmorę, jak zarazę, co do ich domów śmierć przyniosła.

— Precz stąd! — zawołał gwałtowniej, gdy córka przypełzła mu do nóg. Niech cię tu nikt nie zobaczy — gotowi powiedziać, że mam córkę, gotowi mnie nazwać szczęśliwym ojcem!

— Ojcze! ojcze! — wołała kobieta.

— Czy ty pójdziesz stąd! — krzyknął stary i pięścią zamierzył się na nieszczęśliwą.

— Zlituj się! — wołała — a stary porwał ją za ramię i chciał wyrzucić za drzwi.

Szamotał się — kobieta nie ustępowała, nie puszczała jego kolan — cierpliwie znosiła popychanie i złorzeczenie.

Straszna, świętokradzka walka toczyła się pomiędzy zemstą a przebaczeniem.

W tem wbiega do izby dziecko rozpromienione zabawą; — rumieńce ślicznie malowały wybladłą twarzyczkę, złote włoski, rozczochrane podczas zabawy, spadały na spocone czoło i turkusowe oczy.

Dziecko zdziwione wpatrzyło się w matkę i starca, a przekonawszy się, że matka płacze, że starzec ją odpycha, a one odejść nie chce, zawołało, jakby stawiając w obronie matki pokrzywdzonej:

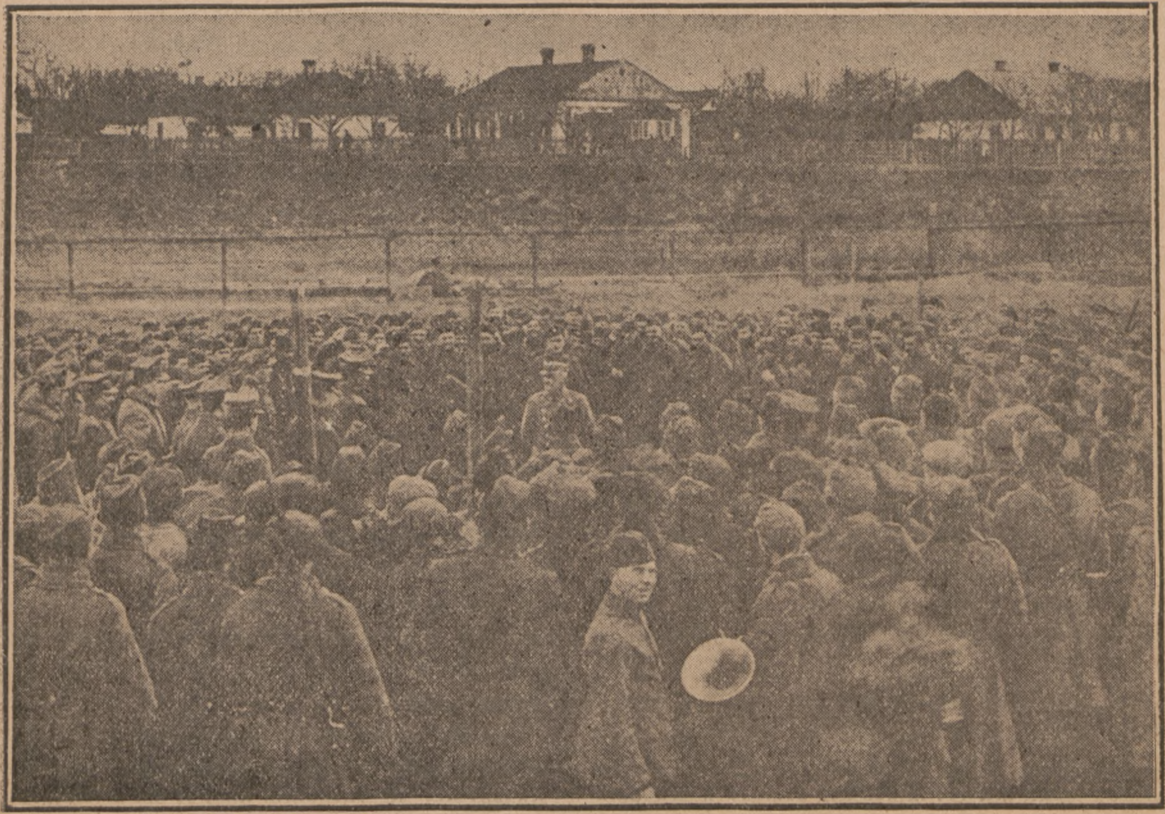
— Mamo! czego ty płaczesz? Mówiłaś, że idziemy do dziadka a ten cię bije.

— To twój dziadek — wymówiła kobieta, tuląc dziecinę do piersi.

— Dziadziu! czego chcesz od mamy? — zapytało dziecko, wpatrując się w starca anielskim wzrokiem.

I starzec wpatrzył się w cherubinka, zaczął murgać oczyma — brwi to podnosił, to zniżał — chciał co przemówić — chciał wznieść rękę — chciał wstać i uciec — ale nic z tego zrobić nie zdałał... tylko zalał się łzami...

Z FRONTU WOŁYŃSKIEGO.



Jeneral Listowski żegna żołnierzy w chwili wymarszu na front.

ZA CHLEBEM.

Henryk Sienkiewicz

NA szerokich falach oceanu kołysał się niemiecki statek "Blucher„' płynący z Hamburga do Nowego Yorku.

Od czterech dni był już w drodze, a od dwóch minął zielone brzegi Irlandyi i wydostał się na pełnię. Z pokładu, jak okiem dojrzeć, widać było tylko zieloną i szarą równinę, pooraną w brózdy i zagony, rozkołysaną ciężko, miejscami zapienioną, w dali coraz ciemniejszą i zlewającą się z widnokręgiem.

Korzystając z pogody podróżni powysypowali się na pokład. Na tyle okrętu widać było czarne paletoty i kapelusze podróżnych z pierwszej klasy, na przodzie pstrzyła się różnobarwna gawiedź emigrantów, jadących pod pokładem. Niektórzy z nich siedzieli na ławkach, paląc krótkie fajki, inni pokładli się, inni, poopierani o burty spoglądali na dół w wodę. Pomiędzy wszystkimi ludźmi dwoje było najsmutniejszych i jakby od reszty odłączonych; stary mężczyzna i młoda dziewczyna. Oboje, nie rozumiejąc po niemiecku, byli prawdziwie samotni i wśród obcych. Kto oni byli? każdy z nas na pierwszy rzut oka by to odgadł: chłopi polscy.

Chłop nazywał się Wawrzyn Taporek, a dziewczyna, Marysia, była jego córka. Jechali z Lipiniec do Ameryki i przed chwilą po raz pierwszy ośmielili się wyjść na pokład. Na zbiedzonych chorobą ich twarzach malował się przestrach i zdziwienie zarazem. Wylękłemi oczyma spoglądali na towarzyszów podróży, na majtków, na statek, na komin, oddychający gwałtownie, i na groźne wały wodne, ciskające grzywę piany aż do burt statku. Nie mówili do siebie nic, bo nie śmieli Wawrzyn trzymał się jedną ręką za poręcz, drugą za czapkę rogatą, żeby mu jej wiatr nie zerwał, a Marysia trzymała się tatula i ile razy statek pochylił się mocniej, tyle razy przytuliła się do niego silniej, wykrzykując pocichu ze strachu. Po niejakim czasie stary przerwał milczenie:

— Maryś!

— A co?

— Widzisz?

— Widzę.

— A dziwujesz się?

— Dziwuję się.

Ale więcej się jeszcze bała, niż dziwiła; stary Toporek to samo.

Oboje zaczęli rozmyślać o Lipińcach. Wawrzon Toporek rozmyślał, dlaczego jechał do Ameryki i jak się to stało, że jechał. Jak się stało? Oto przed pół rokiem w lato zajęli mu krowę z koniczyny. Gospodarz, który ją zajął, chciał trzy ruble za szkodę, Wawrzon nie chciał dać. Poszli do sądu. Sprawa przewlokła się do wyroku. Poszkodowany gospodarz żądał już nie tylko za krowę, ale i za koszta jej utrzymania, a koszta rosły z każdym dniem. Wawrzon się upierał, bo żal mu było pieniędzy. Na sam proces wydał już niemało, wlokło się i wlokło. Koszta ciągle rosły. Nakoniec przegrał Wawrzon sprawę. Za krowę już się Bóg wie co należało, że zaś nie miał czem zapłacić, zajęli mu konia, a jego za opór skazali do aresztu. Toporek wił się jak wąż, bo żniwa właśnie nadeszły, więc i ręce i sprzężaj potrzebne były do roboty. Opóźnił się ze zwózką, potem też zaczęły padać deszcze; zboże porosło mu w snopach, więc pomyślał, że przez jedną szkodę w koniczynie cała jego chudoba pójdzie na marne, że stracił tyle pieniędzy, część inwentarza, całoroczny plon — i że na przednówku chyba ziemię będą gryźli oboje z dziewczyną, albo pójdą o proszonym chlebie.

Że zaś przedtem chłop był dostatni i dobrze mu się wiodło, zdjęła go tedy rozpacz straszna i począł pić. W karczmie poznał się z Niemcem, co się po wsiach niby o len zmawiał, a w rzeczy samej ludzi za morze wywodził. Niemiec po-

wiadał mu cuda i dziwy o Ameryce. Ziemi obiecywał darmo tyle, ile w całych Lipińcach nie było — i z borem i z łąkami, a chłopu aż się oczy śmiały. Wierzył i nie wierzył, ale Niemcowi żyd pachciarz wtórował i mówił, że tam rząd daje ziemi każdemu, ileby kto strzymał. Żyd to wiedział od swojego synowca. Sam Niemiec pokazywał pieniądze, jakich nie tylko chłopskie, ale i dziedzicowe oczy jako żywo nie widziały. Chłopa kusili, aż go skusili. A jemu tu po co zostawa? Toż za jedną szkodę stracił tyle, że parobka za to mógłby utrzymać. Ma-li się na zatracenie podawać? Ma-li wziąć w rękę kij z jeżem i śpiewać pod kościołem "Święta niebieska, panno anielska"? Nic z tego nie będzie, pomyślał, Niemca dłonią w dłoń uderzył, do świętego Michała się wyprzedał, córkę wziął i oto płynął teraz do Ameryki.

Podróż była skończona.

Ludzie zaczęli wysypywać się ze statku, jak pszczoły z ula. Przez wązki mostek, położony od burt do brzegu, płynęła ich ciżba różnobarwna: pierwsza klasa, potem druga, a podpokładowi, obładowani rzeczami, naostatku. Wawrzon i Marysia, popychani przez tłum, zbliżyli się do otwartej burty.

Ciżba popchnęła ich po pochyłym mostku, i za chwilę znaleźli się w obszernym celniczym budynku.

Celnik, ubrany w szary surdut ze srebrną gwiazdą, poszczypał ich pakunki, potem krzyknął: "Al right" (znaczy: oł rajt — wszystko w porządku) i ukazał na wyjście. Wyszli i znaleźli się na ulicy.

— Tatulu! a co będziewa robić? — spytała Marysia.

— Musiwa czekać. Niemiec powiedział, że zaraz tu nadejdzie od rządu komisarz i będzie się o nas pytał.

Statnęli więc pod ścianą, czekając na komisarza, a tymczasem otoczył ich gwar nieznanego, ogromnego miasta. Nie widzieli nigdy nic podobnego. Ulice biegły proste, szerokie, a po ulicach tłumy ludu, jakby w czasie jarmarku; środkiem karety, omnibusy, wozy ładowne. Naokół brzmiała dziwna, nieznana mowa, rozlegały się krzyki robotników i przekupniów. Co chwila przesuwali się ludzie zupełnie czarni, o wielkich kędzierzawych głowach. Na ich widok Wawrzyn z Marysią żegnali się pobożnie. Dziwne jakieś wydawało się im to miasto, takie gwarne, hałaśliwe, pełne świstu lokomotyw, turkotu wozów i nawoływań ludzkich. Wszyscy tam biegli tak prędko, jakby gonili kogoś, lub przed kim uciekali, a jakie przytem mrowie narodu! jakie dziwne twarze: to czarne, to oliwkowe, to czerwone. Właśnie tam, gdzie stali, koło portu panował ruch największy; z jednych okrętów zdejmowano paki i na drugi je wkładano, wozy nadjeżdżały co chwila, taczki dudniły po mostach, rwetes i rozgardyasz panował, jak w tartaku.

Upłynęła w ten sposób jedna godzina i druga; oni, stojąc pod ścianą, czekali na komisarza.

Dziwny widok przedstawiał na amerykańskim brzegu w Nowym Yorku ten chłop polski o długich, siwiejących włosach, w rogatej czapce z barankiem, i ta dziewczyna z Lipiniec, ubrana w granatową przyjaciółkę, z paciorkami na szyi.

Ludzie jednak przechodzili koło nich, nawet nie spojrzawszy. Tam nie dziwią się żadnym twarzom, ani żadnym ubiorom.

Upłynęła znowu godzina; niebo powlokło się chmurami: zaczął padać deszcz, pomieszany z śniegiem, od wody zaciągnął zimny, wilgotny wiatr...

Oni stali, czekając na komisarza.

Chłopska natura była cierpliwą, ale coś im zaczęło się robić ciężko na duszy.

Samotnie im było na okręcie, wśród obcych ludzi i pustoszy wodnej źle i straszno. Modlili się do Boga, by ich przeprowadził jako zbłąkane dzieci przez morskie odmęty. Myśleli, że tylko nogą na ziemi stanąć, a skończy się ich niedola. Teraz oto przyjechali, byli wśród wielkiego miasta, ale w tem mieście wśród gwaru ludzkiego poczuli nagle, że im jeszcze samotniej i straszniej, niż było na okręcie.

Komisarz nie nadchodził. Co poczną, jeśli wcale nie nadejdzie, jeśli Niemiec ich zwiódł?

Jeszcze jedną godzinę wybiły zegary miejskie. Mroczyło się na świecie.

Oni stali, czekając na komisarza.

Wreszcie zapadła noc i w porcie zrobiła się cisza. Oni czekali.

Choćby i nie chcieli czekać, dokąd mieli pójść, co począć, gdzie się obrócić, gdzie przytulić umęczone głowy? Zimno przejmowało ich

coraz dotkliwiej, począł dokuczać im głod. Gdyby choć dach mieć nad głowę, bo przemokli do koszuli. Ach! Komisarz nie przyszedł i nie przyjdzie, bo takich komisarzy wcale niema. Niemiec był agentem kompanii przewozowej brał procent od sztuki i o niczem więcej nie wiedział.

Wawrzon uczuł, że nogi chwieją się pod nim, że jakiś olbrzymi ciężar wtłacza go w ziemię, że chyba gniew Boży zawisnął nad nim.

Cierpiał i czekał, jak tylko chłop potrafi. Głos dziewczyny, dygocącej od zimna, obudził go jakby z odurzenia...

— Tatulu!

— Cichoj. Niema miłosierdzia nad nami!

— Wróćwa do Lipiniec...

— Idź się utop...

— Boże, Boże! szeptała cicho Marysia.

Wawrzona zdjął żal.

— Sieroto, nębogo!... niechby Bóg zlitował się choć nad tobą...

Ale już go nie słyszała. Oparłszy głowę o ścianę, przymknęła powieki. Przychodził sen, przerywany, ciężki, gorączkowy, a w śnie jakby obrazek w ramkach: Lipińce.

Pierwsze blaski dzienne w porcie nowoyorskim padły na wodę, na maszty i na budynek celniczy.

W szarem tem świetle odróżnić było można dwie postacie, śpiące pod ścianą, o wybladłych, zsiniałych twarzach, przytrząśnięte śniegiem, nieruchome, jakoby martwe. Ale w księdze ich niedoli pierwsze dopiero kartki zostały odwrócone, dalsze opowiemy następnie.

II.

W Nowym Yorku.

Schodząc w Nowym Yorku z szerokiej ulicy Broadway ku portowi w kierunku Chattam-square i przeszedłszy kilkanaście ulic przyległych, podróżnik trafia na cześć miasta coraz biedniejszą, bardziej opuszczoną i posępną. Uliczki stają się coraz węższe. Domy budowane może jeszcze przez osadników holenderskich, porysowały się i pokrzywiły z biegiem czasu; dachy na nich zaklęsły, tynk poodpadał z murów, same zaś mury zapadły w ziemię tak, że okna suteren zaledwie górnym brzegiem wystają ponad bruk uliczny.

W tej-to dzielnicy znajdują się boardinghouzy (mów: bordinghauzy) czyli zajazdy, także szynkownie, w których wielorybnicy werbują wszelkiego rodzaju drapichrostów na swe statki; pokątne agencye wenezuelskie, ekwatorskie i brazylijskie, celem namawiania do kolonizacyi równika i dostarczania febrze przyzwoitej liczby ofiar; garkuchnie, żywiące swych gości mięsem solonem, zgniłymi ostrygami i rybami, które zapewne sama woda wyrzuca na piasek; tajne domy gry w kości, pralnie chińskie, rozmaite przytułki dla marynarzy; tu nakoniec jaskinie zbrodni, nędzy, głodu i łez.

A jednak część ta miasta ruchliwa, cała bowiem emigracya, która nie znajduje chwilowego nawet pomieszczenia w koszarach Castle-Garden, a nie chce lub nie może pójść do tak zwanych "working-houzów" (mów: Uorkinghauz) czyli domów wyrobniczych, skupia się tu, mieszka, żyje i umiera.

Tutaj odnajdujemy dawnych znajomych naszych. Wawrzona Toporka i córkę jego Marysię. Dziedzictwo, którego się spodziewali, było snem i jak sen pierzchło, a rzeczywistość przedstawia się nam oto w kształcie ciasnej izby, zaklęśniętej w ziemi, o jednem oknie z powybijanemi szybami. Na ścianach izby czernieje plugawa pleśń i smugi wilgoci; przy ścianie stoi zardzewiały i dziurawy piecyk żelazny i stołek o trzech nogach; w kącie trochę słomy jęczmiennej zastępuje łóżko.

Trzeci miesiąc upływa, jak mieszkają na bruku i siedzą w tej jamie, więc pieniędzy zabrakło. Stary Wawrzon próbował o robotę pytać, ale nie zrozumiano nawet, czego chce; chodził do portu dźwigać pakunki i ładować węgiel na okręty, ale nie miał taczek, a zresztą Irlandczycy podbili mu zaraz oczy: chciał się z siekierą do budowy doków przyczepić, podbito mu znowu oczy. Przytem co to za robotnik, który nie pojmuje, co do niego mówią? Gdzie wetknął ręce, do czego chciał się wziąść, dokąd się udał, wyśmiewano go, odpychano, potrącano, bito; więc nic nie znalazł, znikąd grosza nie mógł zarobić ani wyprosić. Włosy zbielały mu ze zgryzoty, wyczerpała się nadzieja, skończyły się pieniądze, a zaczynał się głód.

W kraju, między swoimi, gdyby i stracił wszystko, gdyby znękała go choroba, gdyby dzieci wygnały go z chałupy, to... koszturby mu tylko wziąść do ręki, stanąć pod krzyżem

na rozdrożu albo przy drzwiach jakiego kościoła i śpiewać: Boże łaskawy, przyjmij płacz krwawy. Pan by przejeżdżał, dał by dziesiątkę; pani z powozu dziecko by wysłała z pieniądzem w różanej rączce i z wielkiemi wpatrzonemi w dziada oczyma, chłop by mu pół bochenka chleba dał, baba szperki, i możnaby żyć, choćby jak ptak, który ani sieje, ani orze. Przytem jakby tak pod krzyżem stał, miałby nad sobą jego ramiona, w górze niebo, a naokoło pola, i w onej ciszy wiejskiej Pan Bóg usłyszałby jego śpiewanie. A tu w tem mieście huczało coś tak strasznie, jakby w jakiejś wielkiej maszynie, tak każdy rwał się naprzód, tak patrzał tylko przed siebie, że cudzej niedoli nikt nie dojrzał. Tu głowę zawrót poprostu brał, ręce opadały, oczy nie mogły pomieścić wszystkiego, co w nie lazło, a myśl jedna drugiej dogonić. Tu wszystko było jakieś dziwne, obce, odstraszające i takie rozpędzone, że każdy, co się nie umiał w tym wirze kręcić, musiał wylecieć z koliska i rozbić się siłą pędu, jako gliniany garnek.

— Hej! co za różnica! Oto w spokojnych Lipińcach Wawrzon był gospodarzem i urzędnikiem, posiadłość miał, szacunek ludzki, pewną łyżkę strawy każdego dnia; w niedzielę przed ołtarz ze świecą wychodził; a tu był ostatni między wszystkimi, był jak pies przybłęda na cudzym podwórku, nieśmiały, drżący, skulony i zgłodniały. W początkowych dniach niedoli często wspomnienia mówiły: Lepiej ci było w Lipińcach. Sumienie krzyczało: Wawrzon, czemuś opuścił Lipińce? Czemu? Bo go Bóg opuścił.

Największym bólem była tęsknota za Lipińcami. Dręczyła go dniem i nocą, a dręczyła tem straszniej, że nie wiedział, co to jest, czego mu trzeba, do czego się duszą z nim chłopska rwie i wyje z męki; a jemu potrzeba było boru sosnowego, pól i chałup, słomą krytych, i panów, i chłopów, i księży, i tego wszystkiego, nad czem się szmat rodzinnego nieba zwiesza, a do czego jak serce przywrze, to się nie oderwie, a oderwie się, to się krwawi. Chłop czuł, że go coś jak w ziemię wgniata. Chwilami rad by był się porwać za włosy i głową tłuc o mur, albo rzucić się na ziemię, albo wyć, jak pies na łańcuchu, albo wołać niby w obłąkaniu — kogo? sam nie wiedział.

Siedzieli w tej chwili, on przy piecyku, ona na słomie. Upłynęła jedna godzina i druga. W izbie robiło się coraz ciemniej, bo choć to było południe, ale mgła wstawała z wody, jako zwyczajnie wiosenną porą, mgła ciężka, przejmująca. Mimo że na dworze było już ciepło, oboje drżeli w izbie od chłodu; wreszcie Wawrzon stracił nadzieję, żeby co znalazło się w popiele.

— Maryś! — rzekł — nie mogę już wytrzymać, i ty nie wytrzymasz; pójdę nad wodę drzewa nałupać; napaliwa choć w piecu, a może znajdę co jeść.

Nie odrzekła nic, więc poszedł.

Ale los miał mu się uśmiechnąć. Wracając z drzewem do domu, spotkał wielki wóz z kartoflami, a że był czubiasto ładowany, wysypało się z niego sporo kartofli i wpadło w błoto.

Wawrzon rzucił się natychmiast na kartofle, pozbierał je łapczywie drżącemi rękoma, schował w zanadrzu, i zaraz lepsza otucha wstąpiła mu w serce. W głodzie znaleziony kawałek chleba znalezionem szczęściem się wydaje; więc chłop wracając do domu, mruczał cicho:

— A no, Bogu najwyższemu niech będą dzięki, że wejrzał w niedolę naszą. Drzewo jest, dziewczyna ogień rozpali: gajdoków je tyla, że na dwa razy wytrzyma. Pan Bóg jest miłosierny. W izbie zaraz zrobi się raźniej. Dziewczyna też półtora dnia nie jadła, to się uraduje. Pan Bóg je miłosierny!

Tak rozprawiając, dźwigał jedną ręką deski, drugą badał co chwila, czy kartofle nie wypadają mu z zanadrza. Skarb niósł wielki, więc podnosił oczy z wdzięcznością ku niebu.

Tymczasem Marysia od czasu jego wyjścia nie ruszała się ze słomy.

Tęsknota gryzła ją, jak rdza żelazo. Była nawet nieszczęśliwszą od Wawrzona, gdyż do głodu, do tych wszystkich utrapień, jakie znosiła, do tego przekonania, że niema dla nich rady, ani ratunku, ani jutra, do strasznej tęsknoty za Lipińcami, dorzucała jeszcze ciężaru myśl o Jaśku koniusze. Ślubował on jej wprawdzie i mówił: Gdzie ty się obrócisz, i ja się obrócę, ale ona jechała wtedy dziedziczką i panią być, a teraz jakże zmieniło się wszystko!

On był parobkiem dworskim, miał i swoją osiadłość po ojcach, a ona stała się taką

biedną, taką głodną, jak mysz w lipinieckim kościele. Czy przyjedzie? a choćby i przyjechał, to przygarnie-li ją do piersi? powie-li: chudziutko moje serdeczne? Czy też: Idź precz, dziadowa córko! Jakież-to teraz jej wiano? łachmany. Psy by na nią i w Lipińcach szczekały, a jednak tak tam coś ciągnie, że ot! dusza rada by wylecieć z niej i lecieć jaskółką chybką nad wodami i choćby umrzeć, byle tam. Tam on, Jaśko pamiętny czy niepamiętny, ale umiłowany bardzo; tylko przy nim byłby pokój i radość i wesele, ze wszystkich ludzi przy nim jednym na świecie.

Gdy ogień w piecyku był i głód nie tak, jak dziś dokuczał, to płomienie sycząc, strzelając iskrami, podskakując, migocąc, mówiły dziewczynie o Lipińcach i przypominały, jako dawniej z innemi dziewczętami siadywała w czworakach przy kądzieli. Jaśko, wyglądając z alkierza, wołał: Maryś! pójdziewa do księdza, boś mi miła! Ona mu zaś odpowiadała: Cichaj, zbereźniku! I tak jej było dobrze, tak wesoło w duszy, jak i wówczas, gdy on ją do tańca z kąta na środek izby przemocą ciągnął, a ona, zasłoniwszy oczy rękoma, szeptała: Idź-że precz, bo się wstydam! Gdy jej to czasem przypomniały płomienie, to łzy zalewały jej twarz; ale teraz jak ognia w piecyku, tak łez w oczach nie było, bo ile łez miała, tyle wypłakała. Czasem jej się też zdało, że spływają do piersi i tam ją duszą. Czuła zmęczenie wielkie i wyczerpanie, brakło jej siły nawet do rozmyślań; ale zresztą cierpiała pokornie, patrząc tylko przed siebie wielkiemi oczyma, jak ptak, którego męczą. W ten sposób spoglądała i teraz, siedząc na słomie. Tymczasem ruszył ktoś drzwiami od izby. Marysia, w mniemaniu, że to ojciec, nie podniosła głowy, dopiero obcy głos ozwał się:

— Look here! (mów: Luk hir) — patrz tu!

Był to właściciel rudery, w której mieszkali, stary Mulat o twarzy posępnej, brudny, obdarty, z policzkami wypchanymi tytoniem.

Ujrzawszy go, dziewczyna zlękła się bardzo. Powinni byli zapłacić dolara na następny tydzień, a nie mieli już ani centa. Mogła tylko pokorą nadrobić, więc zbliżywszy się ku niemu, podjęła go cicho pod nogi i pocałowała w rękę.

— Przychodzą po dolara! — rzekł.

Zrozumiała wyraz dolar i, potrząsając głową, mieszając wyrazy, a zarazem patrząc błagalnie, starała się dać do zrozumienia, że już wydali wszystko, że drugi dzień nic nie jedzą, że są głodni i żeby zmiłował się nad nimi.

— Bóg wielmożnemu panu zapłaci — dodała po polsku, nie wiedząc już, co mówić i robić.

Wielmożny pan nie zrozumiał wprawdzie, że jest wielmożnym, ale domyślił się, że dolara nie dostanie; domyślił się nawet tak dobrze, że, pozbierawszy jedną ręką węzełki z ich rzeczami, drugą wziął dziewczynę za ramię, popchnął lekko w górę na schody, wyprowadził na ulicę i, rzuciwszy jej pod nogi rzeczy, potem z równą flegmą uchylił drzwi przyległego szynku i zawołał:

— Hej, Paddy, jest izba dla ciebie.

— All right! — odpowiedział jakiś głos ze środka — przyjdę na noc.

Mulat zniknął następnie w ciemnej sieni, a dziewczyna została sama na ulicy. Ułożyła węzełki we framudze domu, by się nie walały w błocie i, stanąwszy przy nich, czekała pokorna jak zawsze i cicha.

Tymczasem Wawrzon zdążał do domu. Ujrzawszy z daleka dziewczynę, stojącą na bruku przed domem, zdziwił się mocno i przyśpieszył jeszcze kroku.

— A ty tu czego stoisz?

— Gospodarz wygnał nas, tatulu!

— Wygnał?

Drzewo chłopu wypadło z rąk. Tego już było nadto. Wygnać ich w tej chwili, gdy było drzewo i kartofle! Co teraz zrobią, gdzie je upieką, czem się pożywią, dokąd pójdą? Za drzewem grzmotnął i czapką w błoto.

— Jezu! Jezu! — okręcił się naokoło, otworzył usta, spojrzał błędnie na dziewczynę i powtórzył jeszcze raz:

— Wygnał?...

Potem niby chciał gdzieś iść, ale zawrócił zaraz, a głos jego stał się głuchy, chrapliwy i groźny, gdy rzekł znowu:

— Czemuś go nie prosiła, ciemięgo?

Ona westchnęła:

— Prosiłam.

— Pod nogi go podjęłaś?

— Podjęłam.

Wawrzon znowu okręcił się na miejscu jak robak, którego ktoś przekłuje. Zrobiło mu sisę w oczach ciemno zupełnie.

— Bogdajeś zmarniała! — krzyknął.

Dziewczyna spojrzała na niego boleśnie.

— Tatulu! cóżem ja winna?

— Stój-no tu, ani się rusz. Pójdę ja go prosić, żeby choć gajdoki dał upiec.

Poszedł. Po chwili w sieni dał się słyszeć hałas, tupotanie nóg, podniesione głosy, a potem na ulicę wyleciał Wawrzon, pchnięty widocznie silną rękę. Chwilę stał, potem rzekł do dziewczyny krótko:

— Pójdź!

Schyliła się po węzełki, by je zabrać. Były dość ciężkie, jak na jej wyczerpane siły, ale on jej nie pomógł, jakby zapomniał, jakby nie wiedział, że dziewczyna zaledwie je udźwignąć może.

Poszli... Dwie tak nędzne postacie starca i dziewczyny zwracały by uwagę przechodniów, gdyby ci przechodnie mniej byli przyzwyczajeni do widoków nędzy. Dokąd mogli iść? W jaką jeszcze mękę?

Oddech dziewczyny stawał się coraz trudniejszy, cięższy zachwiała się na nogach raz i drugi, wreszcie rzekła z prośbą w głosie:

— Tatulu! weźta szmaty, bo już nie mogę.

On jakby się zbudził ze snu.

— To je rzuć.

— Dyć się przydadzą.

— Nie przydadzą się.

Nagle, ujrzawszy, że dziewczyna się waha, krzyknął z wściekłością:

— Rzuć, bo cię zabiję!

Tym razem usłuchała przestraszona i poszli dalej. Chłop kilka razy powtórzył jeszcze:

— Kiej tak, to niech tak będzie! — potem umilkł, ale coś niedobrego patrzyło mu z oczu. Przez coraz błotnistsze uliczki zbliżali się ku krańcowi portu, i zeszli nad samą wodę. Budowano w tem miejscu nowy dok.

Marysia, doszedłszy do kupy belek, siadła na niej, bo nie mogła iść dalej; Wawrzon w milczeniu koło niej.

Coraz większy głód żelazną ręką zaczynał szarpać wnętrzności Wawrzona. — Chłop siedział ponury i chmurny, ale coś jakby straszliwe postanowienie zaczęło się malować na jego twarzy. Gdy port opustoszał zupełnie, rzekł dziwnym głosem:

— Pójdźwa, Maryś!

— Dokąd pójdziewa? — pytała sennie.

— Na owe pomosty nad wodę. Położywa się na deskach i będziewa spali.

Poszli. W ciemności zupełnej musieli pełzać bardzo ostrożnie, by nie wpaść w wodę.

Amerykańskie wiązania z desek i zelek tworzyły liczne zakręty i jakby korytarzyk drewniany, na końcu którego znajdował się pokład z desek, za nim zaś taran do zabijania pali. Na tym pomoście, pokrytym daszkiem dla ochrony od deszczu, stawali ludzie, ciągnący sznury od tarana, ale teraz nie było tam nikogo.

Gdy doszli na sam jego kraniec. Wawrzon rzekł:

— Tu będziewa spali.

Marysia padła raczej, niż położyła się na deski, i mimo że zaraz opadły ich roje moskitów, usnęła ciężko.

Nagle wśród nocy głębokiej obudził ją głos Wawrzona:

— Maryś, wstawaj!

Było coś takiego w tem wołaniu, iż rozbudziła się natychmiast.

— Co tatulu?

— Utopię ja cię, niebogo, i sam się utopię — mówił dalej. — Niema poratowania dla nas, niema miłosierdzia nad nami. — Jutro nie będzie ci się chciało jeść, jutro ci będzie lepiej, niż dziś...

— Choćbyś krzyczała, nikt cię nie usłyszy. Pchnę cię tylko, i wszystko dwóch pacierzy nie potrwa.

— Nie chcę, tatulu, nie chcę! — wołała Marysia. — Czy wy się Boga nie boicie? Tatulu serdeczny, złoty! zlitujta się nade mną. Co ja wam uczyniła? Dyć ja nie narzekała na moją niedolę, dyć ja z wami cierpiała głód i zimno... Tatulu!

Oddech jego stał się szybki, ręce zacisnęły się, jak kleszcze; ona wypraszała się śmierci coraz rozpaczliwej.

— Zlitujta się! miłosierdzia! miłosierdzia! jać dziecko wasze, jam biedna, chora; mnie i tak niedługo na świecie. Mnie żal! Ja się boję!

— Zmiłowania! zmiłowania! — wołała przeraźliwie Marysia.

W tej chwili jedną rękę pociągnął ją gwałtownie na sam brzeg rusztowania, drugą począł

bić w głowę, by przytłumić jej krzyki. Ale i tak te krzyki nie budziły żadnego echa; pies tylko jakiś wył w dali.

Dziewczyna uczuła, że słabnie. Nakoniec nogi jej trafiły na próżnię, ręce tylko trzymały się jeszcze ojca, ale mdlały. Krzyk wreszcie urwały szmat sukmany, i Marysia uczuła, że leci w przepaść.

Jakoż spadła z pomostu, po drodze jednak uczepiła się dylów i zawisła nad wodą.

Chłop pochylił się i, straszno powiedzieć, począł jej rękę odczepiać.

Tłum myśli, niby tłum zwichrzonego ptactwa, przelatywał jej przez głowę nakształt obrazów i błyskawic: Lipińce, studnia żórawia, wyjazd, okręt, burza, litania, nędza nowoyorska; nakoniec co to się z nią dzieje? Widzi jakiś okręt ogromny z podniesionym przodem, na nim tłum ludzi, a z tłumu dwie ręce wyciągają się do niej. Na Boga! To Jaśko tam stoi, to Jaśko wyciąga ręce, a nad okrętem i nad Jaśkiem Matka Boska uśmiechnięta w jasności wielkiej. — Ona na ten widok ludzi na brzegu rozpycha: Panienko Najświętsza! Jaśku! Jaśku! Chwila jeszcze... Ostatni raz wznosi oczy ku ojcu: Tatulu! tam Matka Boska! tam Matka Boska!

Chwila jeszcze, też same ręce, które spychały ją w wodę, chwytają teraz jej mdlejące dłonie i z jakąś siłą nadludzką ciągną ją w górę. Już znowu czuje pod nogą deski rusztowania, znowu otaczają ją ramiona, ale ramiona ojca, nie kata, i głowa pada na pierś ojcowską.

Ocknąwszy się z omdlenia, spostrzegła, że leży spokojnie przy ojcu; ale choć było ciemno, dojrzała, że leży krzyżem, i że szlochanie głuche, żałosne, wstrząsa nim i rozrywa mu pierś.

— Maryś — ozwał się wreszcie przerywanym przez łkania głosem — odpuść mi, dziecko...

Dziewczyna poszukała pociemku jego rąk i, przytuliwszy do nich swoje biedne usta, wyszeptała:

— Tatulu! niech wam tak Pan Jezus odpuści, jako ja odpuszczam...

Śliczny, różany dzień wstawał z wody, słońce grzało coraz silniej, wiatr chuchał litośnie na dziewczynę, mewy, kręcąc się wiankiem, krzyczały, jakby ją chciały rozbudzić.

Jakoż Marysia się obudziła.

— Tatulu! jeść mi się chce bardzo.

— Pójdź, córuchno, może się co znajdzie — rzekł stary.

Wstała bez wielkiego wysilenia i poszli.

Szli, sami nie wiedząc dokąd, ale coś się tak Marysi widziało, żeby koniecznie iść do miasta. Po drodze spotykali mnóstwo ładowanych wozów, ciągnących do portu. Na Waterstreet ruch już panował niemały. Z otwierających się bram wychodzili ludzie i szli pośpiesznie do codziennych zatrudnień. W jednej takiej bramie ukazał się wysoki, siwy i wąsaty jegomość z młodym chłopakiem. Wyszedłszy, spojrzał na nich i na ich ubrania, ruszył wąsami; zdziwienie odbiło się na jego twarzy, poczem zaczął się przypatrywać jeszcze bystrzej, uśmiechnął się, i spytał najczystszą polszczyzną:

— A wyście skąd, ludzie?

Jakby piorun w nich uderzył. Chłop, zamiast odpowiedzieć, zbladł jak ściana i zachwiał się na nogach, nie wierząc ani swoim uszom, ani swoim oczom. Marysia, ochłonąwszy pierwsza, przypadła zaraz do nóg starego pana, objęła je rękoma i poczęła wołać:

— Z pod Poznania, jaśnie dziedzicu! z pod Poznania.

— Co wy tu robicie?

— W nędzy, w głodzie i w niedoli srogiej żyjemy, drogi panie!

Tu Marysi głosu zabrakło, a Wawrzon rzucił się plackiem do nóg jegomości, potem począł całować połę jego surduta, i trzymając ją, myślał, że chyba za kawał nieba złapał.

Toć to pan... i swój pan. On z głodu umrzeć nie da, on poratuje: on zmarnieć nie da.

Młody chłopiec, który był z siwym panem, wytrzeszczył oczy, ludzie poczęli się gromadzić otwierać usta i patrzeć, jak człowiek przed człowiekiem klęczy i po nogach go całuje.

W Ameryce to niebywała rzecz! Ale stary pan począł się na gapiów gniewać.

— To nie wasz "business" (mów bizness — interes, zajęcie) — mówił do nich po angielsku — idźcie do swego businessu!

Poczem do Wawrzona i Marysi:

— Nie będziemy na ulicy stali: chodźcie za mną.

Wprowadził ich do najbliższego szynku, tam, wszedłszy do osobnego pokoju, zamknął się z nimi i z chłopakiem. Oni znowu zaczęli

mu do nóg padać, od czego bronił się i mruczał gniewliwie:.

— Skończcie tęn business! My przecie z jednych stron, my dzieci jednej... matki...

— Głodniście?

— Bez dwa dni niceśmy nie jedli, jeno co dziś znaleźliśwa nad wodą.

— Wiliam! — rzekł do chłopca — każ im dać jeść.

Następnie pytał dalej:

— Gdzie mieszkacie?

— Nigdzie, jaśnie panie.

— Gdzieście spali?

— Nad wodą.

— Wygnali was z mieszkania?

— Wygnali.

— Nie macie rzeczy prócz tych, co na sobie?

— Nie mamy.

— Nie macie pieniędzy?

— Nie mamy.

— Co będziecie robili?

— Nie wiemy.

Stary pan, pytając szybko i jakby gniewliwie, zwrócił się nagle do Marysi:

Ile masz lat, dziewczyno?

— Ośmnaście skończę na Matkę Boską Zielną.

— Nacierpiałaś się, co?

Nie odpowiedziała nic, tylko schyliła mu się do nóg.

Starego pana dym znowu zaczął wildocznie gryść w oczy.

W tej samej chwili przynieśli piwo i ciepłe mięso. Stary pan kazał im się zaraz wziąć do jedzenia, a gdy odrzekli, że nie śmią tego przy nim uczynić, powiedział im, że są głupi. Ale mimo tej jego gniewliwości, wydawał im się aniołem z nieba.

Gdy jedli, radowało go to widocznie bardzo. Potem kazał sobie opowiadać, jak się tu dostali i przez co przeszli. Więc Wawrzon opowiedział mu wszystko i nie zataił nic, jako księdzu na spowiedzi. On gniewał się, wymyślał mu, a gdy doszło do tego, jak Wawrzon chciał topić Marysię, krzyknął:

— Jabym cię ze skóry odarł!

Potem do Marysi:

— Pójdź tu, dziewczyno!

Gdy się zbliżyła, wziął w obie ręce jej głowę i pocałował ją w czoło.

Potem myślał przez chwilę i rzekł:

— Biedę przeszliście. Ale to jest dobry kraj, tylko trzeba sobie umieć radzić.

Następnie rzekł wprost do Wawrzona:

— Słyszałeś ty o tutejszych naszych osadach?

— Nie słyszałem, wielmożny panie.

— Ludzie! jak wy się tu puszczacie? Na miły Bóg! Nie macież ginąć potem!? W Chicago jest takich, jak ty, ze dwadzieścia tysięcy, w Milwaukee tyleż, w Detroit sporo, w Buffalo sporo. Pracują po fabrykach, ale chłopu najlepiej na roli. Do Radomia wysłaćby was, do Illinois, hm! tam już o grunt trudno. Zakładają jakiś nowy Poznań w stepach w Nebrasce, ale to daleko. Kolej drogo kosztuje. Panna Marya w Teksasie także daleko. Do Borowiny byłoby najlepiej, tem bardziej, że mogę dać wam bilety darmo, a co dam w rękę, to schowacie na gospodarstwo.

Zamyślił się jeszcze głębiej.

— Słuchaj, stary — rzekł nagle. — Zakładają teraz nową osadę Borowina w Arkansas. Jest to piękny kraj i ciepły, a ziemia prawie pusta. Tam gruntn z lasem weźmiesz 160 morgów od rządu darmo, a od kolei za małą opłatą — rozumiesz? Na gospodarstwo ci dam i bilety na kolej, bo mogę. Pojedziecie do miasta Little-Rock, potem trzeba będzie wozem. Tam znajdziecie i innych, którzy z wami pojadą. Zresztą dam wam listy. Chcę wam pomódz, bom wasz brat; ale twojej dziewczyny sto razy więcej żal mi, niż ciebie. Rozumiesz! Bogu dziękujcie, żeście mnie spotkali.

Tu głos jego stał się zupełnie miękki.

— Słuchaj, dziecko! — rzekł do Marysi — oto tu masz moją kartkę; schowaj ją święcie. Jak cię kiedy bieda przyciśnie, jak zostaniesz samotna na świecie i bez opieki, to mnie poszukaj. Tyś biedne dziecko i dobre. Gdybym umarł, Wiliam się tobą zajmie. Kartki nie zgub! Chodźcie teraz do mnie.

Po drodze kupił im bielizny i ubrania, a wreszcie zaprowadził do siebie i ugościł.

Upłynął dzień i noc. Rankiem wjechali w bory, w których drzewa były pookręcane pnącemi się roślinami, grubemi jak ramię ludzkie, co robiło bór tak gęstym, że chyba w niego siekierą jak w ścianę bić. Nieznane ptactwo świergotało w tych zielonych gąszczach. Raz

zdało się Wawrzonowi i Marysi, że wśród skrętów i bisiorów ujrzeli jakichś jeźdźców z piórami na głowach i o twarzach tak czerwonych, jak miedź polerowana. Widząc te lasy, te puste stepy i puste bory, te wszystkie nieznane cuda i ludzi innych, Wawrzon nie mógł wreszcie wytrzymać i rzekł:

— Maryś!

— Co, tatulu?

— Widzisz?

— Widzę.

— A dziwujesz się?

— Dziwuję.

Przejechali nakoniec rzekę ze trzy razy szerszą od Warty, o której później dowiedzieli się, że się nazywa Missisipi, i głuchą już nocą przybyli do Little Rock.

Stąd mieli się wypytać o drogę do Borowiny.

III.

Życie osadnicze.

Czem była Borowina? Osadą, która miała powstać. Ale widocznie nazwę obmyślano z góry, wychodząc z zasady, że gdzie istnieje nazwa, tam musi istnieć i rzecz.

Mnóstwo osób, a nawet i rodzin polskich, rozprószonych po całych Stanach, od wielkich jezior aż po palmowe lasy Florydy, od Atlantyku aż po kalifornijskie wybrzeża zapisało się na osiedleńców w mającej powstać osadzie. Mazurzy pruscy, Ślązacy, Poznańczycy, Małopolanie, Litwini z Augustowskiego i Mazurzy z pod Warszawy, którzy pracowali po fabrykach w Chicago i Milwaukee i którzy oddawna wzdychali do życia, jakie chłop z chłopów powinien prowadzić, chwycili pierwszą sposobność, by się z dusznych, zakopconych dymem i sadzą miast wydostać, a jąć się pługa i siekiery w przestronnych polach, borach i stepach Arkansasu.

Prawdę powiedziawszy, przybywszy na miejsce, osadnicy rozczarowali się bardzo. Spodziewali się zastać na gruntach, przeznaczonych na osadę, pola i las, a znaleźli tylko las, który dopiero trzeba było karczować. Czarne dęby, drzewa czerwone, bawełniane (tak zw. cotton wood), platany i posępne hickory, stały obok siebie jedną masą. Puszcza to była nie na śmiech, podszyta czaporalem z dołu, powikłana w górze lianami, które, przeskakując nakształt lin i sznurów z drzewa na drzewo, — tworzyły jakby zwieszające się mosty, jakby zasłony, jakby wisiory jakie kwieciem okryte, a tak gęste, tak stłoczone i zbite, że oko nie pobiegło w dal, jako w naszych lasach; kto się zapuścił głębiej, ten nieba nad sobą nie dojrzał i w mroku błądzić musiał i zbłądzić mógł i zaprzepaścić się na zawsze. Jeden i drugi Mazur spoglądał to na własne pięście, to na siekierę, to na owe dęby, mające po kilkanaście łokci obwodu i niejednemu markotno się zrobiło. Błogo mieć drzewo na chałupę i na opał, ale wyciąć las jednemu człowiekowi na 160 morgach, pniaki z ziemi wydrapać, wykroty zrównać i dopiero imać się pługa, to praca na całe lata.

Ale niebyło nic innego do roboty, więc zraz drugiego dnia po przybyciu taboru jaki taki przeżegnał się, w ręce splunął, chwycił toporzysko, stęknął, machnął, uderzył i od tej pory codzień słychać było huk siekier w tym arkansaskim lesie, a czasem i pieśni, rozlegające się echem:

Przyszedł Jasieńko,
Przyszedł ze dworu:
Miła Kasieńko,
Pójdźwa do boru,
Do boru, do ciemnego.

Wogóle taki nawał roboty spadał na osadników, że niewiadomo było, do czego rąk przyłożyć: czy naprzód stawiać domy, czy karczować, czy chodzić za zwierzyną. Każdy Mazur chciał odrazu swojem się zająć, swój dom stawiać i na swojej działce las ciąć. Każdy przytem chciał brać miejsca przy środkowej polance, gdzie puszcza była najrzadsza, a woda najbliższa. Stąd powstały spory, które wzrosły zaraz, gdy pewnego dnia zjawił się jakby z nieba spadły wóz niejakiego pana Gruenmańskiego z wódką. Tego samego dnia zaraz zaczął robić doskonałe interesy. Ale też tego samego dnia osadnicy poczęli się kłócić.

W osadzie źle się działo, bo ta gromada przypominała gromadę owiec bez pastucha. Spory o działki stawały się coraz gwałtowniejsze. Przychodziło do bitew, w których towarzysze z jednych miast lub osad łączyli się przeciwko pochodzącym z innych. Doświadczeńsi,

starsi i mędrsi zyskiwali wprawdzie zwolna powagę i władzę, ale nie zawsze mogli je utrzymać.

Bezład powiększał się, nurtowała nienawiść. To małe społeczeństwo, rzucone wśród lasów i prawie oderwane od reszty ludzi i opuszczone przez przewodników, nie mogło i nie umiało sobie dać rady.

Między osadnikami odnajdujemy dwie znane nam postacie: starego chłopa, nazwiskiem Wawrzon Toporek, i jego córkę Marysię. Dostawszy się do Arkansas, mieli w Borowinie dzielić losy innych. Jakoż z początku lepiej się im działo. Co bór, to nie bruk nowoyorski, a przytem tam nie mieli nic, tu posiadali wóz, inwentarza trochę, nabytego tanio i trochę porządków do roli. Tam gryzła ich straszna tęsknota, tu praca ciężka nie pozwalała myśli od dnia dzisiejszego oderwać. Chłop od rana do wieczora bór ciął, wióry łupał i belki na chałupę obrabiał; dziewczyna musiała chusty w strumieniu prać, ogień rozniecać, jeść gotować; ale mimo znoju, ruch i powietrze leśne zacierały stopniami na jej twarzy ślady choroby, jakiej nabyła przez nędzę w Nowym Yorku. Gorący powiew z Teksasu opalił i pokrył złotawym odblaskiem bladą jej twarzyczkę. Młodzi chłopcy z Sant-Antonio i z nad wielkich jezior, którzy o ladaco przyskakiwali do siebie z pięściami, w tem tylko byli zgodni, że Marysi oczy tak patrzą z pod jasnych włosów, jak chaber z żyta, i że to najładniejsza dziewczyna, jaką oko ludzkie oglądało. Uroda Marysina wyszła na dobre i Wawrzonowi. Sam sobie szmat najrzadszego lasu wybrał, i nikt mu się nie sprzeciwiał, bo wszyscy parobcy byli po jego stronie. Niejeden też mu w ścinaniu drzewa i obrabianiu belek albo w zakładaniu na zręby pomagał, a stary, że chytry był, poznał, co się święci, i od czasu do czasu odzywał się:

— Moja córuchna chodzi po łące kiejby lelija, kiejby pani, kiejby królewna. Komu zechcę, to ją dam, ale byle komu nie dam, bo ona je gospodarska córka. Kto mi się niżej pokłoni i lepiej wygodzi, temu dam, nie żadnemu powsinodze.

Kto więc jemu pomagał, myślał, że sobie pomaga.

Wawrzonowi więc było lepiej nawet, niż innym, a wogóle byłoby wcale dobrze, gdyby osada miała jaką przyszłość przed sobą. Ale tam rzeczy psowały się z dnia na dzień. Ubiegł tydzień i drugi. Naokoło polanki zrąbano drzewo, ziemia pokryła się wiórami, tu i ówdzie wzniosła się żółta ściana domostwa; to jednak, co zrobiono, było fraszką w porównaniu z tem, co należało zrobić. Zielona ściana boru zwolna tylko ustępowała przed siekierami.

Tymczasem jedna rzecz stawała się coraz widoczniejszą, to, że, nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje; nim zasiewy na rubieżach leśnych się zazielenią i dochówek jaki będzie, zapasów żywności zabraknie i przyjść może głód.

Rozpacz ogarniała ludzi. Huk siekier w lesie się zmniejszał, bo cierpliwości i odwagi poczynało brakować. Każdyćby jeszcze pracował, gdyby mu kto powiedział: masz, dotąd twoje. Ale nikt nie wiedział, co jego, co nie jego. Słuszne narzekania na przewodników wzrastały. Ludzie mówili, że na puszczę zostali wywiedzeni, by wyginęli marnie. Powoli, kto miał coś jeszcze grosza przy duszy, na wóz siadał i do Clarcsville odjeżdżał. Ale więcej było takich, który włożywszy ostatni grosz w sprawę, nie mieli o czem wracać do dawnych siedzib. Ci załamywali ręce, widząc zgubę pewną.

Siekiery przestały wreszcie rąbać, a bór szumiał, jakby się natrząsał z ludzkiej niemocy. "Rąb dwa lata, a potem z głodu zamrzyj" — mówił chłop do chłopa. A las szumiał, jakby się natrząsał.

Stary Wawrzon zachorował z wysilenia. Ból jął mu po pacierzach chodzić. Dwa dni nie zważał na to, trzeciego nie mógł wstać. Dziewczyna poszła do lasu, nazbierała mchu, wysłała nim gotową ścianę domu, leżącą na murawie, położyła ojca na mchach i gotowała mu leki z wódką.

— Maryś! — mruczał chłop — już śmierć idzie do mnie przez bory; zostaniesz ty sama na świecie, sieroto. Bóg mnie karze za ciężkie grzechy moje, bom cię wyprowadził za morze i zgubił. Ciężkie będzie moje konanie...

— Tatulu! — odpowiedziała dziewczyna — mnieby Bóg skarał, gdybym za wami nie była poszła.

— Bym cię jeno samej nie zostawił: gdybym cię do ślubu błogosławił, lepiej by było umierać. Maryś, weź ty Czarnego Orlika za męża: on jest chłop dobry, on cię nie opuści.

Czarny Orlik, niechybny myśliwiec z Teksasu, który to słyszał, zaraz rzucił się na kolana.

— Ojcze! błogosławta — rzekł. — Miłuję ja tę dziewczynę, jako dolę własną. Jać się z borem znam i zginąć jej nie dam.

Tak mówiąc, patrzył sokolemi oczyma na Marysię, jako na tęczę, ale ona, pochyliwszy się ku nogom starego, rzekła:

— Nie niewólcie mnie, tatulu! komu ślubowałam, tego będę, albo niczyja.

— Komuś ślubowała, tego nie będziesz, bo ja go zabiję. Moją musisz być, albo niczyją — odpowiadał Orlik. — Zmarnieją tu wszyscy, zmarniejesz ty, jeślić cię nie poratuję.

W nocy zaczął padać deszcz, który potem przeszedł w straszliwą ulewę. Była to pora wiosenna, w czasie której na dalszym biegu Mississippi, tudzież w widłach rzeki Arkansas i Czerwonej padają zwykle ogromne deszcze. Przyczynia się do tego i parowanie wód, które w Arkansas — pokrywając w kształcie błot, małych jezior i strumieni kraj cały — zwiększają się na wiosnę z powodu topnięcia śniegów w dalekich górach. Cała polanka rozmiękła i zmieniła się stopniowo w wielką sadzawkę. Ludzie, moknąc po całych dniach, zaczęli chorować. Niektórzy znów opuścili osadę, pragnąc się dostać do Clarcsville, ale powrócili wkrótce, przywożąc wieść, że rzeka wezbrała i że przejazd jest niepodobny. Położenie stawało się straszne, bo od przybycia osadników kończył się już miesiąc, zapasy mogły się wyczerpać, a dostać nowych z Clarcsville było niepodobieństwem.

Deszcz lał coraz większy. Pewnej głuchej nocy, gdy Orlik poszedł, jak zwykle, do boru, w taborze rozległ się krzyk przeraźliwy:

— Woda! woda!

Krzyk powstał w całym obozie. Kobiety i dzieci zaczęły się chronić na wozy, mężczyźni biegli co sił na zachodnią stronę polanki, gdzie drzewa nie były wycięte. Woda dochodziła im zaledwie kolan, ale wzbierała szybko. Szum od strony lasu powiększał się i mieszał z okrzykami trwogi, z nawoływaniem imion i prośbami o ratunek. Wkrótce większe zwierzęta poczęły się cofać przed parciem fali z miejsca na miejsce. Znać było, że gwałtowność prądu zwiększa się. Owce spłynęły i żałosnem beczeniem wzywały na pomoc, póki nie znikły, niesione w stronę drzew. Deszcz lał jak z cebra, i każda minuta stawała się coraz straszliwszą. Daleki szum zmieniał się w ogromny gwar i huk rozwścieczonych fal. Wozy zaczęły drżeć i tonąć pod ich uderzeniem. Znać było, że to nie zwykły zalew deszczowy, ale że rzeka Arkansas i wszystkie jej dopływy musiały wylać. Była to topiel, rwanie drzew z korzeniami, łamanie lasów, groza, rozpętanie się żywiołów, ciemność, śmierć.

Coraz wścieklejszy huk wód zgłuszył wszystko i ryki tonących zwierząt i wołania: "Jezu! Jezu! Marya!" Na łące potworzyły się wiry i koliska, wozy znikły...

A Wawrzon i Marysia? Ta ściana domu, na której stary chłop leżał pod Orlikowym namiotem, uratowała ich narazie, bo spłynęła jak tratwa. Fala okręciła ją wolno koło polanki i poniosła w stronę lasu, tam uderzyła nią o jedno drzewo, o drugie i, wepchnąwszy wreszcie w łożysko strumienia, poniosła w dal i ciemność.

Dziewczyna, klęcząca przy starym ojcu, podniosła ręce do nieba, wzywając je na ratunek; ale odpowiadały jej tylko uderzenia fali dżdżystej, gnanej wiatrem...

Namiot zerwało... a i sama tratwa mogła rozbić się co chwila, bo i przed nią i za nią płynęły pnie powyrywanych drzew, które mogły ją zgnieść, lub podważyć.

Nakoniec wpadła między gałęzie jakiegoś drzewa, którego czub było tylko widać z wody, ale w tej samej chwili z owego czuba doszedł głos ludzki:

— Weź karabin i przejdźcie na drugą stronę, by się tratwa nie przechyliła, jak zeskoczę...

Zaledwie oboje z Wawrzonem uczynili to, co im kazano, jakaś postać skoczyła z gałęzi na tratwę.

Był to Orlik.

— Maryś! — rzekł — jakom ci powiedział, tak cię nie opuszczę. Boga mi! Ja was i z tej toni wyprowadzę.

Toporem, który miał przy sobie, uciął prostą gałąź z drzewa, obrobił ją w mgnieniu oka, potem wypchnął tratwę z gałęzi i począł wiosłować.

Wydostawszy się na właściwe łożysko strumienia, płynęli z szybkością błyskawicy; gdzie? nie wiedzieli, ale płynęli.

Tymczasem Wawrzon czuł się gorzej i gorzej. Chwilami miał gorączkę, chwilami opuszczała go, ale słabnął. Za dużo już było cierpień na jego stare, sterane ciało. Zbliżał się kres i uspokojenie wielkie, ulga wieczysta. W samo południe obudził się i rzekł:

— Maryś! już ja jutra nie doczekam. Oj! dziewczyno, dziewczyno! bogdajbym nie był z Lipiniec wyjeżdżał i ciebie nie wywoził. Ale Bóg miłosierny! Nacierpiałem się niemało, to mi odpuści grzechy moje. Mnie pochowajta, jeśli będzieta mogli, a ciebie niech Orlik do starego pana do Nowego Yorku odprowadzi. To dobry pan, on zlituje się nad tobą i na drogę ci da i wrócisz do Lipiniec. Ja już nie wrócę. O Boże, Boże miłosierny, pozwólże duszy mojej jakby ptakowi tam polecieć i choćby zobaczyć!

Tu gorączka go ogarnęła i począł mówić "Pod Twoją obronę uciekam się, Święta Boża Rodzicielko!" Nagle krzyknął: "Nie wrzucajta mnie w wodę, bom nie pies", a potem widocznie przypomniało mu się, jak chciał Marysię z nędzy topić, bo znowu wołał: "Dziecko, odpuść! odpuść!"

Ona biedaczka leżała u wezgłowia ze łkaniem... Orlik wiosłował i łzy dusiły go za gardło...

Wieczorem wypogodziło się. Słońce w chwili zachodu pokazało się nad zalaną okolicą i odbiło się w wodzie długą, złocistą taśmą. Stary zaczął konać. Bóg jednak zmiłował się nad nim i dał mu śmierć pogodną.

W obłędzie gorączki zdało mu się, że wraca do Lipiniec.

Idą oboje z Marysią drogą i płaczą. Jest wiosna. Zboże kwitnie... chrabąszcze brzęczą w powietrzu... w Przyręblach dzwonią na Anioł Pański... Jezu! Jezu! za co tyle szczęścia jemu grzesznemu? Jeszcze przez tę górkę, a tam już krzyż, i drogowskaz, i lipiniecka granica. Już nie idą, ale... lecą jakby na skrzydłach, już są na górce, przy krzyżu, przy drogowskazie. — Chłop rzuca się na ziemię i ryczy ze szczęścia i ziemię całuje i, czołgając się do krzyża, obejmuje go rękami: już jest w Lipińcach. Tak jest. On już w Lipińcach, bo tylko martwe jego ciało spoczywa na zabłąkanej wśród powodzi tratwie, a dusza poleciała tam, gdzie jej szczęście i spokój.

Próżno dziewczyna zawodzi nad nim: Tatulu, tatulu! Biedna Marysiu, nie wróci on do ciebie! Jemu za dobrze w Lipińcach.

Tymczasem wysłano z Clarcsville łódź ratunkową. Kiedy ich jednak nie zauważono, Orlik rzucił się we wodę i płynął w stronę łodzi, wołając o ratunek. Dosłyszano go, lecz nim zdołano przybyć z pomocą, zniknął w topieli. Za chwilę silne ręce przyniosły Marysię do czółna, ale Orlika w tem czółnie nie było.

W dwa miesiące potem Marysia wyszła ze szpitala w Little-Rock i za pieniądze, zebrane przez dobrych ludzi, pojechała do Nowego Yorku — wychudła drżąca...

Wychudła, drżąca z osłabienia ręka targnęła za dzwonek przy Water Street w Nowym Yorku. To Marysia szła szukać pomocy u starego pana, rodem z pod Poznania.

Otworzył jej obcy jakiś, nieznany człowiek.

— Mister Złotopolski w domu?

— Kto to jest?

— Wiekowy pan. — Tu pokazała kartę.

— Umarł.

— Umarł? A syn?... pan Wiliam?

— Wyjechał.

— A panna Joanna?

— Wyjechała.

Drzwi zamknęły się przed nią. Siadła na progu i zaczęła sobie twarz ocierać. Była znowu w Nowym Yorku, sama, bez pomocy, bez opieki, bez pieniędzy, na woli Bożej.

Czy tam zostanie? Nigdy! Pójdzie oto do portu, do niemieckich doków podejmować pod nogi kapitanów i prosić, by ją zabrali, a jeśli się zmiłują, to o żebranym chlebie przejdzie Niemcy i wróci do Lipiniec. Tam jej Jaśko. Ona prócz niego nie ma już nikogo na szerokim świecie. Jeśli on jej nie przygarnie, jeśli zapomniał, jeśli odepchnie, to chociaż umrze blisko niego.

Co dzień, ledwie rozedniało, już była przy niemieckich dokach żebrać łaski i codzień naprózno.

Pewnego poranka przywlokła się z wysileniem i z tą myślą, że to chyba już ostatni raz, bo jutro sił nie starczy. Postanowiła nie prosić,

jeno dostać się na pierwszy lepszy statek odchodzący do Europy i schować się gdzieś na dnie cichutko. Gdy już wypłyną i znajdą ją, przecież ją w wodę nie wrzucą, a wrzucą, to i cóż? Jedno jej, jak umierać, jeśli umierać trzeba. Ale przy mostku, prowadzącym na okręt, pilnowano dobrze wchodzących, i strażnik odepchnął ją przy pierwszej próbie. Siadła tedy na palu przy wodzie i pomyślała sobie, że ją chyba gorączka chwyta. Jakoż zaczęła się uśmiechać i mruczeć:

— Jać dziedziczka, Jaśku, alem ci wiary dochowała. Cóż ty mnie nie znasz?

Biedaczka dostała nie gorączki, ale obłąkania. Odtąd przychodziła codziennie do portu wyglądać Jaśka. Ludzie przyzwyczaili się do niej i obdarzali czasem jałmużną. Ona dziękowała pokornie, uśmiechając się, jak dziecko. Trwało tak ze dwa miesiące. Pewnego jednak razu nie przyszła do portu i odtąd nie widziano jej więcej. Gazeta tylko policyjna doniosła dnia następnego, że na samym krańcu portu znaleziono ciało zmarłej dziewczyny niewiadomego nazwiska i pochodzenia.

NARADY WARSZAWSKIE Z ŁOTWĄ I FINLANDYĄ.





Posiedzenie delegacyi łotewskiej i finlandzkiej z ministrem spraw zagranicznych, Stanisławem Patkiem, w Zamku Królewskim.

ŻARTY.

TY, ALE JA NIE

Synek przychodzi ze szkoły i mówi:

— Tatusiu, pan profesor powiedział nam, że człowiek może pochodzi od małpy.

Tatuś po namyśle:

— To może ty, ale ja nie.

W KAWIARNI

W kawiarni spostrzega jeden z gości, że jakiś pan wychodząc, wdziewa na siebie jego zarzutkę.

— Panie, czemuż pan zabiera moją zarzutkę?

— To pańska zarzutka? Bardzo przepraszam! Myślałem, że należy ona do innego pana...

DYPLOMACYA

Sędzia: — Adwokat Szybalski żali się, że pan powiedział mu na ulicy „błazen". Czy to prawda?

Oskarżony: — Tak, to prawda, ale ja mu tego nie powiedziałem.

MĄDRY ROZKAZ

Pan: — Czy sądzisz, że będzie padał deszcz.

Służący: — Tak.

Pan: — No to zbudź mnie dziesięć minut przed deszczem.

W SĄDZIE

Sędzia pokazuje więźniowi laskę.

— Czy znasz tę laskę?

— Nie znam jej.

— Co za uparty zbrodniarz! Ale przecież przyznać się będziesz musiał! (Do strażnika): Zaprowadzić go do więzienia!

Następnego dnia.

— Czy znasz tę laskę?

— Tak, panie sędzio, znam ją.

— Przecież! Tak, t rozumię! A teraz opowiedz mi, skąd znasz tę laskę.

— Pokazał mi ją wczoraj pan sędzia.

DZIWNA HISTORYA.

Tadeusz Dołęga.

Stanisław Nowicki, siedząc w pociągu w przedziale drugiej klasy, rozmyślał o swoim koledze Zygmuncie Sawickim, którego przed paru zaledwie godzinami pożegnał pozostawiając w Warszawie. Zatrważał go bardzo jego stan psychiczny.

Naogół biorąc jego kolega był spokojny, w rozmowie jednak zdradzał pewnego rodzaju zdenerwowanie, patrząc szklistym wzrokiem w przestrzeń. Na ustach jego zjawiał się dziwny gość, tajemniczy, enigmatyczny uśmiech.

To jego zachowanie było poniekąd wytłómaczone. Zygmunt przed miesiącem zaledwie zerwał ze swoją narzeczoną, która była dla niego wszystkiem, i nakształt wschodzącego słońca opromieniała mu szarzyznę życia codziennego. Co zniewoliło Zygmunta do tego kroku, Stanisław nie wiedział, był jednak pewnym, że wina była po jej stronie. Zygmunta już znał od lat kilkunastu. Łączyło go z nim dużo wspólnych marzeń i młodzieńczych przeżyć. Mieszkali też od lat paru razem, żyjąc ze sobą na bardzo przyjacielskiej stopie. Pamięta, ów wieczór, gdy Zygmunt wszedł do zajmowanego przez nich pokoju, zmieniony do niepoznania, wyszeptawszy koloru sinego wargami, jakieś niezrozumiałe słowa. Mimo pytań więcej nic się nie dowiedział tego, ani następnych wieczorów.

Deszcz listopadowy bębnił w szyby wagonu, ociekając strugami. Światło gazu paliło się słabym migotliwym blaskiem. Pociąg pędził przed siebie z zawrotną szybkością, mijając oświetlone i zatłoczone ludźmi stacye, zabierając jednych, a wyrzucając drugich.

Nowicki jechał do swoich starych rodziców, którzy mieli w jednym z miast na prowincyi swój domek, dożywając w nim cicho, końca swoich dni.

Dawno już u nich nie był. Ciągła walka o kawałek chleba codziennego, nie pozwalała mu myśleć o rodzinie; w duszy swej jednak nosił słodką pamięć dzieciństwa, pieszczot matczynych. Pędził więc do nich z prawdziwą, niczem niekłamaną tęsknotą.

W godzinę, a może później był w rodzinnem mieście. Wsiadłszy w dorożkę, jechał po nierównym bruku do swego gniazda. Nic się tam nie zmieniło. Te same niewielkie, piętrowe kamienice, chcące w części przypomnieć szyk warszawski, ta sama wysadzana drzewkami akacyi ulica, na których młodzież tutejsza powyrzynała scyzorykami swoje inicyały. A wszakże i on wyrzeźbił na jednym z nich, serce przekłute strzałą, swoje litery i swego ideału. Brała go jakaś dziecinna chęć zatrzymania dorożki i szukania na korze drzew śladów swojej pierwszej miłości.

Jechali główną ulicą miasta, zawieszoną jaskrawemi szyldami sklepowemi. Pusto było zupełnie. Niepogoda wszystkich spędziła do domu. Z daleka błyszczał tylko światłem lampy elektrycznej kinematograf, ogłaszający szumnie jakiś wspaniały dramat. Z wewnątrz dochodziły dźwięki muzyki, a przez otwarte okno klekot aparatu kinematograficznego.

W pięć minut później, wszedłszy po starych trzeszczących schodach na pierwszę piętro, dzwonił do mieszkania rodziców. Otworzyła mu matka, siwa jak gołąb staruszka i obrzuciwszy go podejrzliwym wzrokiem dobrych niebieskich oczów, zapytała się:

— A pan do kogo?

— To ja przecież mamusiu — zawołał Stanisław. Co było uciechy i wykrzykników radości.

— Myśleliśmy synku, żeś już o nas zapomniał. Nie mogłem matuchno, tyle zajęcia...

— Nie ma brzydalu żadnego tłómaczenia! Rodzice przedewszystkiem. Czy na długo przyjechałeś?

— Na jaki tydzień, dłużej żadną miarą pozostać nie mogę, trzeba ciągnąć dalej w pocie czoła swój kierat.

— Patrzaj go, jaki pracowity.

A stary ojciec mrużąc filuternie oko, zaczyna też ze swojej strony odpowiednie indagacye.

— Powiedz mi Stachu kiedy tam twoje weselisko.

— A czyż ja sobie mogę pozwolić na taki zbytek. Ja mizerny urzędniczyna z pensyą 500 marek miesięcznie wprowadzać do domu żonę? Toćbym jej nawet nie dał porządnego utrzymania.

— Zawracasz złotko głowę! Ja kiedy się żeniłem z twoją matką miałem 50 marek pensyi, no i jakoś wychowałem takiego basałyka jak ty.

— O, tak ale wtedy były inne czasy.

— Jak to inne... Zresztą dla chcącego niema nic niemożliwego. Chcesz dam ci dziewczynę piękną jak kwiat, a bogatą niby Związek Narodowy Polski.

— Jutro ojcze pogadamy o tem obszerniej, a dzisiaj dajcie mi się nacieszyć sobą. Tak dawno nie widzieliśmy się.

— Ma racyę chłopak — bierze go w obronę matka — ledwo przyjechał już go zamęczasz. Co ma wisieć nie utonie. Na żoneczkę zawsze masz czas. Chłopak ładniejszy od dyabła zawsze znajdzie piękną i bogatą dziewczynę. Pewnoś głodny biedaku.

Podsuwają mu najlepsze kąski. Dobrze mu między nimi. Czuje w ich każdem spojrzeniu słodką jakąś pieszczotę. W godzinę później wyprawiono go

spać do saloniku, gdzie mu posłano na staroświeckiej kanapie, na której zasiadali przed laty prałaci w pałacu biskupim zapijając stare wystałe węgierskie wino. Kanapa ta jakiemiś dziwnemi kolejami znalazła się w posiadaniu jego rodziców. Była wybita cała czerwonym adamaszkiem na drewnianych poręczach zaś wyrzeźbiono herby jej poprzednich właścicieli. Ze ścian pokoju patrzyły na niego z obrazów twarze dziadów jego ubranych w fioletowe fraki z koronkowemi żabotami u szyi. Na konsolce pod lustrem stał dawno już nie bijący swych godzin zegar porcelanowymi nań obrazkami, przedstawiającemi główne sceny z dni chwały i zwycięskich rapsodyi imperatora — cesarza Napoleona I.

Świeca na stole paliła się słabym migotliwym światłem, oświecając stare, wypłowiałe ze starości meble i albumy rozłożone symetrycznie na stole. Wziął jeden z nich do ręki przewrócił parę kartek. Żyjących pomiędzy podobiznami tam umieszczonemi już prawie że nie było. Zostali tylko nieliczni świadkowie wspólnych miłości, zawodów i rozczarowań — epigoni. I oni kochali, martwili się i pracowali walcząc o sławę. Miłość ich jednak nie zamarła, przeciwnie odrodziła się w młode pokolenie wybuchając jeszsze silniejszym płomieniem.

Poszedł dalej ku olbrzymiemu tremu, na którym były poustawiane przeróżne porcelanowe figurki. Między innemi zauważył chińczyka poruszającego za dotknięciem miarowo maleńką główką. Jakże go on znał dawno! Z tym chińczykiem łączyły go pewne wspólne wspomnienia. Miał zawsze wrażenie, że mu wyrządził krzywdę. Pamięta, że kiedyś w dzieciństwie, ten chińczyk miał pracowitą małżonkę, towarzyszkę wspólnych nudów wystawania na tremie — porcelanową chinkę. Pamięta, że kiedyś rozdokazywawszy się za bardzo, zrzucił łokciem statuetkę, która się rozbiła na drobne kawałki. Zadrżały wszystkie figurki gwałtownie, poruszył i chińczyk nerwowo głowę, a w oczach jego (tak mu się wówczas naturalnie zdawało) zabłysły łzy żalu, wylewane nad swoją towarzyszką. Od tej chwili patrzał na niego z pewnego rodzaju poszanowaniem.

Zaczął się powoli rozbierać kołysany ciszą rodzicielskiego domu, po chwili spał snem sprawiedliwego.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Na drugi dzień po śniadaniu wyszedł na miasto, poszedł na bulwary przespacerować się i tam spotkał się z dawno niewidzianym swoim kolegą Janem Jarockim, który pracował tutaj w jednej z instytucyi bankowych. Ucieszył się z tego bardzo.

— Co słychać Jasiu u Ciebie?

— Czy ja wiem... To ty raczej powinieneś opowiedzieć o sobie, przyjechałeś przecie z szerokiego świata, ze stołecznej Warszawy, gdzie wre szampańskie życie.

Stanisław, skrzywiwszy się, machnął pogardliwie ręką.

— To ci się zdaje mój drogi. To piękne czego się z bliska nie widzi. I ta cudowna Warszawa ma tyle nieciekawych rzeczy, o których nie warto opowiadać. A zresztą cóż nowego. Te same rozczarowania, zdrady małżeńskie, te same kłamstwa. To wszystko takie nieciekawe. Ot najlepszy przykład teraz masz na naszym wspólnym przyjacielu Zygmuncie Sawickim.

— Na Zygmuncie, a ten coś tam nowego namalował zapewne.

— A Bóg go jeden raczy wiedzieć. Zakochał się, a teraz od pewnego czasu coś między nimi pokrzyżowało i zerwali ze sobą, a Zygmunt chodzi jak błędny, nie je, nie pije, tak, że doprawdy jestem o niego niespokojny.

Et, nic mu się nie stanie! Zapomni, przeboleje.

— Tak ci się tylko zdaje, lecz ja Zygmunta już znam od dawna i bliżej się z nim żyłem wiem przeta, że tak łatwo sobie z głowy nie wybije. Jest przytem uparty i co postanowi to zawsze spełni. Wczoraj, gdym wracał w wagonie w poszumie jesiennego wiatru dziwnie niepokojące myśli czepiały się mej głowy.

— A ja widzę — przerwał mu Jarocki — że ty jesteś porządnie zdenerwowany, jak stara baba. Jakieś ciągłe przypuszczenia i przewidywania. Trzeba przecież patrzeć na wszystko bardziej przez różowe szkiełka.

— Nie dziw się mój drogi temu, wszak i ja żyjąc w ciągłej tej nerwowej atmosferze, staję się sam przeczulonym. O gdzież się podział ten dawny mój hart życia.

Chodzili jeszcze z godzinę po bulwarach przyjacielsko rozmawiając, później zachodząc do cukierni na czarną kawę, której wypili po parę filiżanek.

Wieczorem znów znalazł się Stanisław w kółku swej najbliższej rodziny, gdzie czuł się jak w raju. W godzinę później, ucałowany serdecznie przez rodziców, jak za dawnych dobrych dziecinnych czasów został odprowadzony do saloniku, w którym poprzednio nocował i powoli zaczął się rozbierać.

Świeca, postawiona na stole paliła się migotliwem światłem w blasku którego ujrzał coś strasznego. Sam nie wiedział co o tem sądzić. Byłaż to rozigrana wyobraźnia, pobudzona słabemi nerwami.

To co zobaczył krew mu zmroziło w żyłach i poczuł, że nogi pod wpływem szalonego paroksyzmu strachu uginały mu się do ziemi. Na fotelu, stojącym w przeciwległym kącie pokoju, zobaczył rozłożonego w bieliźnie — tylko sine i bezwładne ciało Zygmunta. Ze skroni sączył się wąski strumyczek krwi, a kurczowo zaciśnięta ręka trzymała rewolwer. Nowicki wzdrygnął się nerwowo przetarłszy mimowoli oczy.

A widmo zniknęło rozpływając się niby mgła w mroku pokoju.

O spaniu nie mogło być mowy. Zapalił drżącemi rękami jeszcze dwie świece i chodził nerwowo po pokoju, bojąc się za siebie obejrzeć. Czuł, że gdyby to uczynił, zobaczyłby jeszcze coś, samą tajemnicę jego życia.

Wśród ciszy nocy od drzwi wchodowych rozległ się dzwonek. Zaintrygowany poszedł otworzyć przyświecając sobie świecą.

Na progu mieszkania stał wybladły i wylękły kolega jego z którym spędził w rodzinnym mieście ubiegły dzień na pogawędce.

— Co się stało zapytał zatrwożony.

— Wiesz głupia historya. Przyszedłem ciebie prosić, abyś mnie przenocował. Wiesz... nie chcę cię straszyć, gdyż i tak byś mi nie uwierzył... Widziałem Zygmunta.

— Jak to Zygmunta?

— Tak leżał rozciągnięty na fotelu w naszym salonie, siny, blady, z przestrzeloną skronią.

Nowicki zbladł patrząc szeroko otworzonemi oczami na Jana, który zauważywszy grę jego twarzy, zapytał trwożnie:

— Co ci się stało... Mów żywo...

— Wiesz Jasiu dziwne i straszne to wszystko a niepojęte, ja go w tej pozie przed chwilą widziałem..

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Na drugi dzień Stanisław otrzymał depeszę tej treści.

— Zygmunt się zastrzelił. Pogrzeb we środę. Zaraz przyjeżdżać.

Przeczytawszy osunął się osłabiony na krzesło.

O PIELĘGNOWANIU CIAŁA.

Jak cię widzą tak cię piszą, powiada przysłowie polskie. I słusznie, jeżeli człowiek nie dba, ażeby wyglądał czysto i porządnie, jeżeli chodzi w ubraniu brudnem lub podartem, jeżeli nie uważa za potrzebne mieć czystą bieliznę i chodzi brudno, każdy powie, że taki człowiek i wewnątrz nie będzie wiele wart. Niechaj więc każdy stara się o czystość ciała i porządek, a tem większe mniemanie będą mieć ludzie o nim.

Zewnętrzność człowieka pokazuje także stan zdrowia. Mieszkańcy miast mają twarz bladą, często żółtą, bo mało oddychają czystem i zdrowem powietrzem, mało są na świeżem powietrzu i mało mają ruchu. Człowieka zdrowego już po twarzy poznać, bo czerstwo, rumiano i zdrowo wygląda. Chory a zwłaszcza gdy jeść nie może, w twarzy ma chorobę wypisaną, bo zwykle wychudłą, bladą i zwiędłą ma twarz.

A zatem twarz, albo skóra człowieka pokazuje czy wnętrze człowieka jest zdrowe. Im człowiek jest zdrowszy wewnątrz, tem zdrowszą ma skórę. I na odwrót! Jeżeli skóra człowieka chora, wnętrze ciała człowieka, prędzej czy później chorować zacznie. Dlatego ważnem zadaniem jest dla każdego, ażeby się starał i pielęgnował swą skórę.

Skóra nasza trzyma ciało mocno, jak wór, zawiązany trzyma to, co jest w nim. Im zdrowszą jest skóra nasza, tem jest mocniejsza i grubsza i tak mocno na ciele naszem spoczywa, że żadnej fałdy nigdzie nie widać. U ludzi zaś chorych, mianowicie takich, którzy jeść nie mogą i osłabli z powodu choroby, albo u ludzi mających wiele kłopotów i trosk, albo u ludzi starych, skóra nie przylega tak mocno do ciała i pokazuje wiele fałd.

Skóra nasza przytrzymuje mocno wewnętrzne części człowieka. Pamiętajmy jednak, że skóra ma jeszcze o wiele ważniejsze zadanie, o od skóry zależy ciepło ciała naszego. Niechaj nikt nie myśli, że skóra człowieka jest kawałem płótna lub sukna, w którem wcale nie ma żadnego życia. Skóra człowieka ma w sobie pełno żyłek, krwią napełnionych. Im więcej krwi do skóry napływa, tem skóra więcej jest czerwoną, im mniej zaś jest w niej krwi, tem bledszą skóra wygląda.

Oprócz tego znajdują się w skórze liczne gruczołki potne, które mają otwór na powierzchni skóry.

Jeżeli się dokładniej skórze naszej przyjrzymy, możemy w niej spostrzedz pełno małych i delikatnych otworków (dziurek), w których się w spodzie znajdują gruczołki potne. Obrachowano, że skóra dorosłego człowieka ma dwa miliony takich gruczołków potnych. Najwięcej ich mamy na rękach i nogach. W gruczołkach tych potnych tworzy się pot, który dziurkami w skórze wychodzi na wierzch. Dziurkami więc temi wychodzi z ciała naszego woda, a wychodzi ciągle jako para, której nie widzimy. Jeżeli człowiek ciężko pracuje albo bardzo się grzeje, wychodzi tyle wody z człowieka, że na skórze wodę tę widzimy jako krople. Mówimy wtedy, że człowiek się poci.

Myliłby się ten, coby myślał, że skórą sama woda wychodzi. Uczeni wykazali, że w pocie są różne trucizny i niezdrowe części zawarte. Skórą więc i potem wychodzą z ciała różne niezdrowe części i trucizny, które szkodzą zdrowiu naszemu.

Wykazały to doświadczenia na zwierzętach. Oto skórę zwierząt posmarowano grubo pokostem, ażeby zatkać wszystkie dziurki w skórze. Zwierzęta takie po kilku dniach zdychały.

To samo widzimy u człowieka przy oparzeniu skóry. Wiemy bowiem, że jeżeli sobie człowiek sparzy skórę, tworzą się bąble i schodzi skóra wierzchnia. Lekarze więc doświadczyli u chorych, że człowiek umiera, jeżeli połowa ciała sparzona, a więc gdy połowa skóry człowieka zmarnowana.

Widzimy stąd, jak ważną częścią ciała jest skóra, i dlatego obowiązkiem naszym, jeżeli chcemy zachować sobie zdrowie, dbać o to, ażeby skóra była zdrową.

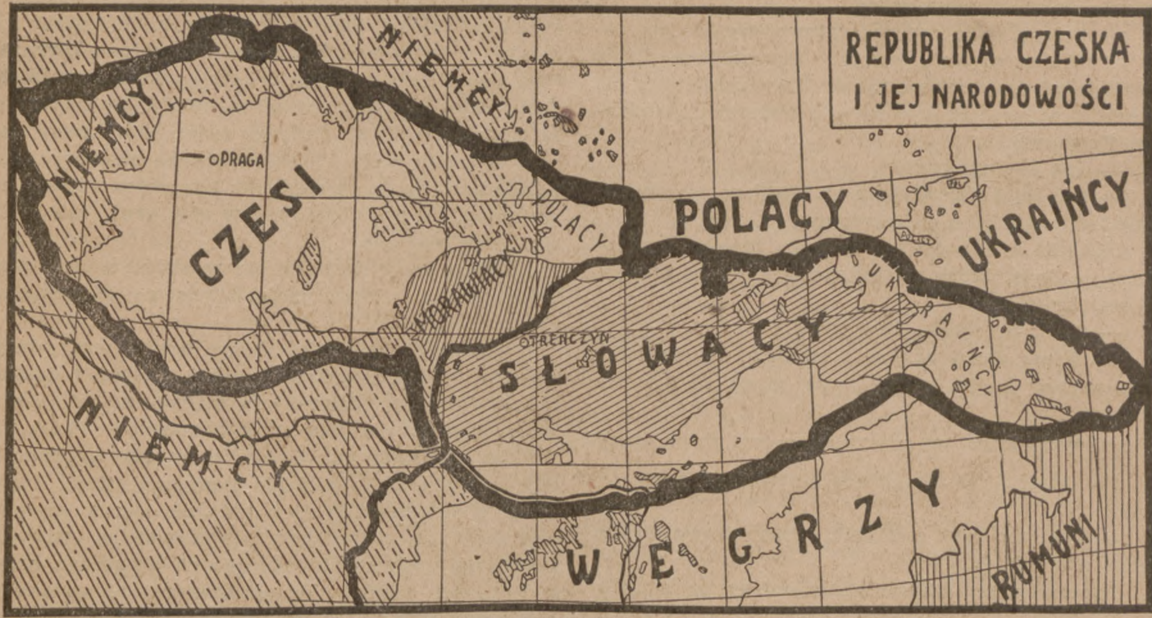
Utrzymanie czystości skóry, częste kąpiele, wycierania, oraz ćwiczenia gimnastyczne przyczyniają się niezmiernie do utrzymania zdrowia i giętkości naszej skóry, a przez to do zdrowia ogólnego.

Człowiek nierozumny często życie dla pieniędzy naraża, a gdy życiu grozi niebezpieczeństwo, to, dałby wszystkie skarby by je uratować.

BEZINTERESOWNY

Panie Geldmacher, proszę o rękę pańskiej córki — o posag mi nie idzie. O ile będzie miała 50.000, to o tyle więcej wszystko mi jedno.

Czecho-Słowacy.



Mapa narodowościowa państwa Czecho-Słowackiego.

Nowopowstała Czecho-Słowacya zawiera pięć i ćwierć miliona Czechów, trzy i pół miliona Niemców, pół miliona Morawian, milion sześćset pięćdziesiąt tysięcy Węgrów, blisko pół miliona Rusinów, i sto trzydzieści tysięcy Polaków.

Z wykazu liczb tych widać, iż w państwie tem Czesi są w mniejszości. Trzeba bowiem wiedzieć, że Słowacy dążą do zupełnej niepodległości, lub w ostateczności wolą sojusz z Węgrami. Słowacy są przeciwnikami Czechów, gdyż chodzi im o utrzymanie narodowej i kulturalnej odrębności. Czesi zaś chcą Słowakom narzucić swoje obyczaje, swój język, swoje szkolnictwo.

Rusini zakarpaccy również niezupełnie są zadowoleni z czeskiego panowania. Węgrzy zaś napewno przy pierwszej sposobności podniosą walkę o połączenie się z macierzą. Polska ludność ciąży wyraźnie ku Warszawie. Jeżeli jeszcze Niemcy pójdą przeciw tendencyom wielko-czeskim — to dziewięć milionów ludności obcej etnograficznie, stanie przeciw pięciu milionom Czechów. Z racyi tej już teraz Czesi usilnie zabiegają o wyrównanie sprawy niemieckiej w ramach swojego państwa, by w ten sposób stworzyć sobie możność pokojowego współżycia. Niemiecka Austrya zaś ze swojej strony czyni zabiegi, by uregulować stosunki między Wiedniem i Pragą. W ten sposób ma powstać "Blok—republik środka Europy."

Nowe państwo Czecho-Słowackie, oprócz narodowościowych walk, nosi w łonie swoim również mocne przeciwieństwa klasowe.

PIEŚŃ ŻAŁOBNA.

(Podług poematu Kasprowicza „Podzwonne".)

Któż im przymkał powieki,
By poszli w odmęt daleki,
Wszystko gdzieś chłonącej rzeki?
  Już paszcza ziemi niesyta
  Krwią przepełniła jelita!...
  O dalszą karm się nie pyta,
Odchodzą w nieznane strony,
Ni siostry, ni lubej żony,
W tej chwili niewyprzedzonej.
  Dajże im o groźny Panie,
  Wieczne już odpoczywanie,
  A wolność niech ze krwi wstanie!...

A ci co zaznawszy znoju,
Legli na wieki w tym boju,
Niech spoczywają w pokoju...
  Pokładłeś ich Panie Boże
  Żaden już powstać nie może
  Na tym skrwawionym ugorze.
Skosiłeś ich ostrą kosą —
I już głów swych nie podniosą,
Tą krwawą obmytych rosą.
  W żołnierskiej szarej odzieży,
  We krwi ukąpany świeżej,
  Hufiec tu przy hufcu leży.

Lud Amerykański.

Podczas minionej wojny, oczy całego świata zwrócone były na Amerykę, od której, jak się przekonaliśmy, zależały w rzeczywistości losy wielu narodów. A chociaż tak wiele niejeden czytał o Ameryce, a bardzo wielu Polaków zamieszkuje od dawna, to przecież nie każdy zna tę Amerykę dokładnie i nie wie, kto w niej mieszka. Jest ona bowiem tak obszerna, że na zwiedzenie jej dokładne i na zapoznanie się ze wszystkiem lat by potrzeba. Dlatego też chcemy tutaj przypomnieć naszym czytelnikom pokrótce, jakie ludy zamieszkują ją dzisiaj i jakimi językami mówią.

Najogólniejszy podział ludności Ameryki jest na pierwotnych i przybyszów. Od pierwotnych Amerykanów, zwanych Indyanami, oddzialić należy Eskimosów, zamieszkujących wybrzeża Grenlandyi, których nazwa "Eskimo" znaczy po indyjsku "zjadacz ryb".

Właściwi Indyanie amerykańscy dzielą się na mnóstwo plemion, z których każde rozpada się na drobniejsze szczepy, różniące się tylko dyalektem i obyczajami. Niekiedy jednak bywa inny podział w użyciu, a mianowicie, na odznaczające się kulturą ludy peruwiańskie i meksykańskie, oraz na ludy łowieckie pozostałych części.

Jakkolwiek badania pod tym względem nie są jeszcze w zupełności ukończone, to to, co do dziśdnia zostało zbadanem, da się ująć, jak następuje:

Na zachodnim wybrzeżu północnej Ameryki mieszkają **Tlinkici** albo **Kolosze,** a dalej na wschód nad brzegami rzeki Mackensie **Tinnowie,** którzy bardzo szybko topnieją. Na południowy wschód od nich, rozsiedlili się **Algonkinowie,** którzy otoczyli, jakby kołem **Irokesów.** Dalej na południe aż do zatoki meksykańskiej mieszkają kolejno **Dakoci, Pawnie** i **Maskoki.** Do dalszych ludów należą **Oregonowie, Indyanie kalifornijscy, Sonorowie i Soszoni, Mayowie, Misztekowie, Tonotakowie, Talamankowie, Kuewowie, Arawowie, Karybowie, Tupinambowie, Czybszowie** i wiele jeszcze innych, których wyliczanie nazwisk uważamy za bezcelowe.

Jako ogniwo między Indyanami amerykańskimi a przybyszami wytworzyła się z biegiem czasu kategorya mieszańców, przyczem godnym jest uwagi fakt, że proces krzyżowania ras najsilniej przejawia się w krajach międzyzwrotnikowych i słabnie w miarę oddalania się ku chłodniejszym okolicom, niknąc prawie zupełnie na dalekiej północy i na południowym cyplu.

Ustalenie liczby Indyan, jak i mieszańców, jest z natury rzeczy niemożliwe, wchodzą tu bowiem w grę czynniki, które wymykają się z pod badania statystycznego. Właściwością wszystkich mieszańców jest, że się przyznają tylko do rasy białej, wypierając się z oburzeniem pochodzenia od kolorowych przodków i to jest jednym z powodów, dla których ścisłe badanie a choćby nawet przybliżone, staje się bardzo trudnem.

Z krzyżowania różnych ras powstają różne rodzaje mieszańców. Potomkowie białych i Indyan noszą ogólną nazwę mesticów (mestize-mieszanice); zaś dzieci zrodzone z Murzynów i białych zowią się mulatami. Nakoniec dzieci Indyan i Negrów, noszą nazwę zambes; znajdują się oni przeważnie w południowej Ameryce. Dzieci rodziców białych, urodzone w krajach romańskich, tj. w Ameryce południowej, środkowej, Meksyku i na Antylach, niemniej w południowej części Stanów Zjednoczonych, noszą nazwę kreolów.

Między ludnością, przybyłą do Ameryki pierwsze miejsce należy się pod każdym względem szczepowi indo-europejskiemu, ten zaś reprezentowanym jest przeważnie przez rasę germańską i romańską. Romański pierwiastek jest prawie wyłącznym w Ameryce środkowej, aż do rzeki Rio del Norte i półwyspu kalifornijskiego włącznie, oraz w Ameryce południowej. Z ludów romańskich Portugalczycy zajęli Brazylię, zaś resztę olbrzymiej przestrzeni zajęli Hiszpanie, tworząc samodzielne państwa, gdy tymczasem najliczniejsi po tych narodach Francuzi, potężni niegdyś i tylko od swej europejskiej ojczyzny zawiśli, a dziś z małymi wyjątkami innym państwom podlegli, zamieszkują głównie Kanadę. Włoscy emigranci kierują się głównie do Argentyny i ziem okolicznych.

Lecz jakkolwiek rasa romańska jest liczna i na rozległych obszarach rozsiana, daleko jednak większe zdobyła sobie znaczenie i donioślejszy zapewniła byt rasa germańska. Panujące stanowisko zajęli tu Anglicy w Ameryce północnej. Energią, przedsiębiorczością, praktycznem pojmowaniem życia i jego potrzeb, wytrwałością w pracy, wreszcie liczebnością, przewyższają oni wszystkich europejskich kolonistów; asymilacyjną zaś siłą wchłaniają w siebie z taką szybkością wszystkie narody, że już drugie pokolenie, jeżeli nie z języka, to przynajmniej z ducha i z obyczajów, za angielskie, albo ściślej za anglo-amerykańskie uważać należy. Język ich, licznemi wprawdzie naleciałościami nieco skażony,

jest językiem powszechnym na całem, przez nich zajętem terytoryum; znać go musi każdy, kto własnego intresu na szwank narazić nie chce.

W przeciwstawieniu do szczerze katolickiej ludności romańskiej panuje tu najzupełniejsza swoboda religijna. Dlatego też rzadko można gdzie spotkać tyle sekt, co tutaj. Są tu metodyści, baptyści, presbyteryanie, kongregacyoniści i wiele, wiele innych sekt, co jednak nie przeszkadza, że ogół ludności jest dość religijny.

Obok Anglików najliczniejsi są Niemcy, głównie w północno-wschodnich częściach Stanów Zjednoczonych, w południowej Brazylii i w Chile.

Holendrzy, Szwedzi i Duńczycy trzymają się głównie okolic północno wschodnich, przyczem pierwsi byli pionierami cywilizacyi europejskiej w okolicach Nowego Yorku, drudzy w Grenlandyi.

Narody słowiańskie dostarczyły Ameryce mniejszej ilości stałych przybyszów; większość bowiem to emigranci, przyjeżdżający tu na pewien czas dla zarobku. Są jednak kolonie czysto polskie, czeskie, serbskie, rosyjskie i t. p., a również i po miastach znajduje się większa liczba Słowian. Np. w samem Chticago liczą do 400,000 Polaków. W Ameryce południowej mieszkają Polacy w większej ilości w mniej więcej zbitej masie w Paranie, którą dlatego nazywają nawet Nową Polską.

Drugie miejsce w rzędzie ras, do Ameryki przybyłych, należy się Negrom, których udział w rozwoju rolniczym i wogóle ekonomicznym Ameryki jest niewątpliwie bardzo wielkiej doniosłości. Pierwsi zdobywcy Ameryki, nie znalazłszy w tuziemcach ani zamiłowania do uprawy roli, ani odpowiedniej ku temu wytrwałości i siły, ani wreszcie dobrej woli i jakiej takiej znajomości rzeczy, umyślili sprowadzić z Afryki Murzynów, którzy, z natury wytrwali, w gorącym klimacie zahartowani, zdawali się być najpodatniejszym materyałem ku temu celowi. Jednocześnie z przybyciem Murzynów rozpoczyna się uprawa ziemi; uprawa bawełny zajmuje szerokie przestrzenie, w ślad za tem powstają plantacye trzciny cukrowej, indygo, tytoniu; sprowadzona ze starego świata kawa przyjmuje się znakomicie na gruntach Brazylii; corocznie przybywają pod pług nowe obszary dla pszenicy, kukurydzy i traw pastewnych, wreszcie rozszerza się uprawa krzewów rodzimych, jak wanilia, kakao i t. d.

Z przybywającymi w coraz to większej liczbie Europejczykami i zajmowaniem przez nich coraz to większych obszarów wzrasta przywóz niewolników, którzy i bez tego mnożą się dość szybko; ludność biała ma w nich dzielnych pracowników, zażywa dobrobytu, prowadząc zyskowny handel z Europą. Ale okrutne, nieludzkie obchodzenie się z niewolnikami, wywołane już to wrodzonym do nich wstrętem, już też obawą przed ich liczebnością, stanowi ciemną stronę tego obrazu. Mimo gorących nawoływań i przestróg szlachetniejszych umysłów, nie ustawały udręczenia Murzynów, którzy, doprowadzeni do ostateczności, buntowali się nieraz, by za obronę własną przed gwałtem srogo potem odpokutować. Dziś w całej Ameryce niewolnictwo jest już zniesione, choć nie bez wielkich trudności i rozlewu krwi, a ludność murzyńska używa wszędzie praw na równi z białymi obywatelami.

Nagłe jednak oswobodzenie Murzynów nie wydało pożądanych owoców, okazało się bowiem, że nie dorośli oni jeszcze do możności umiejętnego korzystania z udzielonych sobie praw, a jako niewyrobieni politycznie i niedość samodzielni, stawali się nieraz prostemi narzędziami w ręku politycznych partyi. Z drugiej strony ziemia, pozbawiona rąk pracy, popadła w zaniedbanie, a co za tem poszło, poziom rolnictwa począł się szybko obniżać.

Dla zaradzenia wynikającemu stąd brakowi rąk roboczych sprowadzono robotników z Indostanu, tak zwanych kulisów, którzy na wyspach Antyllskich, w Guajanie, w Wenezueli, oraz w niektórych częściach Ameryki południowej i środkowej okazali się wytrzymałymi na warunki klimatyczne i sumiennymi pracownikami.

Co się tyczy Chińczyków, ci przedewszystkiem licznie występują w części zachodniej Stanów Zjednoczonych nad oceanem Spokojnym, a mianowicie w Kaliforni, Oregonie, Idaho, Nowadzie, Arizonie i t. d., mniej daleko w Meksyku, na Antyllach i w Ameryce południowej. Chińczyków nie można uważać za korzystny dla Ameryki nabytek, bo jakkolwiek są bardzo pracowici, oszczędni i na małej poprzestający zapłacie, to jednak nie osiedlają się prawie nigdy na stałe, lecz uzbierawszy zapas grosza, wracają do swej ojczyzny.

Nakoniec w rzędzie przybyszów nie można pominąć żydów, którzy skupiają się przedewszystkiem w większych miastach, gdzie trudnią się, zresztą jak wszędzie, w pierwszym rzędzie handlem.

Cała Ameryka dzieli się na szereg mniejszych, lub większych republik; niema tam więc ani jednego cesarstwa, królestwa lub księstwa. Większą część północnej Ameryki zajmują Stany Zjednoczone północnej Ameryki, środkową Meksyk, południową liczne republiki, w których przeważa żywioł romański. Każda z republik ma własnego prezydenta, własną konstytucyę i własny rząd, a wszystko w wysokim stopniu demokratyczne, czem wyprzedziła Ameryka znacznie starą Europę.

ŚMIECH I ŻART.

By wynieść z pól zwycięstwo,
Trza naprzód rwać jak chart;
Trzeba mieć w duszy męstwo,
Na ustach śmiech i żart.

— — — — — — — — —

Więc naprzód z pieśnią zuchu,
A smutki jechał sęk!
Ma człek gnić z dziurą w brzuchu,
Lepiej by z śmiechu pękł!

Bolesław Wieniawa.

Słowniczek ważniejszych wyrażeń handlowych.

a (po cenach towaru)	— Po
A conto	— Na poczet
Administracya	— Zarząd
Adnotacya	— Uwaga, dopisek
Adresat	— Odbierający
Adresant	— Wysyłający
Ajent	— Pośrednik
a jour	— Wykończone w porządku, bez zaległości
Akcept	— Weksel przyznany, lub zatwierdzony
Akceptować	— Przyjmować, uznawać
Akcya	— Papier, stwierdzający udział w przedsiębiorstwie
Aklamacya	— Obwołanie
Akredytywa	— Dokument, otwierający kredyt
Aktywa	— Stan czynny majątku
Akwizacya	— Pozyskiwanie zamówień
Aliaż	— Przymieszka nieszlachetnych metali do szlachetnych
Alonż	— Papier doklejony do weksla dla podpisu
Al pari	— Narówni
Ambalaż	— Opakowanie
Amortyzacya	— Umarzanie
Aneks	— Załącznik
Angażować	— Zamawiać, obsadzać (na posadzie)
Ankieta	— Wywiad piśmienny
Anno currente	— W roku bieżącym
Anonimowy	— Bezimienny
Anons	— Ogłoszenie
Anszlag	— Kosztorys
Antedatować	— Napisać czas wcześniejszy
Antreprener	— Przedsiębiorca
Antrepryza	— Przedsiębiorstwo
Anulować	— Unieważnić
Assekuracya	— Ubezpieczenie
Asygnacya	— Polecenie wypłaty
Aukcya	— Licytacya
Ausschuss	— Brak (towar wybrakowany)
Avis	— Zawiadomienie
A vista	— Za okazaniem, za zażądaniem
Awans	— Posunięcie się naprzód, zaliczka
Ażio	— Nadwyżka kursu nad normalną wartość papieru
Oddać "na bagaż"	— Towar wysłany pociągiem osobowym
Balotowanie	— Głosowanie
Banderola	— Opaska
Banknot	— Pieniądz papierowy
Bankructwo	— Upadłość — niewypłacalność z winy kupca
Bessa	— Zniżka
Bilans	— Porównanie stanu rachunków majątkowych
Bilon	— Pieniądz zdawkowy
Biuletyn	— Sprawozdanie
in blanco	— Bez oznaczenia sumy
Bon	— Kwitek za należność
Bonifikacya	— Ustępstwo
Branża	— Gałąź działu handlu
Buchalterya	— Książkowość w przedsiębiorstwie
Budżet	— Rozkład dochodów i wydatków
Cedent	— Ustępujący z prawa wekslu
Cedować	— Ustępować z prawa wekslu
Certyfikat	— Świadectwo
Cesya	— Ustąpienie z prawa wekslu
Circa	— Około
C-o, C-nie, Comp.	— Spółka
Conto corrento	— Rachunek bieżący
Credit	— Ma (w znaczeniu, używanem w książkowości)
Curriculum vitae	— Życiorys
Cyrkularz	— Okólnik
Damno	— Prowizya od wekslu za płatność w miejscowościach bez banku
Debet	— Winien (w znaczeniu, używanem w książkowości)
Debitor	— Dłużnik
De calculo	— Sprawdzić rachunek
Deces	— Niedobór, brak
Decymalny	— Dzisiętny
Defekt	— Wada, brak
Deficyt	— Niedobór
Deklaracya	— Oznajmienie
Delcredere	— Przyjęcie odpowiedzialności
Demonetyzacya	— Wycofanie pieniędzy z obiegu
Deponować	— Składać
Depot	— Skład
Deprecyacya	— Obniżenie wartości, niedowartościowanie
Detaliczny	— Drobiazgowy
Detalista	— Sprzedawca cząstkowy
Dewizy	— Weksle na inne miejscowości
Directe	— Wprost
Ditto	— Również, to samo
Dyeta	— Płaca dzienna
Dyetaryusz	— Płatny dziennie
Domicyl	— Miejsce płatności
Duplikat	— Drugi okaz, wtórnik
Dyferencya	— Różnica
Dyskonto	— Potrącenie procentu z wekslu
Dyskonter	— Skupujący
Dyskredytować	— Obniżać wartość
Dysponent	— Zarządzający
Dysponować	— Rozporządzić
Dywidenda	— Dochód od akcyi
Efekty	— Papiery publiczne
Ekspedyent	— Sprzedawca w sklepie
Ekspedyować	— Wysyłać
Ekspedytor	— Wysyłający
Ekspens	— Wydatek
Ekspert	— Biegły
Ekspertyza	— Rzeczoznawstwo
Ekspiracya	— Upływ terminu
Eksploatacya	— Ciągnienie korzyści
Eksponat	— Okaz na wystawie
Eksponent	— Wystawca
Eksporter	— Kupiec sprzedający towar za granicę
Ekspozycya	— Wystawa, pokaz
Ekspress	— Umyślny (posłaniec), pośpieszny pociąg
Ekwiwalent	— Równoważnik
En bloc	— Ogółem, ryczałtem
En gros	— Ryczałtem
En masse	— Ogółem, w wielkiej ilości
Et caetera	— I tak dalej, i inne
Ewentualność	— Możliwość
Ewikcya	— Rękojmia, zapewnienie
Extra	— Umyślnie
Fac-simile	— Podobizna, odbitka
Faktura	— Rachunek
Falsyfikat	— Przedmiot podrobiony
Fikcyjny	— Urojony, nierzeczywisty, zmyślony
Finansować	— Pieniężyć, dostarczać środków pieniężnych
Firma	— Nazwa przedsiębiorstwa
Fixe	— Stały, oznaczony
Fluktuacya	— Wahanie
Folio	— Stronica
Formularz	— Wzór
Forszus	— Zaliczenie, zaliczka
Fracht	— Dowód przewozowy
Franco	— Opłacony
Frankować	— Opłacać
Funkcyonaryusz	— Pracownik, wykonawca
Gaża	— Płaca
Giełda	— Instytucya handlowa dla dokonywania operacyi handlowych i wekslowych
Gratis	— Darmo, bezpłatnie
Gratyfikacya	— Wynagrodzenie dodatkowe
Gremialnie	— Łącznie, razem, wspólnie
Gremium	— Grono
Gwarancya	— Rękojmia, poręczenie
Hiperprodukcya	— Nadwytwórczość, nadprodukcya
Honoraryum	— Wynadgrodzenie
Honorować weksel	— Uznawać, przyjąć

Hurt — Ryczałt
Hurtem — Ryczałtowo
Hurtownik — Kupiec, sprzedający drobnym kupcom

Identyczny — Jednakowy, taki sam
Import — Dowóz towarów z zagranicy
Inauguracya — Otwarcie
Indos — Ustąpienie praw z wekslu
Indosant — Ustępca
Indosat — Przyjmujący
Industria — Przemysł
In extenso — W całej rozciągłości
Informacya — Objaśnienie
Inicyator — Początkodawca
Inicyatywa — Zapoczątkowanie
Inkasent — Poborca należności
Inkaso — Pobór należności
Inkasować — Pobierać należność
Inserat — Ogłoszenie handlowe
Instalacya — Wprowadzenie
Instrukcya — Wskazanie
Instytucya — Zakład, urząd
Intendent — Zawiadowca
Intensywny — Wydajny
Interwencya — Pośrednictwo
Intrata — Dochód

Kalkulacya — Wyliczanie kosztów towaru razem z [cłem, przewozem itd.
Kapitalizować — Spieniężać
Kapitał (złoż. na opr.) — Wkład
Kapitał (w znaczeniu ekon.) — Zasób, majątek
Kartel — Związek
Katalog — Spis, cennik towarów
Kaucyą — Zabezpieczenie
Klient — Odbiorca
Klientela — Odbiorcy
Kolacyonować — Sprawdzać
Kolekcya — Zbiór
Kolporter — Roznosiciel
Komandytowy interes — Spółka bezimienna
Komandytowy spólnik — Nieujawniony spólnik
Komercya — Handel
Komisyoner — Pośrednik
Komis — Polecenie wykonania jakiejś czynno- [ści handlowej
Komitent — Zleceniodawca
Komiwojażer — Patrz: wojażer
Kompania — Spółka, towarzystwo
Kompensata — Zrównoważenie wzajemnych należności
Kompetencya — Znajomość rzeczy
Komplet — Zbiór
Kompromis — Układ polubowny
Komunikat — Odezwa, zawiadomienie
Koncesya — Przywilej
Konkurent — Spółzawodnik
Konkurs — Zawody, spółubieganie się
Konosament — List przewozowy wodny
Konsens — Przywilej
Konsolidować — Łączyć
Konsorcyum — Towarzystwo, spółka
Konsumacya — Spożycie, użycie, spotrzebowanie
Konsument — Spożywca
Konsygnacya — Wykaz towarów
Kontrahent — Zawierający umowę
Kontakt — Styczność, łączność
Kontrakt — Umowa piśmienna
Kontrybuent — Płatnik
Konwencya — Układ, porozumienie
Konwenjować — Dogadzać, odpowiadać
Konwersya — Zamiana
Kooperacya — Spółdzielczość
Kooptacya — Dobranie
Koordynacya — Podporządkowanie
Korporacya — Stowarzyszenie, zgromadzenie
Kryzys — Przesilenie
Kulminacyjny — Szczytowy, najwyższy
Kundman, kostjumer — Odbiorca
Kupon — Odcinek papieru procentowego
Kuratela — Opieka prawna
Kurenda — Okólnik
Kurscetel — Ceduła giełdowa
Kwalifikacya — Uzdolnienie, dane
Kwestyonaryusz — Zbiór pytań

Legalizacya — Poświadczenie, uprawomocnienie
Legalny — Prawny
Legat — Zapis
Legataryusz — Obdarowany zapisem
Licytacya — Sprzedaż publiczna
Licytant — Stający do sprzedaży
Liferant, Liwerant — Dostawca
Liga — Związek
Likwidacya — Rozliczenie ostateczne przy zwijaniu [interesu
Limit — Ograniczenie
Liwerunek — Dostawca
Loco — W miejscu
Lokalizować — Umiejscowiać, ograniczać
Lokalny — Miejscowy
Lokata — Umieszczenie
Lokować — Umieszczać
Lombard — Zakład zastawniczy, (pfandszap).

Malwersacya — Nadużycie
Manco — Brak, niedobór
Mandant — Mocodawca
Mandat — Pełnomocnictwo
Mandataryusz — Pełnomocnik
Manufaktura — Wyroby z tkanin bawełnianych
Manuskrypt — Rękopis
Masa konkursowa — Majątek upadłego kupca
Meta, lub a meta — Do spółki
Metrologia — Nauka o miarach i wagach
Minimalny — Najmniejszy
Mobilia — Ruchomość
Modyfikacya — Zmiana
Moneta — Pieniądz kruszcowy
Monitować — Upominać, przypomnieć
Monitum — Napomnienie
Monopol — Wyłączność
Moratoryum — Termin przedłużony kupcowi upadłemu do uregulowania długów

Nachnahme — Zaliczenie kolejowe, pocztowe (C.O.D.)
Nawigacya — Żegluga
Netto — Czysty zysk, waga
Neutralność — Bezstronność
Nomenklatura — Zbiór nazw
Nominacya — Mianowanie
Non plus ultra — Najwyższy, nic lepszego

Oblig — Zobowiązanie
Obligacya — Dowód zobowiązania
Obligo — Zadłużenie
Obstalunek — Zamówienie
Obwoluta — Okładka, opakowanie
On call — Na żądanie
Organizacya — Ustrój
Organizator — Urządzający
Oryginał — Pierwowzór
Ostentacya — Wystawność

Pagina — Stronica
Pasywa — Stan bierny majątku
Patent — Świadectwo, przywilej
Per cassa — Zagotówkę
Petent — Proszący
Plenipotencya — Pełnomocnictwo, upoważnienie
Polisa — Dowód ubezpieczeniowy
Plus — Więcej
Porto, portorium — Opłata pocztowa
Post-scriptum — Dopisek
Poste-restante — Do żądania
Preisskurant — Cennik
Premium — Nagroda, dodatek
Procent — Odsetka od kapitału
Producent — Wytwórca
Produkcya — Wytwórczość
Produkt — Wyrób, wytwór, przetwór, płód
Profiks — Zapłata przed czasem
Pro forma — Dla pozoru
Prokura — Pełnomocnictwo
Prokurent — Pełnomocnik
Prolongata — Odroczenie
Pro mille — Jedna tysiączna
Prospekt — Zapowiedź
Protest wekslowy — Akt rejentalny o niezapłaceniu
Protokół — Sprawozdanie
Pro ultimo — W ostatnim dniu miesiąca
Prowizya — Wynagrodzenie za pośrednictwo
Pryncyp — Zasada
Pryncypał — Zwierzchnik

Rabat — Ustępstwo
Raport — Wykaz, oznajmienie
Ratyfikacya — Zatwierdzenie
Realizacya — Spieniężenie
Realizować — Urzeczywistniać, ziszczać
Redukcya — Zmniejszenie
Redyskontować, (reeskontować) — Weksle przyjęte do dyskonta, znów dyskontować
Referencya — Wywiad
Reflektować — Zgadzać się, przyjmować
Reflektowanie — Zgoda, przyjęcie
Registracya — Zapisywanie
Regres — Prawo poszukiwania
Regulacya — Pokrycie

Rehabilitacya	— Przywrócenie czci
Rejon	— Okrąg
Reklama	— Ogłoszenie, rozgłos
Reklamacya	— Zażalenie
Rekomendacya	— Polecenie
Rekomendowany	— Polecony
Rekurs	— Odwołanie się
Remanent	— Pozostałość
Renoma	— Uznanie
Renta	— Stały procent od pożyczek nieulegających umorzeniu
Replika	— Odpowiedź
Reprezentant	— Przedstawiciel
Reprodukcya	— Odtwarzanie
Retro	— Z powrotem
Rewers	— Zobowiązanie
Saldo	— Pozostałość
Salvo calculo	— Z możliwością omyłki
Salvo errore et omissione	— Zastrzega się błędy i opuszczenia
Sconto	— Potrącenie
Segregować	— Porządkować, układać
Sekcya	— Oddział
Sekunda weksel	— Drugi egzemplarz wekslu
Serya	— Szereg
Sezon	— Czas określony, pora roku
Signum	— Znak
Skonsolidowanie	— Połączenie, zjednoczenie
Skonstatować	— Stwierdzić
Sola weksel	— Własny weksel
Solidarnie	— Łącznie, spólnie
Solidny	— Pewny, rzetelny, poważny
Specificzny	— Wyłączny, właściwy czemuś
Specyfikacya	— Wykaz, wyszczególnienie
Spedycya	— Przesyłka rzeczy
Stadyum	— Okres
Stagnacya	— Zastój
Storno	— Sprostowanie
Subhastacya	— Sprzedaż przymusowa
Subjekt	— Pracownik sklepowy, klerk
Subskrybcya	— Zapisy na papiery publiczne
Subsydyum	— Zasiłek, wsparcie
Subwencya	— Zasiłek — wsparcie
Superata	— Przewyżka
Superdywidenta	— Dopłata do dochodu od akcyi
Suplement	— Dodatek
Suspendować	— Wstrzymać, zawiesić
Sygnować	— Znaczyć
Symulacya	— Udawanie, pozór
Syndykat	— Związek, zjednoczenie
Szansa	— Widoki powodzenia
Szantaż	— Wyzysk
Szef	— Zwierzchnik, przełożony
Tabelka	— Wykaz
Taksa	— Cena
Talon	— Odcinek papieru publicznego
Tantyema	— Udział w zyskach
Tara	— Waga opakowania
Taryfa	— Wykaz opłat
Tendencya	— Nastrój, dążność
Tergo	— Odwrotna strona
Traktat	— Umowa, układ
Transito	— Przewóz bez cła
Transport	— Przewóz, przesyłka, załadunek
Transport w księgach	— Do, lub: z przeniesienia
Tranzakcya	— Układ, zaszłość
Tranzytowy	— Przejściowy
Trasant	— Wystawiający wymian (weksel)
Trasować	— Ciągnąć, polecać wymian (weksel)
Trasowanie	— Wystawienie wymianu (weksla)
Trust	— Zrzeszenie wytwórców
Ultimo	— Ostatni dzień miesiąca
Unikat	— Jedyny okaz
Uso, ab uso	— Według zwyczaju
Ut supra	— Jak wyżej
Varia	— Rozmaitości
Via	— Przez
Vide	— Zobacz
Viso	— Widziano, przejrzano
Vista, a Vista	— Za okazaniem
Wadjum	— Zastaw, rękojmia
Walor	— Wartość
Waluta (co do rodzaju)	— Wartość
Waluta (co do czasu)	— Płatność
Warant	— Świadectwo na towar
Weksel	— Zobowiązanie zapłaty w terminie, ujęte w formę prawną, wymian
Windykować	— Dochodzić
Wiza	— Poświadczenie
Wojażer	— Kupiec, lub jego zastępca podróżujący dla okazania swych towarów
Zakomunikować	— Donieść, podać do wiadomości
Żyrant	— Ustępujący prawa z wekslu
Żyro	— Przelew praw z wekslu.

SIŁA LUDZKA.

Siła ludzka w zestawieniu z siłą zwierząt, o ile dotyczy przenoszenia ciężarów po równej płaszczyźnie, wyraża się w następujących liczbach:

Siła człowieka	1
Siła jelenia	3
Siła osła	4
Siła konia	8
Siła dromedara	25
Siła wielbłąda	31
Siła słonia	147



Jędrzej Moraczewski.

chwilowy prez. min. Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej.

PORADNIK LEKARSKI.

OTRUCIA.

Otrucia mogą być wywołane gazami, truciznami żrącemi i nieżrącemi.

Otrucia gazami.

1) Otrucie kwasem węglanym (wydziela się w nieprzewietrzanych piwnicach, studniach itp.)

2) Tlenkiem węgla (zaczadzenie).

3) Gazem kloacznym (przy oczyszczaniu dołów ustępowych).

4) Gazem świetlnym.

We wszystkich przypadkach należy wynieść chorego na powietrze, jeżeli jest nieprzytomny, lecz oddycha spokojnie należy dać do wąchania eter, amoniak, rozcierać ciało flanelą, rozgrzewać okładając butelkami napełnionemi gorącą wodą; twarz spryskiwać wodą zimną. Jeżeli otruty jest przytomny można mu się dać napić trochę wody, wina, kawy, herbaty z koniakiem, w przeciwnym razie żadnego płynu nie wlewać do ust gdyż chory mógłby się zadusić.

Ułożyć chorego w ten sposób, by głowa była nisko, jeśli chory jest blady, lub wysoko, gdy jest czerwony.

Ubranie — kołnierzyk, krawat, gorset, stanik i t. p. porozpinać.

Gdy otruty nie oddycha — zastosować sztuczny oddech (p. n.). Zamiast sztucznego oddechu wystarcza niekiedy rytmiczne pociąganie języka — jeśli język zapada należy ruszać dolną szczękę.

Jeżeli nieprzytomny wymiotuje, to należy głowę przechylić na bok tak, aby wymiociny nie wlewały się do krtani, lecz wypływały z jamy ustnej.

U w a g a. Jeżeli ratujący chce wejść do pokoju, w którym leży otruty, lub zejść do lochu — piwnicy i t. p., to powinien na jamy nosowe i ustną położyć sobie chustkę umaczaną w wodzie z octem lub w wodzie wapiennej. Wbiegając do pokoju należy stłuc szybę i biegnąc od jednego okna do drugiego — zaczerpnąć powietrza — wychylając się za wybitą szybę — drzwi powinny być otwarte.

Do pokoju napełnionego gazem świetlnym (o tem, że jest upewni zapach) nie wchodzić z zapałką, gdyż może być wybuch. Do lochu lub studni spuszczać się, będąc owiązanym sznurem — (chustkę z wodą wapienną mieć na ustach) uprzednio wystrzelić kilkakrotnie ślepym nabojem do studni — lub opuścić i podnosić rozpostarty parasol, co usuwa kwas węglowy.

II. Otrucia truciznami nieżrącemi.

Tutaj należą otrucia lekarstwami, przeznaczonemi do użytku zewnętrznego, wzięte do wewnątrz, otrucia benzyną, spirytusem drzewnym, naftą, rozmaitemi farbami, grzybami, zepsutem mięsem, rybami jagodami; otrucie może też nastąpić przez spożycie t. zw. grynszpanu, czyli śniedzi, z pokarmami gotowanemi w rondlach niepobielanych i t. d.

Natychmiast wezwać lekarza, uprzedziwszy go czem się chory otruł, by lekarz mógł zabrać ze sobą odpowiednie środki; do czasu przybycia lekarza starać się usunąć truciznę z żołądka, a więc starać się wywołać wymioty przez drażnienie przełyku piórkiem, palcem — przez podawanie wody ciepłej z solą lub z mydłem.

Jeżeli ułynęło kilka godzin od chwili otrucia — dawać środki podniecające.

III. Otrucia truciznami żrącemi.

Do trucizn żrących należą: esencya octowa, witryolej, kwas solny, saletrzany, ług, wapno, jodyna lapis, karbol, sublimat i t. p.

Tutaj pamiętać o tem, by środków **wymiotowych nie dawać,** gdyż można wywołać powtórne oparzenie przewodu pokarmowego oraz pęknięcie jego ścianek.

Przy otruciu kwasami dawać magnezyę paloną, wodę wapienną, mleko słodkie.

Przy otruciu ługiem — sok cytrynowy, kwasek cytrynowy rozpuszczony w wodzie, ocet winny z wodą, mleko kwaśne.

Przy otruciu jodyną — krochmal, kartofle roztarte.

Przy otruciu lapisem — słoną wodę.

Przy otruciu karbolem — siarczan magnezyi, (sól angielska).

Przy otruciu sublimatem — jaja, mleko słodkie, mydło i t. p. W razie osłabienia środki wzmacniające — sztuczny oddech.

OBCE CIAŁA W RANACH, UCHU, NOSIE, ŻOŁĄDKU, OKU.

Wszelkie obce ciała (szkło, drzewo, gwóźdź, igła i t. p.) powinno się w ranie zostawić do przybycia lekarza, część ciała, w którą weszło szkło, drzazga, a szczególnie igła, należy trzymać w zupełnym spokoju aby obce ciało nie dostało się głębiej. Jeżeli udało się jednak wyjąć obce ciało, które leżało nie bardzo głęboko — wtedy niechaj rana po-

krwawi nieco, gdyż wraz z krwią spływają i drobnoustroje, które na powierzchni mogłyby się znaleźć.

Jeżeli obce ciało (pestka, perełka, kamyk, owad) dostanie do ucha, to pozostawione w spokoju mogą przez pewien czas leżeć w uchu bez szkody dla ustroju — a lekarz przyjdzie i wyjmie za pomocą specyalnych instrumentów.

Nie należy tylko pchać palcem dalej. Jeżeli wpadnie owad można wlać parę kropel ciepłej oliwy.

Obcego ciała w nosie również poruszać nie należy, postąpić tak jak z uchem.

Jeżeli ktoś połknie ość, kawałek kości, szkła lub szpilkę, to niechaj je dużo kartofli tłuczonych, ryżu ugotowanego na gęsto, mleka — a lekarz przepisze odpowiednie środki.

Gdy coś wpadnie do oka najlepiej nie trzeć, lecz przemyć wodą — jeśli to nie skutkuje udać się natychmiast do lekarza, gdyż zaprószone ciało obce mogło utkwić w rogówce, a stamtąd bez odpowiednich narzędzi usunąć go nie można, można niekiedy pociągnąwszy dolną powiekę lub odwinąwszy na zapałeczce górną powiekę zobaczyć obce ciało na spojówce i stamtąd go usunąć rogiem chusteczki — prób jednak wyjęcia obcego ciała, które utkwiło w rogówce czynić nie należy.

OPATRUNKI.

Opatrunek powinien **chronić głębsze obrażenie** tkanki, **nie powinien dopuścić** do rany drobnoustrojów, które nietylko powstrzymują gojenie, lecz wywołać mogą gnicie tkanek oraz zakażenie całego obiegu krwi, wreszcie powinien opatrunek wywoływać **pewien ucisk i zapewnić spokój ranie.** Przy nakładaniu opatrunku powinniśmy łączyć dwa istniejące sposoby postępowania: przeciwgnilny (antyseptyczny) i bezgnilny (aseptyczny). Dobre są środki antyseptyczne (sublimat, karbol) do obmywania. Sam opatrunek powinien być aseptyczny t. j. pozbawiony drobnoustrojów drogą specyalnych zabiegów w specyalnych zakładach. W gazę i watę sterylizowaną powinna być zaopatrzona każda apteczka domowa w szczególe na wsi.

Osoba, która ma nałożyć opatrunek powinna mieć ręce doskonale wymyte wodą z mydłem, a także spirytusem i sublimatem.

O tem, jaki należy położyć w danym wypadku opatrunek i jaki wziąć środek odkażający, zadecydować może tylko lekarz; osoba nie mająca dostatecznego doświadczenia, niechaj przed przybyciem lekarza obmyje skórę naokoło rany i ranę, polewając ją tylko i nałoży opatrunek aseptyczny (gaza sterylizowana). Ręce opatrującego powinny być zawsze czyste.

PORAŻENIE SŁONECZNE.

Położyć chorego w cieniu, głowę wysoko, rozpiąć ubranie. Kłaść zimne okłady na głowę lub położyć pęcherz z lodem. Dawać wodę do picia oraz środki podniecające do wewnątrz.

PORAŻENIE PRZEZ PIORUN.

Rozcierać ciało, dawać środki podniecające, robić sztuczny oddech.

PORAŻENIE PRĄDEM ELEKTRYCZNYM.

Przedewszystkiem należy odłączyć rażonego prądem elektrycznym od przewodnika, nie dotykając się ręką gołą, lecz przez płótno lub przez ubranie, które ratujący może zdjąć z siebie i złożyć w kilkoro Jeśli jest mokro wtedy nie robić prób z odciąganiem, lecz zawiadomić stacyę by prąd przerwała.

Porażenie prądem ma najczęściej miejsce przez nieostrożność, bądź przez dotknięcie się zerwanego przewodnika — przechodzeń dotknie się nieświadomie drutu leżącego na ziemi — bądź przez dotknięcie się prezwodnika źle umieszczonego.

POWIESZENIE.

Jeżeli się zobaczy powieszonego należy natychmiast odciąć sznur na którym wisi, podtrzymując go jedną ręką, by spadając się nie zranił.

Dawać środki podniecające, rozcierać ciało jeśli oddycha, w przeciwnym razie zastosować najpierw oddech sztuczny.

PRZENOSZENIE CHORYCH.

Przenieść chorego może jedna osoba, wtedy bierze chory przenoszącego za szyję, przenoszący zaś robi z rąk swoich ławeczkę.

Można też przenieść chorego, gdy ten siedzi na krześle, należy tylko pod siedzenie wsunąć dwa drągi.

Jeśli chorego trzeba przenieść w pozycyi leżącej a noszy niema, wtedy jedna osoba bierze chorego pod pachy a druga pod kolana, stając pomiędzy nogami chorego.

Jeżeli noszy niema, to trzeba umieć je przygotować o ile można najszybciej. Jako noszy można użyć drzwi, deski, drabinki, na którą kładzie się siennik, dywan, palto i t. p.

Niosący nie powinni kłaść drążków na barki, rozpocząć powinni pochód każdy z innej nogi wtedy będzie mniejsze wstrząśnienie, ruchy noszy będą bardziej równomierne. Przy wchodzeniu na schody powinien iść naprzód ten, który niesie głowę, a przy schodzeniu ten który niesie nogi.

Doskonałe nosze można urządzić wkładając dwa drążki w rękawy zapiętego palta, można też chorego przenieść na prześcieradle. Chory leży jednak wtedy w pozycyi niewygodnej, gdyż jest skulony, przy noszeniu ulega silnemu wstrząśnieniu.

RANY.

Rany tworzą się jeżeli przy uszkodzeniach ciała naruszona jest skóra, stosownie zaś do tego, jakiem to jest zrobione narzędziem dzielimy rany na:

1) cięte (nożem, szkłem), 2) kłute (sztyletem, nożem), 3) rąbane (siekierą, tasakiem), 4) miażdżone lub tłuczone (ciężkim tępym przedmiotem, maszyną), 5) postrzałowe, 6) kąsane (ukąszenie przez psa, żmiję i t. p.).

Jeżeli tylko zraniona jest skóra mamy rany skórne, jeżeli mięsne — mięśniowe, wreszcie odróżniamy rany kości, nerwów, naczyń, narządów i t. p.

Rana sama przez się może wywołać śmierć — w braku natychmiastowej pomocy przez upływ krwi (p. krwiotoki), lub też przez wtargnięcie przez ranę drobnoustrojów a stąd zakażenie. Zakażenie może nastąpić także i po zranieniu, jeśli opatrunek nie był dość czysto zrobiony.

Każdą ranę należy opatrzeć — przedtem jednak należy ją obmyć, niemniej i otaczającą skórę — samą ranę polewa się wodą przegotowaną nie dotykając się jej. Skórę obmywa się wodą z mydłem, potem benzyną lub eterem — do tego bierze się watę sterylizowaną i tę macza się w wodzie lub eterze. Przy obmyciu, jeśli rana nie krwawi, położyć na nią kawałek gazy sterylizowanej i owinąć bandażem. Jeśli ranę pokrywa warstwa krwi zakrzepłej to jej nie zdejmować — zatrzymuje ona bowiem krwawienie, w przypadkach krwawienia patrz wyżej.

Jeżeli rana powstała wskutek skaleczenia brudnem narzędziem, to należy ją zajodynować, aby ochronić tym sposobem od zakażenia.

Ranę, która powstała wskutek ukąszenia psa przypalić natychmiast rozpalonem żelazem, potem nałożyć opatrunek — psa podejrzanego nie zabijać, lecz odesłać pod obserwacyę weterynarza — od niego bowiem można się dowiedzieć, czy potrzebne jest leczenie chroniące od wścieklizny, czy nie — jeśli trzeba to należy chorego odesłać do specyalnego zakładu. Po ukąszeniu żmii należy ranę wycisnąć, jeśli kto niema ranę na dziąsłach, to może wyssać, jad żmii jest tylko szkodliwy jeśli się dostanie pod skórę, połknięty nie szkodzi. Dobrze jest przewiązać chusteczką powyżej miejsca ukąszenia, aby nie dopuścić jadu do całego krwi obiegu i do serca. W każdym razie posłać po lekarza, który przepisze odpowiednie środki ratunkowe.

SZTUCZNY ODDECH.

Gdy chory oddycha słabo, nieregularnie, lub wcale, należy zastosować oddech sztuczny.

Chorego należy ułożyć na wznak, przyczem ramiona powinny blć uniesione przez położenie kołdry, pledu i t. p., głowa nie powinna być oparta. Ratujący powinien przyklęknąć (jeśli chory leży nisko), lub stanąć (jeśli chory leży wysoko), u wezgłowia chorego, wziąć kończyny górne za łokcie, podnieść je nad głowę, wyciągnąć i trzymać tak 2 do 3 sekundy, wtedy otrzymujemy wdech — rozszerzenie klatki piersiowej, następnie należy zgiąć kończyny górne w łokciach przycisnąć je do boków chorego. Ruch ten powinien również trwać 2 do 3 sekundy, tym sposobem wyprowadzamy powietrze z płuc — otrzymujemy wydech. Tak więc każdy wdech i wydech powinny po sobie następować co 2 do 3 sekundy. Wdech sztuczny powinien być wykonywany szybko, wydech t. j. ucisk klatki piersiowej powoli.

STŁUCZENIE.

Na miejsce stłuczenia należy natychmiast położyć okład z wody lub pęcherz z lodem i dobrze ucisnąć stłuczone miejsce, w ten sposób powstrzymuje się krwawienie. Jeżeli stłuczona jest noga najlepiej położyć chorego, jeżeli ręką wziąć ją na temblak.

UDŁAWIENIE.

Powstaje wskutek zatrzymania się w gardzieli lub w przełyku połkniętego przedmiotu (ości, kości, chrząstki, pestki i t. p.)

Zamknąwszy choremu nos jedną ręką wprowadza się palec drugiej do gardła i stara się wyjąć przedmiot połknięty, zabieg ten może wywołać także wymioty, dzięki czemu dławiący się wykrztusi dany przedmiot, niekiedy udaje się popchnąć przedmiot dławiący dalej. Jeśli to nie pomaga, to przyciska się piersi i brzuch duszącego się do stołu dając jednocześnie uderzenie pięścią w plecy między łopatki, tym sposobem wytłaczane powietrze z płuc może wypchnąć połknięty przedmiot.

UDUSZENIE.

Przedewszystkiem należy oczyścić jamę nosową i ustną od ciał obcych, stosować sztuczny oddech i środki podniecające, wynieść chorego na powietrze i t. p.

UKĄSZENIE PRZEZ OWADY.

Miejsca ukąszonego przez owady nie trzeba ślinić, nie zalepiać angielskim plasterkiem poślinionym, gdyż wraz ze śliną można do ranki wprowadzić bakterye, które stale goszczą w naszej jamie ustnej. Przedewszystkiem należy usunąć żądło za pomocą szczypczyków lub czysto wymytych paznogci, nalać na ukąszone miejsce kroplę amoniaku lub obmyć je wodą z octem. Jeśli ból i brzmienie nie ustępują należy wezwać lekarza.

UTOPIENIE.

Usunąć można o ile można najprędzej wodę z dróg oddechowych w tym celu rozerwawszy na niem ubranie przewiesić topielca przez kolano ratującego, który podtrzymuje lewą ręką głowę topielca, prawą zaś położoną na plecach rytmicznie ściska klatkę piersiową. Gdy z ust topielca przestaje się wylewać woda — należy go położyć na wznak i stosować sztuczny oddech tak długo dopóki chory samoistnie nie westchnie chociażby to miało trwać kilka godzin, gdyż tylko lekarz może orzec, czy wszelkie próby ratunku są zbyteczne.

Dawać do wdychania amoniak, eter i t. p. środki podniecające, rozcierać ciało flanelą; jeśli oprzytomnieje — ciepłe napoje — okryć ciepłem ubraniem.

Człowiek, który się rzucił na ratunek tonącemu powinien jeśli sam nie chce być pociągnięty na dno — podpłynąć ostrożnie i nie dać się chwycić za ręce. Najlepiej wziąć tonącego za głowę i leżąc na wznak starać się przypłynąć do brzegu.

ZMARZNIĘCIE.

Zmarzniętego należy rozebrać w chłodnem miejscu, potem rozcierać go mocno śniegiem lub ręcznikami maczanemi w zimnej wodzie, następnie przenieść do niezbyt ciepłego pokoju i rozcierać flanelą. Jeśli chory nie oddycha, należy zastosować sztuczny oddech.

Z oddzielnie odmrożonemi częściami ciała należy również postępować bardzo ostrożnie — rozcierać śniegiem, nie wchodząc do ciepłego pokoju, jeżeli jednak mimo to odmrożone części ciała pozostają bez czucia sine — i jeśli na nich pojawiają się bąble, wtedy grozi niebezpieczeństwo gangreny, tylko energiczna pomoc lekarska może uratować od zgorzeli.

JEDNO SERCE — JEDNA MOWA.

Od Warszawy do Krakowa
Jedno serce, jedna mowa;
Od Warszawy do Poznania
Jedno serce do kochania.
Jedno serce bije w łonie,
Jedne dusze, jedne dłonie,
Jeden zapał ręce splata,
Jednej pieśni dźwięk dolata.
Od Beskidu czarnej skały
Poszybował orzeł biały
Tam gdzie Wisła się zaczyna,
W locie niebios szlak przecina.
Od Warszawy do Piotrkowa,
Od Lublina do Poznania
Jedno serce, jedna mowa,
Jedno serce do kochania.
Od Cieszyna przez gór szczyty
Biegnie polska pieśń w błękity,
Przez Tatr złomy, lśniące w krasie,
I grzmi echem przez Podlasie.
Ponad Wisły pasmem długiem,
Ponad Sanem, ponad Bugiem,
W nadniemeńskich puszcz dolinie
Z jednej piersi piosnka płynie.
Od Karwiny czy od Lwowa:
Polskie serce — polska mowa,
Czy od Wilna, czy Poznania,
Jeden naród do kochania.

Wł. Karoli.

W RAJU BOLSZEWICKIM.



Czerwona gwardya bawi się....

Satyryczno-polityczna "Szopka Polska" w Warszawie.



Trzej mędrcy z Zachodu
Lloyd George — Clemenceau — Wilson

Przedstawiciel ludu I. Daszyński. — **Obdarta inteligencya St. Żeromski.** — **Uciśniona kultura Z. Przesmycki.**

W Warszawie rozpoczęły się przedstawienia satyryczno-politycznej **"Szopki Polskiej"**, zorganizowane przez grono artystów i literatów, którzy swojego czasu grupowali się w głośnym "Zielonym Baloniku" w Krakowie.

Tekst **"Szopki"** kreśli w szeregu dowcipnych i ciętych kupletów najaktualniejsze wypadki z dziedziny polskiego życia politycznego i społecznego. Doskonałe figurki, przedstawiające najwybitniejsze osobistości z widowni polskiego życia, są dziełem znanego artysty-rzeźbiarza p. Jana Szczepkowskiego. Kilka z nich zamieszczamy u góry, podając równocześnie poniżej dla przykładu także jeden z kupletów, obrazujący niedawną walkę marki z koroną.

Piosenka, na znaną nutę ludową, brzmi, jak następuje:

Idzie Grabski, idzie, robić ład w finansach.
Rozgląda się w starych i nowych bilansach.
Włos na głowie staje dęba
i wykrzywia mu się gęba,
bo bieda, bieda, bieda, — straszna bieda.

Finansowa Polska chodzi dalej struta,
bo na łeb na szyję wciąż leci waluta.
Chce złotemi przezwać marki,
lecz kpią z tego niedowiarki.
A to ci bieda, bieda — straszna bieda.

Że za Bilińskiego skoczyły korony,
jestem bardzo z tego niezadowolony.
Niechaj wedle mojej miarki
też poskoczą teraz marki,
Inaczej będzie bieda, bieda, bieda.

Piszę atramentem rozkaz na papierze:
każdy, kto korony ma, niech marki bierze;
bom ja koron wróg zajadły,
już kazałem żeby spadły.
Inaczej będzie bieda, bieda, bieda.

Ale bardzo krnąbrną marka ma naturę,
na rozkaz ministra nie chce skakać w górę
i w giełdowym tym łamańcu
"zrobi, jak Biliński w tańcu"
i dalej będzie bieda, bieda, bieda.

Ile kosztowało odkrycie Ameryki?

Na podstawie dokumentów, odnalezionych w archiwum genueńskiem, można było obliczyć ile kosztowało odkrycie Ameryki. Kolumb miał wyznaczoną pensyę roczną w ilości 1600 lir, dwaj kapitanowie brali po 900, rząd marynarzy wynosił po 12 lir miesięcznie, wydatki na uzbrojenie floty 14,000 lir. Ogółem to epokowe odkrycie kosztowało 36,000 lir.

HUMOR.

WRAŻENIA PIECZONEGO KURCZĘCIA.

Smutny jest los kurczęcia, które się wylęgnie na wiosnę.

Zaledwie wydostanie się z jajka na świat, jak panna z pensyi do salonu, a już je matka opuszcza.

Tak samo jak młodzieniec, z którym się

Niesprawiedliwość losu idzie dalej.

Jeżeli to kurczę jest kogucikiem, musi uciekać przed brutalną przemocą starszych kogutów; jeżeli jest kokoszką, musi się chronić przed impertynenckiemi żartami rówieśnych kogucików.

Tak samo, jak młodzieniec, z którym się nie zadają dorośli, i z którego się śmieją panny.

Tak samo, jak stara panna, która musi udawać, że nie rozumie mężatek i jest niezrozumiałą dla młodych podlotków.

Biedne kurczątka.

Po kilku tygodniach męczeńskiego życia, zarzynają je jak dług lichwiarski prywatnego oficyalistę; oskubują, jak wesołe kobietki złotego młodzieńca; parzą, jak spojrzenia brunetki starego kawalera, a w końcu zasadzą na rożen, wsadziwszy mu wprzódy pępuszek pod jedno, a wątróbkę z serduszkiem pod drugie skrzydełko.

Niesprawiedliwość ludzi nie ustaje tu jednak.

Wydarto kurczęciu żołądek, a wsadzono w jego miejsce kaszę z bułką; odarto je z pierza, a oblewają je masłem świeżem.

Serce wsadzono mu pod skrzydełko, i każą się gwałtem zarumienić.

Tak samo, jak kiedy pannę wydadzą za mąż za starca i sprawią jej śliczną wyprawę ślubną.

I każą jej mieszkać w romantycznej okolicy, wśród róż i słowików.

I każą jej być rumianą zdrowiem, zadowoleniem i szczęściem.

Potem kładą kurczę na talerzu, okładają je sałatą, lub mizeryą, lub śmietaną, lub kompotem.

Co za ironiczna rozmaitość!

To tak, jak zbankrutowany szlachcic na wystawie, co widzi krowy, których nie może w pacht puścić; konie, na których nie może okpić sąsiada na jarmarku; sąsiadów wreszcie, którzy go nie obiorą na sędziego lub radcę, a nawet nie zaproszą do kart.

A potem kurcze zostaje zjedzone.

I tu niesprawiedliwość.

Delikatne ząbki młodej mężateczki ledwie go dotkną z grymasem; żółte jak rzepa i przerzedzone w połowie zęby starej panny miętoszą je nielitościwie, maczając w kompocie aż do znudzenia.

Patrząc na to, zda się patrzyć na męki dymisyonowanego lowelasa.

Dzieci pożerają je łakomie, jak emeryt ostatnie wiadomości polityczne.

Boginie półświata przeładowują się niemi, jak tramwaj w niedzielę nad wieczorem publicznością.

A potem ze zjedzonych kurcząt pozostają kości.

Kości te nie zbieleją na polach, jak kości bohaterów, nie jeżdżą do Buska, jak kości cierpiących na reumatyzm; nie straszą ludzkości, jak pokryte pargaminem kości wydekoltowanych starych panien, kości te zjada ród psi, pieszczone pinczerki i kundle uliczne.

Zaiste, smutny koniec istnienia, tak przepełnionego wrażeniami!

ZOSIA W OGRODKU.

Chciało się Zosi jagódek,
Kupić ich za co nie miała:
Jaś miał ich pełen ogródek,
Ale go prosić nie śmiała.

Wnet sobie sposób znalazła,
Rankiem się z chatki wykradła;
Cicho przez płotek przelazła,
Wiśnie Jankowi wyjadła.

Poznał się Janek na szkodzie;
''Wróble to, mówił, zrobiły!''
Postawił stracha w ogrodzie:
''Nie będą więcej gościły!''

Na tyczce, jak się należy,
Kapelusz pięknie osadził,
Nawieszał starej odzieży,
Stracha w ogródku posadził;

Zosia się stracha nie bała,
Szczęśliwie płotek przebyła;
Z nowej się sztuki naśmiała
I znowu szkodę zrobiła.

Ale się Janek domyślił,
Co to za ptaszek tak śmiały,
Nowe sidełka wymyślił,
I nieźle mu się udały.

Na miejscu tyczki przybranej,
Cicho przy drzewie sam staje,
Odział się w stare łachmany
I niby stracha udaje.

Podług swojego zwyczaju
Zosia gałązki nagina:
''A tuś mi, mały hultaju!''
Złapana biedna dziewczyna.

I tak, jak słuszność kazała,
Skarał złodzieja przy szkodzie:
Z początku Zosia płakała,
Śmiała się potem przy zgodzie.

NA REDUCIE.

Że to dochód był na wpisy,
Wzięła pani na się lisy,
I bez spóźnień — na minutę —
Przyszła na redutę...

A że była żywa, żwawa,
Więc skusiła ją zabawa...
Nagle widzi z sali kopca
Znajomego chłopca...

Był to chłopiec przyzwoity,
W poważaniu miał kobiety,
I kolegą był jej męża,
Więc doń wzrok wytęża.

Zręcznie chwyta go za ramię,
On nachyla się ku damie,
Ona z góry się raduje,
Że go zintryguje...

Lecz nim usta otworzyła,
On ją pyta: — Będziesz piła? —
Potem mówi: — Albo nie tu!
Chodź do gabinetu! —

Ona z błędu go sprowadza,
Już jej w gardle coś zawądza,
A on znowu temi słowy:
— Nie zawracać głowy!

Po co robić ceregiele
I udawać skromne cielę?
Wyrzuć z łebka galamacye,
Jazda na kolacyę!

Porzuciła pani chłopca,
Już dłań odtąd była obca,
Oburzenie całą wstrząsa,
Wargi do krwi kąsa!

A gdy spojrzał mąż w jej lice,
Odgadł całą tajemnicę,
I na wściekłą huknął nutę:
— Masz, babo, redutę! —

JAKI PAN — TAKI KRAM.

Niedawno, gdy do domu z Krakowa się kwapię,
Potykam na wędzonej służałego szkapie;
Suchy i sam, a łata po sukni na łacie,
Portek nie masz, buty złe. — ''Komu służysz, (bracie?''
— Senatorowi — rzecze. ''Czemu gołe udy?''
''Trudno, ma tłuste prosię być u świni chudej''.

Wacław Potocki.

JAK ODPOWIADAĆ, GDY KTO ŁŻE.

Imć pan Ołdakowski nauczał młodych takiej polityki: Gdy kto łże, zawsze mu to powinieneś w oczy powiedzieć, łgarstwo bowiem jest rzeczą szpetną, która i temu ubliża, kto go słucha, a udaje, że wierzy weń. Jeno trzeba wiedzieć politykę, z jaką się masz ozwać do jakiego łgarza. Tak więc, gdy chłop łże, to mów mu prosto z mostu: Łżesz, bratku! Gdy szlachcic łże, to powiadaj mu: Kłamiesz acan dobrodziej, pływasz po piasku, polujesz lub farbujesz. Gdy magnat łże, to mów tak: Jaśnie wielmożny pan drukujesz, malujesz, ozdabiasz, haftujesz, złocisz, przędziesz, snujesz, nakrapiasz, barwisz, żeglujesz lub zjechałeś z gościńca niechcący.

DOWCIP CHOREGO.

Opowiadają sobie w mieście dobrą anegdotę.

Przyjechał przed kilku miesiącami z farmy pewien stary pan z dwoma synami, ażeby zasięgnąć porady lekarskiej. Lekarze uznali, że pacyent musi na czas pewien, co najmniej na trzy miesiące zamieszkać w mieście i tu leczyć się pod dozorem lekarskim.

Starszy pan z farmy najął mieszkanie przy dalszej spokojnej ulicy i zamieszkał tu wraz z dwoma synami. Ale spokoju nie zaznał, pomimo, że mieszkał zdala od śródmieścia. Ciągły turkot wozów przewożących cegły, materyał budulcowy i kamienie, wieczne trąbienie automobilów nie dawały spać choremu ani w dzień ani w nocy, denerwowały go i wyprowadzały z równowagi.

Chory nie wiedział co czynić, a o zmianie mieszkania nawet nie mógł myśleć, gdyż już z góry zapłacił rent za kwartał, a zresztą nie miał pewności, że inne mieszkanie będzie spokojniejsze. Długo myślał a wreszcie chwycił się następującego fortelu.

Oto kazał synom w nocy wykopać dół w poprzek całej ulicy, i otoczyć go z dwóch stron prowizorycznym parkanem z napisem: "Przejazd wzbroniony".

I to poskutkowało. Ruch kołowy ustał naraz, bo oczywiście przejazd był niemożliwy. Nawet policyant, który pełnił służbę nazajutrz na tej ulicy, sam nawracał wszystkie wozy i kazał im jechać inną ulicą. Tak samo postępował drugi policyant, trzeci i dziesiąty, który w następnych dniach pełnił służbę na tej ulicy a chory zacierał ręce i miał spokój idealny. Prosił tylko Boga, aby nie zasypano rowu przynajmniej przez cały czas jego pobytu. I minął cały tydzień.

Ale dyabeł nie śpi. Pewnego pięknego dnia zjechała na miejsce komisya wodociągowa, aby zbadać wykopany dół. Po obejrzeniu stwierdziła, że dołu nie wykopano w celach wodociągowych, ale zapewne kazała go wykopać komisya elektryczna. I odjechała.

Minęło pięć tygodni a na miejsce zjechała komisya elektryczna. Oglądnęła dół, zmierzyła go i skonstatowała, że dołu nie wykopano w celach elektrycznych, ale zapewne w celach komisyi gazowej. I odjechała.

Minęło sześć tygodni. Na miejsce zjechała komisya gazowa. Zbadała dół, wymierzyła go, obwąchała i skonstatowała, że nie wykopano go dla celów gazowni, ale najniezawodniej w jakimś innym celu, może kanałowym.

Gdy nie można było dojść końca ani dowiedzieć się, w jakich celach wykopano ów zagadkowy dół, wszystkie komisye porozumiały się, celem odbycia wspólnego posiedzenia. Minęło kilka tygodni zanim komisye zebrały się na wspólne posiedzenie, na którem pokazało się, że dół wykopał się sam. I uchwalono dół zasypać.

A tymczasem chory już wyzdrowiał.

PIEŚN DZIADOWSKA O KRAKOWIE.

(Od podszewki, nie z wierzchu.)

Jest ci u nas w Krakowie
Człek, Michalik się zowie.
Na Floryańskiej ma on "Jamę",
Gdzie cyniki siedzą same,
Bez czci, jak i bez wiary.

Kto z nich sznapsa se utnie,
Wnet wydziwia okrutnie,
Złym jęzorem ludzi chlasta,
Nic mu nawet rajca miasta,
Nic świętego dlań niema.

Ulubiony ich konik,
To "Zielony Balonik".
Pokazują w nim te chłopce
Cały Kraków, kieby w szopce,
Od podszewki, nie z wierzchu.

Widzisz wielkie patryoty
Od krajowej roboty,
Co wciąż klepią o Ojczyźnie,
A gdy który order liźnie,
Jak psy dziada — Ją kocha.

Widzisz ojców narodu,
Różnych radców od grodu,
Co się cnotą dzielną szczycą—
A kubana radzi chwycą,
Jak Warszawski Majistrat.

Masz niewiasty tam przednie,
Co cnotliwe są we dnie.
Była panna urodziwa,
Piękna, mądra i szczęśliwa —
Miała imię, posag, wdzięki,
Pretendentów tłum do ręki,
Kilku szczerze ją wielbiących —
Miała listów stos gorących,

Przyjaciółki, przyjacieli,
Krewnych z miecza i kądzieli...
Dziś do łona psa przyciska —
Przyszła kreska na Matyska!

Był przed laty słynny krytyk —
Znał go Gielniów, Osiek, Przytyk,
I odległe znały strony —
Miał do pracy wstręt wrodzony,
Ganił wszystko bez różnicy,
Wiedzę trzymał w tajemnicy...
Miał cynizmu dozę wielką,
Plwał bezkarnie świętość wszelką.
Dziś szyderstwem świat weń pryska —
Przyszła kreska na Matyska!

O SOŁTYSIE, CO SYN JEGO STUDYOWAŁ.

Sołtys jeden nakładał na syna w Krakowie nie małym dostatkiem, ale on nakład próżno wiódł, bo pan student więcej gdzie szklankami dzwonią przeleżał, niźli w Kolegium. Gdy mu pieniążków nie stało, powędrował do ojca, aby mu zaś dał pieniędzy. Nie bardzo się ojcu chciało, że już nań był niemało nałożył. Prędko potem kładł ojciec gnój na wóz a synaczek dziwował się we drzwiach stojąc; zawołał go ojciec: synu, ba, chodź jeno. Przyszedł, pyta go, jako po łacinie widły, syn rzecze: widłatus, a gnój? gnojatus, a wóz? wozatus. Rozgniewał się ojciec; dał mu widłami po łbie, mówiąc: "Trafięć ja, łotrze, taką łacinę; znać, iżeś się za szkołą uczył. Nu, łotrze, weźmij widłatus w rękatus, nakładaj że gnojatus na wozatus, niechajże już widłatus będzie twój piórkatus, a mego nakładu nie trać". Pospolicie mówią: Nie z każdego żaka ksiądz, bo to prawda:

Nie karmią łyżką nauk w Krakowie,
Kto tam ma dziatki, snadno się dowie.

ŻARTY MUZYCZNE.
(Z notatek starego metra muzyki.)

W sercu człowieka są struny
Nader wrażliwej natury —
Trudno z nich jednak wydobyć
Prawdziwe molle i dury...

Abyśmy serca i struny
Czystość harmonii zbadali
Do obu trzeba używać
Probierzy tonów — metali.

Lecz między sercem i struną
Różnica tylko ta oto:
Stal kamertonem jest struny,
Serca probierzem zaś — złoto...

Zwiedzał raz Anglik Warszawę
I był niezmiernie zdziwiony,
Że gdzie się ruszy, to słyszy
Instrumentowe wciąż tony.

A gdy się jeszcze dowiedział,
Że u nas "chórów" jest tyle, —
O naszej muzykalności
Nie wątpił ani przez chwilę...

Jednakże, figlarz, poprosił
O wyjaśnienie mu faktu:
Skąd u nas brak jest harmonii
I jeszcze więcej... brak taktu?...

Współczesnych "maestrów" dzieła
Po klawiaturach wciąż tłuczem —
I oczywiście z nich każdy
Zaczyna utwór swój kluczem.

Lecz między mistrzami tymi
Niejedna firma, choć znana,
Lubi pożyczać... na wieki
Melodyi Liszta, Szumana...

Biorąc ich dzieła do ręki,
Głos tajny szepce, a cichy:
— Znać, że w muzyce, prócz kluczy,
Są dziś w użyciu wytrychy.



Pułkownik Skarzyński,
który pierwszy na czele wojsk polskich wkroczył do Torunia.

MIARY I WAGI.

Zasadniczą jednostką systemu jest miara długości — „metr

Metr jest to jedna milionowa część ćwiartki obwodu ziemi.

System metryczny jest dziesiętny

Miary wyprowadzone z jakiejkolwiek jednostki są: 10, 100, 1000 razy mniejsze, lub większe od niej.
Nazwy miar metrycznych tworzą się w ten sposób, że do wartości większych w jedności dodawane są wyrazy greckie: **myria, kilo, hekto, deka**, zaś do wartości mniejszych od jedności wyrazy łacińskie: **deci, centi i mili.**

100 razy daje nową Hekto — miarę.

Każda z tych wzięta

10 razy daje nową Deka — miarę.
100 razy daje nową Hekto — miarę.
1000 razy daje nową Kilo — miarę.
Dziesiąta część daje nową Decy — miarę.
Setna część daje nową Centy — miarę.
Tysiączna część daje nową Mili — miarę.

W systemie metrycznym mamy **pięć miar zasadniczych:**

Miara długości „Metr“

10 metrów — Deka-metr, 100 metrów — Hekto-metr, 1000 metrów — Kilo-metr, dziesiąta część metra — Decy-metr, setna część — Centy-metr, tysiączna część — Mili-metr.

Miara powierzchni — „Ar“

Deka-ar, Hekto-ar, Kilo-ar, Decy-ar, Centy-ar, Mili-ar.

Miara bryłowatości — „Ster“

Deka-ster, Hekto-ster, Kilo-ster, Decy-ster, Centy-ster, Mili-ster.

Miara objętości — „Litr“

Deka-litr, Hekto-litr, Kilo-litr, Decy-litr, Centy-litr, Mili-litr.

Miara ciężkości — „Gram“

Deka-gram, Hekto-gram, Kilo-gram, Decy-gram, Centy-gram, Mili-gram.

MIARY DŁUGOŚCI (Long Measure)

12 inches (cali) — 1 foot (stopa).
3 feet — 1 yard (jard).
5½ yards — rod (pręt).
40 rods — 1 furlong (staja).
3 furlongs — 1 mile (mila).

MIARY ŻEGLARSKIE (Marines measure)

6 feet (stopa) — 1 fathom (sążeń).
120 fathoms — 1 cable length (węzeł).
7½ cable lengths — 1 mile (mila).
5280 feet — 1 statue mile (mila prawna).
6075 feet — 1 nautical mile (mila morska).

MIARY KWADRATOWE (Square measure)

144 square inches (kw. cali) — 1 square foot (kwadratowa stopa).
9 square feet — square yard (kw. jard).
30¼ square yards — 1 square rod (kw. pręt).
160 square rods — 1 acre (akier).
640 acres — 1 square mile (kw. mila).
36 square miles — 1 township (obwód miejski).

MIARY OBJĘTOŚCI (Cubic measure).

1.728 cubic inches (kubiczny cal) — 1 cubic foot (kub. stopa).
27 cubic feet — 1 cubic yard (kub. jard).
Sążeń drzewa ma 8 stóp długości, 4 szerokości i 4 wysokości.

WAGI APTEKARSKIE (Apothecaries' Weight)

20 grains (gran) — scuple (skrupuł).
3 scruples — 1 dram (drachmę).
8 drams — 1 ounce (uncyę).
12 ounces — 1 pound (funt).

MIARY CZASU (Time measure)

60 seconds (sekunda) — 1 minute (minuta).
60 minutes — 1 hour (godzina).
24 hours — 1 day (dzień).
365 days — 1 year (rok).
100 years — 1 century (wiek).

MIARY PAPIERU (Stationer's table)

24 sheets (arkuszy) — 1 quire (libra).
20 quires — 1 ream (ryza).
2 reams — 1 bundle (stopa druk.).
5 hundles — 1 bale (bela).

MIARY ZBIOROWE (Counting)

12 things (sztuk) — 1 dozen (tuzin).
12 dozens — 1 gross (gros).
12 gross — 1 great gross (wielki gros).
20 things — 1 score (konto).

MIARY CIA(SYPKICH (Dry measure)

2 pints (pajnt) — 1 quart (kwarta).
8 quarts — 1 peck (pek).
4 pecks — 1 bushel (bushel).

Beczka (barrel) różnych artykułów w sprzedaży musi ważyć według praw: Ryżu — 600 funtów. Mąki — 196 funtów. Prochu — 25 funtów. Kukurydzy tak, jak się kupuje i sprzedaje w stanach Kentucky, Tennessee itd., idzie pięć buszli wytłuczonego ziarna na beczkę. W Nowym Orleanie według przyjętego zwyczaju kupuje się i sprzedaje kukurydzę w beczkach takich samych, jak mąkę, pełnych, całych niewyłuszczonych kłosów. Beczka kartofli według tego, jak się sprzedaje i kupuje w stanie New York, zawiera dwa i ćwierć buszla. Beczka wieprzowiny waży 200 funtów, lepszej jakości, oznaczonej nazwami „clear“, „mess“, „prime“. Beczka wołowiny waży tyleż.

Uznany przez prawo buszel amerykański jest starą miarą „Winchester“ i ma 2,150.42 cali sześciennych, tak, że 32 buszle angielskie równe są 33 buszlom amerykańskim.

Chociaż się mówi o cenach zboża itp., na buszle, jednak sprzedaje się na wagę w następujący sposób:

Pszenica, bób, kartofle i nasienie koniczyny — 60 funtów na buszel. Kukurydza, żyto, siemię lniane i cebula — 56 funtów. Kukurydza na kłosie — 70 funtów. Hreczka — 52 funty. Jęczmień — 48 funtów. Nasienie konopne — 44 funty. Timothy seed — 45 funtów. Owies — 35 funtów. Otręby — 20 funtów. Blue grass seed — 14 funtów. Sól w surowym stanie — 85 funtów. Suszone jabłka — 24 funty. Suszone brzoskwinie — 33 funty. Według innych przepisów — 22 funty. W stanie Indiana suszone jabłka i brzoskwinie sprzedawane są na buszle „z czubem“. Buszel kukurydzy na kłosie ma trzy pół-buszle „z czubem“, lub cztery równe półbuszle.

W Tennessee sto kłosów kukurydzowych liczone bywają czasami za buszel.

Szaflik, mający ośmnaście i pó cala w średnicy i 8 cali głębokości zawiera buszel. Skrzynia, mająca 12 cali kwadratowych powierzchni i głęboka na 7 i 1-32 cala, ma pół buszla. Buszel „z czubem“ ma 2,815 cali sześciennych.

MIARY PŁYNÓW (Liquid measure).

4 gills (półkwaterki) — 1 pint (pajnt).
2 pints — 1 quart (kwarta).
4 quarts — 1 gallon (galon).
32½ gallons — 1 barrel (beczka).
2 barrels — 1 hobshead (okseft).

Galon musi zawierać dokładnie dziesięć zwykłych funtów czystej wody przy temperaturze 62 stopni i przy ciśnieniu barometru 30 cali Jest to przyjęta jednostka miary objętości dla płynów i towarów suchych wszelkiego rodzaju i jest o jedną piątą większa od starej „miary wina“, a jedną trzydziestą drugą większa od starej „miary piwa“. Galon wina musi zawierać 231 cali sześciennych.

MIARY HANDLOWE (Avordupois weight)

16 drams (drachma) — ounce (uncya).
16 ounces — pound (funt).
2,000 lbs. (centrar) 1 short ton (krótka tona).
2,240 lbs. — 1 long ton (długa tona).

Gram zwyczajnego systemu wag, zwanego avoirdupois, jakkolwiek nie jest nigdy używany, równa się granowi systemu „trey-weight". 7,000 granow stanowią zwykły funt systemu „troy-weight". Jak stąd widać, funt systemu „troy-weight" jest mniejszy od zwykłego funta w stosunku około 14 do 17. Lecz uncya systemu „troy-weight" jest większa, niż zwykła uncya, w stosunku około 79 do 72. Za dawnych czasów było w użyciu, że **112** funtów uznawano za centnar czyli „a hundredweight", lecz dziś mocą zarówno zwyczaju, jak i praw w większości stanów za centnar uznaje się równe sto funtów.

WAGI ZŁOTNICZE (Troy weight).

24 grains (grany) — 1 pennyweight (penny).
20 pennyw's — 1 ounce (uncya).
12 ounces — 1 pound (funt).

Pewna ilość złota podzielona w przypuszczeniu na 24 części, zwane **karatami**. Jeśli złoto jest czyste, to mówi się że ma 24 karaty. Jeśli są 22 części czystego złota i 2 części spławu, to złoto jest 22 karatowe. Jednostka monety amerykańskiej jest w dziewięć dziesiątych częściach czyste złoto i ma wartości $20. 67. Jakość złota, nazywana **"new standard"** i używana na zegarki i t. p., ma 18 karatów. Nazwa karat oznaczać może także 2½ grana systemu "troy-weight" i używana jest do ważenia dyamentów. Dzieli się ona na cztery części, zwane "granami". W ten sposób cztery grany systemu "troy-weight" są równe pięciu granom wagi dyamentowej.

MIARY GEOMETRYCZNE (Surveyors Measure).
(Używane do pomiaru gruntów).

7.92 inches (cali) — 1 link (ogniwo).
2 links — 1 rod (pręt).
2 rods — 1 chain (łańcuch).
2 rods — 1 chin
10 square chains — 1 acre (akier).

Pomiary rządowe.

Rządowe pomiary ziemi przeprowadzone są wzdłóż głównego południka na północ i na południe, a takich południków jest w Stanach Zjednoczonych 24. Potem przeprowadza się linię podstawową na wschód i na zachód pod prostym kątem do południka. Inne linie przeprowadzone są równolegle do tej, tak, że kraj cały jest podzielony na czworokąty po sześć mil w kwadracie. Te czworokąty nazywają się "townships". "Range" jest to linia "township", biegnąca na północ i na południe, i oznacza się liczbą porządkową na wschód, lub na zachód od głównego południka.

Przeprowadzając pomiary jakiejkolwiek działki gruntu zaczyna się od pewnego rogu. Znalazłszy położenie dwóch linii granicznych, określa się także wszystkie pozostałe podług rządowych map i w ten sposób dana działka zostaje wyznaczona.

Townschip ma 36 sekcyi, każda po jednej mili kwadratowej.

Sekcya ma 640 akrów.

Ćwierć sekcyi — pół mili w kwadracie — ma sto sześćdziesiąt akrów.

Ósma część sekcyi — pół mili długa, z północy i z południa i ćwierć mili szeroka — ma osmdziesiąt akrów.

Szesnasta część sekcyi — ćwierć mili w kwadracie, ma czterdzieści akrów.

Sekcye dzielą się na ćwierci, które oznaczone są także liczbami porządkowymi. Na takie ćwierci podzielona jest na tablicy sekcya pierwsza. Ćwierci dzielą się w ten sam sposób. Tak naprzykład podajemy opis 40 akrowej farmy. Południowa połowa zachodniej połowy południowo-zachodniej ćwierci sekcyi 1, townschip... Liczba akrów, jaką działka ma zawierać nie zawsze będzie dokładna, lecz czasami może być większą, lub mniejszą od oznaczonej.

MIARA PORÓWNAWCZA DRÓG.

1 mila duńska — 7.532 klm.
1 mila amerykańska — 1.609 klm.
1 mila morska — 1.852 klm.
1 mila morska francuska — równa się 3 milom norweskim — 5.556 klm.
1 mila norweska — 11.295 klm.
1 wiorsta rosyjska — 1.067 klm.
1 mila geograficzna — 7.420 klm.
1 stopień na równiku równa się 15 milom geograficznym — 111.307 klm.

Miary metryczne	MIARY DŁUGOŚCI.	Miary St. Zjedn.
Myriametr	10.000 metrów	......6.2137 mil
Kilometr	1.000 metrów	......0.62137 mil
Hektometr	100 metrów	......328 stóp i 1 cal
Dekametr	10 metrów	......393.7 cali
Metr	1 metr	......39.37 cali
Decimetr	1-10 metra	......3.937 cali
Centymetr	1-100 metra	......0.3937 cali
Milimetr	1-1000 metra	......0.0394 cali

MIARA POWIERZCHNI

Hektar	10,000 kwadr. metrów	....2.471 akra
Are	100 kwadr. metrów	....119.6 kw. yr.
Centnar	1 kwadr. metr.	....1.550 kw. cali

MIARA POJEMNOŚCI

Kilolitr	1,000 litrów	1 kub. metr	264.17 galonów
Hektolitr....	100 litrów	1-10 kub. metra ..	26.417 galonów
Dekalitr	10 litrów	10 kub. decim.	2.6417 galonów
Litr	1 litr	1 kub. decim...	1.0567 kwarty
Decilitr	1-10 litrów	1-10 kub decim..	0.845 gil.
Centilitr	1-100 litrów	10 kub centimetr. ..	0.338 uncyi
Mililitr	1-1000 litrów	1 kub. centimetr ..	.27 dram.

Pogrzeb Ptaszka.

Dzieci ptaszka pochowały
Pod listkami brzózki białej,
Postawiły mały krzyżyk,
Na nim napis: — tu śpi czyżyk.
Przy mogiłce dookoła
Rozsypały polne zioła,
A wśród ziółek na dodatek
Zostawiły biały kwiatek.

I ustami współdrżącemi
Całowały grudki ziemi
I tę brzózkę, co się chyli,
By ptaszkowi było milej.
Potem wstały, popatrzyły
I odeszły od mogiły,
I odeszły wszystkie w smutku,
Popłakując pocichutku.

Zygmunt Różycki.

Z POZNAŃSKIEGO.



Delegaci towarzystw w uniformach niemieckich, ale przybrani w szarfy narodowe polskie, w oczekiwaniu na wkroczenie wojsk polskich do Grudziądza.

Ubezpieczenie Życia

W ŻADNYM bodaj kraju zasada ubezpieczania własnego życia nie rozwinęła się tak silnie, jak w Stanach Zjednoczonych. Oprócz bowiem kilkudziesięciu t. zw. kompanii ubezpieczeniowych, o pewnym, z góry określonym kapitale zakładowym zebranym przeważnie drogą akcyi, istnieje tu cały szereg organizacyi, opartych na systemie bratniej pomocy, pobierających takie opłaty od swych ubezpieczonych członków, które bez zysków dla kogobądź, wystarczają na pokrycie sum pośmiertnych po zmarłych członkach.

Do jakiej potęgi instytucye te się rozwinęły, da nam choć w przybliżeniu pojęcie fakt, że w dniu 1 stycznia 1920 r. zobowiązania dwudziestu pięciu kompanii ubezpieczeniowych wynosiły $17,990,886,655.00 a w dwudziestu pięciu największych organizacyach bratniej pomocy zobowiązania te wynosiły $7,022,149,489.00 — to znaczy, że na taką sumę członkowie tych instytucyi byli ubezpieczeni.

O ile zaś w kompaniach ubezpieczeniowych system prawadzenia interesu polega na pobieraniu takiej skali opłat, któreby wystarczyły nie tylko na pokrycie zobowiązań, ale jednocześnie i na stały pewny zysk w postaci dywidendy dla swych akcyonaryuszy, — o tyle organizacye bratniej pomocy opłaty miesięczne normują skalą śmiertelności, opartej na statystyce krajowej, — względnie na ustalonych tabelkach dwóch organizacyi, mianowicie: "American Experience Table" i "National Fraternal Congress". Pierwsza za podstawę bierze większą śmiertelność, powstającą z najrozmaitszych zbyt ryzykownych zawodów pracy; druga zaś, wykluczywszy pewne hazardowe zawody posługuje się mniejszą skalą śmiertelności — i stosownie do tego ustala wysokość opłat miesięcznych na pokrycie zobowiązań.

Są organizacye które przyjmują każdego, bez względu w jakim zawodzie kto pracuje; lecz są i takie które wykluczają przyjęcie np. górnika, kolejarza, szynkarza itp. Stąd też powstają i różnice i to znaczne w śmiertelności członków tych organizacyi.

Statystyka za rok 1919 wykazuje, że np. w "Independent Workmen's Circle" śmiertelność wynosiła 3 zmarłych na tysiąc ubezpieczonych, podczas gdy np. w "United Workmen, Ancient Order of Oregon" 49 na tysiąc. To więc zestawienie tłómaczy dostatecznie, że wysokość opłat w jednej i drugiej organizacyi nie może być jednaką, jak nie jednaką jest śmiertelność.

Jeżeli zatem słuszną jest nazwa dla organizacyi tego typu o jakiej mówimy, jako organizacya "bratniej pomocy", przeto słuszną też jest rzeczą, by organizacya taka przyjmowała do ubezpieczenia wszystkich, bez względu na zajęcie i rodzaj pracy. Bratnia pomoc w samej już nazwie wyklucza klasyfikowanie robotników na zawody, ale jednocześnie wkłada i obowiązek na zawody mniej hazardowne w celu przychodzenia z pomocą bratnią tym, którym śmierć zagraża częściej i którym warunki życiowe nie tak pomyślnie się układają.

* * *

Do takich właśnie organizacyi bratniej pomocy należy Związek Narodowy Polski w Ameryce.

Liczba jego członków sięga do 130-tu tysięcy, a suma zobowiązań w dniu 1-go stycznia 1920 roku wynosiła $68,984,800.00. Opłaty członkowskie wzorowane są na tabeli „American Experience Table", a śmiertelność wynosiła za ten rok 10.94%.

Tabela poniższa wykazuje właśnie wysokość opłat od sum ubezpieczonych:

Wiek	$100	200	300	400	500	600	700	800	900	1000
16—21	11	22	33	44	55	66	77	88	99	110
21—22	11	23	34	45	57	68	79	90	102	113
22—23	12	23	35	46	58	70	81	93	104	116
23—24	12	24	35	47	59	71	83	94	106	118
24—25	12	24	36	48	61	73	85	97	109	121
25—26	12	25	37	50	62	74	87	99	112	124
26—27	13	26	38	51	64	77	90	102	115	128
27—28	13	26	39	52	66	79	92	105	118	131
28—29	14	27	41	54	68	81	95	108	122	135
29—30	14	28	42	56	70	83	97	111	125	139
30—31	14	29	43	57	72	86	100	114	129	143
31—32	15	30	44	59	74	89	104	118	133	148
32—33	15	30	46	61	76	91	106	122	137	152
33—34	16	31	47	62	78	94	109	125	140	156
34—35	16	32	48	64	81	97	113	129	145	161
35—36	17	33	50	66	83	100	116	133	149	166
36—37	17	34	52	69	86	103	120	138	155	172
37—38	18	36	53	71	89	107	125	142	160	178
38—39	18	37	55	74	92	110	129	147	166	184
39—40	19	38	57	76	95	115	134	153	172	191
40—41	20	40	59							
41—42	21	41	62							
42—43	21	43	64							
43—44	22	44	66							
44—45	23	46	69							
45—46	24	48	72							
46—47	25	50	75							
47—48	26	52	78							
48—49	27	54	81							
49—50	28	57	85							

Po 40 roku życia ubezpieczyć się można tylko do sumy $300. Po 50 roku życia nie przyjmuje się już do ubezpieczenia, a tylko na członków nieubezpieczonych.

Tabela powyższa wykazuje, jak mało są opłaty miesięczne, za ubezpieczenie życia w Związku Narodowym Polskim. Jeżeli weźmiemy np. członka, który wstąpił do organizacyi licząc lat 25 i ubezpieczył się na tysiąc dolarów, wówczas jego opłaty ubezpieczeniowe wynoszą $14.88 rocznie, czyli, że pełną sumę ubezpieczoną musiałby przez lat z górą 65 opłacać, by ją wnieść do kasy Zarządu. Ale wypadków takich wprost niema, by ktoś wpłacił taką sumę jaką spadkobiercy otrzymują.

Stąd też dla polskiego wychodźcy Związek Narodowy Polski (pomijając działalność społeczną, oświatową i patryotyczną) stał się prawdziwem dobrodziejstwem, podporą materyalną tysięcy rodzin i opiekunem w nieszczęściu.

* * *

Od niedawna, bo zaledwie od kilku lat, zezwolono organizacyom bratniej pomocy ubezpieczać również i dzieci członków organizacyi. Dotychczas 35 stanów Unii amerykańskiej przeprowadziło uchwałę, mocą której wolno ubezpieczać całe rodziny w organizacyach bratniej pomocy a więc i dzieci. Niektóre z tych stanów porobiły najrozmaitsze zastrzeżenia, mniej lub więcej ważne, ale wszystkie godzą się, że ze względu na przyszłość tych organizacyi nie można ubezpieczać dzieci poniżej jednego roku, a ubezpieczenie rozpocząć należy od 2 roku życia do 17.

Statystyka wykazuje, że na 100,000 urodzin umiera w pierwszym miesiącu życia 4,377 dzieci —, a przed ukończeniem jednego roku 11,462 czyli 11.46%. Stąd też poszczególne urzędy stanowe, którym powierzono nadzór nad organizacyami bratniej pomocy, by uniknąć możliwych bankructw i straty wpłaconych pieniędzy przez ubezpieczonych, skrupulatnie przestrzegają ustanowionych praw i baczą, by do praw tych stosowały się organizacye, ubezpieczające dzieci swych członków.

Na mocy więc tych praw, a w celu uchronienia dziatwy polskiej od zupełnej amerykanizacyi Związek Narodowy Polski z dniem 5 stycznia 1920 r. wprowadził w życie ubezpieczenie dzieci i uruchomił nowy Wydział t. zw. Małoletnich.

Ze względów narodowościowych a także i wychowawczych już sam ten fakt, że dziecko może być zapisane do organizacyi polskiej, a tem samem zadzierzgnięta nić łączności pomiędzy dzieckiem a życiem polskiem, ma bardzo doniosłe znaczenie. Dziecko bowiem, dochodząc do pewnych lat, poczyna sobie uświadamiać, że jest cząstką polskiej organizacyi, poczyna się nią interesować i brać w jej życiu udział; a gdy dojdzie do 17 roku życia i przeniesie się do Wydziału pełnoletnich członków, jest już zaznajomione z życiem organizacyjnem i z wielu sprawami polskiemi.

Za parę centów miesięcznie rodzice czy opiekunowie dziecka otrzymują korzystne ryzyko na wypadek śmierci, a jednocześnie zespalają dziecko z polskością, co na gruncie tutejszym ma pierwszorzędne znaczenie.

System opłat w ubezpieczeniu dzieci zależnym jest od lat, jak również wysokość sumy spadkowej zależną jest od długości trwania certyfikatu, jak to wykazuje następująca tabelka: mi zaś przez owych lat 14 wpłacili tylko $31.92. A więc za niecałych $32.00 otrzymają $400.00.

Korzyści więc materyalne z ubezpieczenia dzieci w Związku Narodowym Polskim są o-

Tabela opłat ubezpieczenia na życie dla małoletnich.

Podatek miesięczny	19	19	19	19	20	20	21	21	22	22	24	27	29	30
Wiek	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15
Długość trwania Certyfikatu														
1 rok	26	30	36	42	50	60	80	120	160	200	240	280	320	400
2 "	30	36	42	50	60	80	120	160	200	240	280	320	400	
3 "	36	42	50	60	80	120	160	200	240	280	320	400		
4 "	42	50	60	80	120	160	200	240	280	320	400			
5 "	50	60	80	120	160	200	240	280	320	400				
6 "	60	80	120	160	200	240	280	320	400					
7 "	80	120	160	200	240	280	320	400						
8 "	120	160	200	240	280	320	400							
9 "	160	200	240	280	320	400								
10 "	200	240	280	320	400									
11 "	240	280	320	400										
12 "	280	320	400											
13 "	320	400												
14 "	400													

Z powyższej więc tabelki wynika, że gdy dziecko liczące np. dwa lata życia zostało ubezpieczone w Wydziale Małoletnich Z. N. P. i zmarło po 14 latach należenia, spadkobiercy otrzymają $400.00 tytułem pośmiertnego. Sami zaś... gromne i dlatego każdy Związkowiec i Związkowczyni dzieci swe ubezpiecza w Związku.

Bliższych informacyi udziela zawsze biuro Zarządu Centralnego, pn. 1406 W. Division St., Chicago, Ill.

O polskim żołnierzu i generale francuskim.

Był tam ułan nad ułany,
Pawlikowski Janek zwany,
Cały oddział sam wymłócił,
Gdy się w niego z lancą rzucił.

Jak skończyła się ta praca,
Do obozu z jeńcem wraca,
A w obozie był tą porą
Wódz francuski, sławny Moreau.

Ten zdumiony męstwem takiem:
— Kto ty? — pyta. — Jam Polakiem.
Wziął generał kieskę w rękę:
— Przyjmij — rzecze — tę podziękę.

Pawlikowski stał przed rotą,
Twarz mu zdobią męskie blizny:
— Generale! nie za złoto,
Lecz się biję dla Ojczyzny!

Umilkł. Moreau spuścił oczy,
Potem na pierś zucha skoczy
I zawoła: Nie zaginie
Kraj, co z takich zuchów słynie!



Jakób Bojko,
zasłużony poseł Małopolski, wice-marszałek Sejmu polskiego w Warszawie.

Związek Narodowy Polski w cyfrach.

Od dnia założenia w 1880 roku do dnia 1-go Stycznia 1920 roku.

Związek Narodowy Polski założony został w 1880 r. w celach następujących:

1) Zespolić lud polski na wychodźtwie;
2) Zapewnić mu należyty rozwój pod względem moralnym, umysłowym, ekonomicznym i społecznym;
3) Uchronić język ojczysty oraz kulturę i obyczaje narodowe od zaniku i
4) Działać wszelkimi godziwymi środkami na korzyść przywrócenia niepodległości Ziem Polskich w Europie.

Dziś, — po czterdziestu z górą latach — praca Związku w cyfrach przedstawia się, jak poniżej wykazuje raport z 1 stycznia, 1920 r.

Majątek Zw. Nar. Pol.

Gotówka w kasie		$ 123,814.77	
Wypożyczono na hipoteki		3,710,500.00	
Papiery wartościowe:			
Bondy Kanadyjskie	$ 10,942.24		
Bondy Wolnościowe	675,000.00		
War Savings Stamps	1,674.00		
Lokacya Bankowa	150,000.00	837,616.24	
		4,671,931.01	

Inwentarz:

Wartość urządzenia Domu w Chicago	$ 15,176.50	
Wartość domu i lot w Chicago	36,500.00	
Wartość domu i lot w New Yorku	60,000.00	
Wartość Kolegium Zw. Nar. Pol.	175.000.00	
Wartość Drukarni Z. N. P.	42,673.23	
Wartość Biblioteki Z. N. P.	7,000.00	336.349.73

Remanenta:

Wartość ksiąg finansowych, Pamiętników Kongresu, Katalogów Biblioteki i Historyi Z. N. P.	4,610.55	
Znaczki Oszczędnościowe na sprzedaż	751.84	5,362.39

Ogólny majątek Zw. Nar. Pol. $5,013,643.13

Związek Nar. Pol. wydał od dnia założenia:

Pośmiertnego wypłacono $10,308,631.33

Pomniki i Manifestacye:

Pomnik Kościuszki w Washingtonie	$ 47,052.75	
Pomnik Kościuszki w Chicago	19,000.00	
Koszta różnych manifestacyi w tym kraju i Europie	8,287.45	74,340.20

Cele dobroczynne:

Wydział Wsparć	$155,914.73	
Zapomogi dla nieszczęściem dotkniętych w A.	1,992.06	
Zapomogi biednym w Eur.	14,382.90	
Rozmaite cele dobroczynne	1,430.00	173.719.69

Komisye i Wydziały:

Komisya Emigracyjna w New Yorku wraz z Domem Emigr.	193.,128.58	
Inne Komisye Emigr. i wspomożenie emigr.	5,033.61	
Wydział Młodzieży	1,000.00	
Wydział Wojsk Polskich.	13,123.00	
Wydział Śpiewaków	8,500.00	
Wydział Kobiet	3,575.00	
Wydział Sokołów Pol.	13,070.97	
Komisya Rolnictwa i Kolonizacyi	410.00	
Komisya Przemysłu i Handlu	725.75	238,566.91

Cele Oświatowe:

Komisya Szkolnictwa wraz z Kolegium ZNP.	$782,340.06	
Wydział Oświaty: stypendya, biblioteki, książki	81,329.67	
Biblioteka Z. N. P. W Chicago: założenie, inwent.	26,622.68	
Inne cele oświatowe	6,000.28	896.292.69

Cele Narodowe:

Muzeum Narodowe Polskie w Rapperswylu	$ 39,416.00	
Komitet Obrony Narodowej w Ameryce	2,125.00	
Na Głodnych w Polsce (Wydział Niepodległośc.)	191.550.83	
Fundusz Narodowy Z.N.P. (5-centówki członków)	270,988.44	
Na Dar Majowy	60,820.15	
Na Armię Polską	15,481.31	
Na Fundusz 10-milionowy	107,759.56	
Na Plebiscyt	56,000.00	744.141.29

Razem na cele dobr., ośw. i narodowe $2,127,060.78

REGULAMIN BIBLIOTEKI Z. N. P.

1406 - 1408 W. Division ul. w Chicago, Ill.

Art. I. Biblioteka jest otwarta w dni powszednie od godziny 10tej rano do 12-tej w południe i od godziny 2-ej po południu do 9-tej wieczorem. W niedzielę od godziny 2-giej do 6-tej po południu. Zamkniętą zaś Biblioteka będzie zupełnie w dzień Nowego Roku, w pierwsze i drugie święto Wielkiejnocy, w pierwsze i drugie święto Bożego Narodzenia, oraz w legalne święta krajowe, jako to: "Decoration Day", "July Fourth", "Labor Day" i "Thanksgiving Day".

Uwaga: W sezonie letnim Biblioteka będzie zamykana cały dzień w niedzielę tak długo, jak dyrekcya zadecyduje.

Art. II. Wypożyczać książki z Biblioteki związkowej może każdy Polak, lub Polka bez względu czy są członkami Związku, lub nie, za złożeniem 3 dolarów, lub więcej kaucyi, stosownie do wartości wypożyczonej książki.

Art. III. Bibliotekarz wypożyczający książki w dobrym stanie, stanowczo nie przyjmie z powrotem książki zniszczonej, lecz trzeba zapłacić za takową. Wypożyczający książki nie może robić wewnątrz znaków ołówkiem, nie powinien wydzierać, lub brudzić kartek, nie zaginać rogów kartek i nie plamić lub drzeć oprawy.

Uwaga: Z Biblioteki nie będą wypożyczane dzieła ilustrowane, starożytne, antyki, encyklopedye, słowniki i inne dzieła wartościowe. Można takowe przejrzeć w Bibliotece, lecz brać do domów nie wolno.

Art. IV. Wypożyczonych książek nie wolno dłużej trzymać u siebie, niż dni 14. Po upływie tego czasu za każdy dzień przetrzymywania książek płaci się 3 centy kary od każdego tomu. Książek wypożycza się naraz tylko dwa tomy i dopóty drugie książki nie zostaną wypożyczone, dopóki poprzednio wzięte nie będą zwrócone.

Art. V. Członkowie Z. N. P. otrzymują książki za poręczeniem grup, do których należą. Poręczenia te mają być podpisane przez Prezesa i Sekretarza grupy, oraz potwierdzone pieczęcią tejże grupy. Grupy dając poręczenie swym członkom, przez to samo są odpowiedzialne: za zgubienie, zniszczenie lub przetrzymanie książek, jeżeliby sam wypożyczający nie chciał pokryć strat przez siebie spowodowanych.

Art. VI. Przetrzymujący książki po czasie oznaczonym w niniejszych ustawach, zostanie uwiadomiony kartą pocztową, a gdy w przeciągu 10-ciu dni nie zwróci książek, jego ręczyciele zostaną uwiadomieni i w przeciągu 15-tu dni muszą zwrócić książki w dobrym stanie lub też pieniądze za takowe. Dopóki kara lub należność za zaginioną książkę nie zostanie zapłacona — inne nie będą wypożyczane. Dyrektorzy Biblioteki mają prawo ściągać kary i należności sądownie w razie potrzeby. Kto trzykrotnie przekroczy wyżej wymienione ustawy, temu wypożyczanie książek zostanie odmówione.

USPOKOIŁ GO

Gospodarz: — Kto tam do dyabła tak hałaśliwie do drzwi się dobija? Wszak godzina pierwsza po północy.

— Co panu potrzeba?

Złodziej: — O, stokrotnie przepraszam, byłem pewny, że nikogo w domu niema.

MA RACYĘ

Chłop, dobrze napity, wraca z babą do domu. Naraz spada mu z głowy czapka.

— Babo, podnieś copkę!

— Kiejś się upił, podnieś se som!

— Racya... Ale potem będziesz musiała podnieść mnie i copkę.

Jak Podróżowano w Dawnej Polsce?

OSTATNIE dwutygodniowe wstrzymanie ruchu kolejowego w całej Polsce stało się prawdziwą klęską dla publiczności podróżującej, która nie może sobie prawie wyobrazić swej egzystencyi bez takiego środka lokomocyi, jakim jest kolej żelazna. A jednak był czas, kiedy kolei nie znano i mimo to ludziska przenosili się z miejsca na miejsce, nikomu jak dziś... nie wymyślając. Inne czasy — inni ludzie!

Nawiązując do zastanowienia ruchu kolejowego w Polsce — przypominamy dziś czytelnikom kilka szczegółów z dzieła Łętowskiego o podróżach w XVIII wieku.

* * *

Poróżowano zawsze bardzo uroczyście z liczną kalwakatą. Na czele ordynku szły wozy z zapasami żywności i trunkami pod kierunkiem kucharza, który też zawczasu gotował obiad lub wieczerzę, aby państwo, gdy przyjadą, wnet mogli zasiąść do stołu. Wiktuały musiały być przygotowane na całą, nieraz paro tygodniową podróż.

Moc przytem wożono ze sobą przyodziewku zapasowego, pościeli itp. Piernatów musiało być tyle, ile osób z państwa jechało. Na jednej poduszce nikt nie poprzestawał: wożono po dwie i więcej dla każdego.

Kalwakata taka składała się nieraz z kilkudziesięciu powozów i wozów, mnóstwa koni i ludzi. Im kto liczniej wyruszał w drogę, tem było okazalej. "To się nazywało jechać dworno"...

Z biegiem czasu, zwłaszcza za Augusta III Sasa, namnożyło się przytem zbytków, jakich przedtem — przydać trzeba — nie widziano.

Jejmość pani jeździła przedtem kolaską gdańską, która około 120 tynfów kosztowała. Czasem karetą, której koszt nie przenosił jednak 300 tynfów. Koni używano za Augusta II. tłustych, ale swojego chowu, krajowej rasy. Garderobę składały dwa po prababce robrony, ze dwa saki, tyleż kontusików. Wystarczało tego na całe życie i jeszcze córce w spuściźnie się dostawało.

Jegomość będąc kawalerem, a wieszając się dworu magnata, z jego pomocą miał garderobę piękną i obfitą. Nie potrzebował też sprawiać nowej, tylko ją "ścieśniał i rozpuszczał, w miarę przybywającej lub uchodzącej cyrkumferencyi"; potem na dorosłych synów ją przerabiał. Gdy wyruszano w drogę, zabierano zawsze całą garderobę, nawet najliczniejszą.

* * *

Wielcy panowie, rzecz prosta, podróże swe odbywali wspaniale. Stanisław książę Lubomirski, wojewoda kijowski, gdy jechał karetą do kościoła katedralnego zagajać sejmik, był otoczony dokoła: nieraz setki dworzan mu towarzyszyło, a ilu pacholików! Ile powozów! Dworzanie konno, a jak byli poubierani! Jakie rzędy na koniach! Wystawność ta w sposobach podróżowania, jak zapewnia Ochocki, trwała od r. 1788—90. Z bardzo licznymi orszakami widywał Ochocki panów jeżdżących w Warszawie w dni uroczyste na zamek królewski w roku 1786. Taki np. Stępkowski, wojewoda kijowski, pan na Łabuniu i inni, gdy wyruszał w drogę, zabierał ze sobą kuchnię, piwnicę, wszelkie wygody; sześćdziesiąt kilka koni wiozło pana wojewodę, dwór i zapasy, robiąc po 5 mil dziennie; poprzedzało kalwakatę dwóch pokojowych, którzy zawczasu przysposabiali mieszkania i furaż.

* * *

Za Sobieskiego i później, za Augusta II., szlachta polska odbywała podróże, nawet i dalsze, konno lub wózkiem, często dwukołowym, zwanym biedą. Gdy podczas deszczu pani zawinęła spódnicę na głowę, nikogo to nie dziwiło; później jednak zaczęto szydzić, mówiąc, że "jedzie półkrytkiem".

Od początku panowania drugiego Sasa zaczyna się zbytek i w powozach: ponieważ w kraju karet wyrabiać nie umiano, zaczęto sprowadzać je z Gdańska, płacąc drogie pieniądze. Karety niebawem tak się u nas zagęściły, że każdy szlachcic o jednej wiosce miał ją, jeśli nie dla siebie, to dla żony i córek. Zresztą niebawem i w kraju zaczęły powstawać fabryki zbytkownych powozów, ku czemu się pczyczynili sami dziedzice. Tak, Stanisław Poniatowski, stryj króla, wojewoda mazowiecki, sprowadził do swych dóbr Zaleszczyckich, na Ukrainie, nietylko całe zastępy tkaczów, lecz także stelmachów i siodlarzy. To samo uczynił Jan Małachowski, kanclerz wielki koronny, zakładając w Końskich, w woj. Sandomierskiem, fabryki powozów.

Lubo zaczęto wyrabiać karety i inne zbytkowne powozy w Polsce, wszelako kładziono na nich zawsze firmy zagraniczne.

Karety wielkich panów i królewskie od parady były ozdobione nazewnątrz różną rzeźbą, malowaniem chińskiem, koronami, suto w ogniu wyzłacanemi, w środku zaś wybijane aksamitem i galonami złotemi; okna robiono zwierciadlane. Karety powszedniejsze były wybijane suknem ponsowem lub karmazynowem, tudzież żółtym lub białym galonem, zewnątrz skórą juchtową. Pudła były tak wysokie, aby w karecie można było stać.

Resorów jeszcze nie znano: pudło karety wisiało na grubych pasach rzemiennych, umocowanych między dwoma drągami, oś tylną i przednią wiążącemi. Koła tylne u karety — olbrzymie, przednie niziuchne, przez co stangret musiał starannie omijać najmniejszy pień lub kamień, żeby osią przednią lub pudłem nie zaczepić. Stopnie u karet były jeszcze niżej od pudła przybite. Kiedy kareta brnęła po błocie, to stopnie garnęły je, jak pług ziemię. Na schyłku panowania Augusta III. zaczęły już się rozpowszechniać resory. Używano częściej resorów t. zw. wiszących, niż leżących, które później się rozpowszechniły.

Oprócz karet własnych, używała czasem w Warszawie mniej zamożna szlachta najemnych. Stolica posiadała kilku siodlarzy, którzy wynajmowali karetę i parę koni na godziny. Brano takie karety najczęściej od 7 rano do południa, a potem od 2 do 9 i dłużej, przytem płacono "przodem" (z góry) po czerwonym złotym od karety lepszej od "podlejszej" zaś po 2 złp.

Wielcy jednak panowie wstydzili się karet najemnych.

Bardzo dworno i wspaniale wyruszali zwykle w drogę hetmani, zaniechawszy dawnego zwyczaju podróżowania konno. Za Augusta III za dyshonor poczytywałby sobie hetman udawanie się w drogę na koniu.

Gdy hetman wielki koronny lub litewski jechał do króla na audyencyę lub na sejm, jego karetą paradną, w sześć koni, pod szorami ze złotem i srebrem, kierował stangret z kozła przy pomocy forysia.

Największe Porty Na Świecie.

New York — Stany Zjednoczone.
Londyn — Anglia.
Hamburg — Niemcy.
Antwerpia — Belgia.
Liverpool — Anglia.
Marseilles — Francya.
Havre — Francya.
Bremen — Niemcy.
Kalkuta — Indye.
Bombay — Indye.
Buenos Ayres — Argentyna.
Tryest — Włochy.
Singapore — Kolonie brytyjskie.
Hull — Anglia.
Sydney — Australia.
Genoa — Włochy.
New Orleans — Stany Zjednoczone.
Montreal — Kanada.
Boston — Stany Zjednoczone.
Shanghai — Chiny.
Manchester — Anglia.
Galveston — Stany Zjednoczone.
Glasgow — Anglia.
Kobe — Japonia.
Dunkirk — Francya.
Yokohama — Japonia.
Aleksandrya — Egipt.
Melbourne — Australia.
Southampton — Anglia.
Petrograd — Rosya.
Gdańsk — Polska.

Autosuggestya a Epidemie

Silna wola działa cuda.—Dobry humor najskuteczniejszym środkiem leczniczym.—Kichajcie.

STALE grasujące w kraju epidemie tyfusu i odry ogół poważnie zaniepokoiły. Nie od rzeczy też będzie zająć się kwestyą, o ile autosuggestya może sprzyjać rozwojowi chorób w jednostce i masach, oraz o ile autosuggestyą i silną wolą można bieg choroby zmniejszyć i przebyć ją szczęśliwie.

Znaną jest rzeczą, że istnieje w Indyach angielskich pewna kasta ludzi, zwanych Yogami, którzy to myśliciele przez stałe ćwiczenia psychofizyczne zdobyli panowanie nad swym organizmem, a tem samem i nad swem otoczeniem. Nie mówiąc już o różnych cudach czy sztuczkach, faktem jest, że w intencyi czynienia dobrych uczynków pielęgnują oni chorych na dżumę z całem poświęceniem się. Gdy który z nich zarazi się chorobą i czuje początki już w sobie, silną wolą reguluje bicie serca i obieg krwi, czyniąc to głównie przez regulowanie oddechu, i tym sposobem przez krótki czas sam siebie uzdrawia. Podobne sposoby są już i u nas znane. W czasie silnej "hiszpanki" w ubiegłych latach, jeden z żołnierzy austryackich, zarażony tą chorobą, będąc już w niebezpiecznym stanie grożącym śmiercią, silną wolą zmniejszył oddech do minimum, myśląc przytem o regularnem biciu serca i w przeciągu dwóch godzin uśmierzył chorobę tak, że na drugi dzień mógł się już oddać zwykłym obowiązkom. Bezsprzecznie, że podobne eksperymenta może czynić człowiek o silnej woli, a pewnem jest, że tylko tacy ludzie dochodzą do sędziwego wieku.

Wiele inwalidów posiada w większym stopniu od innych wrażliwość, inni zaś w większym stopniu odporność organizmu na zarazki różne. Człowiek wyczerpany, smutny, przygnębiony, łatwiej zaraża się chorobą lub ulegnie przeziębnięciu, niż człowiek zdrowy, wesoły, o pogodnem usposobieniu. To też tylko pełnia siły żywotnej i odporności organizmu daje gwarancyę szczęśliwego uniknięcia choroby. Tu autosuggestya ma wdzięczne pole do działania. Bo jakie myśli, taki człowiek. Przygnębienie psychiczne, beznadziejność, nędza wszelkiego rodzaju, to pewna droga do choroby. Całą siłą trzeba się bronić przed tem. Mimo, że każda jednostka odmiennie może przyjąć suggestyę, jednak są zasadniczo pewne środki, które działają na organizm. Bezpośredniem prawem jest to, że przyjmowanie dobrego czy złego dla ciała, jest równoznaczne z zaczerpnięciem oddechu, zaś wydech oznacza siłę na zewnątrz, jest niejako czynem, odporem.

Jak to działa bezpośrednio na człowieka, to można zaobserwować w przystępie nagłego strachu. W krytycznym momencie należy wprost naczerpnięte pełną piersią powietrze, szybko oddać wydechem, a po parorazowym kolejnym tym eksperymencie natychmiast następuje pewność siebie i wraca moc ciała i odwaga.

Ostatnio propaguje znana londyńska lekarka dr. Oktawia Lewin, dla chorób nosowych jak najczęstsze kichanie, — zapewniając tą drogą ludzkości zdrowie, wesołość i szczęście. Sposób ten ma właśnie ugruntowanie w tem, cośmy poprzednio rzekli, jak również i to, że kichając usuwamy z drogi oddechowej mnóstwo chorobotwórczych bakcylów.

KOBIETY O MĘŻCZYZNACH

Literatka — Mężczyzna, jako typ w powieści musi być szlachetny, kobieta — niekoniecznie.

Adwokatka — Mężczyzna więcej jest zbrodniczy, lecz rzadziej karany, niż kobieta.

Lekarka — Mężczyzna jest bardziej interesujący pod względem anatomicznym, niż kobieta.

Służąca — Lepiej usługiwać stu mężczyznom, niż jednej kobiecie.

Zwycięstwo Ziemniaka

Ameykański przybysz. Skąd się wzięła nazwa kartofel? Świńska karma.

OBECNIE, gdy ziemniaki stanowią tak ważny, nieodzowny i ulubiony artykuł spożywczy, trudno sobie wyobrazić, że z początku ziemniak musiał stoczyć ciężką walkę zanim zdobył sobie prawo obywatelstwa.

W końcu XVI stulecia po raz pierwszy sprowadzono ziemniaki z Ameryki do Europy. Admirał Walter Raleigh, odkrywca Virginii, przywiózł w 1584 r. bulwy ziemniaczane do Irlandyi. Dopiero jednak w połowie XVIII-go wieku, ziemniak czyli kartofel wszedł w skład codziennego pożywienia ludności angielskiej i irlandzkiej. Także i do krajów południowych, do Hiszpanii i Włoch zawitały ziemniaki przy końcu XVI w. We Włoszech otrzymały właśnie nazwę "kartofle". Wyraz ten powstał zapewne z przekręcenia słowa "taratuffoola" — trufla. Z tego później utworzyły się nazwy: tartuffel, artoffeli, erdtuffla, cardoffel, a następnie w Niemczech zmieniono to na: kartofel. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że nawet w klasycznym kraju "kartoflarzy" bulwy ziemniaczane zyskały odrazu uznanie. I tam trzeba było z początku walczyć z nieufnością ku nowej jadalnej roślinie. W Saksonii wyśmiewano księży, którzy z kazalnic nakłaniali do uprawiania kartofli. Dopiero po siedmioletniej wojnie w czasie ogólnego głodu kartofel odniósł walne zwycięstwo — przedewszystkiem na piaszczystym nieurodzajnym gruncie Brandenburgii. Aby wszakże nakłonić swoich podwładnych do obsadzania pól ziemniakami, musiał król pruski wydać specyalne surowe zarządzenia. Na Śląsku nakaz uprawiania kartofli wywołał burzliwy protest. Chłopi pod strażą dragonów musieli sadzić ziemniaki.

— Tę świńską karmę chcą, abyśmy jedli! — irytowali się.

Ale pożywność i wydatność kartofla zrobiła swoje. Powoli ludzie zagustowali w amerykańskim przybyszu, który raz złamawszy zaporę uprzedzeń, jął się z wielką szybkością aklimatyzować.

I u nas w Polsce także ziemniak dopiero w XVIII w. wszedł w życie... A teraz trudno sobie wyobrazić wyżywienie ludności bez tego tak ważnego produktu. Można się obejść bez mięsa, można jako tako zastąpić mąkę — ale bez ziemniaków poprostu wyżyć niepodobna! One to były najsilniejszą podporą aprowizacyjną w czasie wojny, one ratują od głodu górali, żyjących na skalistych gruntach, one stanowią główny posiłek ubogiej ludności na "przednowku", one to w różnych postaciach pojawiają się codziennie na stole bogacza i na stole biedaka...

Lekceważony przez długie lata ziemniak zwyciężył na całej linii...

Najstarsze miasto w świecie.

Najstarszem w świecie miastem nazywają Anglicy Damaszek, który zdobyli w wojnie światowej. W samej rzeczy początki jego toną w zamierzchłej starożytności — i wiadomem jej tylko, że znanym już był Egipcyanom, że wspominają o nim najstarsze pisane źródła. Mimo to jest to i dziś jeszcze bogate i ludne miasto, a widok jego usprawiedliwia całkiem przyznany mu tytuł perły wschodu. Leży między górami u stóp Anty Libanu, na żyznej równinie, skrapianej siedmiu strumieniami i błyszczy w słońcu jak dyament w oprawie szmaragdów, tonąc w ciemnej zieleni owocowych sadów, wśród palm, cyprysów, platanów, brzo-

skwiń, pomarańcz, granatów fig i daktyli. Dziś jeszcze środkiem miasta biegnie szeroka droga z czasów rzymskich, tasama "via recta", na której święty Paweł rażony widzeniem, po obu stronach drogi szczątki kolumnady tu i ówdzie odgrzebane. W mieście pełno dziś jeszcze pamiątkowych zabytków, owianych czarem tradycyi i ślicznych domów, urządzonych na wschodnią modłę. Wśród mnóstwa meczetów najstarszy i największy stoi na miejscu, gdzie była niegdyś świątynia Amona, a wśród miejscowych Mostemów utrzymuje się tradycya, że tu zstąpi Chrystus, gdy przyjdzie sąd ostateczny.

—U nas w Polsce za dawnych dobrych czasów, które da Bóg powrócą, cieszyły się wielkim odbytem wyroby Damasceńskiego przemysłu. Szable z cienkiej stali powleczonej złotem w misterny arabski deseń, adamaszek na kotary i obicia, wreszcie śliwki Damaszki, które stamtąd są rodem, wyszukane wschodnie pachnidła, wszystko to przywożone było obficie na nasze targi przez kupieckie karawany. Dziś liczy Damaszek 250,000 mieszkańców i jest jak dawniej ważnym punktem strategicznym jako klucz do Syryi, to też zdobycie jego poczytywano w Anglii za ważny tryumf wojenny.

DZIECI ZBRODNIARZA.

W ostatnich śzasach wstrząsające zbrodnie nieletnich przestępców zwróciły na siebie uwagę myślącego ogółu.

Żądza posiadania pieniędzy, żądza używania za jakąkolwiek cenę życia, były głównym motywem tych potwornych wprost zbrodni. czne, czy też wadliwe wychowanie były główną przyczyną tych czynów kryminalnych?

Sądzimy, że zarówno jedno jak i drugie.

Mimowoli przychodzi nam tutaj na myśl teorya włoskiego psychiatry prof. Lombroso o "urodzonym zbrodniarzu".

Wedle zdania tego uczonego nie spaczone wychowanie, złe otoczenie i anormalne warunki społeczne wywołują zbrodnie, ale wrodzonę usposobienie patologiczne, stan zwyrodnienia organizmu.

Jakkolwiek teorya prof. Lombroso jest zbyt jednostronną i uległa też zasłużonej krytyce, to z drugiej strony przyznać musimy, że i najracyonalniejsze wychowanie ma swoje granice i nie może stworzyć nie istniejących popędów i skłonności. Może je tylko rozwinąć.

Tam, gdzie wola dziecka nie współpracuje razem z wychowawcą, ten nie zaszczepi nigdy uczuć moralnych.

Znakomity pedagog niemiecki, prof. Rein mówi w tej kwestyi: "Utarte i tak popularne słowo o "stuleciu dziecka" wiele przyczyniło się do zdziczenia młodzieży, osłabiło ono bowiem władzę wychowawczą, a wzmocniło potęgę nieletnich.

Pisarz i prawnik niemiecki, dr. Albert Hellwig w swej niezmiernie interesującej i pouczającej książce pt.: "Der Krieg und die Kriminalitaet der Jugendlichen" 1916 twierdzi stanowczo, że wojna zwiększyła przestępczość młodzieży w Niemczech. I u nas w zakładzie wychowawczo - karnym w Studzieńcu zwiększyła się znacznie liczba wychowanków, dochodząca do poważnej cyfry 240. Jest to największa liczba, jaką zakład ten przyjąć może. Najczęstszem przestępstwem bywa kradzież, za nią skazano 237 wychowańców na pobyt w Studzieńcu. Przestępstwa zdarzają się najczęściej w wieku rozkwitania, to jest od 14—18 lat. Dr. Hellwig jest zdania, że brak należytej opieki ojcowskiej, brak rygoru w domu i szkole, pobudzenie nadmierne wyobraźni przez wypadki wojenne są główną przyczyną zwiększenia się kryminalności małoletnich.

Niektóre współczesne utwory literatury sensacyjnej powodują wiele złego w tym kierunku, pobudzając nadmiernie wrażliwą wyobraźnię dzieci, a ona jest właśnie potężnym czynnikiem zbrodni. Z ciekawych badań Schullzego o wpływie wojny na przebieg wyobraźni u dzieci, wynika jasno, że cały młodociany kierunek myślenia pozostaje pod wybitnym wpływem wypadków wojennych. To też na lekturę dzieci trzeba zwracać baczną uwagę; powinna ona przechodzić przez baczną kontrolę rodziców.

Wojna, wstrząsające wypadki wojenne wywołują pewne zdziczenie duszy dziecka i z tem poważnie rachować się trzeba. Wojna jest złym wychowawcą...

Fizyologia Głodu

JAK można wnosić z codziennej obserwacyi, głód nie oddziaływa na wszystkie zwierzęta i ludzi jednakowo. Zwierzęcy organizm wystawiony na głód, musi żyć z własnych swoich zapasów: spala on swój tłuszcz i swoje tkanki muskułów, a w następstwie w braku tychże marnieje. A ponieważ zapasy te i warunki życiowe u różnych zwierząt i wogóle indywiduów są różne, odpowiednio do tego przeciąga się i proces umierania.

Mniejsze zwierzęta są w stanie tylko przez krótki czas znosić brak pożywienia. Wróbel np. ginie już po dwóch dniach, świnka morska po sześciu, zając po czternastu, kot dopiero po trzydziestu pięciu dniach zupełnego nieodżywiania się. Naturalnie stan zdrowia poszczególnego zwierzęcia odgrywa tu znaczną rolę. Wyżej przytoczone cyfry stosują się do organizmów o zdrowotności średniej. W niejednym wypadku kot potrafi 61 dni wytrzymać, nie otrzymując żadnego pożywienia.

Znamienna jest pod tym względem różnica pomiędzy t. zw. ciepłokrwistymi a zimnokrwistymi stworzeniami. Istoty ciepłokrwiste posiadają własną temperaturę, która pod względem otoczenia może się zniżyć tylko do pewnej określonej normy, warunkującej zachowanie przy życiu zwierzęcia.

Istoty zimnokrwiste natomiast np. płazy i amfibie, mają mniej więcej temperaturę otoczenia i wraz z otoczeniem zmieniają ją.

Niektóre zwierzęta ssące, w porze zimowej popadające w sen, jak np. nietoperz i inne, można po części zaliczyć do zimnokrwistych, gdyż temperatura ich w czasie snu zimowego spada i równa się prawie temperaturze otoczenia. Ponieważ proces spalania się w ciele zimnokrwistych i zwierząt znajdujących się w stanie snu zimowego odbywa się bardzo powoli, przeto i tkanki ich spalają się w nieznacznej mierze. Z tego powodu posiadają one niską temperaturę i mogą długi czas obyć się bez pożywienia. Pewne gatunki płazów mogą rok, dwa, trzy lata nie przyjmować pokarmu, pomimo tego zachowują się przy życiu, a nawet nie tracą wcale na wadze. Podczas gdy istoty o niższym ustroju mogą znieść zmniejszenie swej wagi o 75 procent, wyżej stojące organizmy umierają już przy utracie czterech dziesiątych części swej pierwotnej wagi.

Człowiek nie może naturalnie dla celów eksperymentalnych wstrzymywać się przez dłuższy czas od przyjmowania pokarmów, życie atoli nastręcza wiele sposobności, by wypróbować wytrzymałość zdrowego, ludzkiego ciała na brak pożywienia. Można to zauważyć u tych, którzy cierpią skrajną nędzę, albo podczas katastrof kopalnianych lub na morzu. Stałe nieprzyjmowanie pokarmu prowadzi, jak wogóle wszelkie nadwyrężenie organizmu do halucynacyi i delirium. Delirium na podłożu głodowem, ma następujący przebieg: Czynności duchowe prowadzą najpierw do wysokiego napięcia, a przedewszystkiem fantazya. W dalszem stadyum występuje rozdrażnienie, a nawet okrucieństwo. Potem następuje utrata pamięci, olbrzymie osłabienie woli u danej osoby, która nie może się już oprzeć występującym popędom. Prócz tego sny, iluzye, halucynacye tak w dzień, jak w nocy. Szczególnie charakterystyczne są halucynacye przy delirium głodowem. Są one przeważnie złudzeniami, wzbudzającemi grozę, choć i częstokroć można obserwować przyjemne halucynacye, jako zjawisko towarzyszące stałemu głodowi. Wielu ludzi ocalonych z kopalnianych katastrof opowiadało, że mieli ruchliwe, jasne, przeważnie przyjemne wizye. To zastanowienie czynności duchowych należy przypisać samozatruciu systemu nerwowego.

POCHWAŁA POLEK.

Poco się bracie, wdajesz z cudzą rasą?
Miłe są Szwedki, Francuzki, Angielki,
Ale czyż zdolne są przewyższyć krasą
Nasze Marychny, Zosie i Anielki?...
A już specyalnie, gdy nie chcesz, by wózek
Twym ekwipażem był w późnej starości
Unikaj bracie, jak ognia Francuzek
Nienasycone bowiem są w miłości...
Lecz Polka, gdy się Bogu uda,
Jest arcydziełem, które zrobił majster
Więc się łapiemy na te wszystkie cuda
Jak biedne muchy na zatruty klajster.
Czyście widzieli niemiecką maszkarę
— To kamienica, co ma dwa balkony —
Polka posiada wszystko w samą miarę
Bez względu, z której patrzysz na nią strony,
Dość w koncertowej rozejrzeć się sali...
Ach, co za wdzięki, co za śliczne cacka!
Włosy ze złota i usta z korali,
Co krok, to jakaś rozkoszna zasadzka.
Tu uśmiech słodszy od wschodniej bakalii,
Tam biust zaiste gładszy, niż aksamit,
Gdybym przytulił się do takiej talii
Nie oderwałby mię od niej dynamit.

Polka, gdy wejdzie już miłości na tor
Rozwija wtedy wściekły temperament.
Więc, gdy się trafi prawdziwy amator
Niechaj zawczasu pisze swój testament.
Polka, to pole do stydyum obszerne
Znajdziesz w niej wszelkie odmiany i stopnie
Marye i Janki zazwyczaj są wierne
Jadzie i Zosie, zdradzają okropnie.
Polki są wiecznie nowych wrażeń głodne,
A więc się z niemi nie potrafisz nudzić,
Bo posiadają środki niezawodne,
Któremi można umarłego zbudzić.
Czasem są ciche, jak głęboka woda,
To znowu wartkie, jak wiosenny strumień.
Gdy ktoś im serce w ładnej formie poda,
To zawsze skłonne są do porozumień.
A więc nie lecę więcej na Francuzki,
Ani Angielka szykiem mię nie skusi,
Bo mi smakują najbardziej całuski
Białej Manieczki i czarnej Maniusi.
Pierwszą omdlałość zdobi bajadery,
Druga ma we krwi swojej żar kreolki,
Więc kto jest znawca i koneser szczery,
Ten krzyknie ze mną: Niechaj żyją Polki!

Z cyklu "Pieśni żołnierskich".

ROTA ŚLĄZAKÓW.

Nie damy Śląska, skąd nasz ród,
gdzie dom nasz, próg ziemicy —
śląscy żołnierze, śląski lud,
górale i górnicy;
nie będziesz Czechu miał z nas sług,
tak nam dopomóż Bóg!
Naszą ta ziemia w polskiej krwi
zbroczona i w łzach wojny
nasz jest ten węgiel w którym lśni
pot naszej pracy znojnej;
nie sięgnie po nie nigdy wróg,
tak nam dopomóż Bóg!
Nie będzie deptał podły Czech
starej Piastowej ziemi,
psią mową hańbił naszych strzech,
raczej je śmierć oniemi;
raczej zaorze wszystko pług,
tak nam dopomóż Bóg!

W każdej kopalni znajdzie wróg
redutę on Ordona,
która pogrzebie raczej nas,
niż skarb mu wyda z łona
i niżby pot nasz złopać mógł,
tak nam dopomóż Bóg!
Ojczyzno święta, kraju nasz,
z tobą nam żyć, umierać!
niezłomnie stoi śląska straż,
Polsko, twa wierna czeladź!
zabrzmi i dla nas złoty róg,
tak nam dopomóż Bóg!
Od ojców naszych świętych trumn
i od kolebek dzieci,
ze śląskich pierś wszystkich strun
na świat wołanie leci:
gdzie Polska, tam nasz dom i próg,
tak nam dopomóż Bóg!

TANIEC MIŁOŚCI I ŚMIERCI

Jedynak cesarski. Miłość Rudolfa i Maryi Vecsery. Śmierć kochanków. Samobójstwo czy zabójstwo. Zakochana pensyonarka. Nieubłagany ojciec. Wyrok logiki dzigów.

ZMIERZCH potęgi Habsburgów, jednego z najstarszych rodów w Europie, władców nieledwie ongiś połowy Europy, dokonał się przed naszemi oczyma. Rozpadł się spróchniały tron, runęła korona, otwarły się podwoje pałaców pustką latami stojących, ku kaprysowi monarchów. I z tych progów wyszła tajemnica, ukrywana troskliwie, wyszła na kształt lady Macbeth, z zakrwawionemi rękami.

Dla nas oczywista, ród Habsburgów, dla nas wolnych, nie wiele on już znaczy. Dla nas to już "historya".

Inna rzecz jednak, gdy spojrzymy na ostatnich przedstawicieli zaborców, jako ludzi, którzy cierpią na równi z innymi śmiertelnikami.

Tragedya jedynego syna ostatniego cesarza Austryi ma w sobie coś prawie mistycznego, skoro spojrzymy na nią z gruzów cesarstwa. Dotąd tylko półgębkiem wolno było o tem mówić i tylko zagranica wysyłała powieści, osnute na tle tajemniczego morderstwa w zamku myśliwskim w Meyerling, które notabene u nas konfiskowano. Legendy krążyły o arcyksięciu Rudolfie i Vetserze, a wśród ludu długi czas żyła pewność, iż Rudolf uciekł przed zapalczywością cesarza do Ameryki, niby drugi Jan bez ziemi i tam czeka, aż się "stosunki ułożą". Było jednak niestety inaczej. Arcyksiążę istotnie zginął śmiercią samobójczą wraz ze swą ukochaną. Po matce swej, pięknej i tak nieszczęśliwej Elżbiecie miał widocznie w krwi wstręt do wszelkich ceremonii dworskich. Najchętniej wymykał się z pałacu, by w kole miłych towarzyszy spieszyć na polowanie, by zapomnieć, że skuty jest z kobietą, dla której serce jego nic nie czuje.

Biedny, samotny wśród dworskiego tłumu arcyksiążę! I oto zjawiła się mu cudna baśń, wizya upojna, sen płomienny. Oto zabiło mu po raz pierwszy serce tak gorąco, tak zapamiętale, jak nigdy dotąd. Śliczna Vetsero, pocóżeś znalazła się na drodze życia biednego arcyksięcia? Wszak panującym kochać się nie wolno wedle własnego serca, własnego wyboru, tylko wedle planu ministrów.

W tajemnej głębi myśliwskiego zamku, daleko od dworu, od ceremoniału, od tronu ukryła się miłość Rudolfa i Maryi Vetsery! — Chciał się zrzec tronu, rozerwać węzły, łączące go z obojętną mu żoną, Stefanią belgijską — bo słodka Marya była mu różą zachwytów, rajem wyśnionym, ostoją wśród burz bezmyślnego życia arcyksiążęcego.

Miał serce i pragnął serca... Pusty był dla niego Wiedeń bez ukochanej, ohydnym wspaniały Schoenbrunn gdzie siedział cesarz-ojciec srogi, niepomny własnych grzechów, obojętnym tron przyszłego cesarza Autryi.

Kochał i chciał być kochany — oto jedyne pragnienie cesarskiego jedynaka.

I to była jego tragedya.

Intrygi dworskie dopięły jednak swego celu. Wpędziły arcyks. Rudolfa w sytuacyę, z której nie było innego wyjścia — jak śmierć.

Dwa celne strzały położyły trupem kochankę i kochanka.

Tak się przedstawia w rzeczywistości ta tragiczna sprawa, o której przez długie lata krążyły jak najsprzeczniejsze wieści. Z licznych pogłosek z początku najwięcej zwolenników znajdowała wersya, że śmierć kochanków była aktem zabójstwa, dokonanego podczas jakiejś pijackiej orgii w Mayerlingu.

Wprawdzie urzędowa "Wiener Zeitung" przyniosła wiadomość o samobójstwie, ale przeważna część tak prasy, jak publiczności nie uwierzyła tej publikacyi. Umocniło się bowiem z góry przekonanie, że dwór zechce prawdę zataić, cokolwiek więc z tej strony pochodziło, przyjmowano z niewiarą.

A jednak wszystkie okoliczności przemawiały za samobójstwem. Przedewszystkiem

nasuwało się pytanie, dlaczegoby dwór wybrać miał takie właśnie tłómaczenie, kiedy każde inne wydawało się mniej dla pamięci zmarłego uwłaczające. Dwór austryacki był bardzo, a bardzo katolicki i już z tego względu bez konieczności do samobójstwa by się nie był przyznał. O ile np. wygodniej było ogłosić, że arcyksiążę padł ofiarą jakiegoś zbrodniczego zamachu. Wszakże ogłaszając samobójstwo, dwór narażał się ze strony Kościoła na odmowę pogrzebu; arcybiskup rzeczywiście odmówił i uległ dopiero pod naciskiem papieskiego nuncyusza.

Dalej: kiedyż właściwie odbyć się miała cesarzewicz zrana, krytycznego dnia, był u cesarza na audyencyi, że wyszedł bardzo wzburzony, pojechał z Burgu prosto do koszar, gdzie miał swoje biuro, tam napisał i wysłał kilka listów, poczem dopiero wyjechał do Mayerling. Przybyć tam mógł najwcześniej koło godziny jedenastej, a wszakże w południe cesarz otrzymał już wiadomość o śmierci. Nie było wręcz czasu na jakąkolwiek orgię.

Naturalnie, że uwaga, skierowała się przedewszystkiem na osobę Maryi Vetsery. Jako szczegół podała, że policya skonfiskowała u fotografów wszystkie płyty jej fotofrafii; żeby wydostać egzemplarz dla "Figara" zapłacić musiałem 100 guldenów. Skonstatowaliśmy, że nieszczęśliwa baronówna dopiero przed pół rokiem opuściła pensyę i prowadziła u boku matki życie zupełnie nienaganne. Koleżanki jej opowiadały, że jeszcze na pensyi będąc, kochała się w cesarzewiczu, nosiła stale w medalionie jego fotografię, a w klasie nazywano ją żartem "die Erzherzogin". Nie była więc bynajmniej ososbą zdolną do udziału w pijackiej orgii.

Ażeby zebrać dalsze szczegóły, rozem z jednym angielskim i drugim węgierskim kolegą, pojechaliśmy do Baden, skąd przez kilka dni objeżdżaliśmy całą okolicę Mayerlingu. Liczni sąsiedzi leśniczówki zgodnie zeznawali, że tego dnia nie było tam żadnego zjazdu gości; widziano tylko cesarzewicza, którego przywiózł ulubiony jego fiakier, Pratisch, na krótko zaś przedtem wysiadała przed leśniczówką młoda kobieta, oczywiście Marya Vetsera.

Wszystkie te szczegóły zgadzały się z tem, co sobie z ust do ust opowiadano. Mianowicie, że arcyksiążę owego ranka po raz ostatni błagał ojca, ażeby się zgodził na jego rozwód z żoną. Jak było do przewidzenia, Franciszek Józef stanowczo odmówił. Stary cesarz, który w oświetleniu służalczej prasy wiedeńskiej, wyglądał na tkliwego poczciwca, był w rzeczywistości człowiekiem twardym, który swej dynastycznej pysze poświęcił już przedtem osobiste szczęście tylu, a tylu członków rodziny. W tym wypadku zresztą, ojciec nawet mniej twardy nie łatwo byłby uległ; szło wszakże o następcę tronu, katolickim ślubem z żoną związanego. Skoro więc ostatnia próba zawiodła, cesarzewicz napisał parę pożegnalnych listów i pojechał do Mayerlingu, gdzie czekała już na niego baronówna Vecsera. Tu dojrzał i tu dokonany został plan wspólnej śmierci. To jedynie tłumaczenie odpowiada logice, aż do najdrobniejszych szczegółów, a jeśli ogół dotąd jeszcze wierzy rozmaitym innym pogłoskom, to dlatego jedynie, że zgóry powziął nieuzasadnione mniemanie, że każde ze strony dworu pochodzące tłumaczenie będzie nieprawdziwe. Być może, że na aktach dworskich oparta rewelacya, jeśli się wogóle ukaże, zada moim przypuszczeniom kłam, jednak wszystkie, dotąd znane szczegóły, stanowczo przemawiają za samobójstwem.

Arcyksiążę był typowym wiedeńczykiem, więc i lekkomyślnym i sentymentalnym; miłość, zakończona podwójnem samobójstwem, zupełnie odpowiada jego stylowi. Ale i dziś, kiedy tron habsburski już nie istnieje, a członkowie dynastyi rozpierzchli się po szerokim świecie, tajemnica trwa dalej i widoczne jest, że Habsburgowie wszystkie akty, dotyczące dramatu w Mayerlingu, albo wywieźli za granicę, albo zniszczyli, bo gdyby znajdowały się w archiwach wiedeńskich, dzisiejszy socyalistyczny rząd z pewnością by ich nie ukrywał.

O politycznym kierunku arcyksięcia pozostały tylko nieliczne świadectwa. Literaci, którzy schodzili się z nim stale, jako z nominalnym redaktorem dzieła p. t.: "Oesterreich Ungarn in Wort und Bild" zgodnie stwierdzają, że przy każdej sposobności okazywał kierunek liberalny.

Bardzo pilnie uprawiał wymianę listów z jednym z najwybitniejszych wonczas redaktorów wiedeńskich, Maurycym Szepsem. Z ka-

żdej podróży pisywał do niego niemal codziennie. Po śmierci Szeps na prośbę dworu listy wydał, zatrzymując na pamiątkę jeden tylko, który dziś jest w posiadaniu jego syna, znanego redaktora "Fremdenblattu". Ale syn utrzymuje treść listu w tajemnicy: tyle tylko wiadomo, że cesarzewicz opisuje w tym liście pierwsze spotkanie swoje z Bismarkiem i w związku z tem wspomina o sprawie polskiej.

Zginął, nie dożywszy upadku i państwa i dynastyi, upadku, którego i on nie byłby wstanie powstrzymać, bo wyrok wydała nieubłagana historyczna logika.

PRZEZ ŚMIERĆ DO ŻYCIA.

Nowa teorya o leczeniu chorób gruczołowych. Znaczenie gruczołów tarczykowych. Zaszczepianie gruczołów z innych organizmów. Wycinanie gruczołu zdrowego nie pociąga szkody. Matki dają swe gruczoły dla uratowania dzieci od kretynizmu. Gruczoły nie zamierają równocześnie z ciałem. Gruczoły wycięte umarłym dadzą się przechowywać w stanie żywym przez kilka tygodni. Zużytkowanie gruczołów osób zmarłych skutkiem wypadku. Ewolucya wiedzy pociągnie za sobą ewolucyę prawodawstwa.

Sergiusz Voronoff, dyrektor prac chirurgicznych przy Stacyi fizyologicznej w "College de France" wyłożył na ostatnim francuskim kongresie chirurgicznym swoją teoryę o chorobach gruczołowych i nowym sposobie leczenia ich. Teoryę tę, która wywołała wielkie zainteresowanie, podaje doktor Voronoff obecnie dla szerszej publiczności w paryskim "Journal'u".

Tajemnicze organa o wydzielinach wewnętrznych, zwane gruczołami, a rozmieszczone w rozmaitych częściach ciała ludzkiego, dr. Voronoff uważa za najważniejsze motory naszego organizmu. Brak — ewentualne usunięcie — drobniutkich gruczołów przedtarczykowych pociąga za sobą niechybną śmierć; ubytek gruczołu tarczykowego powoduje kretynizm, brak wydzielin wewnętrznych tegoż gruczołu staje się przyczyną fizycznego i moralnego zmarnienia i t. p.

Zapobiedz temu brakowi lub wzmocnić funkcyę owych gruczołów przez zaszczepienie młodego i zdrowego gruczołu, znaczy to odnowić życie.

Skąd jednak dostarczyć tych gruczołów zbawiennych? Na to pytanie odpowiedział słynny chirurg na kongresie: "W braku gruczołów ludzkich, dostarczy nam ich małpa".

Najlepiej oczywiście byłoby używać przy leczeniu ludzi gruczołów ludzkich. Dla przedłużenia życia, oraz dodania siły i energii starym baranom zaszczepiał im gruczoły wycięte młodym baranom. A uczynić to można bez szkody dla młodego zwierzęcia. Natura bowiem jest rozrzutną: gruczoły są prawie zawsze podwójne i wycięcie jednego nie wywołuje żadnych złych następstw.

Matki, które z miłości i poświęcenia dla swych dzieci, zagrożonych kretynizmem z braku gruczołu tarczykowego, zgodziły się na wycięcie im jednego gruczołu i zaszczepienie go dziecku, nie doznawały z tego powodu najmniejszej szkody. Odkąd rzecz ta się rozgłosiła, dr. Voronoff otrzymał dużo listów z propozycyami ofiarowania swego gruczołu dla uratowania drogiego sobie chorego.

Jednak żywi nie są jedynem źródłem, z którego zaczerpnąć można ożywczego gruczołu. Z chwilą, gdy ustaje bicie serca i następuje śmierć, kończy się też harmonia we współdziałaniu organów naszych; ciało, jako indywidualność czynna, świadoma, jest martwe, lecz nie zamierają jeszcze w tej samej chwili rozmaite jego części składowe. Nie otrzymują wprawdzie już elementów odżywczych, dostarczanych im przez krew, lecz żyją jeszcze przez jakiś czas, poszcząc, dłużej, lub krócej, stosownie do ich struktury. Części najsilniejsze, jak kości, zatrzymują swą żywotność jeszcze przez osiemnaści godzin po śmierci, rozmaite zaś gruczoły przez trzy do sześciu godzin.

Wycięte z ciała przed własnem swem zamarciem, zachowują wszystkie swe własności witalne, a przeszczepione do innego ciała spełniają znów swe funkcye. Co więcej, wycięte w czasie właściwym, gruczoły te dadzą się zakon-

serwować przez kika tygodni, gdy się je przechowuje w temperaturze równej zeru. We wszystkich wielkich miastach umierają codziennie prawie istoty młode i silne, skutkiem nieszczęśliwych wypadków. Chirurgia winna zużytkować gruczały wycięte tym jednostkom i przechowane w odpowiednich retortach. Dr. Voronoff proponuje, ażeby w wielkich miastach utworzyć specyalne szpitale dla chorób gruczołowych i do tych szpitali przenosić też zwłoki osób młodych, które padły ofiarą wypadku, celem wycięcia gruczołów po poprzedniem zbadaniu organizmu.

Na nieszczęście przesądy ludzkie i prawodawstwo stawiają opór tym usiłowaniom chirurgii. Lecz dr. Vronoff nie traci nadziei, że — jak zwykle, tak i w tym wypadku — śladem ewolucyi wiedzy pójdzie ewolucya umysłów i prawodawstwa. Gdy rozszerzy się świadomość, że wszczepienie inteligencyi ludzkiej istocie, wzmożenie siły osłabłej, odmłodzenie organizmu starego jest bądź co bądź lepszem i godniejszem, niż bezużyteczne butwienie w grobie, wówczas — kończy dr. Voronoff — tysiące egzystencyi będzie uratowanych, zwróconych pięknemu, harmonijnemu życiu!

Rozbójniczy Generał

Bandytyzm w kraju agany.— "Legion Śmierci."— "Atyla meksykański."

W Puebla, jednem z największych miast Meksyku, bandyci uprowadzili agenta konsularnego Stanów Zjednoczonych. Rząd w Waszyngtonie wystosował do rządu meksykańskiego ultimatum, żądając natychmiastowego uwolnienia swego urzędnika. — Trudno jest jednak powiesić kogoś, jeśli się go wprzód nie schwytało, a wątpliwem jest, czy nawet całej sile zbrojnej meksykańskiej, jaką ma do swego rozporządzenia prezydent Carranza, udałoby się ująć owych śmiałków, którzy uprowadzili agenta konsularnego prawdopodobnie w celach szantażu. Albowiem meksykański badytyzm jest świetnie zorganizowany. Nie należy zresztą tych bandytów porównywać z rozbójnikami z Abruzzów, lub zwykłymi rabusiami. W kraju agawy bandytyzm jest ściśle związany z polityczną awnaturniczością. Ci wszyscy liczni "generałowie", którzy występują przeciwko rządowi i grupują wokół siebie buntowniczo usposobionych żołnierzy, stoją tak blisko bandytyzmu, że wcale się im nie wyrządza krzywdy, określając ich poprostu jako przywódców rozbójniczych band, a posiadających polityczne ambicye.

Typowym takim "generałem bandytów" był Emiliano Zapata, który niedawno temu padł trafiony kulą wśród walki przeciw wojskom rządowym. Ta śmierć żołnierska ocaliła go od zawiśnięcia na szubienicy, na którą sobie stokrotnie zasłużył.

Zapata rozpoczął swoją karyerę przed 26 laty, jako zwykły rozbójnik. Rzemiosłu rabusia oddał się z upodobania, nie z potrzeby, albowiem pochodził z zamożnej rodziny. Debiut nie udał mu się, schwytano go wówczas. Ówczesny prezydent Porfirio Diaz, chcąc walczyć z bandytyzmem, chwycił się bardzo rozsądnych środków. Powiedział sobie, że to niema sensu silnych, zdrowych mężczyzn trzymać i żywić w więzieniu, jeśliby ich można było użyć inaczej. Takich, których uważał za niepoprawnych, kazał odrazu rozstrzeliwać, a z pozostałych stworzył specyalne kompanie wojska, aby za pomocą żelaznej dyscypliny wojskowej zrobić z nich dobrych żołnierzy. Ten sam los spotkał i Emiliana Zapata. Piętnaście lat służył w wojsku, a potem wraz ze swoim bardzo zamożnym bratem zajął się gospodarstwem rolnem. Ale to spokojne zajęcie nie odpowiadało bynajmniej jego usposobieniu, w głębi ducha śnił on wielkie plany. Czuł się powołanym do roli polityka i generała. Przez pięć lat bracia Zapata gromadzili broń i amunicyę, swój dom zamienili na formalną twierdzę i kosztem wielkich nakładów pieniężnych uformowali oddział

Działalność "legionu śmierci" upamiętniła się w umysłach mieszkańców południowego Meksyku. Gdzie przeszli legioniści, tam kamień nie zostawał na kamieniu. Pod pozorem zaprowadzenia "porządku" napadał Emiliano Zapata na miasta, wsie i osady. W krótkim czasie splądrował 19 miast, 35 wsi i 42 "hacyendy". Tysiące ludzi ginęły często wśród barbarzyńskich tortur. Ten "Atilla meksykański" — bo tak sam siebie nazywał Zapata — naśladował w zupełności hiszpańskich słynnych "conquistadorów."

kawaleryi, znanej później pod nazwą "legionu śmierci."

Kiedy sędziwy prezydent Porfirio Diaz, zmuszony został do ucieczki do Europy, dla braci Zapata nadeszła chwila czynu. Swój oddział ochotniczy oddali do rozporządzenia następcy Porfiria Diaza. Chociaż prezydent Medero wiedział, że ma do czynienia z bandą rozbójników, przyjął jednak tę propozycyę, w przeciwnym bowiem razie Zapatowie ofiarowaliby swe usługi jego wrogom.

Jak Inne Narody Święcą Wigilię

Zwyczaje wigilijne w Ameryce, Anglii, Norwegii, Grecyi, Włoszech, Hiszpanii.

ŻADNE święto chrześcijańskie nie jest obchodzone tak uroczyście, a zarazem tak rozmaicie, jak Boże Narodzenie. Drzewka, zwyczaj niemiecki, przeszedł do krajów słowiańskich, do Anglii, a nawet do Ameryki Północnej.

Wedle panującej tam legendy, św. Mikołaj, patron grzecznych dzieci, pod postacią karzełka, okrytego futrami w noc wigilijną wchodzi kominem do mieszkań i w pończoszki, położone naumyślnie w tym celu przy kominku lub łóżeczkach, wsuwa rozmaite zabawki.

Wieczór wigilijny uświęcony bywa w Ameryce jeszcze innym zwyczajem. We wszystkich prawie hotelach, restauracyach i kawiarniach rozdawany jest w tym dniu darmo napój jajeczny (egg nogg). Na tydzień przedtem wywieszone są w tych lokalach zaproszenia. Korzysta z nich mnóstwo osób, a gospodarze przesadzają się w częstowaniu przysmakami. Pod koniec śniadania podają punch, przyrządzony z mleka, jaj, wódki i korzeni.

Dzień wigilijny jest w Ameryce Północnej uważany za bardzo szczęśliwy do zawierania związków małżeńskich. Nigdy też nie odbywa się tyle ślubów, co w tym dniu.

W niektórych powiatach angielskich przechował się zwyczaj obchodzenia Wigilii tańcami ulicznymi, oraz igrzyskami na świeżem powietrzu, w których św. Jerzy odgrywa główną rolę. Na wyspach Szotlandzkich młodzi chłopcy przybierają się w fantastyczne stroje i przebiegają ulice, grając na skrzypcach. Gdzie tylko drzwi są otwarte, tam czeka ich obfity poczęstunek i zabawa. Mnóstwo łodzi wypływa w wieczór wigilijny na morze, wiożąc rybakom biblie, książki świeckie, lekarstwa, tytoń i ciepłą odzież.

Piękny obyczaj wigilijny panuje w Norwegii. Tam ptaki bywają "zapraszane do stołu". Przed domami stawiają na słupach deseczki, posypane obficie ziarnem, aby i Boże śpiewaki mogły brać udział w radości z powodu Narodzin Chrystusa.

Pewien Anglik, który spędził Wigilię na wyspie Chios, opowiada, że w dniu tym dzieci biegają z piosnkami od domu do domu i otrzymują orzechy, figi, rodzynki i t. p. Mieszkańcom tej wyspy nad morzem Egejskiem znane jest Boże Drzewko; przystrajają je nie rodzice dla dzieci, lecz dzierżawcy i czynszownicy dla właścicieli ziemskich. Na dużym pręcie przywiązują oni gałązki drzewa oliwnego, mirtu i pomarańczy, wtykają w nie geranie, oraz inne kwiaty i tę "południową choinkę" obwieszają różnymi owocami.

W pierwszy dzień świąt ze trzystu czynszowników zjeżdża z okolicznych wiosek z ta-

kiemi gałęziami w ręku, do siodeł mają przytroczone po parę sztuk drobiu. Przed domem właściciela gruntu zatykają gałęzie, następnie czerpią do niego ze studni tyle wody, ile potrzeba na święta. Za ten podarek i za tę usługę otrzymują suty obiad i "gościńce".

Nigdzie na świecie wieczór wigilijny nie jest obchodzony tak hałaśliwie i wesoło, jak w Neapolu. Ognie sztuczne, pochody z palącem łuczywem, iluminacye domów i gmachów, ruch, gwar, śmiechy, przerywane są głosem dzwonów, wzywających na Pasterkę.

W Hiszpanii panuje zwyczaj niepraktykowany w żadnym innym kraju. Oto w noc wigilijną gubernatorowie wojskowi Madrytu oraz innych większych miast, odwiedzają więzienia wojenne i obdarzają wolnością najmniej winnych przestępców. Za nadejściem zmroku, przed obrazami Matki Boskiej zapalane są świeczki i wszyscy czuwają, aby o świcie udać się na "Misa del Gallo" (msza pierwszych kurów), jak zowią w Hiszpanii Pasterkę.

W Anglii nad drzwiami zawieszają gałęzie jemioły, pod taką gałęzią wolno kawalerom całować panny bezkarnie; korzysta z tego wielu nieśmiałych kawalerów, to też niejedno małżeństwo w tym dniu się kojarzy. Pierwszy dzień świąt obchodzony bywa obiadem w kółku rodzinnem z indykiem, faszerowanemi kasztanami i słynnym "plum puddingiem".

Francya przyswoiła sobie gwiazdkowe zwyczaje angielskie i niemieckie, a więc: choinkę, pudding, gałęzie jemioły. W południowych jej prowincyach głowa rodziny zapala wigilijną kłodę w kominie; ma ona jakoby płonąć do wiosny.

Najszczytniejszym jednak obyczajem wspólnym wszystkim krajom cywilizowanym, jest obdarzanie w tym dniu ubogich dzieci. Doroczna "Gwiazdka" rozprasza, bodaj na chwilę, mroki nędzy i głodu.

Amerykanie Niewolnikami Swych Żon

I Kobiety amerykańskie doczekały się ostrej, choć — przyznać trzeba — przeważnie zasłużonej krytyki.

Napadnięto na nie — jak pisze nowojorski korespondent londyńskiego "Timesa" — z trzech stron. Leon Tołstoj, wnuk wielkiego pisarza rosyjskiego, powiada, że stosunek ich do życia wogóle wytwarza ducha takiego, który właśnie doprowadził do wojny w Europie. **Vincente Blasco Ibanez**, znany pisarz hiszpański, po trzymiesięcznym pobycie w Ameryce, oświadcza, że zrobiły niewolników ze swych mężów, a p. Mitchell Palmer, prokurator jeneralny Stanów Zjednoczonych, naraził na szwank kandydaturę swą na prezydenta Stanów Zjednoczonych wygłosiwszy licznym słuchaczkom z towarzystwa nowojorskiego odczyt, wytykający bez ogródek marnotrawstwo Amerykanek. Pan Ibanez mówił mniejwięcej w te słowa do grona mężczyzn, zebranych w klubie uniwersyteckim w Filadelfii:

"Każdy Amerykanin jest tchórzem wobec kobiety, a stanowisko jego względem niej jest zupełnie podobne do stanu niewolnika murzyńskiego w Stanach południowych przed nadejściem Abrahama Lincolna. Warunki, wśród których mężczyźni amerykańscy żyją i pracują, są prawie te same, co w dniach przedhistorycznych, kiedy to mężczyźni byli wojownikami i myśliwcami, wychodzili na łowy na dzikie lub inne zwierzęta, a kobiety ich zajmowały się kuchnią i dziećmi. Ta tylko różnica panuje i dzisiaj, że mężczyzna amerykański poluje obecnie na dolary, nie zaś na zwierzęta, a żona jego nie zajmuje się domem, lecz chodzi po sklepach i na poranki teatralne.

"Jeżeli Amerykanin jest biedny, to wraca wieczorem po ciężkim dniu polowania na dolary, staje się sam gospodarzem, gotuje sobie strawę i zmywa naczynia.

Chóralne protesty ze strony słuchaczów

nie stropiły wcale p. Ibaneza, który mówił tak w dalszym ciągu:

"Pozwólcie, że jako Hiszpan, powiem coś wam, mężczyznom amerykańskim. Czego potrzeba waszemu krajowi, to drugiego oswobodziciela, a poza tem kobiety wasze są zmęczone zbytniemi hołdami. Obiadowałem niejednokrotnie z waszemi paniami w Paryżu. Wydawały na moją cześć obiady, na których ja byłem jedynym mężczyzną obecnym. Przy deserze mówiłem: Panie, nie ma tu nikogo, coby nas podsłuchał. Powiedzcie mi szczerze, czy się wam już nie znudziło to ciągłe kłanianie się i poniżanie przed wami mężczyzny amerykańskiego; ten ciągły, przesadny szacunek jego dla was? I słyszałem na te słowa odpowiedź szczerą: Tak, panie, już to nam obrzydło i chciałybyśmy czuć panowanie nad nami, choćby dla zmiany.

Pan Ibanez skończył tę śmiałą tyradę, radząc mężczyznom amerykańskim, aby "od czasu do czasu traktowali nieco ostrzej swoje kobiety". Pan Mitchell Palmer okazał się nawet odważniejszym, niż rycerski powieściopisarz hiszpański. Rzuciewszy bowiem okiem na szereg eleganckich kobiet, które zebrały się, aby wysłuchać jego odczytu o bolszewizmie i innych zagadnieniach na dobie, zauważył:

— Nie robiecie, panie na mnie wrażenia osób, interesujących się specyalnie drożyzną życia.

— Ależ obchodzi nas to bardzo! — odezwały się głosy.

Prokurator generalny ciągnął dalej spokojnie. Niedawno wzięła mnie żona moja na herbatkę. Pewna pani, z którą żyjemy w przyjaźni, powitała mnie tam słowami: Jak się panu podoba mój nowy kapelusz? Wcale mi się nie podoba — odparłem. Doprawdy — rzekła na to — jest pan odważnym mężczyzną, aby coś podobnego powiedzieć kobiecie. Tak pani — odrzekłem — nie lubię patrzeć na nowy kapelusz, nie lubię nowych ubrań w czasach dzisiejszych. Moje ubranie jest stare. Znajduje się na niem jeszcze przyszyta karteczka, świadcząca, że noszę je od lat pięciu. A właśnie teraz panuje u nas prawdziwa orgia wydawania pieniędzy. Ludzie posiadają obecnie w bankach więcej gotówki, niż kiedykolwiek przedtem i zdają się być zdecydowani wydać te pieniądze. Kobiety w naszym kraju wydają 90 procent całej sumy pieniędzy, wydawanych wogóle tutaj. Czy wiecie o tem? Gdybyście wy, kobiety zechciały mniej kupować, to doprowadziłybyście szybko do zniżenia cen, tak ciężko obarczających biedną pannę sklepową i każdego innego pracownika.

Czy słowa te, rzucone przez kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych Amerykankom, nie dałyby się również zastosować do naszych pań?...

Kolendy z Roku 1863.

Na nutę "W żłobie leży",.

W polskich sercach, niby w grobie,
Leży dziś nasz Pan i Król —
My dziś radość czujem w sobie
On nam w radość zmienia ból!
Jego miłość to sprawiła,
Że nas wszystkich zjednoczyła
W jeden węzeł, w jeden ślub —
Więc dzień zbawczy przybliżony,
Głaz grobowy odwalony
I w kolebkę zmienion grób.
Już nie w grobie, ale w złobie
Z Bogiem wstaje polski ród —
Jakby skrzydła ręce obie
Wznosi — wielbiąc niebios cud.
Śmiało — śmiało Boże ptasze
Obleć całe plemię nasze,
Zanieś smętnym dobrą wieść,
Że nam w sercach Bóg się rodzi
Gwiazda wschodzi — Polska wschodzi
Chwała Bogu — Polsce cześć!

Oto z nami tułaczami
Cały klęka polski kraj,
Co chcesz Panie uczyń z nami,
Ale Polsce wolność daj.
Przyjmiem chętnie z Twojej ręki
Wszystkie rany, wszystkie męki,
Ale Polsce męki skróć.
Boże Ojców, Boże wielki
Weź krew naszą do kropelki,
Ale Polsce wolność wróć!

Całuję Rączki

BARBARZYŃSKI zwyczaj całowania rąk damom na przywitanie i pożegnanie utrzymał się w całej Polsce, po dzień dzisiejszy. Warszawa wprawdzie tego zwyczaju się nie wyzbyła, mimo to urągliwie wita nas z Małopolski typowem "całuję rączki".

Znam autentyczną przygodę oficera austryackiego, usiłującego w przebraniu kobiecem z niewoli rosyjskiej przedostać się do kraju, który zdradził swoje incognito tylko dzięki naszemu nieodstępnemu "całuję rączki".

Przypominam sobie śmiech homeryczny, który towarzyszył opowiadaniu o sposobach witania i żegnania się Eskimosów. A było to na zebraniu ludzi wykształconych. Biedni Eskimosi witają i żegnają się dotknięciem nosa.

Istota pocałunku — to wydobycie pewnej ilości zbędnej śliny i stąd to wielkie pokrewieństwo pocałunku i plucia. Ślina jest rozsadnikiem najcięższych i najniebezpieczniejszych chorób.

W pierwszym rzędzie jest ślina rozsadnikiem gruźlicy i kiły (syfilis) i gruźliwy niemal w każdym wypadku, bo przedewszystkiem śliną szerzą się zarazki gruźlicy. Kiła zaś przeważnie wtedy, gdy w jamie ustnej znajdują się owrzodnienia kiłowe.

Gruźlica skóry nie należy dziś do zbytniej rzadkości — jest ona bardzo częstym gościem w ambulatoryach lekarzy chorób skórnych. Chory zaklina się wtedy, że w rodzinie nikt na gruźlicę nie chorował i że w otoczeniu gruźliczo chorych nie przebywał i ani mu przez myśl nie przejdzie, że niewinne "całuję rączki" eleganckiego kawalera, przyprawiły zgłaszającego się osobnika o gruźlicę.

Nieinaczej ma się rzecz z kiłą.

Także tak częste na rękach zanokcice i wreszcie róża sama, często śmiertelna, znajduje swe źródło w pocałunku przeniesionych paciorkowcach (streptococcach).

Zapalenie płuc przenosi ślina pocałunków, gdy zawiera (a zawiera nierzadko) dwoinki zapalenia płuc (pneumococci).

Całuję rączki nie oszczędza także oskrzeli, przenosząc do nich ziarenkowce kataralne (micrococcus catharralis), wywołując w ten sposób katary oskrzeli i zapalenia płuc oskrzelowe (broncho pneumoniae). Każda matka zna przykrości kokluszu (ksztusiec), ale mało wie o tem, że zarazek ksztuśca prątek Bordeta pocałunkiem się przenieść może. I tak niejedna matka dzięki szlachetnemu zwyczajowi "całuję rączki" niewinnie i nieświadomie własne dzieci zaraża.

Ślina jest także rozsadnikiem dżumy, na szczęście w okolicach, które "całuję rączki" nie znają.

"Całuję rączki" jest wreszcie rozsadnikiem bakteryi choroby obecnie bardzo modnej i aktualnej, a w skutkach zgubnej, mianowicie grypy (influency hiszpanki).

I byłem już niejednokrotnie świadkiem, jak osoby starsze w czasie obecnej epidemii z obawy przed zakażeniem nie przekraczały progu domu, a zarazie uległy jedynie dzięki "całuję rączki".

"Całuję rączki" przestrzegają niestety z obowiązku uczennice wyższych i niższych zakładów wychowawczych, a skrupia to się bardzo często na temu zwyczajowi hołdującyech paniusiach i ich wychowanicach.

Czyż słowne tylko przywitanie i pożegnanie nie jest dostatecznym wyrazem naszych uczuć?

Czas "całuję rączki" odesłać do historyi — do czasów, gdy ślina nie tylko nie szkodziła, ale jako środek leczniczy — wiedzą o tem jeszcze i dziś nasze kumoszki — miała rolę niepoślednią.


VERVENA
BALSAM



PIĘKNE WŁOSY

będziecie mieli tylko wten czas gdy będziecie się o to starać.

Łupież, swędzenie głowy, wypadanie włosów, za tłuste włosy lub za suche, wskazują na to, że potrzebują one natychmast waszej pomocy, nie czekajcie aż wam włosy zupełnie wypadną, ale natychmiast zacznijcie je leczyć. Jedynem lekarstwem na choroby włosów jest ogólnie znany i bardzo ceniony dla swoich doskonałych skutków

VERVENA SHAMPOO I VERVENA HAIR TONIC

Oba te środki nadadzą waszym włosom naturalny kolor wytępią łupież, wzmocnią cebulki włosowe wskutek czego porosną wam gęste i mocne włosy.

Kobiety i mężczyźni jeżeli chcecie ażeby wasze włosy miały piękny naturalny kolor, ażeby zachowały swoją bujność i falistość, ażeby łupież nie zniszczył waszych włosów, ażeby przestały wam wypadać to dziś jeszcze zacznijcie używać VERVENA NISZCZYCIEL ŁUPIERZU I VERVENA HAIR TONIC NA WZMOCNIE WŁOSÓW. ena obydwóch flakonów, $2.25.

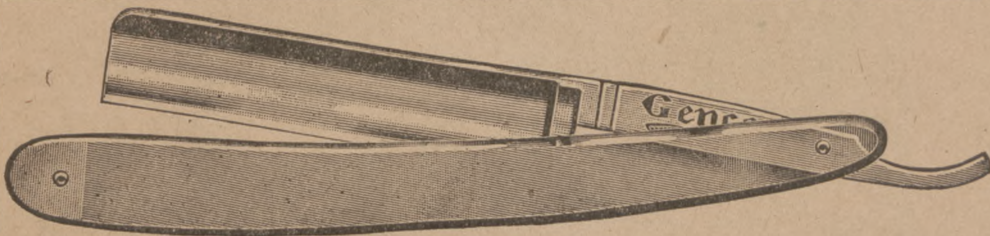
Pytajcie o nie w aptekach lub piszcie wprost do nas załączając 25c. w markach pocztowych lub srebrem, resztę zapłacicie przy odbiorze. Z Kanady należy przesłać całą sumę wraz z zamówieniem.— Pisząc adresujcie:

VERVENA LABORARORY INC.

1263 N. PAULINA ST. DEPT. K.Z. CHICAGO, ILL.

MY UTRZYMUJEMY TOWAR NA SKŁADZIE NAJLEPSZEGO GATUNKU

Po co masz przeklinać przy goleniu, kup sobie GENCO brzytew a pozbędziesz się kłopotu z głowy na zawsze.



No. 404 Brzytwa GENCO GOLD SEAL. Najlepsza balbierska brzytwa, z twardej, brzęczącej stali. goli pod włos i na dół; tylec brzytwy i rączka grubo złocone, w przeźroczystej oprawie. Cena **$4.95**



No. 501. Maszynka do włosów. Jest to dobrego gatunku maszynka, zrobiona z dobrej stali, zęby dobrze hartowane, tnie lekko i gładko; extra sprężyna do każdej maszynki. Cena **$3.60**

No. 502. Maszynka najlepszego gatunku, używana przez balbierzy, urządzona na kulkach, z patentowaną sprężyną, gwarantowana. Cena **$6.00**



No. 503. Balbierski Pasek. Dubeltowy 24 cali długi z najlepszej końskiej skóry. Cena **$2.50**

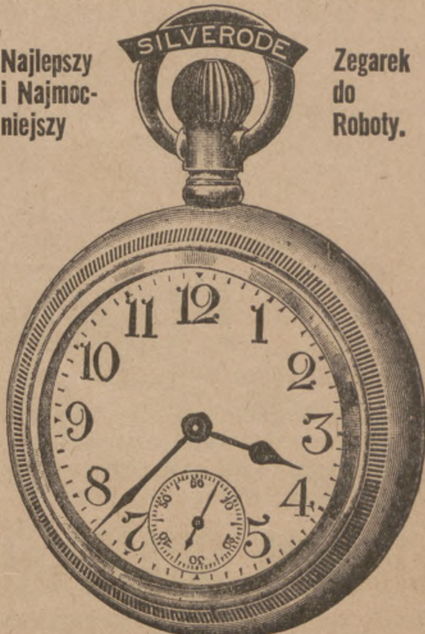
NAJLEPSZY REWOLWER



No. 804. Automatyczny, łamany, po wystrzeleniu sam wyrzuca puste naboje z zatrzaskiem, co w kieszeni nigdy nie wystrzeli. 32 kaliber, 5 strzałów, waży 12 uncyi. Bardzo przydatny do kieszeni, lub w podróży. Cena **$13.95**

Przy zamówieniu któregokolwiek przedmiotu, przyślijcie dolara zadatku — resztę zaś zapłacicie przy odbiorze. Ktoby nie był zadowolony z jakiegokolwiek przedmiotu kupionego u nas, to chętnie zwrócimy mu pieniądze. Wszystkie listy i zamówienia wysyłajcie na adres:

Najlepszy i Najmocniejszy



Zegarek do Roboty.

No. 110. Zegarek Niklowy. Zegarek ten jest w grubych, szczero-niklowych kopertach, na gwinty zakręcanych, szkiełko kryształowe bardzo grube. Jest to najlepszy zegarek do pracy, bo się nigdy nie zgniecie i nic się w nim nie zepsuje. Mechanizm w tym zegarku jest najlepszego gatunku STANDARD na 7 kamieni, czas trzyma punktualnie, gwarantowany na 20 lat. Cena tylko **$8.50**

UWAGA: Zegarki te polecamy dla górników, farmerów i wogóle dla ludzi pracujących.

BESSEMER WATCH CO.

8835 Manistee Ave. Dept. Z. Chicago, Ill.